

A person wearing a hat and dark clothing sits on a wooden bridge that spans across a calm lake. The lake reflects the surrounding mountains and sky. The scene is set in a valley with steep, rocky slopes and some greenery. The sky is filled with soft, white clouds, and a bright light source, possibly the sun, is visible behind the mountains, creating a hazy, atmospheric effect. The overall mood is serene and contemplative.

# Hanna Cygler

---

## NOWE NIEBO



# Hanna Cygler

NOWE NIEBO



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Mojej siostrze Karolinie*

*(lub Dagmarze)*



# **CZEŚĆ PIERWSZA**

## **FELICJA**

## Rozdział I

*Winona, wiosna 1891*

W Levee Parku ziemia pokryta napęczniałymi od deszczu starymi liśćmi ugięła się pod stopami i zachowywała jak zdradzieckie bagno. Mlask, mlask, próbowała zedrzeć z nóg buty. Od tartaków unosił się zapach mokrego drewna i gnijących trocin.

– I dokąd mnie tak ciągniesz? Ubrudzę się – jęknęła Helena.

Można było przypuszczać, że za chwilę zaczną się skargi. A przecież wyszły z domu zaledwie parę minut wcześniej.

Był taki piękny dzień, a w zasadzie wieczór, bo słońce już zdążyło się schować za skałą Sugar Loaf. Po tygodniowych ulewach słoneczna pogoda była niczym dar nieba, chwilą ulgi po zimowych wyrzeczeniach. Na samą myśl o mrozie Felicję przeszedł dreszcz. Pamięć o poprzednich zimach chyba już na zawsze pozostanie w całym jej ciele.

Nic dziwnego, że ludzie chętniej mówią o lecie czy wiośnie. Któż by chciał pamiętać o takich porach roku, w których krew zamarza w żyłach, a każdy dzień jest tylko walką o przetrwanie. I modlitwą o śnieg, bo ten dawał nadzieję, że mróz nieco zelżeje. Choć nie zawsze tak było.

– Felicja, czy ty mnie słyszysz? – Helena oparła się o drzewo i palcami zdejmowała z podeszew mokre liście. Robiła to z takim obrzydzeniem, jakby była bogato urodzoną szlachcianką, a nie prostą dziewczyną, która całe życie spędziła na wsi.

Felicja westchnęła. Jej piękna siostra stopniowo stawała się nie do zniesienia. Kiedy mieszkały w Sitnie, była jej drugą połową. To ona objaśniała świat, dodawała odwagi, prowokowała do ryzykownych zabaw. A potem nagle wszystko się skończyło.

Kiedy wiozący ich statek dobił do kanadyjskiego brzegu, Helena była zupełnie inną osobą. Może dlatego, że nie zeszła na ląd o własnych siłach. Po dwóch tygodniach kwarantanny na Grosse Isle w Quebecu wyglądała jak żywy trup. Felicja rozpoznała tylko jej niebieskie oczy błyszczące na ogolonej do skóry głowie. Siostra nie uroniła wtedy ani jednej łzy. Podobnie jak ona sama, Józul i ciotka Matylda. Wszyscy byli w zbyt dużym szoku.

Wuj August, gdy zobaczył Helenkę, to tylko czapkę zdjął z głowy, jakby nieboszczkę ujrzał. Potem nie było nawet mowy, żeby jechać dalej w świat, do Renfrew. Wuj załatwił powóz i zabrał Helenę do hotelu, w którym dochodziła do siebie przez kolejne dwa tygodnie. Leżała w puchowej pościeli jak księżniczka, karmiona miodem i świeżymi jajkami, podczas gdy cała reszta rodziny gnieździła się w pokojach noclegowych. Nikt jej tego wówczas nie żałował, wszyscy odchodzili od zmysłów, kiedy ją zabrali na kwarantannę. A potem jeszcze bardziej, gdy się dowiedzieli, że Grosse Isle zwą wyspą śmierci. Nawet po dwóch tygodniach, kiedy Helena – wprawdzie na własnych nogach, lecz mocno się słaniając – wyłoniła się z hotelu Elms, jasne było, że jeszcze przez długi czas będzie wymagać specjalnego traktowania.

I tak jej to weszło w krew, westchnęła Felicja. Oczywiście nadal całym sercem kochała starszą siostrę, której urodę udało się odzyskać – była jeszcze piękniejsza niż przed wyjazdem – ale nie jej serdeczne usposobienie.

– Heluś, wytrzymaj jeszcze chwilę. Cały dzień się tak narobiłam przy praniu. Potrzebuję trochę powietrza – poprosiła. – Już połowa kwietnia. Przez tyle miesięcy nie wyściubialiśmy nosa z chałupy.

– Wuj nam obiecał, że tutaj będzie inaczej. Pojechaliliśmy przecież na południe. Podobno

znajdujemy się na wysokości Madrytu. Zima w Winonie nie będzie więc tak surowa jak ta poprzednia w Renfrew. Przestań się martwić. Przecież mamy wiosnę. – Helenie przypomniało się nagle, że to ona jest starszą siostrą. Skończyła oczyszczać buty i zeszła na wydeptaną ścieżkę prowadzącą w stronę rzeki.

– A skąd on niby wie? Przyjechał zaledwie miesiąc przed nami. Nie spędził tu żadnej zimy. A my...? Skąd my mamy to wiedzieć?

Helena pociągnęła nosem z wyższością, nieco zirytowana uwagami siostry.

– Pytałam właścicielkę w sklepie.

Ona rzeczywiście coś mogła wiedzieć na ten temat. Zaborowska przyjechała do Winony spod dalekiego Bytowa już dziesięć lat wcześniej, a od pięciu prowadziła sklep z kapeluszeniami. Wszystkie miejscowe elegantki kupowały u niej nakrycia głowy. Kiedy dowiedziała się od ciotki Matyldy o zdolnościach krawieckich Heleny, postanowiła zatrudnić ją jako uczennicę. Jej pierwsza płaca miała wynosić pół dolara tygodniowo. Felicja już się zdążyła zorientować, że nie jest to dużo, ale przecież siostra miała szansę wyuczyć się zupełnie nowego zawodu. O jej własnym losie wuj August jeszcze nie zdecydował. Myśl o tym spędzała jej nocami sen z powiek. Tak bardzo się bała, że będzie nienawidzić swojej przyszłości, i uciekała w fantazje, które pozwalały zapomnieć o rzeczywistości. Zaczęła tę zabawę podczas miesięcznej podróży statkiem i bardzo się w nią wciągnęła.

– No chodź, głuptasie. Tak jak chciałaś, zobaczymy, co się dzieje nad rzeką.

Czasem traciła nad tym kontrolę, tak jak teraz. Nawet nie spostrzegła, kiedy Helena znacznie się od niej oddaliła.

– Nie jestem głuptasem. Mam prawie piętnaście lat. – Felicja spojrzała na siostrę z wyrzutem.

– A ja dwadzieścia jeden. I najchętniej bym o tym nie pamiętała. – Helena skrzywiła się, a po tym dramatycznym oświadczeniu uderzyła w płacz.

Felicja czasem potrafiła przewidzieć zmiany w emocjach siostry, ale nie zawsze. Teraz też nie rozumiała, czemu beczy.

– Jestem już starą panną. Matka nasza wyszła za ojca, jak miała siedemnaście lat, a ja?

Chciała jej powiedzieć, że matka nie żyła, zanim ukończyła dwadzieścia pięć, ale Helena nie dopuściła jej do słowa.

– Nie chcę zostać sama jak ciotka Matylda.

– Nie jest sama. Ma nas.

– Ale my nie jesteśmy jej dziećmi. Swoją drogą to ciekawe, czemu ona nigdy nie wyszła za mąż. Widziałam kiedyś jej starą fotografię z jakimś nieznanym. Była piękną.

– Chyba nikt się dla niej nie nadawał. Nie chciała się zadowolić byle kim. – Felicja była pewna, że podzieli los ciotki. Nie zamierzała wychodzić za mąż. Nigdy.

– Akurat! – Helena nie była przekonana. – Myślę, że po prostu była zbyt dumna. A ja...?

– Wróciła do swojego ulubionego tematu. – Wyjechałyśmy z domu dwa lata temu. Tyle czasu błąkamy się po morzach, po lądach, a ja coraz bardziej oddalam się od mojego przyszłego męża.

Felicja spojrzała uważnie na siostrę. Czasami ją zadziwiała.

– Przecież żaden z Sitna ci się nie oświadczył?

– Właśnie, a w ciągu dwóch lat mógł się taki znaleźć – ciągnęła swój logiczny wywód Helena. – Mogłam pojechać na targ do Kartuz albo nawet namówić ciotkę na wyprawę do Gdańska. Tam z pewnością kogoś bym spotkała. A ty nie tęsknisz za swym lubym?

– Ależ, Helu, jak możesz? – Felicja zaczerwieniła się jak burak.

Siostra znowu jej dokuczała, wspominając o Antosiu. Od jakiegoś czasu czerpała największą radość z mówienia jej przykrych rzeczy. Kiedy przypominała sobie smutną twarz przyja-

ciela z dzieciństwa, gdy się dowiedział, że zamierzają wyjechać za wielką wodę, od razu zaczęło ją piec pod powiekami.

– Oj, Felu, przepraszam, ja nawet nie mam kogo wspominać. – Helena zauważyła, że posunęła się za daleko, i szybko ucałowała siostrę w policzek.

– Przestań się tak martwić. Jeszcze ci się odechce tych mężów – zauważyła nieco udobruhana Felicja. – Za chwilę pojawi się tyłu kandydatów, że nie będziesz wiedziała, co z tym zrobić.

– Myślę, że nikt na nas nawet nie spojrzy.

Winona w przeciwieństwie do Sitna czy farmy pod Renfrew była dużym miastem i w dodatku pełnym rodaków z Kaszub. Przyszłych mężów mogło tu być na pęczki, ale któryż zainteresowałby się tak biednie ubranymi dziewczętami? Po dwóch latach podróży wszystkie suknie były już mocno zużyte, a na nowe ubrania trzeba było dopiero zapracować.

Felicja pochwyciła w palce fałdę swej spranej burej spódnicy i musiała przyznać w duchu, że być może siostra ma rację. Z tego, co zauważyła w ciągu dwóch tygodni od przyjazdu, inni mieszkańcy nosili się zupełnie inaczej niż one. Czasem na ulicy można było zauważyć znajome kaszubskie hafty, czepki czy fartuchy, ale w tradycyjnych strojach chodziły jedynie starsze kobiety. Nie mogła się jeszcze zdecydować, czy to lepiej, ale z pewnością ich ubrania były szyte u krawca. A to przecież o czymś świadczyło.

– Jak ma co być, to będzie. Kogoś na pewno spotkasz.

– Doprawdy? Spotkać, a niby gdzie? Tu, w tych krzakach nad rzeką? – fuknęła Helena. – Wyjdzie z nich jakiś kaszubski książę?

– Prędzej amerykański, ale możesz nie zrozumieć, że ci się chce oświadczyć – zauważyła Felicja, pokpiwając z akcentu siostry.

Okolica w tej chwili pozbawiona była jakichkolwiek książąt, ale za to przed ich oczami rozpościerał się niezwykle widok. Dziewczęta, pragnąc odpocząć od miejskiego gwaru, przyszły tu już po raz drugi od dnia przyjazdu i tak jak za pierwszym razem, zastygły zaskoczone na brzegu, kontemplując szeroki horyzont, zza którego wyłaniała się rzeka Missisipi.

To dziwne, uważała Felicja. Niegdyś tak bardzo marzyła o mieszkaniu w dużym mieście, a teraz najbardziej lubiła biec w leśne ostępy, by jej oczom ukazał się krajobraz podobny do tego z dzieciństwa. Wokół Winony były lasy, pagórki i jeziora, zupełnie jak na Kaszubach, ale również coś, co fascynowało najbardziej... Missisipi. Na szczęście udawało się jej patrzeć na tę wielką wodę już bez mdłości. I choć po przyplłynięciu do Kanady obiecała sobie, że nigdy więcej niczym nie popłynie, teraz zaczęła sobie wyobrażać, jak w błękitnej sukience z falbanką przy szyi stoi na pokładzie parostatku. Sięga do swej torebki po lornetkę i...

– Patrz, statek odpływa – wskazała Helena.

Rzeczywiście, właśnie w tej chwili odrywał się od portowego nabrzeża.

– Widzisz orkiestrę na pokładzie? – Siostra miała sokoli wzrok i niepotrzebna jej była żadna lornetka. – To o takich statkach tu mówili, że bogaci mogą nimi płynąć aż do oceanu. Myślałam, że tylko wiosną i latem pływają.

– Ale on jest duży!

Nie był może tak wielki jak *Sirius*, który przewiózł ich z Hamburga do Quebecu, ale robił wrażenie. Kilkupiętrowy kolos przypominał pałac na wodzie, na dodatek napędzany był umieszczonymi z tyłu olbrzymimi kołami.

– Jest piękny. – Felicja westchnęła z podziwem.

– Ciekawe, czy bezpieczny. Słyszałam, że często zdarzają się wypadki. Kotły parowe wybuchają.

Statek, sunąc majestatycznie, zbliżał się do miejsca, w którym stały, gdy nagle dostrzegły

na pokładzie jakieś dziwne zamieszanie, po czym usłyszały niepokojący dźwięk. Trwało parę sekund, nim Felicja zrozumiała, co on oznacza.

– Helu, strzelają! – krzyknęła do siostry, ale sama stała jak zaczarowana, obserwując, co dzieje się na statku. Zauważyła, że ktoś biegnie wzdłuż balustrad okalających górny pokład.

– Ścigany. – Helena też nie była skłonna opuścić ich punktu obserwacyjnego, tylko rozsądnie skryła się za pnem drzewa. – O jeny kochany! – W emocjach przeszła nagle na kaszubski. – On jest w wodzie.

Felicji też się wydawało, że to on. Uciekający skoczył do wody z tylnej części pokładu. Domyślała się, co to może oznaczać. Za chwilę zostanie pochwycony przez koło i zmiażdżony. Powinna odwrócić głowę, ale jej wzrok przykuwało to, co się działo w dole. Podobnie jak kilku mężczyzn, którzy wychylili się przez burtę, usiłując dostrzec uciekiniera lub to, co z niego zostało. Burą tafle rzeki mąciły jedynie fale wywoływane przez oddalający się statek.

– Zginął, prawda? – odezwała się po dłuższej chwili Helena i głośno westchnęła.

Felicja już chciała odwrócić głowę od rzeki, gdy zauważyła, że przy brzegu coś wynurzyło się z wody. Dopiero po chwili zrozumiała, iż jest to głowa człowieka. Potem wyłonił się korpus, nogi i wkrótce ścigany wyszedł na stały ląd.

Dziewczyna cofnęła się w stronę drzewa, przy którym stała Helena. Siostry spojrzały na siebie z lękiem i złapały się za ręce.

Uciekinier wspinał się na brzeg, próbując się chować za rosnącymi tu krzakami. Dopiero gdy zbliżył się do nich na kilkadziesiąt metrów, Felicja zauważyła kolor jego skóry. Wówczas siostra pochwyciła jej łokieć tak mocno, że musiała zagryźć zęby, by nie krzyknąć z bólu.

Musiał być ranny, bo trzymał się kurczowo za lewą rękę, a ubrany był w jeszcze gorsze łachmany niż one. Zaczął się do nich zbliżać.

Do tej pory Felicja nie widziała wielu czarnoskórych, ale wuj August ostrzegał je, żeby się od nich trzymać z daleka. Mówił, że mogą się gwałtownie zachowywać nawet wobec białych kobiet. Wstrzymała więc oddech, gdy uciekinier zwrócił wzrok w ich stronę. Nie oddychała nawet, gdy uczynił pokojowy gest, składając ręce na piersi. Jego lewy rękaw był przesiąknięty krwią.

– Co on mówi? – Usta Heleny były zupełnie białe.

– Żeby się nie bać. – Felicja odetchnęła z ulgą.

W tej samej chwili usłyszały tętent końskich kopyt i zobaczyły rozpędzonego jeźdźca. Pojawił się nie wiadomo skąd, bo wcześniej nie było go słyhać. Był w skórzanej kurtce i kapeluszu. Ściągnął wodze, sięgnął po strzelbę i momentalnie wycelował do zbiega.

Czarnoskóry chwiał się przez moment na nogach, a potem runął do przodu z dziurą w czole.

Helena krzyknęła tak przeraźliwie, że Felicji zjeżyły się włosy na głowie. Jeździec spojrział w ich stronę i jak jakiś dżentelmen na salonach uniósł czarny kapelusz. Następnie podjechał do leżącego i zeskoczył z konia. Podniósł zabitego i przerzucił go przez grzbiet zwierzęcia tuż za siodłem.

– Miłego dnia! – krzyknął w ich stronę, po czym dał koniowi ostrogę i odjechał.

Wszystko zdarzyło się tak szybko, że dziewczęta nie zauważyły, iż strzelający jeździec ma trzech towarzyszy. Dwóch z nich (jeden był szeryfem) po chwili ruszyło jego śladem. Trzeci mężczyzna pozostał. Po chwili zeskoczył z konia i ruszył w kierunku sióstr.

Taki młody, niewiele starszy od Heleny. Miał ciemne, falujące włosy. Był bardzo przy stojny.

– Czy nic się paniom nie stało? – spytał po angielsku.

Helena zaczęła coś chaotycznie odpowiadać, a ponieważ kiepsko władała angielskim,



można było od razu zauważyć, że jest przyjezdna.

– Panie z Polski? – padło nieoczekiwanie w ojczystym języku dziewcząt.

I wówczas Felicja osunęła się na ziemię, a Helena znów wydała z siebie przeraźliwy krzyk.

– Mam nadzieję, że to tylko chwilowe – powiedział mężczyzna, podtrzymując omdlałą dziewczynę.

Helena pobiegła do rzeki, by zamoczyć elegancką chusteczkę nieznajomego, którą potem zwilżała skronie siostry.

– Fela jest taka wrażliwa. Co ja teraz z nią pocznę?

– Musiały się panie najeść strachu, ale już po wszystkim. Jeśli panienka nie boi się jazdy konnej, to mogę was zawieźć do domu – zaproponował nieznajomy. – Nazywam się Frank Bronk. I mieszkam przy Main Street.

W spojrzeniu Heleny widać było rosnący podziw. To była przecież ulica główna!

Nie wiadomo czemu tak się nim zachwyciła, skoro polski akcent nieznajomego był tak zabawny, że boki zrywać, pomyślała Felicja, kiedy odzyskała przytomność.

\* \* \*

– Ciocia rozumie, z jakiej rodziny on jest? Od TYCH Bronków. Oni przybyli tu jako pionierzy.

Felicja zauważyła, że ciotka Matylda uśmiecha się z pobłażaniem do Heleny.

– I co z tego wynika, moje złotko?

„Złotko” po raz pierwszy od dawna nie było skwaszone, tylko pełne entuzjazmu i uśmiechnięte, a niebieskie oczy aż krzeszały iskry.

– Z pewnością są bogaci – odpowiedziała prostolinijnie Helena i spojrzała na ciotkę z miną niewiniątka.

– I to ci się w nim tak podoba?

– Oj, ciociu! – obruszyła się i złożyła usta w ciup. – On jest najcudowniejszym mężczyzną, więc co w tym byłoby złego, gdyby na dodatek był zamożny.

– Ależ nic, kochanie. Cieszę się, że tak miło spędziłaś czas – odpowiedziała ze spokojem ciotka, ale Felicję bawił ten nagły afekt, który dosięgnął serca siostry niczym strzała Kupidyna.

W parku Helena odmówiła Bronkowi podwózki koniem, nie chcąc się przyznać, że boi się tych długonogich zwierząt. Nie była z nimi obyta, bo od dawna nie trzymano ich w gospodarstwie. Stało na tym, że kawaler Bronk towarzyszył im w drodze do domu. Szedł, trzymając konia za uzdę. Ta dziwnie się dłużąc, ponaddwudziestominutowa przechadzka okazała się bardzo korzystna dla nawiązania bliższych kontaktów.

Helena wlokła się noga za nogą. Miało się wrażenie, że za chwilę wrośnie w ziemię. Pewnie nie chciała, żeby Frank zobaczył ich niewielki dom przy Maple Street. Wuj August kupił go za nieduże pieniądze od jakiegoś Norwega, który postanowił się przenieść do Minneapolis. Nie było tu nawet saloniku. Gości trzeba było przyjmować w kuchni! Położony był również z dala od centrum miasta, ale za to w pobliżu tartaku. Wuj miał blisko do pracy, tylko że musieli znosić nieustanny hałas maszyn.

– To tylko na początek. Za parę lat będzie nas stać na coś lepszego – obiecywał wuj, a Helena zaciskała usta. Ona już chciała to mieć!

I być może to dostanie, zgadywała Felicja.

Kiedy w końcu pożegnali się przy domu, zachowywali się już jak starzy przyjaciele – to znaczy Helena i Frank, bo Felicja nie miała nawet okazji się wtrącić do rozmowy – i od razu umówili się na kościelny kiermasz, który miał się odbyć w następnym tygodniu.

– O tak. – Helena pokręciła się po izbie i pobiegła do kufra po lustro. Koniecznie

chciała się w nim przejrzeć.

Felicja obserwowała jej ruchy, nie mogąc się otrząsnąć z osłupienia. Wprawdzie rozumiała od niedawna, jaką siostra jest egoistką, ale to, co działo się w tej chwili, przekraczało wszelkie pojęcie. Helena jak niespełna rozumu plotła ciotce o ledwie poznanym mężczyźnie i nawet nie zająknęła się o tym, co zaszło nad rzeką.

– To może ja się przejdę po Józula. Poszedł do sąsiadów. – Siostra nie mogła sobie znaleźć miejsca w domu i wybiegła na dwór.

Matylda spojrzała tylko za nią i pokręciła głową.

– Co się tam naprawdę stało? – spytała po chwili młodszą bratanicę. Od razu się domyśliła, że jest coś, co Helena zataiła.

Felicja usiadła przy starszej kobiecie, która ze spokojem zagniała ciasto.

– Oj, ciociu. Zabito człowieka. Bez słowa, bez sądu. To było straszne – powiedziała i rozpłakała się na cały głos.

Frank powiedział im, że czarnoskórego mężczyznę zastrzelił człowiek z agencji detektywistycznej Pinkertona, który ścigał go aż przez dwa stany. Bronk nie bardzo się orientował, dlaczego od razu strzelał, ale być może były to znacznie gorsze przewiny niż okradzenie pracodawcy, o czym dowiedział się od szeryfa. Kiedy Felicja usiłowała się jeszcze czegoś dowiedzieć, szybko zmienił temat i zaczął wypytywać Helenę, z jakiego miejsca w Polsce przyjechały do Winony.

– Zastrzelił go jak psa. No i co z tego, że czarny? – Felicja łkała z głową wciśniętą w fartuch Matyldy. To dziwne, że pachniał tak samo jak w Sitnie. Po prostu domem. – Ciociu, pomylił się. Tu wcale nie jest bezpiecznie. Czy nie byliśmy szczęśliwsi na swoim? Po co tu przyjechaliliśmy, powiedz, ciociu! To straszny kraj.

Matylda odsunęła się od bratanicy i sięgnęła po talerz, na którym leżały posmarowane masłem pajdy. Obok stał pachnący latem miód, ale Felicja wyjątkowo nie miała ochoty na ten smakołyk.

– No, po co? – powtórzyła.

– To proste – odparła spokojnie ciotka i wskazała leżące na talerzu kawałki chleba. – Właśnie po to tu przyjechaliliśmy.

\* \* \*

Miesiąc później zrobiło się w Winonie tak ciepło, że Fela musiała w końcu uwierzyć w zapewnienia siostry, iż nie grozi jej zamarznięcie. Wiosna przyszła z dnia na dzień i niemal po tygodniu zamieniła się we wczesne lato. Wszystko dookoła kwitło, ptaki wyśpiewywały trele od samego rana, bale spływały rzeką, a w tartaku wrzała praca.

Tego wieczoru to Helena przyszła do Felicji.

– Przystań robić ten sweter! – Wyrwała siostrze druty z ręki. – Nie będzie ci teraz potrzebny. Idziemy na spacer.

– Na spacer? – Felicja się skrzywiła. Ostatni skończył się tragicznie, choć pewnie z punktu widzenia Heleny było wprost przeciwnie. Jednak, jak zauważyła, przez ostatnie dni Frank nie zachodził na Maple Street. Może się pokłócili? Pewnie dlatego siostra zapragnęła nagle jej towarzystwa.

– Pójdziemy na łąkę oglądać gwiazdy. Przygotowałam już pled. – Helena się roześmiała. Nie wyglądała jednak na porzuconą, raczej na bardzo szczęśliwą osobę.

– Oglądać gwiazdy? To trzeba było od razu tak mówić – ucieszyła się Felicja i pobiegła za siostrą na dwór.

– Zobacz, jak jest jasno! – Helena rozłożyła pled na niewielkiej łące za płotem i położyła się na plecach. – Jaki piękny świat dookoła! I pełno stokrotek, jak u nas w domu. – Zerwała jeden

kwiatek i przyłożyła go do ust. – A tobie nie chciało się ruszyć. Zapomniałaś już, jak patrzyłyśmy na niebo w Sitnie?

Jakżeby miała zapomnieć! To było zawsze ich sekretne ulubione zajęcie. Tylko one dwie. Nikt inny. I nikt tak jak Helena nie znał się na gwiazdozbiorach.

– To nieprawda – zaprotestowała Felicja. – Myślałam, że ty o tym zapomniałaś.

– Głuptas z ciebie. – Helena niby ją skarciła, ale jednocześnie czule pogłaskała po policzku. – Wszystko pamiętam.

– Ale, Helciu, to niebo tutaj nie jest nasze.

– Jak to nie? Zobacz, głuptasku. Tu jest Wielki Wóz, tam Mały. A Wielka Niedźwiedzica...?

– Tutaj! – triumfalnie wykrzyknęła Felicja.

– Sama widzisz.

– Coś ci się stało, Helu?

– A co mi się miało stać? Jestem po prostu szczęśliwa.

– Naprawdę?

– A nie widać? – Przytuliła do siebie siostrę i pogładziła ją po plecach.

– To przez Franka?

– Też. Chyba się wreszcie zakochałam.

– Wyjdiesz za niego?

Helena westchnęła.

– Z ciebie to naprawdę mały brzdąc. Jeszcze się na tym w ogóle nie znasz. Nawet nie wiesz, czy chcesz wyjść za mąż.

– Nie chcę!

– Sama widzisz. Jeszcze do tego dorośniesz. I do małżeństwa, i do dzieci.

– Dzieci mogłyby być – mruknęła do siebie Felicja i zapatrzyła się w wiszącą nad nimi otchłań przyozdobioną migoczącymi iskierkami. Za każdym razem, kiedy patrzyła w niebo, robiło się jej tak bardzo dziwnie i czuła, że tak niewiele znaczy. Przytuliła się do siostry, szukając schronienia, a Hela głaskała ją po włosach jak kiedyś w Sitnie. – A wiesz – powiedziała na głos – to niebo rzeczywiście jest takie samo. – Przytuliła się jeszcze mocniej do Heleny. Bardzo lubiła jej zapach. Przy niej zawsze czuła się bezpieczna. – Tylko że ono jest zupełnie nowe.

– Bardzo cię kocham, Felu – odpowiedziała siostra. – I pod tamtym, i pod nowym niebem też.

## Rozdział II

*Sitno, 1889*

Jeszcze dwa lata wcześniej Matyldzie nie śniły się żadne wyjazdy. Przyzwyczaiła się do swojego niewielkiego świata w Sitnie, urozmaicanego czasem wizytami w sąsiednich wioskach, a od wielkiego dzwonu świątecznymi zakupami w Gdańsku.

Cieszyła się dobrym zdrowiem, ale dobiegała już sześćdziesiątki. Bratowe dzieciaki za parę lat staną się samodzielne, a ona wówczas będzie mogła odpocząć i skupić się na życiu przyszłym. Jednak to drugie wymagało pojednania z Bogiem, a Matylda mimo swojego wieku była nadal zbyt butna i uparta, żeby się ukorzyć. I nawet kiedy w ciągu paru miesięcy zdarzyły się dwa nieszczęścia, nie przypisywała ich swoim niezalatwionym sprawom z Panem Bogiem.

Najpierw w kwietniu 1888 roku zmarł jej kuzyn Henryk Hallmann, którego nie widziała od lat, ale którego obraz będzie nosić w sercu aż do samego końca. O jego śmierci dowiedziała się dopiero po paru tygodniach, kiedy rodzina zdążyła go już pochować. Matylda uznała, że żona Henryka zrobiła to celowo, by uniemożliwić jej wzięcie udziału w pogrzebie. Można się było po niej tego spodziewać, gdyż należała do wyjątkowo małoskorych i pamiętliwych osób. Tyle lat upłynęło, a Matylda nie pragnęła w życiu niczego bardziej niż pogodzenia się z Wilhelminą Hallmann. Szczerze jednak wątpiła, czy to się kiedykolwiek uda.

– Nie martw się o pieniądze, Matylo – pocieszał ją Józef, brat, u którego mieszkała.

– Nie chcę być dla was ciężarem.

– Obrażasz mnie, siostrze. Dałaś naszej rodzinie już tyle, że nie potrzebuję ani grosza.

Matylda wychowywała trójkę jego dzieci, od kiedy żona zmarła w połogu po urodzeniu Felicji. Rzuciła wówczas pracę nauczycielki i sprowadziła się do bratowej chaty, płacąc za swoje utrzymanie pieniędzmi, które otrzymała od kuzyna Henryka. Józef niczego od niej nie chciał, ale się uparła, by kupować dzieciom zabawki czy książki i płacić za naukę. Buty też miały być od szewca, a nie takie strugane z drewna, w jakich biegały inne dzieciaki. Takie zbędne luksusy, skarżył się jej brat, jakby dzieciśka nie urodziły się w wiejskiej chacie, tylko na junkierskim dworze. Toż lepiej było świnię za to kupić. Ale Matyldy nie dało się przekonać. Taka już była. Inna, i to od dziecka. Zawsze strojna, o nienagannej posturze. W swoim czasie przykuła uwagę niejednego kawalera. Na próżno jednak. Wybrała niezamężny stan.

– Jesienią nasz Józul mi w lesie pomoże. Damy sobie radę, Matyldo – obiecał brat i poklepał ją po ręku.

Nie dożył początku lata. Któregoś czerwcowego dnia przygniotło go drzewo. Drwał z ponaddwudziestoletnim doświadczeniem zginął na miejscu.

– Najlepszym się zdarza – pocieszali Matyldę sąsiedzi, łypiąc ciekawskim okiem na piękne przedmioty zgromadzone w izbie. Już oni wiedzieli, że trzeba będzie się z nimi wkrótce rozstać.

Matylda zawiadomiła o śmierci brata swojego ostatniego żyjącego krewniaka, który mieszkał w Kanadzie. Brat Henryka, August, wyjechał z domu ponad ćwierć wieku temu, ale zawsze na Boże Narodzenie wysyłał rodzinie list i parę dolarów. Jego kuzynka do życzeń i podziękowań dołączała sążniste relacje, w których opisywała ze szczegółami, co u nich słychać.

Tym razem nie miała do przekazania niczego dobrego. Od pogrzebu Józefa zastanawiała się, co teraz poczną, i do tej pory nie umiała znaleźć żadnego szczęśliwego rozwiązania. Mogła sprzedać ostatni kawałek ziemi, ale to by oznaczało, że będą musieli opuścić dom i pójść albo na

służbę do obcych, albo przenieść się do miasta. Może Helena i Józul będą tam mogli znaleźć jakąś posadę, ale co z dwunastoletnią Felicją? A z nią samą? Już od tygodni zamartwiała się, co włożyć do garnka. Wiedziała poza tym, że wszelkie oszczędności i zapasy skończą się w połowie zimy. Potem czekała ich poniewierka.

Matylda bardzo się zdziwiła, kiedy list od Augusta przyszedł w tym roku znacznie wcześniej niż na Boże Narodzenie, i w pierwszej chwili odczuła ogromną ulgę. Słów było w liście niewiele, ale ich waga ogromna. „Sprzedaj wszystko i przyjeżdżajcie do mnie do Kanady. Zaopiekuję się dziećmi”. Dołączony był adres agenta w Gdańsku, który miał im załatwić paszporty i wydać bilety. August opłacał im całą podróż z Bremy lub Hamburga do Kanady.

Starsze dzieciaki zareagowały na propozycję wuja z prawdziwym entuzjazmem. Wreszcie zdarzyło się coś, co mogło zmienić ten posępny stan żałoby, w którym tkwili od kilku miesięcy. Felicja się rozpląkała, bo nie wyobrażała sobie życia poza Sitnem. Matylda nie miała pojęcia, jak ją przekonać do wyjazdu, tym bardziej że wiedziała, iż dziewczynka bardzo przywiązała się do lekko upośledzonego chłopca od sąsiadów i za nic w świecie nie chciała się z nim rozstać.

– Będziesz tam mogła się dalej uczyć – zauważyła ciotka.

– Przecież nie znam języka.

– Nauczysz się prędko, jesteś młoda i zdolna. – Serce Matyldy zawsze miękło, gdy patrzyła w zasmucone błękitne oczy Felicji. – Ten angielski nie może być aż tak trudny. Skoro August się go wyuczył... A poza tym, czy nie chcesz przeżyć przygody?

Wiedziała, że taki argument może przekonać bratanicę. To było bardzo utalentowane dziecko. Nauczyła się czytać, zanim skończyła pięć lat, a potem pochłaniała wszystkie książki należące do Matyldy. Nic nie było dla niej trudne, ani pisanie, ani recytowanie wierszy po niemiecku, czym zawsze udawało się jej zmiękczyć serca inspektorów szkolnych. W szkole elementarnej przeskoczyła jedną klasę, gdyż jej umiejętności były znacznie wyższe niż rówieśników. W tym roku ją skończyła, a Matylda nie zdążyła uprosić Henryka o pieniądze na dalszą naukę dziewczynki. Siedziała więc w domu, nudząc się okropnie i spędzając każdą wolną chwilę na zabawie z młodszym o dwa lata sąsiadem. Kiedy ojciec wracał z lasu, zaszywała się w kącie, żeby jej nie widział.

Matylda kochała brata, ale nie mogła mu wybaczyć jego stosunku do młodszej córki. Traktował ją gorzej niż najgorszą posługaczkę i nigdy za nic nie pochwalił, choć była najzdolniejsza z całego rodzeństwa. Kiedy pojawiała się w pobliżu, odwracał od niej głowę. Obwinił córkę za to, że przyczyniła się do śmierci matki. Nigdy nie dał sobie wytłumaczyć, że powodem zgonu żony była gorączka poporodowa, a nie to niewinne dziecko, do którego pojawienia się na świecie sam się zresztą przyczynił. Matylda mogła sobie strześcić język tłumaczeniami, próbując trafić bratu do serca. Daremnie.

Pewnie dlatego ciotka poświęciła Felicji znacznie więcej czasu niż jej rodzeństwu. Opłacało się, bo wyrosła z niej mądra dziewczynka.

– Przecież my zupełnie nie znamy tego wuja. Nie wiemy, co to za kraj i ludzie. A jak wrócimy, jeśli nam się tam nie powiedzie? – zauważyła najmłodsza Hallmannówna.

Swoim sceptycyzmem zaraziła Matyldę, która po początkowym entuzjazmie z powodu cudownego rozwiązania problemów nagle zaczęła mieć wątpliwości. Nie mogła spać po nocach i gryzła się cały czas myślą, że może krzywdzi dzieci. Nawet do tak odległej wsi jak Sitno dochodziły przecież przeróżne opowieści na temat trudnych warunków podróży statkiem przez ocean. Podróżujący zapadali na choroby zakaźne i wielu z nich nie przeżywało. Padali również ofiarami oszustów, którzy sprzedawali im najgorsze bilety, albo też złodziei, którzy korzystając z ich choroby morskiej, potrafili oczyścić im kieszenie i pozbawić całego majątku. To prawda, taka podróż była przygodą, ale mogła się okazać ostatnią, rozmyślała Matylda. Chociaż ona sama

pojechałaby bez zastanowienia. Już dawno zrozumiała, jak bardzo zmarnotrawiła własne życie. I to wcale nie przez Henryka – jemu już dawno wybaczyła – ale przez swój ośli upór.

Przypomniała sobie, jak przed laty pojechała z kuzynami – Henrykiem, Augustem i Antonem – do Gdańska na Jarmark Świętego Dominika. Wówczas to po raz pierwszy uczestniczyła w czymś tak niezwykłym. Patrząc na bogactwo ułożone na straganach: czeskie szkła, bursztyny, toruńskie pierniki, przyprawy korzenne czy angielskie sukna, miała wrażenie, że znajduje się w przedsiönku raj. Henryk powiedział jej na ucho, że aż dwieście statków przywiozło te wszystkie wspaniałości na tę okazję. Była pewna, że mówi prawdę. Jej kuzyn, starszy od niej o siedem lat, znał się na wszystkim. Opowiadał o starych budowlach i ulicach, które mijali. Jego wiedza była tak szczegółowa, że piętnastoletnia Matylda patrzyła na niego z rosnącym podziwem. Chciał jej jeszcze dalej opowiadać o historii kościoła Mariackiego, ale jego brat August złapał ją za rękę i zaciągnął do grupy Cyganów, którzy bawili przechodniów, ściskając podkowy. Obok nich, niemal ukrywając się przed tłumem, siedziała kobieta. Mimo iż był sierpień, okutana była w grubą jaskrawą chustę i paliła machorkę w fajce z długim cybuchem.

August zatrzymał się przed nią i uklonił.

– Nie muszę patrzeć w karty, młodzieńcze – odpowiedziała stara kobieta z odrażającą krostą na samym czubku nosa. – Po oczach ci powiem, że wyjedziesz daleko stąd i zdobędziesz górę złota.

– Górę złota, ładne rzeczy. – Henryk obruszył się, bo to przecież on terminował u złotnika, ale Cyganka wpatrywała się w zarumienionego Augusta.

– Tak, to będzie góra – odparła, a potem zerknęła w trzymaną na stoliku talię kart i wyjęła jedną z nich. – Możesz ją zatrzymać, jeśli będziesz mądry.

Gdy August położył na stoliku Cyganki aż pół marki, Matylda uznała, że z wyjazdu będą nici, a góra złota się rozplynie. Zaczęła się zastanawiać, czy jej przystoi uczestniczyć w takich zabobonach i czy nie powinna się z tego później wypowiadać. Ale w tej samej chwili Cyganka spojrzała na nią i dała znak, by sięgnęła po kartę. Matylda miała ochotę uciec, jednak coś trzymało jej nogi w miejscu. Od smrodu machorki poczuła zawrót głowy. Krosta z nosa Cyganki coraz bardziej się do niej zbliżała.

– Panienko, jedna karta.

Matylda miała wrażenie, że niczego nie dotykała, a karta sama sfrunęła z rozłożonej na stoliku talii.

– Hmm. Ciekawe życie, choć nie zawsze łatwe – mruknęła stara kobieta i spojrzała na otaczających ją młodych. – A potem spotkasz się z tym młodzieńcem za wielką wodą.

Dziewczyna zdążyła tylko zauważyć, że policzki Augusta jeszcze bardziej pokraśniały. Ona sama patrzyła na wszystko dokoła jak przez lunetę. W głowie się jej kręciło jak na karuzeli, na której jeździła jako mała dziewczynka.

W tej samej chwili powietrze przeszył przeraźliwy gwizd. Ludzie rozbiegli się we wszystkie strony. Ktoś Matyldę popchnął i o mały włos straciłaby równowagę, gdyby nie silne ramię Henryka.

– Złodzieje!

– Pieniądze mi zabrali – przeraził się Anton, sięgając do kieszeni spodni. Był wprawdzie o rok starszy od Henryka, ale zupełnie nieobyty z miastem.

– Masz je w woreczku na szyi – odpowiedział spokojnie Henryk i od razu wszyscy sobie przypomnieli, jak ich ostrzegał przed kieszonkowcami.

Tylko August stał z nosem zwieszonym na kwintę.

– A ty co?

– Nie przełożyłem – odpowiedział smutnym głosem. – Cała tygodniówka poszła, a chcia-

łem kupić, chciałem kupić... – W jego ciemnych oczach pojawiły się łzy.

Henryk zaczął sztorcować młodszego brata, ale Matyldzie zrobiło się przykro i pogłaskała kuzyna po ramieniu.

– Nie martw się. Jeszcze się dorobisz tej swojej góry złota. Masz już to obiecać.

– A ty do mnie przyjedziesz – odpowiedział i spojrzał ukradkiem na Henryka, który strącał ze spodni niewidzialne okruchy. – Ale ciii. – I przyłożył palec do ust.

Matyldzie ta cygańska wróżba była wówczas zupełnie nie w smak. I postarała się o niej zapomnieć na przeszło czterdzieści lat. Nigdzie wówczas nie zamierzała wyjeżdżać, a tym bardziej mieć cokolwiek wspólnego z osiemnastoletnim Augustem, którego uważała za niedojrzałego figlarza. Dlaczego Cyganka nic nie wspomniała o Henryku?

Matylda potrząsnęła gniewnie głową. To ona sama była niedojrzała, że zaczęła nagle wierzyć w tę dziwną przepowiednię.

Odwiesiła fartuch kuchenny, nałożyła odświętny serdak i nie zastanawiając się więcej, wyszła z chaty. Na moment przystanąła i spojrzała na ledwie widoczny dach sąsiedniego domostwa. Przed laty mieszkali tam jej stryj i czworo kuzynów, ale gospodarstwo od lat było w obcych rękach. Tyle lat spędziła z tymi ludźmi, a teraz nie pozostał tam już nikt, westchnęła Matylda, kierując się w stronę Żukowa. Musiała porozmawiać z kimś, kto pomoże jej podjąć decyzję. To bardzo smutne, że nie było już nikogo z tak dużej w swoim czasie rodziny Hallmannów, kogo mogłaby się poradzić. Matylda wybrała się więc do księdza.

Nie do wszystkich księży miała zaufanie, ale ten akurat znał ją niemal od dziecka. Mimo sędziwego wieku ksiądz Walery się nie oszczędzał. Teraz też spotkała go po drodze przy jeziorze, kiedy wracał po udzieleniu sakramentu namaszczenia chorych. Rozpromienił się na widok Matyldy.

– Nie będę przecież księdzu przeszkadzać. Trzeba wypocząć. – W pierwszym odruchu chciała zawrócić do domu, ale ksiądz stanowczo kazał sobie towarzyszyć.

– Na cmentarzu będzie spokój. Tam porozmawiamy – zaproponował, a właściwie rozkazał, i pomaszerował naprzód.

Jaką świetną on ma pamięć, pomyślała Matylda, kiedy po kilku zdecydowanych krokach znalazł się przy rodzinnej mogile Hallmannów.

– Chcesz spytać o wyjazd do Augusta, prawda, moje dziecko?

„Dziecko” pod sześćdziesiątkę musiało pamiętać, żeby zamknąć usta, które rozdziawiły się ze zdziwienia. Zaskoczona pokiwała głową.

– Przecież ja tu o wszystkim wiem. – Ksiądz Walery uśmiechnął się i dotknął stulecia wyszywanej swego czasu przez Matyldę. – A ludzie mówią o wszystkim. Nawet o tym, czego nie wiedzą, a tylko się domyślają.

– Całkiem słusznie się domyślają – zaczęła. – A los mój i dzieciaków Józefa jest w księdza rękach. Co mamy zrobić?

Starszy mężczyzna zmarszczył czoło i utkwiał wzrok w mogiłach aż tylu przedwcześnie zmarłych ludzi. Większość z nich dobrze znał.

– Matyldo, zapominasz się. Rolą księdza nie jest podejmowanie decyzji za jego wiernych. Ale się nie martw. – Zerknął w bok i dostrzegł zafrasowane spojrzenie parafianki. – Chętnie posłucham, jakie masz wątpliwości.

Prawie pół godziny stali nad mogiłami Hallmannów, wsłuchując się w swoje słowa.

– Ostatni raz widziałam Augusta w tysiąc osiemset pięćdziesiątym piątym roku. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat. On już jest jak obcy człowiek, proszę księdza. Mam zaryzykować los dzieci i wywieźć je w nieznaną?

– Mógłbym wziąć Helenkę do pomocy na plebanii – odezwał się po chwili ksiądz Walery.

– Ale to jest wszystko, co mogę zrobić. Droga Matylde, chyba dobrze wiesz, co się dzieje i jaki w tym roku mieliśmy nieurodzaj. Wielu ludzi nie doczeka następnej wiosny. Będzie bieda i głód. Chyba nie to wymarzyłaś sobie dla bratanków. Przez knowania Bismarcka nie będą mogli dokupić sobie ziemi ani też zbudować nowych domów. I tak pewnie stąd wyjadą, może do Prus. Ale co będzie z małym Józkiem?

– A co ma z nim być?

– Nie myślałaś o tym, Matylde, bo to jeszcze młody chłopak. Ile ma lat? Szesnaście? – Matylde przytaknęła skinieniem głowy. – No właśnie. Już za parę lat czeka go pobór do wojska pruskiego...

Na te słowa Matylde rozpląkała się spazmatycznie.

– Nie płacz, kobieto!

Ale nie mogła przestać. Na samą myśl, że nie zobaczy już tych mogił najbliższych, że ksiądz Walery nie odwiedzi ich z kolędą, że nie usłyszy już znajomej mowy...

– To od was zależy. Po to macie serca, by ją tam przechowywać i uczyć następne pokolenia – mówił dalej starszy mężczyzna, któremu głowa się lekko trzęsła. – Nie wiem, jak tutaj będzie. Ile czasu jeszcze będziemy mogli mówić po polsku w naszym kościele w Zuckau.

Matylde patrzyła na rodzinne nagrobki. Wszyscy umierali tak młodo, jakby dotknęła ich jakaś klątwa. Może w tej Kanadzie los się odwróci. Nikt się nie utopi, nie przygniecie go drzewo ani nie umrze na chorobę zakaźną. Zrozumiała w tej chwili, że musi zaryzykować. Dla tych młodych, którym powinno się udać. Niech chociaż oni będą szczęśliwi.

Uklękła przed księdzem i przycisnęła jego pomarszczoną dłoń do ust.

– Mała Matylka Hallmannówna. Jak to niedawno było. – Poglaskał ją po czepku. – I powiem ci, że chociaż masz już swoje lata, to również ty zasługujesz na swoją szansę. Zbyt wiele ich w życiu poświęciłaś – dodał ksiądz Walery i lekko zgarbiony ruszył w stronę kościoła.

Dwa dni później Matylde ponownie przemierzyła drogę do Żukowa, żeby pojechać stamtąd autobusem konnym do Gdańska. Bilety na podróż transatlantycką zostały kupione.



## Rozdział III

*Winona 1891*

– I co sądzisz? – spytała Matylda, kiedy Felicja przestała czytać list i odłożyła go starannie na komódce. – Podoba ci się treść? Mogę go tak wysłać?

Dziewczyna drgnęła, oderwana od swoich myśli. Rozejrzała się po izbie. Unosił się w niej bardzo przyjemny zapach ciasteczek napięzonych przez ciotkę już na Gwiazdkę, która zbliżała się w zatrważającym tempie. Już za kilka tygodni spędzą w Winonie pierwszą Wigilię. A tyle jeszcze do zrobienia! Czasem jednak dobrze było znaleźć dla siebie taką wolną chwilę jak ta, kiedy w sobotni wieczór można wyciągnąć wygodnie nogi i pomarzyć, patrząc na pełgające po ścianach cienie od lampy naftowej.

W pomieszczeniu, które stanowiło zarówno kuchnię, jak i pokój, siedziały tylko one dwie. Józul i wuj poszli do saloonu, Helena zaś wybrała się niby do kościoła, ale najprawdopodobniej na sekretne spotkanie z Frankiem.

Ciotka zaparzyła kawy i wyłożyła na talerzyk kilka herbatników. I w takiej chwili Felicja czuła się jak prawdziwa dama, jedna z tych, które mogła oglądać przez kawiarnianą szybę. Mimo iż dom był ciasny i w gorszym stanie niż sąsiednie na ulicy, miała wrażenie, że po półrocznym pobycie zaczęła się do niego przyzwyczajać. To dziwne, bo przecież na początku wszystko ją denerwowało. Najpierw nie chciała wyjeżdżać z Polski, potem z Kanady. Podobnie było z Winoną, tym bardziej że właśnie tu po raz pierwszy była świadkiem zabicia drugiego człowieka. Mimo iż wiedziała, że nie zapomni o tym nigdy w życiu, nie chciała opuścić nowego domu. Zwłaszcza że znów zaczęła chodzić do szkoły. Matylda bardzo na to naciskała.

Wuj August nigdy nie nauczył się biegle pisać po angielsku, a i z czytaniem było mu ciężko. Również Helenie ani Józulowi nauka nie była w głowie. Uważali, że wystarczająco poznali nowy język. Obowiązek nauki spadł więc na najmłodszą siostrę. Jest nadzieją całej rodziny, zachęcała ją Matylda. Jeśli da sobie radę, będzie się mogła uczyć dalej w „high school”, a potem... Może uniwersytet? Kobiety przecież mogły studiować. W związku z tym Felicja postanowiła porzucić wstyd i spróbować sił w szkolnej nauce. Pogodziła się już z tym, że będzie jedną z najstarszych w klasie. Być może ta amerykańska stolica Kaszubów ją zaczarowała? Życie rzeczywiście płynęło tu szybciej.

Wstała z krzesła i podeszła do ciotki, by jeszcze raz przeczytać list przy lepszym świetle. Matylda miała piękne pismo. Jej samej zasady kaligrafii przychodziły z trudnością. Przebiegła wzrokiem kartkę.

– I co? Dlaczego nic nie mówisz?

Milczała, bo nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, ale w końcu zaryzykowała:

– Nie rozumiem, dlaczegoście, ciotko, napisali, że wuj ma tartak? Przecież to nie jest prawda! – wybuchła w końcu.

Matylda poczerwieniała na twarzy.

– Nie do końca, moja przemądrzała bratanico. Po pierwsze, twój wuj miał tartak w Kanadzie, a teraz pracuje jako kierownik u Lairda. Po drugie, Joachim i tak tu się nie wybierze, żeby to sprawdzić, a po trzecie, chciałabym, żeby myślał, że dobrze nam się tu powodzi. Bo chyba nie można powiedzieć, że źle – dodała chytrze i wzruszyła ramionami, widząc, że Felicja czujnie na nią patrzy.

– A kto on taki, żeby dla niego zmyślać?

– Przecież wiesz, twój kuzyn. Spotkałaś go kiedyś, jak byłaś malutka. To syn mojego brata stryjecznego, Henryka z Gdańska. Tego, który już zmarł, brata Augusta. Opowiadałam ci, że Joachim został zesłany na Sybir aż na osiem lat, ale sam car zwolnił go przed terminem.

– Ten wuj Henryk to ten sam, który wysyłał ciotce pieniądze?

Matylda skinęła głową.

– Ale on miał więcej dzieci, prawda?

– Tak. Jest ich czwórka. Najstarsza Klara, Paul, Johann Thomas i Joachim. Ale tylko Joachim się do nas przyznaje.

– A dlaczego ma się tu nie wybrać? Skoro jest bogaty, to nawet ocean nie jest dla niego żadną przeszkodą.

Ciotka westchnęła i przez dłuższy czas spoglądała na wyhaftowaną ostatnio makatkę z napisem: „Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”.

– Nie wiem, Felu. Nie ma co go martwić naszym losem, bo przecież cały czas się zmienia. Pamiętasz, jak jeszcze dwa lata temu nie mieliśmy co jeść? A teraz... A jak Joachim w końcu przyjedzie, to może będziemy opływać we wszelkie dostatki. Jak niegdyś wuj August?

Przykład wuja nie był chyba najlepszy, bo jednak już nie opływał w żadne bogactwa i musiał, mimo wieku, pracować na cudzym. Ale być może Helenie się uda?

Felicja uważała, że starsza siostra zrobiła się jeszcze bardziej niezdolna. Nie było już wspólnych rozmów czy oglądania gwiazd, gdyż serce Heleny skradł Frank. Mówiła o nim bez przerwy i stale w zachwycie, przy okazji kalkulując jego przyszły dochód po ślubie... oczywiście z nią. Nie było żadnych wątpliwości, zwłaszcza że matka Franka zaprosiła ją do domu. Helena niemal dostała gorączki z podniecenia, gdy opowiadała o meblach w salonie, witrynie pełnej prawdziwych czeskich kryształów i daniach na obiad, po którym Frank zabrał ją eleganckim powozem na wycieczkę po okolicy. „Była z nami jego młodsza siostra Adela”, dodała szybko, widząc podejrzliwą minę Matyldy.

Felicja wiedziała, że ciotkę niepokoi przesadny entuzjazm, który mógł zniechęcić potencjalnego pana młodego. Gdyby jednak uważniej obserwowała, zniknęłyby powody do obaw. Kiedy Frank się pojawiał, Helena w okamgnieniu zmieniała się w zimną, nieco rozkapryszoną pannę, którą długo trzeba było namawiać na spacer nad rzeką. Felicja siłą rzeczy służyła im jako przyzwoitka i nie mogła znieść gierki prowadzonych przez siostrę.

– Jesteś jeszcze za młoda, żeby to zrozumieć – tłumaczyła Helena. – Jeśli się poważnie myśli o zamążpójściu, to tak trzeba robić.

– Nie mam zamiaru udawać. Myślisz, Helciu, że Bronkowa nie widzi, jak się jej podlizujesz? Ślepy by zauważył.

– Jeśli to widzi, to rozumie wówczas, że uważam ją za osobę, dla której trzeba się wysilić – ripostowała Helena. – Nie marudź już. Adela zgodziła się zaprosić ciebie na przyjęcie z okazji Gwiazdki. Chyba cię polubiła. Aha, i proszę cię bardzo, żebyś nie mówiła na mnie Helciu. Ile razy mam wam powtarzać, że jestem Helen.

Helen Halman – takie dane podała na certyfikacie naturalizacji przy wjeździe do Ameryki. Felicja też została Felicią, a Józef – Josephem Halmanem. Tak im przykazał wuj August, jednak do tej pory żadne z rodzeństwa nie używało tych imion w praktyce. Natomiast dodatkowych liter z nazwiska pozbyli się bez skrępowań.

O tym wszystkim rozmyślała, kiedy Matylda adresowała list do dalekiego kuzyna, a potem dokładała drewno do pieca. Na dworze panował już lekki mróz, a one siedziały sobie w przyjemnym cieple.

– Poczytasz mi gazetę? – poprosiła ciotka.

Miała zbyt słabe okulary, by czytać wieczorami, a na wymianę szkielek musieli jeszcze tro-

chę poczekać. „Nie wszystko na raz”, powtarzał wuj August, obecnie główny żywiciel całej rodziny. Swoją drogą porządnym z niego człowiekiem, pomyślała Felicja. Ściągnął ich sobie wszystkich na głowę. Gdyby był sam, mógłby prowadzić zupełnie inne, wygodniejsze życie. Choć może bez rodziny byłoby mu smutno, stwierdziła.

Poszła do izby, która była sypialnią dla trzech kobiet, i sięgnęła do komody po ostatnie wydanie polskiej gazety wydawanej w Winonie, a sprzedawanej w całych Stanach Zjednoczonych. Już sam jej tytuł brzmiał pobożnie i patriotycznie: „Wiarus”. Pismo tygodniowe dla ludu. Boże, zbaw Polskę.

– Jasiak z Kniei i Szymek z Wiela w podróży do Ameryki – zaczęła czytać Felicja. Wprawdzie ta historia była dobrze im znana, ale Matylda i jej bratanica bardzo polubiły tę humoreskę. W tej samej chwili, jak na zawołanie, rozległo się pukanie do drzwi.

– O wilku mowa! – Matylda się roześmiała. – Właśnie po raz kolejny czytamy pańskie opowiadanie. Po prostu wyborne.

– Pani Halmanowa jak zwykle nie szczędzi komplementów – powiedział rosły i tęgi mężczyzna o ciemnym wąsie i ucałował ciotkę w rękę.

– Jeśli się należą, to chętnie je prawię. Felu, nalej panu kawy.

Dobrze, że nie dodała: „Nie stój jak ciele”. A to najchętniej robiłaby Felicja w obecności Hieronima „Jarosza” Derdowskiego, poety i pisarza, a przede wszystkim redaktora „Wiarusa”. Pobiegnęła z gazetą do sypialki i starannie ułożyła ją z powrotem w komodzie, po czym zajęła się parzeniem kawy dla znakomitego gościa. Redaktor pijał wielkie ilości kawy, a ostatnio wybrał sobie napitek, który nazywał kawą po gbursku. Wystarczy trochę „żeto spólonego” lub jęczmienia, cykorii i wszystko to zalane mlekiem.

– Miałem tu przyjść z Joasią, ale mała Halka dzisiaj słabuje. – Podkręcił nieco nerwowo wąsa. Córeczka urodzona w tym roku nie była silnym dzieckiem i wszyscy się o nią martwili, szczególnie że pierwszy syn Derdowskich umarł trzy miesiące po narodzinach. – Ale skoro pani Matylda mnie pochwaliła, to ja się odwdzięczę. Pani Matyldo, sprzedaliśmy w zeszłym tygodniu ponad cztery tysiące egzemplarzy naszej gazety. Czytają nas wszyscy Polacy. Od Michigan, Wisconsin po Minnesotę. I to pani zasługa, dobrodziejko. – Znów ucałował pomarszczoną dłoń ciotki.

Teraz ona z kolei poczerwieniała jak burak.

– Przecież ja tylko przepisuję teksty do druku. Nie tworzę ich.

– Ale poprawia pani moje błędy. I nie tylko moje, ale i innych literatów! – Wzrok Derdowskiego padł na Felicję. – Ucz się, panienko, żeby mieć taką wiedzę jak ciotka.

– A i większą – wtrąciła się Matylda.

– Mam zamiar kupić maszynę do pisania Remington. Może w tym będziesz mogła się wyuczyć, panienko. Co o tym sądzisz?

– Z największą przyjemnością. – Felicja dygnęła grzecznie, zafascynowana swoim idolem.

Jakie mieli szczęście, że go tak szybko spotkali po przyjeździe do Winony i że ich obdarzył przyjaźnią. Opowieści redaktora były nie z tej ziemi. Nie mogła uwierzyć, że człowiek, który urodził się tak jak ona na kaszubskiej wsi, zdążył już tyle przeżyć. Słuchała z wypiekami na policzkach, gdy snuł wspomnienia o swych wyprawach do Włoch i Paryża, o pracach, które musiał wykonywać, żeby zarobić na chleb – jako woźnica, mechanik czy tłumacz w biurze wystawy światowej. Od kiedy pojawił się w ich życiu, marzenia Felicji przybrały konkretny wymiar. Pragnęła kiedyś napisać do gazety Derdowskiego jako dziennikarka. Czasem tak bardzo pograżała się w rozmyślaniach, że traciła kontakt z rzeczywistością. Tak jak teraz, zamyślona, straciła fragment rozmowy gościa z ciotką.

– Nie wysyłałam listów do tej pory – usłyszała.

Aha, już wiedziała, o co chodzi. Matylda radziła się pana Hieronima w tej samej kwestii co jej.

– Pani Matyldo, nic w tym złego. Niemal trzydzieści lat temu przyjechali na tę ziemię pierwsi osadnicy. I zachwyciła ich swoim bogactwem, lasami i wodą. A przede wszystkim wolnością. Nikt im nie zabraniał kupować ziemi i budować domów jak u nas. I napisali listy do krewniaków, opisując swój dobrobyt. A ci...

– A ci tu przywędrowali. – Matylda się zaśmiała i klasnęła w dłonie.

– Z całymi rodzinami. I dlatego jest tu nas aż tak wielu. I to z tego samego niewielkiego zakątka Polski. Jakby tu zapytać na ulicy, to większość z nas jest albo spod Bytowa, albo spod Chojnic, z krainy piasków i wrzosów, gdzie największa bieda.

– I nikt nie pożałował decyzji? – wtrąciła się Felicja.

– Chyba tylko tacy, co nie lubią pracować. Jadąc tu, myśleli, że zamiast zboża rośnie tu złoto. Człowiek nie ma wpływu, gdzie się rodzi, ale na resztę życia tak. Może sobie je zbudować od początku, według własnego planu. Tak jak my tutaj.

Felicja uniosła pełne zdumienia oczy na Derdowskiego. Wydawało się jej, że czyta w jej myślach. Jak to możliwe?

– Wasz kuzyn ucieszy się z takiego listu. Z dumą opowie rodzinie, jak wam się powiodło. Tym bardziej że nosi ona szlacheckie nazwisko.

– Jak to? – zainteresowała się Felicja. Zauważyła, że Matylda już się chciała rzucić, by zakryć kopertę, ale za późno.

– Von Eistetten. Tak się nazywa wasz kuzyn, prawda?

– Jego ojciec... jego ojciec zmienił nazwisko rodowe – wyszeptwała Matylda ze wzrokiem wbitym w stół. – Przybrał nazwisko żony i odziedziczył cały majątek po teściu. Oni są bardzo zamożnymi ludźmi w Gdańsku. To fabrykanci i armatorzy.

Derdowski spojrział z uwagą na rozmówczynię.

– Stale potrafi mnie pani zaskoczyć, pani Matyldo.

– Takiemu bogatemu nie będzie do nas po drodze – zakończyła wątek Felicja, a ciotka rzuciła jej tak smutne spojrzenie, że się aż przestraszyła. Cóż ona takiego okropnego powiedziała? Przecież ciotka go wcale nie знаła, widziała go tylko raz, skąd więc takie tęsknoty za nieznanym krewniakiem? Trochę to dziwne, tym bardziej że Matylda była z nich wszystkich chyba najbardziej zadowolona i nie odczuwała nostalgii. I nawet jakby odmłodziła. Zawsze była szczupła, trzymała się prosto i nie wyglądała na swoje lata, ale teraz nabrała dodatkowego wigoru.

Derdowski niczego nie zauważył i dalej perorował:

– Z pewnością zechce się pojawić na wystawie światowej w Chicago. To już za dwa lata. Mam nadzieję, że się tam razem wybierzemy. Co pani na to, panno Felicjo?

Nagle drzwi z korytarza otworzyły się z impetem, wpuszczając do środka chmurę śnieżną, a za nią Helenę-Helen z rumianymi od mrozu policzkami. Felicja zauważyła czającego się w tyle Franka. Na coś się zanosilo.

Derdowski też musiał to wyczuć, bo szybko się pożegnał, zostawiwszy u Matyldy kilka kartek rękopisów do przepisania. Kiedy tylko zniknął, Helenka i Frank rzucili się do kolan osłupiałej ze zdumienia Matyldy.

– Cioteczko, pobłogosławisz nas? Chcemy się pobrać.

Felicję również ta scena mocno zaskoczyła. Podejrzewała, że mimo wszystko Frank się oświadczy, nie przypuszczała jednak, że tak szybko. Tylko czy on ma swoje zdanie, myślała, przypatrując się młodemu. Młody Bronk próbował coś powiedzieć, wytłumaczyć Matyldzie, ale

za każdym razem dochodziła do głosu Helena.

– Postanowiliśmy, że ślub odbędzie się za półtora roku. Frank zamierza w tym czasie wybudować dla nas dom. Ja będę pracowała u modystki i oszczędzała na wyprawę.

– A byliście już u państwa Bronków? – Matylda próbowała zachować zdrowy rozsądek, ale to, co się działo przed jej oczami, było tak inne niż dawne obyczaje. Świat się bardzo zmienił zaledwie w ciągu jednego pokolenia.

– Frank musi z nimi najpierw porozmawiać. Jutro tam pójdziemy. Ale ja nie wytrzymałam. Tak bardzo chciałam się podzielić naszą radością.

Helena wcale nie udaje, jest naprawdę szczęśliwa, ze zdumieniem zauważyła Felicja. Jej wielkie marzenie właśnie się spełniało.

Może to i prawda, pomyślała, że w tym kraju tyle się dzieje. W takim razie cieszy się z całego serca, że tu przyjechała.

## Rozdział IV

*Trzy lata później. Winona, 1894*

Felicja Halman, trzymając w ręku koszyk wypleciony przez Józula, szła żwawym krokiem w kierunku domu Bronków. Był wczesny marzec, ale słońce wspaniale przygrzewało, wysuszając błoto na ulicach. Parę tygodni wcześniej otwarto po zimowej przerwie tartaki i znów w powietrzu unosił się charakterystyczny zapach trocin. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Już nie trzeba było wyjeżdżać z miasta i szukać zarobku przez zimę. Po paromiesięcznym śnie miasto znów tętniło życiem.

Poprawiła na głowie przekrzywiony nieco kapelusz, jedno z piękniejszych dzieł rąk jej siostry. Nie nosiła go na co dzień, ale dzisiaj była specjalna okazja, i to wcale nie z powodu nadchodzącej wiosny. Po raz pierwszy szła na spotkanie z nowo narodzonym siostrzeńcem. Wprawdzie widziała go od razu po porodzie, ale teraz miało się wszystko odbyć oficjalnie. Podejrzała, że Helen ubierze małego w batysty i koronki i wezwie do domu fotografa. Pęczniała przecież z dumy, że udało jej się dostarczyć Bronkom męskiego potomka już w dziewięć miesięcy po ślubie. Jej siostra była zawsze tak dobrze zorganizowana.

Na siebie Felicja też nie powinna narzekać. Kto by pomyślał, że od przyjazdu tak dobrze nauczy się angielskiego, by wkrótce skończyć szkołę średnią. Tutaj również przeskoczyła o jedną klasę. Okazało się, że dzięki nauce domowej ma znacznie większą wiedzę niż inne dziewczęta w szkole. Wystarczyło się przyłożyć do nauki języka. Matylda miała rację, że powinna się dalej uczyć. Dzięki temu ona również, podobnie jak jej siostra, miała swój plan. Gdyby nie udało jej się zostać dziennikarką, chciała pracować w przyszłości jako nauczycielka.

Dziwna ta Winona. Z jednej strony wydawała się obca, a z drugiej znajoma, za sprawą ojczyściej mowy, którą można było usłyszeć na każdym kroku. Podobno mieszkało tu aż pięć tysięcy Polaków, w tym cztery tysiące z Kaszub.

– *Dobri dzień, Felu.*

– Dzień dobry! – odpowiedziała jednej z właściolek składu gotowych ubrań, który właśnie mijają.

– Pozdrowienia dla Helen i jej chłopczyka. Jak ma na imię?

– Jeszcze nie ma. Chyba że już coś wymyślili.

– Dostałam piękne ubranka na chrzest – zareklamowała Cierzanowa. – Mam nadzieję, że mnie wkrótce odwiedzicie.

I tak było na każdym rogu, choć oczywiście w Winonie nie mieszkali sami Polacy. Było tu też sporo Niemców, Norwegów i Czechów, miała wiele koleżanek z tamtych stron w szkole, Kaszubi jednak na ogół trzymali ze swojakami. Większość mieszkała na przedmieściu, ale władza ich była spora, gdyż wybierali trzech rajców miasta, reprezentanta do rady okręgowej, mieli swoich policjantów i straż ogniową. W dzielnicy rozwinął się też handel i przemysł. Pracownie krawieckie, szewskie, handel wiktuałami, meblami, salony, poza tym do Polaków należały tam niemal wszystkie sklepy mięsne. Nawet rodzina szwagra ma własną rzeźnię, rozmyślała Felicja.

– Dzień dobry, pani Prondzińska. – Trzeba było zatrzymać się przy kolejnej krajance, która właśnie zmieniała wywieszkę w oknie sklepu, że jest otwarty.

– Dzień dobry, moje dziecko, pozdrów koniecznie ciotkę i powiedz jej, że mam świeże ryby, prosto z rzeki.

Wydawało się, że mieli teraz więcej znajomych niż w Sitnie. Tam nie przyjaźnili się

z każdym, ale tutaj, na obczyźnie, wszystko wyglądało inaczej. Trzeba się trzymać w gromadzie, uważał wuj August, który kiedyś ruszył sam przez życie. Teraz uznał, że tylko swojacy potrafią najlepiej wytłumaczyć ten nowy świat. Cała rodzina doskonale się w nim zadomowiła. Być może po strasznej podróży i kanadyjskim mrozie wszystko inne było lepsze, ale naprawdę wzyli się w to miasto. Dzięki temu, że wyemigrowali wszyscy razem, nie musieli za nikim tęsknić. No, może za wiosną i jesienią, które trwały w Polsce znacznie dłużej i przygotowywały człowieka do nadejścia skrajnych temperatur. Tutaj jednego dnia była zima, a drugiego już lato. Tylko że czasem, i nie wiadomo dlaczego akurat w danej chwili, Felicji potrafiły się przypomnieć dawne smaki i zapachy z dzieciństwa. Zatrzymywała się wówczas i zamykała oczy, by się dłużej nimi nacieszyć.

Dziewczyna minęła plac na rogu Czwartej i Carimona Street, gdzie zaplanowano budowę nowego, polskiego kościoła. Słyszała od ciotki, że lada dzień miał nastąpić zakup planów od firmy architektonicznej Maybury and Son za olbrzymią kwotę czterystu dolarów. Było to jednak konieczne, gdyż parafia się powiększała i musiała pomieścić znacznie więcej wiernych. Ciekawe, jak będzie wyglądał ten budynek, pomyślała i zatrzymała się, by przejść przez jezdnię. Z pewnością wszyscy będą z niego dumni. Stawiano go przecież za ich własne pieniądze.

Ulicą właśnie przejeżdżał elegancki powóz należący zapewne do jakiejś bogatej winońskiej rodziny, jak Lairdowie czy Nortonowie. Odprowadziła go wzrokiem, gdy skręcał w stronę rzeki.

– Dzień dobry, panno Felicjo! – Niemal podskoczyła, słysząc za sobą męski głos. – Przepraszam, zaskoczyłem panią.

– Zamyśliłam się – odpowiedziała i uśmiechnęła do wysokiego szczupłego mężczyzny.

Był nim Hubert Jaszewski, jej nowy znajomy z kółka teatralnego. Miał na sobie odświętne ubranie i, jak zauważyła, świeżo krochmaloną koszulę. Na każde zajęcia przychodził tak starannie ubrany, jakby chciał wyglądem nadrabiać inne braki. Zastanawiała się nawet, po co przychodzi, skoro nie ma nic do powiedzenia i nie chce czytać tekstów. Głos miał tak cichy, że stale trzeba było go prosić o powtórzenie. Przecież taka osoba zupełnie nie nadawała się na aktora. Ani na suflera. Ale może nie miał co ze sobą robić w sobotnie popołudnia?

– Idzie pani na przechadzkę? – Zauważyła, że jest mocno czerwony na twarzy. Czyżby to skutek marcowego słońca?

– Z tym? – Wskazała niesiony koszyk, którego zawartość chronił przed oczami ciekawskich kraciasty obrus. – A skąd! Idę odwiedzić krewnych.

– Państwo Bronkowie tu niedaleko mieszkają, prawda? – spytał.

Kolejny, który wiedział wszystko.

– Można powiedzieć, że po drugiej stronie. – Przecież nie będzie zmyślać! Wskazała więc na okazały drewniany dom z gankiem, mając nadzieję, że nikt z domowników nie podgląda jej zza firanki.

– To nie przeszkadzam. A czy będzie pani dzisiaj na zajęciach teatralnych?

Felicja kiwnęła głową. Czując, że zawartość koszyka zaczyna jej ciążyć, szybko pożegnała się z Jaszewskim i przeszła na drugą stronę ulicy. A tam czekała na nią niespodzianka.

– Widziałam, jak tam najpierw zastygłaś. I żeby się umawiać na schadzki pod moim domem! Kto by pomyślał! Takie niewiniątko ze słodką minką. – Przy drzwiach zaskoczyła ją Helen. Miała na sobie odświętne ubranie.

– Nie żartuj, że mnie śledzisz. Ty już na nogach? – zdziwiła się Felicja i mimo woli zaczerwieniła. Była przekonana, że siostra będzie się jeszcze wylegiwać w łóżku wśród koronkowych poduszek i tam przyjmować rodzinne pielgrzymki. Nie doceniła jej jednak.

– Oszałamabym z nudów – mruknęła Helen i zaczęła się tłumaczyć przed teściową, która

również zeszła do przedpokoju, nie mając pojęcia, że młoda matka opuściła sypialnię.

– Niestety sobie na głowę ściąga. I jakąś zarazę. Jak tak można? Gorączki jeszcze dostanie! – Dora Bronk, chuda jak szczapa kobieta, była tak oburzona na synową, że nawet nie raczyła przywitać się z Felicją, która ukradkiem, bardzo starannie wytarła z błota buciki o wycieraczkę.

– Co się stało? – Na schodach pojawiła się ciotka Matyllda. Przez ostatnie tygodnie mieszkała z Helen i pomagała jej przy dziecku. – O, Felusia, moja złota. – Uśmiechnęła się na widok młodszej bratanicy i zostawiając Helen z Dorą w korytarzu, poprowadziła ją do saloniku.

Pokój zdobiła tapeta w poskręcane roślinne wzory. William Morris, przypomniała sobie nazwę. Pośrodku znajdował się kominek, a na nim stały wazoniki różnej wielkości. Poza tym tylko kredens, para obitych bordowym pluszem foteli i sofa. Felicję zachwycała lekkość i swoboda, z jaką jej siostra urządziła swoje nowe gniazdko. Trzeba przyznać, że miała znakomity gust. Umiała przecież wyszywać lepiej od Matylldy, a to była nie lada sztuka.

Helena otrzymała swój elegancki dom zaledwie parę lat po tym, gdy pojawiła się w Winonie z jedną torbą. Oczywiście zawdzięczała to wszystkim determinacji, ależ jak niezwykle skutecznej, stwierdzała Felicja, podziwiając nowe meble i kryształowe kieliszki do wina. Wnętrze domu młodych Bronków w żaden sposób nie przypominało tutejszych kaszubskich gospodarstw. Widać nie chcieli kultywować dawnych tradycji. Może nic dziwnego. Frank był już trzecim mieszkającym tu pokoleniem. Jego własna matka kaleczyła polski, a on sam by się go nigdy nie nauczył, gdyby ojciec nie wysłał go do szkoły parafialnej przy kościele Świętego Stanisława Kostki. „Jesteś w nowym kraju, mów w ich języku, zostaw co stare za sobą”, taka obowiązywała tu reguła. Gdyby nie ciotka i wpływ Derdowskiego, Felicja również by się jej podporządkowała.

– I jak sobie radzicie beze mnie? – spytała Matyllda, przyglądając się młodszej bratanicy, jak wyciąga szpilki z kapelusza i zdejmuje go z głowy.

– Tęsknimy w każdej chwili. – Zastanowiła się przez moment, czy powiedzieć o chorobie Augusta. Wuj tak ściał ból pleców, że od tygodnia nie mógł wstać. Zabronił jednak opowiadać o tym ciotce, a poza tym tego dnia poszedł już do pracy. Chętnie za to wspominała o bracie. – Ale nasz Józul świetnie sobie radzi w tartaku.

– Martwię się o niego, bo nie jest nawykły do ciężkiej pracy. – Ciotka potrząsnęła głową. – Wiem, jest dorosły, ma już dwadzieścia jeden lat, ale chorowity, wdał się ze zdrowiem w waszą matkę.

– Wuj mówi, że przydzielił Józula na takie stanowisko, gdzie nie będzie przenosił ciężarów – pocieszyła ją Felicja. – A taki jest zadowolony! Żeby go ciocia widziała. Rozpiera go duma.

– Chyba nie podobała mu się ta praca parobka w Wisconsin.

– Dla kogoś, kto nie chce krzywdzić zwierząt, to trudne wyzwanie. – Obie roześmiały się, przypominając sobie dawne dzieje, kiedy to małego Józula chciała pobóść krowa. – Oj jeny kochany, ciociu, bym zupełnie zapomniała. List przyszedł. – Sięgnęła do kieszeni spódnicy.

List był od ich kuzyna Joachima, który o dziwo, od kiedy dowiedział się o ich wyjeździe, chętnie z nimi korespondował. Mimo iż ciotka pisała mu, że niczego im nie brak – ta jej duma kiedyś ich zabije – to kuzyn, a właściwie jego żona Luiza wysyłała im na święta piękne prezenty. I tak ostatnio Felicja otrzymała parę rękawiczek z mięciutkiej kozłowej skórki, na które wszystkie koleżanki szkolne patrzyły z zazdrością. Helena dostała perfumy, Matyllda – kupon materiału na suknię, Józul – zegarek z łańcuszkiem, a wuj August – butelkę Danziger Goldwasser. Niemal się popłakał, jak ją zobaczył.

Widać było, że Matyllda rozgląda się za nożykiem do kopert, by jak najszybciej dowiedzieć się nowin, ale w tej samej chwili do salonu weszła Dora, trzymając w ręku tacę z porcela-



nowymi filiżankami. Parę kroków za nią szła Helen z małym zawiniątkiem w objęciach. Natychmiast skupiło ono uwagę kobiet.

– Jaki duży i silny – zaczęły się zachwycać Matylda z Felicją.

– To ja już go zabrać – oznajmiła Dora i chwilę trwały przepychanki, żeby zostawiła im dziecko. – Miejsce dzieci nie salon – protestowała, ale miała jakiś dziwny respekt przed Matyldą i musiała się poddać. – Na chwilę tylko. Dziecko musi spać.

– Jak będzie miał na imię? – dopytywała się Felicja, podziwiając małe paluszki siostrzeńca.

– Dorian! – Helen była zdecydowana. – Co tak na mnie patrzycie? Nie będzie kolejnego Józefa w rodzinie. Felicja, a co ty przyniosłaś? – Spojrzała na porzucony przy wejściu koszyk.

– Kiszkę ziemniaczaną zrobiłam i zylc.

– Zylc? Oj, matulu, jaka ja się głodna zrobiłam nagle – zajęczała Helen, a Felicja nakażała jej zostać w fotelu i postanowiła sama pójść po talerzyki do kuchni. Służąca miała tego dnia wychodne.

Pochwyciła koszyk i poszła w głąb domu, gdzie znajdowała się kuchnia. Ona również, jak pozostałe pomieszczenia tej willi, urządzona była bardzo nowocześnie. Drewniane kredensy, piec, zlew z bieżącą wodą, na ścianach wiszące miedziane patelnie. A wszystko czyściutkie i jak spod igły, podziwiała Felicja, wykładając wiktuały na stole. Cieszyła się bardzo, że siostrze się tak poszczęściło. Jej przyszłość będzie zabezpieczona i spokojna.

Spojrzała na samodzielnie przygotowaną galaretkę z nóżek. Wyglądała całkiem niezłe. Rozejrzała się po kuchni, próbując sobie przypomnieć, gdzie Helen trzyma talerzyki. Ach, prawda, przełożyła je do górnej szafki, żeby łatwiej było po nie sięgać. Helen była o pół głowy wyższa od siostry. Nic dziwnego, że podczas ślubu wyglądała jak królowa. O jej sukni rozmawiano jeszcze przez długi czas. Do tej pory żadna Kaszubka nie wkładała do ślubu białej sukni. Każdy jednak uznał, że dla ciemnowłosej panny młodej o oczach błękitnych jak chabry był to najlepszy strój. Oczywiście Helen natychmiast znalazła naśladowczynię, jednak żadna z nich nie wyglądała tak pięknie.

Felicja otworzyła szafkę i wspięła się na czubki palców, żeby sięgnąć po talerzyki, gdy w tej samej chwili poczuła, że czyjaś ręka obejmuje jej piersi. Chciała krzyknąć, ale nie zdążyła, gdyż ktoś zasłonił jej usta. Felicja zmartwiała, nie rozumiejąc do końca, co się dzieje. Przed chwilą była w pustej kuchni. To jakiś żart. Kto to był?

I po chwili już wiedziała. Napastnik obrócił ją w swoją stronę i go zobaczyła. Wolałaby nie widzieć.

– Jesteś taka słodka. Nie mogę się oprzeć – powiedział Frank i nachylił się nad nią. Przeważona próbowała go odepchnąć, kiedy wpychał język między jej zaciśnięte zęby. Trwało to przez chwilę, aż oparta o dębowy stół namacała ręką jakiś leżący przedmiot, a potem podniosła go i bez wahania uderzyła szwagra w głowę. – Auć! Co ty wyprawiasz?! – Frank ją puścił, zrobił krok w tył i strącił miskę z jajkami, które rozbiły się na podłodze i obryzgały nogawki jego spodni.

Felicja odgrodziła się od niego stołem i ciężko dyszała, nadal trzymając w ręku drewnianą łyżkę.

– Zachowujesz się jak wieśniaczka. – Spojrzał na nią, krzywiąc gniewnie twarz. Ręką próbował strząsnąć resztki jajek ze spodni. – Najpierw mnie prowokujesz, a potem... – Wyszedł z kuchni wyjściem od ogrodu.

Dopiero wówczas Felicja zrozumiała, że te drzwi wcześniej były niezamknięte. I to tamtędy musiał wejść, by ją zaskoczyć.

Dopiero kiedy zniknął, poczuła taką słabość, że zakreśliło jej się w głowie i musiała się

oprzeć o blat stołu. Stopniowo zaczęło do niej dochodzić, co przed chwilą zdarzyło się w kuchni. W gardle piekła gorycz, po chwili pojawiły się mdłości. Podeszła do zlewu, by przepłukać usta. Trochę pomogło, ale tylko trochę, bo czuła, jak dreszcz potwornej ohydy przechodzi ją od stóp do głów. Jak on mógł to zrobić? I to powiedzieć? W jaki sposób miała go prowokować? Przecież wcale go nie widywała ani z nim nie rozmawiała. Na weselu raz tylko zatańczyli. W ogóle jej się nie podobał.

Pochylona nad zlewem zastanawiała się, czy coś jej umknęło, ale chyba nie. Frank nigdy wcześniej nie zwracał na nią uwagi. Do tej pory uważała go za miłego, choć nieco bezbarwnego mężczyznę, który daje się wodzić za nos jej siostrze.

– Fela! Dlaczego tak długo? – Do kuchni weszła Matylda, obrzuciła wzrokiem pomieszczenie i zobaczyła leżącą na podłodze miskę i skorupy jajek. – Co się tu dzieje?

Ona nie mogła się o tym dowiedzieć. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, pomyślała gorączkowo Felicja i podniosła głowę.

– Dziecko, jesteś zielona na twarzy!

– Ciociu! Chyba się źle poczułam – wyjąkała.

Matylda obróciła się nerwowo za siebie.

– Mam nadzieję, że nie zachorowałaś!

– Nie, to... to kobieca niedyspozycja – powiedziała szybko ze spuszczonej oczami. Nie lubiła kłamać.

– To chodź. Położysz się na chwilę w alkierzu.

– Wolę pójść do domu, ciociu. Już mi trochę lepiej, a wolę być u siebie.

– Ale tu są wszystkie wygody, kochanie. Będzie ci przyjemniej.

– U siebie jest lepiej – mówiła niemal przez zaciśnięte zęby. W tej chwili chciała jak najszybciej opuścić ten dom. Już na zawsze będzie dla niej skażony tą sceną w kuchni. – Ale nie chcę rozmawiać z Dorą.

Matylda podjęła decyzję natychmiast.

– Wyjdź kuchennym wejściem. Ja im coś powiem. – Podeszła do stołu, chcąc przełożyć galaretkę, i nagle zobaczyła, że jest całkiem zgnieciona.

Śledząc wzrok ciotki, Felicja zrozumiała, że musiała się oprzeć o zylc, kiedy szamotała się z Frankiem. Jeszcze chwila i Matylda zacznie coś podejrzewać.

Prawą ręką dotknęła spódnicy z tyłu i wyczuła, że jest wilgotna. Ale i tak nie chciała tu zostać, więc nie mówiąc nic więcej i zostawiając ciotkę samą, by poradziła sobie z bałaganem, wymknęła się na dwór. Tam nadal świeciło marcowe słońce i zapowiadało rychłą wiosnę.

Kiedy Felicja otwierała furtkę od ogrodu na ulicę, zobaczyła, że spod szopy przygląda się jej Frank. Trzymał w rękach parę dużych nożyc. Widząc, że go zauważyła, wykonał ruch, jakby chciał powietrze. Zrobił to parę razy, nim Felicja zdążyła zniknąć. Podczas drogi do domu cały czas słyszała za plecami ten świdrujący w uszach metaliczny dźwięk.

Wydawało się jej, że wypełniła płuca powietrzem dopiero, kiedy zamknęła za sobą drzwi domu. Było wprawdzie ubogo, choć tak bardzo starały się zakryć ubóstwo kolorowymi makatkami i obrazkami, ale tu mogła się czuć bezpieczna.

Felicja zdjęła kapelusz, zmieniła sukienkę z wizytowej na domową i rozpałała w piecu. Chciała jak najszybciej napić się czegoś ciepłego. Nie zamierzała iść na zajęcia kółka teatralnego. W *Zemście miłości* nie przydzielili jej aż tak ważnej roli, żeby musiała uczestniczyć we wszystkich próbach. Teraz się uspokoi, a potem pomyśli, co powinna zrobić. I czy zwierzyć się Matyldzie z tego, co zaszło w kuchni Bronków.

Wystarczyło kilka łyków naparu miętowego, żeby poczuła się nieco lepiej. Przypomniała sobie wówczas o korespondencji, która tego dnia przyszła również do niej. Był to list od jej

nowej przyjaciółki, bo chyba tak mogła już powiedzieć, skoro tamta ją tak sama nazwała. Trochę niezwykła historia.

Od kiedy Matylda nawiązała kontakt z kuzynem Joachimem, bardzo często na listy odpisywała jego żona Luiza. Za którymś razem ciocia zwierzyła się jej, że Felicji przydałoby się korespondowanie z jakąś osobą z Polski, bo nie ma gdzie ćwiczyć pisania po polsku. Przepisywanie tekstów nie było tym samym co formułowanie własnych myśli w postaci zdań. Wówczas to Luiza wpadła na pomysł, że do Felicji napisze jej przyjaciółka, Rozalia. I tak parę lat temu zaczęła się między nimi ożywiona korespondencja. Felicja musiała przyznać rację Matyldzie, że był to świetny pomysł. Bynajmniej nie ze względu na jej własne pisanie, ale dzięki Rozalii mogła dowiedzieć się tylu ciekawych rzeczy o Warszawie, a teraz o Paryżu, bo tam właśnie zamieszkała jej nowa przyjaciółka. I czegoż ona nie robiła! W ilu miejscach bywała, jakich znanych ludzi mijiała czasem na ulicach. Felicja była zachwycona i choć Rozalia była od niej znacznie starsza, od razu poczuła pokrewieństwo dusz. Może to jej mogłaby się zwierzyć? Rozalia z pewnością będzie wiedziała, co robić.

Nawet nie zdążyła przeczytać listu, który tym razem przyszedł z Rosji, gdzie Rozalia przebywała w podróży poślubnej, gdy na ganku usłyszała ciężkie kroki wuja Augusta. To było dość dziwne. Wprawdzie przez ten incydent z Frankiem straciła zupełnie poczucie czasu, ale wydawało się jej, że w kościele dzwony były dopiero na dwunastą. Wuj przecież kończył pracę znacznie później. A ona nie miała dla niego gotowego obiadu!

Kiedy August stanął po chwili w kuchennych drzwiach, Felicja się przeraziła. Jego twarz miała ziemisty kolor. Nagle postarzał się o dziesięć lat.

– Wujku? – wyszeptła przerażona.

– Straciłem pracę – odpowiedział matowym głosem.

## Rozdział V

Całą drogę do domu nie mógł zapomnieć tej sceny sprzed zaledwie godziny. Został wezwany przez pełnomocnika pana Lairda, Jonesa, do jego gabinetu. Już od dłuższego czasu czekał na tę rozmowę, gdyż parę tygodni temu, kiedy otworzyli tartak po przerwie zimowej, zostawił u niego pewien projekt. Obmyślił go podczas długich zimowych wieczorów i nie mógł się doczekać, ile dolarów zaproponuje mu pan Jones za jego model klasyfikacji tarcicy. Niewątpliwie podział ten ułatwi pracę i oszczędzi koszty, co dawałoby właścicielowi dodatkowe zyski.

Ale to nie o tym chciał rozmawiać Jones.

– Panie Halman, ile ma pan lat?

– Sześćdziesiąt cztery – odparł bez chwili wahania.

Jones pokiwał głową.

– Chyba więc czas odpocząć i zająć się wnukami.

August chciał otworzyć usta i zaprotestować, że przecież nie ma żadnych wnuków, ale nagle zaczął rozumieć, co Jones chce mu powiedzieć.

– Specjalnie przyjechałem do was z Kanady. Chcieliście mnie zatrudnić jako fachowca.

– Panie Auguste, to było prawie cztery lata temu. Świat się zmienia, technika się zmienia, a człowiek się starzeje. Ale proszę się nie martwić. Waszego krewniaka Josepha przyuczymy dobrze do fachu. Teraz kolej na niego. – Potem Jones opowiadał coś o przysługującej mu premii i drewnie, które może sobie zabrać do palenia w piecu, ale August wstał z krzesła i wyszedł z kantoru bez słowa. Tylko drzwiami tak huknął, że omal nie wypadły z futryny. Jacyś ludzie coś do niego mówili po drodze, ale on ich mijał, chcąc jak najszybciej opuścić teren Laird-Norton Company.

Jakby obuchem w łeb dostał! Był pewien, że to wszystko przez Jonesa. Laird nigdy by do tego nie dopuścił. Dobrze pamiętał ich rozmowę sprzed ponad czterech lat, tylko że wówczas rozmawiali jeszcze jako dwaj właściciele tartaków. August robił zresztą dobrą minę do złej gry i z werwą opowiadał o przerobieniu drewna w Kanadzie. Laird pokiwał tylko głową, słysząc opowieść Halmana o nieuczciwych współnikach, i zaferował mu pracę. Uznał, iż to wspaniale, że August ma zamiar sprowadzić się do Winony z całą rodziną. Ucieszą się, bo mieszka tu wielu ich rodaków, i z pewnością spodoba im się amerykańskie życie. To kraj wielkich możliwości.

Nie widział żadnych, kiedy włókł się do domu noga za nogą.

Zupełnie nie zauważył, jakim sposobem znalazł się w swoim ulubionym fotelu przy oknie. W rękach trzymał kubek z gorącą kawą. Chyba musiała mu go podać Felicja, ale jakoś mu to umknęło. A może ten Jones miał rację i on nie nadawał się już do pracy. To dziwne, bo doskonale pamiętał, kiedy w 1855 roku podniósł się od stołu po niedzielnym obiedzie, przeżegnał się pobożnie, a potem oświadczył matce, ojcu i starszemu bratu Antonowi:

– Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Kanady.

Matka złapała się za serce, a ojciec ze złością cisnął drewnianą łyżkę i wykrzyknął:

– A który z was przejmie ojcowiznę? Trzech synów mamy i żaden nie chce zostać na roli. Jednemu się ubzdurało złotnictwo, drugiemu rybaczenie i teraz ten ostatni ucieka. Powiedz mi, Panie Boże, czym ja wobec Ciebie zawinił! – Ojciec krzyczał tak głośno, że go słyszeli u kuchyni i po chwili przybiegła Matylda pytać, co się stało. A kiedy się dowiedziała, po jej policzkach poleciały ogromne łzy. August pochwycił ją w ramiona, chcąc pocieszyć i trzymać tak długo jak to możliwe, ale się wyrwała.

– Wszyscy nas tutaj zostawicie. Aż szczeźniemy! – krzyknęła głosem tak przepelnionym

bólem, że do tej pory dźwięczał mu w uszach.

– Matyldo, ja zawsze po ciebie wrócę. Chyba wiesz.

– Przestań, August. Ja nie chcę, żebyś wyjeżdżał! – Jej twarz była wykrzywiona, mokra i najpiękniejsza na świecie.

– Ale chyba rozumiesz, że nie mogę tu zostać. Ty jedna powinnaś to najlepiej zrozumieć.

– Złapał jej rękę, pachnące obieranymi jabłkami, i ucałował je. – Pamiętaj, mogę w każdej chwili wrócić. Albo inaczej... – dodał, choć nie miało to już sensu. – Zawsze będziesz mogła na mnie liczyć – powiedział na koniec i puścił dłonie Matyldy.

I tyle po jego obietnicach. Zawiódł ją, dzieci kuzynów i chyba najbardziej siebie. Już ta Cyganka, która wróżyła mu niegdyś na Jarmarku Dominikańskim, musiała to wiedzieć całe lata temu. Zobaczyła, że nie jest w stanie utrzymać tego, co najcenniejsze. Nigdy nie powinien był wyjeżdżać do Kanady. Choć oczywiście, kiedy tam dojechał, wydawało mu się, że czuje się znacznie lepiej. Inny świat, życie pełne przygód i wolne od dźwiganej nieszczęśliwej miłości.

Bo ile można żyć i patrzeć, jak ukochana kobieta nie widzi ciebie, tylko twojego brata. I nieważne, że ten zmienia nazwisko własnego ojca, że porzuca rodzinę i żeni się z bogatą gdańską mieszczką.

Był tak głupi, że się upił ze szczęścia, kiedy dowiedział się o małżeństwie Henryka z Wilhelminą. Pomyślał sobie, że zraniona Matylda wkrótce zapomni o swojej miłości. August wyciekał tak długo, iż myślał już, że go z tej niepewności rozsadzi od środka, aż w końcu się oświadczył. Wilhelmina spodziewała się wówczas dziecka i miał nadzieję, że kuzynce ktoś zdążył o tym powiedzieć.

A potem niemal pękło mu serce, gdy usłyszał jej odmowę. Nie mógł uwierzyć, przecież tak mocno zapewniał Matyldę, że zrobi dla niej wszystko. Na niczym nie będzie jej w życiu zbywało. I jeszcze postara się z całych sił, żeby była szczęśliwa. Ale i to było dla niej za mało.

– Nie chcę nigdy w życiu wyjść za mąż. – Była zbyt zraniona. Nie chciała dawać połowy siebie Augustowi, mimo iż on byłby szczęśliwy dzięki jednej czwartej. To „nie” Matyldy brzmiało jednak tak nieodwołalnie, iż wiedział, że musi jak najszybciej wyjechać. Skoro go nie chciała, nie zamierzał jej więcej w życiu oglądać. A może powinien był poczekać? Nigdy jej o to później nie spytał, ale miał wrażenie, że zmarnowali życie.

Oczywiście po przyjeździe do Kanady myślał zupełnie odwrotnie. To był nowy początek. Wreszcie mógł się brać do rzeczy, o których do tej pory marzył. Chyba ta pewność siebie niosła go przez życie w warunkach, w których niejeden tracił życie i rozum. August został traperem, handlował futrami dla spółki Hudson's Bay, a wolny czas zapijał whisky. Od kobiet długo trzymał się z daleka. Dopiero po czterdziestce związał się z Metyską, którą wygrał w karty. Słuchała go jak jakiegoś boga i pewnie by się z nią ożenił, ale umarła na zapalenie płuc.

To po jej śmierci ruszył na północ jak jakiś straceniec, nie szukając już w życiu niczego dobrego. Tak, los lubi płatać figle, bo kiedy któregoś dnia pochylił się nad potokiem, chcąc zaczerpnąć wody do picia, jego oczom ukazał się niezwykle widok. Chociaż to nie tak było. Najpierw ujrzał swoją zarośniętą twarz, której nie widział od paru miesięcy, i niemal się jej wystraszył. I dopiero po chwili zobaczył, że odbicie mieni się przed oczami. „To niemożliwe! – odezwał się po polsku ochrypłym głosem. – Mam zwidy”.

Ale to była najprawdziwsza prawda. August odnalazł swoją złotą górę. I tak jak wywróżyła Cyganka, roztrwonił ją.

– Wuju! – August drgnął, że aż resztką kawy wylała się na podłogę.

– Przepraszam! Wuj się zamyślił, a ja tak znienacka. – Felicja się zmartwiła.

– Dobrze, żeś zagadała do mnie, dziecko. Stary nie powinien rozmyślać o przeszłości, bo się zaczyna rozklejać. Powinien myśleć o tym, co zrobić teraz, kiedy zostaniecie bez głównego

żywiciele.

Nie powinien nigdy zaufać temu rudemu Mortensonowi. Facet wydawał się taki uczciwy i był najlepszym przyjacielem. Do czasu! Kiedy pożyczył mu połowę znalezionej złota, ten rozplynął się jak we mgle. Podły Szwed!

– Wuju Augustcie, nie będzie tak źle. Józul poszedł do pracy, ja już za parę miesięcy kończę szkołę, to pewnie uda mi się znaleźć jakąś posadę. Trochę dorabiam w gazecie, ciotka Matylda również. Helenka ma już dostatnie życie, więc naprawdę nie ma się o co martwić.

Ale August się martwił za każdym razem, kiedy wspominał swą górę złota. Jak on by teraz mądrze tymi pieniędzmi gospodarował. I nie pożyczyłby żadnej łachudrze, nawet takiej, która mu kiedyś życie uratowała.

– A teraz, proszę, niech wuj zje obiad, bo go zrobiłam, jak wuj tak siedział i się nie odzywał. A ja pójdę po ciocię. Myślę, że ona najlepiej poprawi wujowi humor. – August spojrział na Felicję podejrzliwie. Czyżby ona coś wiedziała? – I coś razem wymyślimy.

I taki przyszedł na niego koniec. Gdyby nie ten przekłety Mortenson, wszyscy żyliby jak w bajce. A jeszcze teraz doszło do tego, że to kobiety musiały wymyślać plany ratunkowe, a nie on, główny żywiciel rodziny! Musiał jednak przyznać, iż obie są wyjątkowo zaradne, choć trzepią ozorami. Ledwie skinął głową, a dziewczyna wybiegła już z domu.

Zdążyła dojść do rogu, kiedy nagle zrozumiała, że nie da rady wrócić do domu Heleny. Przynajmniej nie tego dnia, jeśli w ogóle kiedykolwiek. Musiała jednak dać znać Matyldzie, co się stało.

Obróciła się na pięcie i skręciła do domu sąsiadów, żeby poprosić o pomoc małego Petera.

– Masz tu na cukierki, ale pamiętaj, nie rozmawiaj z nikim innym, tylko przekaż pani Matyldzie, iż proszona jest o powrót do domu.

– Dobrze, że nie macie telefonu – rzucił rezolutnie malec i pobiegł do Bronków.

Felicja postanowiła poczekać na ciotkę przed domem. Jeśliby wróciła, wuj zacząłby pytać, dlaczego wołała wydać pieniądze na posłańca.

– Ale mam dzisiaj szczęście! Same piękne panny spotykam po drodze. Ma rację Joasia, że mnie pędzi na spacer – Felicja usłyszała nagle czyjś głos za plecami.

Tego jeszcze brakowało, by ją ktoś tu oglądał. Na szczęście nie był to żaden ktoś, tylko pan Derdowski, który wolno nadchodził o lasce.

– Czekam na ciotkę – odparła zgodnie z prawdą dziewczyna. – Ma zaraz wrócić od Helenki.

– O, świetnie się składa, to może zaszłaby panienka teraz do redakcji na chwilę. Mam na jutro rękopis do przepisania na maszynie. I oczywiście prosba do pani Matyldy, żeby spojrziała na niego swym krytycznym okiem.

Felicja nie mogła mu odmówić, tym bardziej że oznaczało to dodatkowy grosz. Uśmiechnęła się więc i poszła razem z nim do nowej siedziby redakcji „Katolika”, bo tak nazywał się obecnie „Wiarus”, choć jego wygląd był niemal identyczny.

Kątem oka obserwowała przyjaciela rodziny. Był jeszcze tęższy niż ostatnio, po prostu puchł w oczach. Ta waga go kiedyś zabije, pomyślała. No i jeszcze gwałtowny temperament. Dla przyjaciół był miły i uczynny, ale biada, jeśli mu ktoś podpadł. Potrafił się na niego obrazić śmiertelnie, a nawet obsmarować w swojej gazecie, wyzywając od warchołów i parweniuszy.

– Ale mina panny to chyba bardziej na pogrzeb! – zauważył Derdowski. – Mam nadzieję, że to nie z mego powodu.

– Ależ, proszę pana. To z powodu wujka. – Felicja uznała, że lepiej wszystko opowie-

dzieć. Może ich przyjaciel coś doradzi.

Pan Hieronim zatrzymał się przy bramie i słuchał z uwagą.

– Pan August powinien spróbować szczęścia w innych tartakach – powiedział na koniec.

– Mała szansa, że w jego wieku znajdzie pracę kierownika.

– To prawda. – Nagle jego twarz się rozjaśniła. – Ale, panno Felicjo, proszę się nie martwić. Coś wymyślimy.

To mówiąc, otworzył furtkę. Zaskoczona Halmanówna zobaczyła na podwórku nieznanego mężczyznę. Trzymał w ręku młotek i stukał w futrynę drzwi w drukarni. Chyba nie próbował się tu włamać? Zerknęła na Derdowskiego, ale ten był zupełnie nieporuszony tym widokiem.

– Dzień dobry, Tom – zwrócił się do mężczyzny po angielsku. – Czy możesz na chwilę znaleźć sobie inne zajęcie?

– Okej! – odpowiedział Tom i przywitał się z Felicją, kiwając lekko głową. Prawie niezauważalnie, stwierdziła i zwróciła uwagę na kolor jego włosów. Niezwykły ciemnorudy odcień.

– Nowy zecer?

– Nie, Tom Scott pomaga mi trochę przy remoncie – powiedział Derdowski, a kiedy niezajomy się oddalił, szybko dodał po polsku: – Szkoda, że go nająłem, bo teraz pan August mógłby dla mnie pracować.

– Może znajdzie coś u kogoś innego. Sezon wiosenny dopiero się rozpoczyna. – Wystarczył półgodzinny spacer, by Felicja wraz ze świeżym powietrzem nabrała optymizmu.

Derdowski otworzył drzwi i wpuścił ją do środka dwukondygnacyjnego budynku przy ulicy Trzeciej. Na dole znajdowały się pomieszczenia należące do drukarni i redakcja z księgarnią, w której można było kupić różne książki wydawane po polsku tu, w Stanach Zjednoczonych, jak również w Polsce.

Jakże uwielbiała to miejsce, w którym unosił się zapach papieru i farby drukarskiej, każdy kąt i wielki stół, i biurko pełne książek i gazet... Na ścianie wisiała makatka, którą w prezencie literatowi wyhaftowała Matylda. „Ni ma Kaszub bez Polonii, a bez Kaszeb Polsczi”. To był cytat z dzieła poety, który teraz przypominał każdemu wchodzącemu, kto jest jego autorem.

– O, proszę. To jest ten tekst. – Ze sterty papierów i książek leżących na biurku Derdowski bez wahania wyciągnął papierową teczkę. – I właśnie wpadłem na pomysł, jak możecie zdobyć dodatkowy dochód. – Zrobił pauzę, żeby zainteresować Felicję, po czym skończył myśl: – Mieszkacie niedaleko tartaku. Wynajmijcie pokoje dla robotników. Pokój, wikt i opierunek.

– Jak hotel? – Felicja uniosła brwi.

– Otóż to, hotel ludowy. – Roześmiał się i zatarł ręce. – Dobry pomysł, prawda?

Zanim Józul wrócił z pracy, wszystko było już dokładnie wymyślone, a każdy kąt domu zagospodarowany. W ciągu paru miesięcy powinien się on powiększyć przynajmniej o dwie izby. I tym się zajmie August we współpracy z cieślą. Nowe pomieszczenia dawałyby im wówczas możliwość przyjęcia pod dach czterech lub sześciu mężczyzn. Mogliby wynajmować pokój z wyżywieniem lub bez. Do Matyldy będzie należeć gotowanie. Według niej to żaden problem przygotowywać jedzenie dla większej liczby osób. Jeśli oczywiście będzie co wrzucić do garnka.

– Średnia płaca dla początkujących to piętnaście dolarów na tydzień. Jak będą mieli pełne wyżywienie u nas, to można od nich brać dziesięć – kalkulował August.

– Za sześćdziesiąt dolarów tygodniowo to mogę wam same przysmaki przyrządzać – kusiła Matylda. – Chociaż oczywiście przydałaby się osobna jadalnia.

– To później, jeśli znajdziemy dość dużo chętnych.

– Ja zajmę się sprzątaniami i praniem – zgłosiła swój udział Felicja.

– Dobrze, a jak znajdziesz inną pracę po szkole, to kogoś najmiemy do pomocy. – August

nie był już załamany i na kawałku papieru dokonywał obliczeń. – Tylko bez szaleństw. Trzeba najpierw wydać na przebudowę ostatnie pieniądze. Powinniśmy się też gdzieś zareklamować. Ech, gdyby nie ten łotr Mortenson!

– Może pan Jones by pomógł – rzuciła nieśmiało Matylda.

– Pan Jones? – Tak się zagadali, iż nie zauważyli stojącego w kuchni Józula. Trzymał w ręku czapkę i trzęsła mu się broda. – Pan Jones w niczym nie pomoże. Kiedy wuj już wyszedł z zakładu, przybiegł do mnie i zaczął mnie łajać na cały głos. A przecież nic złego nie zrobiłem. W pewnym momencie się wystraszyłem, że chce mnie uderzyć. Ale jak zaczął mówić o brudnych imigrantach, to się zaczęli kompani gromadzić wokół nas. I on się wtedy zmitygował.

– Brudni imigranci! – uniósł się wuj August. – I kto to mówi? Moczymorda irlandzka.

– August, hamuj się! – wykrzyknęła Matylda, zanim starszy mężczyzna zdążył się bardziej rozsierdzić.

– Chodź, Józul. Dam ci obiad. – Felicja zerwała się z krzesła i odciągnęła brata na bok. – Siadaj tu przy stole. – Popchnęła go lekko. – Jedz, póki ciepłe. – Podała mu bonk, czyli zupę fasolową na słodko-kwaśno z wkładką mięsną.

Józul odsunął z oczu kosmyk włosów i chwycił za łyżkę.

Brat był ciemnowłosy jak starsza siostra Helena, choć w dzieciństwie cała trójka miała płowe czupryny. Tylko Felicja zachowała jasny kolor włosów. Najbardziej z rodzeństwa podobna była do ojca. Może dlatego za nią nie przepadał, przypominała sobie nagle i zakłuło ją w sercu. To przykre, że własny ojciec kojarzył się jej jedynie ze smutnymi wspomnieniami.

– Smaczne, Fela. – Józul uśmiechnął się do siostry.

Zawsze taki miły i serdeczny. Ludzie często wykorzystywali jego naiwność i dobre serce. Dlatego wszyscy martwili się o niego, jak sobie poradzi w tartaku. Wcześniej nie przyjęli go, bo był zbyt wątpy do prac fizycznych. Po przyjeździe do Winony nikt go zresztą nie chciał zatrudnić. W końcu kuzyn Cierzanowej najął go na parobka na swojej farmie w Wisconsin, w pobliżu La Crosse. Tam Józul nabrał nieco krzepy, ale tak tęsknił za rodziną, że w końcu się nad nim zlitowali i odesłali do domu. Teraz nie zamierzał już nigdzie wyjeżdżać i dlatego tak bardzo zależało mu na tej pracy w tartaku.

– Józus, nie martw się. Jones nic na ciebie nie ma – szepnęła mu na ucho Felicja i pogłodziła go po głowie. Brat był od niej starszy o trzy lata, ale wszyscy traktowali go jak beniaminka.

– Józwa, ja pójdę jutro do niego – odezwał się August, a w oczach młodego Halmana pojawił się niepokój. – Ułożę się z nim i nawet przeproszę.

Felicja uniosła głowę. Wuj zamierzał ustąpić. Nie do wiary!

– Zakładamy nowy interes. Nie stać nas na nowych wrogów – wyjaśnił domownikom i zadowolony skubnął wąsa.

Tego dnia położyli się późno spać, bo już od niedzielnego poranka zaczęły im przychodzić do głowy nowe pomysły.

– Może mógłbym zagospodarować ten kawałek ziemi po drugiej stronie kurnika – zaproponował Józul. – Postawiłoby się tam ławeczkę i byłoby przyjemnie posiedzieć.

– Świetnie, chłopaku – pochwalił go wuj, choć był przekonany, że dla takich młodych bez rodzin znacznie atrakcyjniejszym miejscem będzie miejski saloon. Tak przynajmniej było w jego wypadku, choć nie można wykluczyć, że świat się zmienił.

– Przestańcie rozmawiać. Jesteście w kościele – upomniała ich Matylda, widząc, że ksiądz Sułek już patrzy w ich kierunku.

Tylko jak się skupić na kazaniu, kiedy znów coś się zaczyna dziać, rozmyślała Felicja. Helena osiągnęła już swój życiowy cel, teraz kolej na resztę.



Właśnie, Helen... i jej mąż. Przez ostatnie wydarzenia nawet o nich nie pomyślała. Nie powiedziała też nic ciotce. I chyba tak będzie lepiej, stwierdziła teraz. Frank musiał być pijany, żeby się tak zachować. Pewnie teraz tego żałował i wstydził się swojego zachowania, najlepiej więc uznać, że tej sceny nigdy nie było.

Felicja uśmiechnęła się do krucyfiksu, dziękując za spokój, który na nią spłynął. I kiedy pod kościołem natknęła się na Huberta Jaszewskiego, nawet nie zmieniła miny.

– A ja już myślałem, że coś się pani wczoraj stało. Nie przyszła pani na zajęcia kółka, choć obiecywała. – Patrzył na nią, miętoszając w rękach rondo kapelusza.

– Nie, nic mi się nie stało. Takie zamieszanie rodzinne, ale wszystkim na dobre wyszło.

Felicja zauważyła teraz, że mijający ich parafianie, a szczególnie parafianki przyglądają się jej z uwagą. I wszyscy, jak na złość, podchodzą, żeby się przywitać. Oczywiście oprócz jej własnej rodziny, która zatrzymała się na dłuższą pogawędkę z Joanną Derdowską i księdzem.

– Czy mógłbym panią odprowadzić do domu? – Musiał drugi raz powtórzyć pytanie, gdyż Felicja za pierwszym razem go nie zrozumiała. Tak szybko i niewyraźnie to powiedział. Na jego bladej twarzy widać było rumieńce zakłopotania.

Dziewczyna spojrzała w stronę wuja i ciotki, ale wciąż byli zajęci rozmową. Józul gdzieś zniknął. Pewnie się urwał z kolegami, by grać w tę amerykańską grę, bejsbol. Ostatnio oszalał na jej punkcie.

– Z przyjemnością – odparła dostojnym tonem i ruszyła naprzód.

Czy to oznaczało, że Jaszewski się nią zainteresował? Wydawało się jej, że jest zbyt młoda, żeby ją to spotkało. Nie skończyła jeszcze osiemnastu lat! Nigdy nie lubiła rozmów o chłopcach, które podniecały jej koleżanki ze szkoły. Mogły o nich paplać godzinami. Kto na nie spojrzał, jaką miał minę i jak był ubrany. Toż to potwornie nudne. Podobnie jak rozmowa z Jaszewskim.

– Jak się pani podoba Winona?

No cóż! Nie była nigdy w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. W porównaniu z Sitnem czy farmą pod Renfrew była rajem na ziemi. Koncerty, sztuki teatralne, dostęp do książek – wszystko to nadal było dla dziewczyny ze wsi jak zawrót głowy. Ale oczywiście nie mówiła tego.

– Bardzo lubię naszą rzekę – odpowiedziała ze spuszczonej oczami.

– Może wybralibyśmy się kiedyś na zabawę na pływającej barce? Oczywiście z całym naszym kółkiem teatralnym – dodał szybko, widząc, że Felicja zaciska usta.

Była raz na takim przyjęciu na rzece. Adela Bronkówna zaprosiła ją na uroczystość z powodu ukończenia szkoły. Miała chyba zbyt wielkie oczekiwania, bo poczuła się bardzo zawiedziona. Barka nigdzie nie odpłynęła, a one bez przerwy były pilnowane i niedopuszczane do relingu. Na rzekę wcale nie można było patrzeć. A poza tym nie dostały nawet poczęstunku w postaci słodkich babeczek, bo dwie panny zaczęły się skarżyć na mdłości i chorobę morską.

– A lubi pani przechadzki po lesie?

Jeśli tak wyglądają zaloty, to Felicja wcale się już nie dziwiła, że ciotka Matylda nie wyszła nigdy za mąż. Toż taką rozmowę trudno znieść. Najchętniej by spytała Jaszewskiego, skąd pochodzi, kiedy jego rodzina przyjechała do Winony i z czego się utrzymuje. Wydawało się jej, że nie pracuje w żadnym z tartaków i ma zbyt jasną cerę, co świadczyłoby o tym, że również nie w polu. Wiedziała jednak, że nie wypada go o to pytać. Ona nie może wyglądać na zainteresowaną.

I tak, ziewając w duchu z nudów, Felicja dotarła w towarzystwie Jaszewskiego do domu. A i tak pewnie będą o nich na mieście plotkować.

– Ładny zakątek – stwierdził Hubert. Bo coś powiedzieć musiał, tylko już chyba nie wie-

dział co. Zakątek to był, ale do piękna było mu daleko. Co najmniej półtorej mili.

– Niedługo już taki będzie. – Felicja nie wytrzymała i zaczęła opowiadać swojemu towarzyszowi o czekającej ich przebudowie i przyszłym ogródku.

– Panno Felicjo, ja mam sklep z narzędziami rolniczymi przy Trzeciej. Sprzedaję też u siebie nasiona kwiatów. Chętnie sprezentuję pani kilka torebek.

– Oj, to bardzo miłe – wypaliła Felicja i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Hubert odwzajemnił uśmiech i musiała nawet uznać, że towarzyszący jej mężczyzna jest dość przystojny. Jasne, lekko kędzierzawe włosy i szare oczy. Może więc nic dziwnego, że ich rozmowa pod kościołem budziła zainteresowanie. Helena by jej to wyjaśniła. Tylko czy nadal mogła jej ufać?

– Mam bratki i stokrotki. Są też bulwy kwiatowe. Lilie, dalie.

– Wspaniale. – Felicja widziała już w myślach przyszły kolorowy ogród i nawet nie zwracała uwagi na to, że Hubert przytrzymał jej rękę może odrobinę dłużej, niż by wypadało. Zanim zdążyła to zauważyć, usłyszała za plecami tętent końskich kopyt. Obróciła się i zobaczyła nadjeżdżający powóz.

– Czy to jest Maple Street dziesięć? – krzyknął woźnica i pociągnął za lejce.

– Owszem – odpowiedziała, ze zdumieniem patrząc na pasażerów powozu: ciemnowłosą kobietę o egzotycznych rysach twarzy. Na głowie miała kapelusz ze strusim piórem. Obok niej siedział chłopczyk w granatowym płaszczku.

– Halman? – wykrzyknęła kobieta. – Felicja?

– Tak – odpowiedziała i w osłupieniu patrzyła, jak woźnica pomaga kobiecie wysiąść. Wyładowuje po kolei jej kufry, na koniec chłopca i stawia to wszystko przed domem. Kobieta dokładnie liczy bagaż, a potem wręcza woźnicy zapłatę. Wreszcie odwraca się w jej stronę.

– Przyjechałam do was z Gdańska – oznajmiła kobieta z dziwnym, śpiewnym akcentem. – Jestem Wiera Wilczewska, a to mój syn Joachim. A gdzie jest Matyllda?

## Rozdział VI

Przez kilka kolejnych godzin cała rodzina Halmanów musiała uporać się z niespodzianką zgotowaną im przez gości. Wiera Wilczewska nie dawała im złapać oddechu.

– Joachima spotkałam na Syberii – perorowała. – Jestem księżniczką kirgiską, a mój ród skoligacony jest z Czyngis-chanem. Wychowałam się w zamku nad jeziorem Issyk-kul. Byłam jedynaczką i miałam wszystko, co chciałam. Ptasiego mleka mi nie zbywało. Okazało się jednak, że mój ojciec stracił całe bogactwo. – Patrzyła przy tym prosto na Augusta, który z sekundy na sekundę czuł się coraz gorzej. – Brakowało więc pieniędzy, by utrzymać dwór, i rodzice postanowili wydać mnie za starego i bogatego chana. Ale sami wiecie, że serce nie sługa. – Matylda zamrugnęła nerwowo pod czujnym spojrzeniem Wiery. – Bo ja moje serce oddałam komu innemu. Polskiemu skazańcowi.

– A gdzie się spotkaliście? – Felicja była marzycielką, ale dobrze wiedziała, że dwa światy: bogaty i biedny, bardzo rzadko się ze sobą łączą.

Wiera prawie prychnęła.

– Przypadkiem w mieście. Ale wystarczyło jedno spojrzenie... pamiętaj, dziewczyno... czasem jedno spojrzenie jest najistotniejsze, żebyśmy zrozumieli, że się kochamy. – Zrobiła teatralną pauzę. – Uciekliśmy więc razem.

– I pobraliście się?

– Nie. Straciłam ukochanego.

– A pani syn? – Józul wskazał na Joachimka Wilczewskiego, któremu już dawno temu zamknęły się oczy ze zmęczenia i spał na poduszkach leżących na komodzie.

– Męża spotkałam później. Też był polskim skazańcem. I kiedy skończyła mu się kara, zabrał mnie do Polski. Ledwo wysiedliśmy z pociągu, mąż zasnął. Okazało się, że wzruszenie z powodu powrotu na łono ojczyzny było zbyt duże. Pękło mu serce.

– O Boże! – wykrzyknął Józul.

Felicja zawsze wiedziała, że jest najwrażliwszy z całej rodziny.

– Tak. Gdyby nie wasz Joachim, umarłabym wraz z moim synkiem. – Wiera ocierała łzy chusteczką z mereżką. – Pomógł mi w nieszczęściu i zadbał o nas. Postanowiłam jednak zacząć nowe życie. I kiedy dowiedziałam się o tym, jak dobrze się wam na tutejszej ziemi powiodło, postanowiłam wyjechać do Ameryki.

W izbie zapadła głucha cisza.

– A gdzie jest wasz tartak? – spytała Wiera, ale nikt jej nie odpowiedział.

– Ciociu, skąd ona się tutaj wzięła? – pytała Felicja, kiedy szykowały się do snu.

Wiery nie było już na Maple Street. Kiedy się okazało, że dom mieści jedynie dwie sypialnie, dla dwóch kobiet i dwóch mężczyzn, postanowiła zanoć w reprezentacyjnym miejskim Winona Hotel. „Joachim hojnie mnie wyposażył na drogę”, rzuciła im na odchodne, kiedy Józul pożyczył powóz od sąsiadów. Powóz! Za każdym razem, kiedy Felicja przypominała sobie minę Wiery na widok dwukółki, chciało jej się śmiać. Kirgiska księżniczka!

– Nie mam wątpliwości, że z Gdańska – odpowiedziała Matylda i obróciła się, by narzucić koszulę nocną. – Ale za te wcześniejsze historie to głowy nie dam.

– Ale Luiza coś pisała na temat gościa ze wschodu, prawda?

– Wiesz, moja droga, ja na śmierć zapomniałam. – Matylda wyrównała pierze w poduszce, a potem rozsiadła się i wyjęła szpilki z włosów. Równomiernym ruchem zaczęła je

czesać szczotką. Felicja z podziwem patrzyła na grube, siwe włosy, które ciotka na noc zaplatała w warkocze. – Pamiętasz, jak wczoraj dałaś mi ten list z Gdańska? Był potem taki zamęt u Helenki, że nie zdążyłam go otworzyć. Zrobiłam to przed chwilą. Luiza napisała tylko, że Wiera z synem wybiera się do Ameryki. Ani słowa, że do Winony.

– Ciekawe, ale widzi ciocia, jak to jest. Mówiłam, żeby nie pisać o tartaku. – Felicja westchnęła. – Wybrałaby może Chicago lub Nowy Jork.

– Pal licha tartak. Myślisz, że Luiza skłamała, żeby ją tu wysłać?

– Skłamała? – zdziwiła się Felicja. – Ale po co?

– Nie mam pojęcia, ale Wiera była przekonana, że my wiemy o jej przyjeździe.

– Dziwne. – Po szybkim pacierzu Felicja zanurkowała pod pierzynę. – Może Luiza chciała się jej pozbyć z domu, kto to wie?

– Tego się pewnie nie dowiemy.

– Chyba że przyjadą kolejni do pracy w rodzinnym tartaku – zauważyła Felicja.

– I ja ciebie, taką zmiję, na własnej piersi wyhodowałam. – Matylda westchnęła głośno i zamknęła oczy. – I co my z nią tutaj zrobimy?

– A do czego się nadaje?

\* \* \*

O tym, do czego Wiera mogłaby się nadawać, nie mogły się przekonać przez najbliższe dni. Po odejście do hotelu zniknęła bez śladu.

– Chyba nie okazaliśmy się zbyt rodzinni – martwiła się Matylda.

Wuj niczym się nie martwił. Pykał tylko fajkę i bez przerwy rysował coś na papierze. A kiedy tego nie robił, wychodził na miasto, sprawdzał ceny materiałów budowlanych i rozmawiał z cieślami.

– Nie mam pojęcia, co mielibyśmy dla niej zrobić. Może jednak odziedziczyła mimo wszystko jakąś kopalnię złota po kirgiskich przodkach? – rzuciła Felicja.

Matylda zmarszczyła gniewnie czoło i spojrzała na Augusta. Na szczęście niczego nie słyszał. Odstawiła czajnik z odkrytej fajerki na blachę, gdzie stopniowo się uspokoił i przestał syczeć jak wściekły wąż.

Felicja uwielbiała takie ciche wieczory, gdy każdy z nich miał swoje zajęcie, nawet Józul, którego coraz bardziej wciągało struganie drewna. Kiedy jej oczy robiły się coraz bardziej zmęczone, odkładała książkę i zaczynała rozmyślać. Tym razem jej marzenia stawały się zupełnie realne. Z przyjemnością meblowała dobudowywane przez Augusta nowe pokoje.

– Niedługo Wielkanoc – przerwała ciszę Matylda. – Helena zaprasza do siebie na śniadanie w pierwsze święto.

Wystarczyło jedno zdanie, by czar prysł.

– Panno Felicjo! Niech pani poczeka i tak nie pędzi.

Wcale nie pędziła. Normalnym krokiem szła ze szkoły na Broadwayu objuczona książkami. Felicja odwróciła głowę i uśmiechnęła się na powitanie do kobiety, która miała na sobie kolejny wielki kapelusz – ciekawe, co na ten temat powiedziałyby Helena – i ciemnoczerwoną pelerynkę. Jak na swój wiek – a w zasadzie to, ile mogła mieć lat – nosiła się niezwykle odważnie.

– Pani Wiera. – Zatrzymała się natychmiast i prawie zderzyła z mężczyzną, który sprzątał z drogi końskie odchody. – Już się martwiliśmy, że pani tak zniknęła.

– Niepotrzebnie. Daję sobie doskonale radę i bardzo mi się tu podoba. Mam też już pewne plany na bliższą i dalszą przyszłość.

– To wspaniale – odpowiedziała Felicja, wpatrując się w ciemne włosy kobiety. Czy ona

je farbowała? Wyglądały jednak zupełnie naturalnie.

Wiera pochyliła się w jej stronę.

– Oj, moja duszko. Źle zrobiłam, że cię zawołałam do siebie.

– Dlaczego?

– Bo widzę, że ten przystojniak miał nadzieję na pogawędkę.

Felicja spojrzała przed siebie i dostrzegła Huberta Jaszewskiego. Stał przy swoim sklepie i patrzył w witrynę, sprawdzając, czy wygląda jak należy.

– On tam pracuje.

– Akurat – prychnęła Wiera. – Światło się odbija w szybie i on nas widzi. Mogę się założyć, że ten młody człowiek wie doskonale, kiedy kończysz zajęcia, i czatuje tutaj na ciebie.

– Pani Wiero, ale ja go ledwie znam.

– To nie jest ważne. Ważne jest to, czy ci się podoba, czy nie. Widzę, że nie jesteś nim zachwycona. Ale czy naprawdę tak jest? Chyba to dobra partia, taki kawaler. Ile on ma lat? Pewnie dwadzieścia pięć czy siedem? Zamożny, skoro ma ten sklep. Byłam tam w środku wczoraj. Bardzo przyjemne wnętrze. Na męża jak znalazł. Nie? Jak nie, to nie! – oznajmiła Wiera i parę metrów przed sklepem Jaszewskiego skrzyła w prawo. – I zatrzymajmy się na chwilę, dobrze? Nie mogę ci towarzyszyć, bo czas wracać do Joachimka. Muszę cię jednak o coś spytać.

Pytanie Wiery zainteresowało Felicję. „Kirgiska księżniczka” chciała wziąć parę dodatkowych lekcji języka. Wprawdzie uczyła się trochę przed wyjazdem, ale wciąż było to zbyt mało, żeby mogła swobodnie porozumiewać się z tutejszymi mieszkańcami.

– Ja oczywiście zapłacę za naukę.

Felicja już chciała otworzyć usta, by powiedzieć, że zna świetną nauczycielkę angielskiego, ale po krótkim namyśle zrezygnowała. Adela była przecież siostrą Franka, a poza tym ostatnio się zaręczyła i nie interesowały jej dawne koleżanki. Zamierzała wyjść za mąż i mieszkać w bogatym domu, podobnie jak Helena. Poza tym chyba Wilczewska nie przypadłaby jej do gustu.

– Nie wiem, pani Wiero. Nikt tutaj w zasadzie nie chodzi do szkół ani do nauczycieli. Uczą się języka, pracując.

– I dlatego robią byle co. – Wilczewska była zdecydowana. – Ja tak nie zamierzam i dlatego proponuję tobie, Felicjo, tę posadę. Czy będziesz moją nauczycielką? – spytała i szybko mówiła dalej, chcąc ją przekonać. – Mogłabyś przychodzić do mnie po lekcjach do hotelu. Tak będzie znacznie wygodniej dla wszystkich. Miałabyś trochę kieszonkowego. Zawsze będzie dodatkowy grosz na szpilki do włosów czy inne fatalaszki. Albo na książki. Jak wolisz.

– Ale ja nigdy... – zaczęła niepewnie Halmanówna. To prawda, chciała być nauczycielką, pójść jak dwie jej koleżanki do „normal school”, czyli college’u dla nauczycieli, ale sytuacja domowa zmieniła jej wszystkie plany.

– To jutro przyjdę do was i powiem ciotce, jak się umówiliśmy. Dziękuję ci, aniele. – I zniknęła w czeluściach nowo otwartego Banku Niemiecko-Amerykańskiego, zanim Felicja zdążyła zareagować.

W następnym tygodniu rozpoczęły się lekcje i Felicja ze zdumieniem musiała przyznać, że Wiera jest wyjątkowo pojętną i dociekliwą uczennicą. Zadawała też setki, z reguły bardzo wścibskich pytań dotyczących tutejszych ludzi, co wprawiało jej nauczycielkę w pewien popłoch. Nie była przyzwyczajona do takiej otwartości, jaką prezentowała ta dziwna kobieta. Wydawało się, że nie ma dla niej niewygodnych tematów.

– Co sądzisz o czarnoskórych ludziach? – Zmuszała w ten sposób Felicję do zastanawiania się nad formułowaniem własnej opinii. – Czy kobieta, która nie wyszła za mąż, jest mniej

wartościowa od mężatki? – A zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek powiedzieć, rzucała jakby nigdy nic: – Myślisz, że August i Matylda byli kiedyś kochankami?

Wiera zbyt szokowała Felicję, by ta pragnęła się do niej zbliżyć, jednak spotkania w Winona Hotel bardzo się jej spodobały. Dzięki pogawędkom w hotelowym saloniku przy popijaniu herbaty i chrupaniu babeczek zaglądała jakby w inny świat, który do tej pory sobie jedynie wymyślała. Hotel położony był w samym sercu miasta. Dzięki temu mogła przypatrywać się elegancko ubranym damom, które wraz ze służącymi wybierały się na zakupy do najlepszych sklepów, mężczyznom z grubymi cygarami w zębach wchodzącym do saloonów, młodym urzędnikom wybiegającym w zaręczawkach z banku, by kupić lemoniadę.

– Kim chcesz zostać w życiu? – Wiera żądała odpowiedzi, a Felicja wiała się jak piskorz. – Dziennikarką? A o czym chciałabyś pisać?

Jeden raz Halmanównie udało się zbliżyć z tropu starszą towarzyszkę.

– A jaka jest żona Joachima, Luiza?

Wcześniej rozmawiały o Rozalii. Wiera wprawdzie jej nigdy na oczy nie widziała, ale dużo dobrego zdążyła o niej u Hallmannów usłyszeć, kiedy jednak padło pytanie o Luizę, na jej czole pojawiła się bruzda. Przez chwilę milczała, a potem odpowiedziała:

– Pani Luiza, zamiast być człowiekiem, woli być damą.

Słyszając odpowiedź, Felicja stwierdziła, że nie będzie próbowała wyjaśniać sprawy listów oraz tego, dlaczego Luiza nie uprzedziła ich wprost o przyjeździe Wiery. Wyglądało na to, że obie panie nie darzą się sympatią.

Tego dnia Felicję zwolniono wcześniej do domu ze szkoły z powodu choroby nauczycielki matematyki miss Simpson. Postanowiła więc, że pomoże Matyldzie przy obiedzie, a potem posadzi bulwy kwiatów, które poprzedniego wieczoru zostały przysłane ze sklepu Jaszewskiego. Nie musiała się z nim spotykać, by mu podziękować. Umówili się na sobotnie przedpołudnie. W liściku, który otrzymała, napisał, że ma dla niej niespodziankę.

– Byłam u Helenki – rzekła od progu Matylda. Felicja od razu zauważyła, że jej pomoc przy obiedzie będzie całkowicie zbędna. Był już przygotowany, a stół w kuchni nakryty. Ciotka włożyła nawet do małego dzbanka bukietek stokrotek. – Ma do ciebie pretensje, że w ogóle do niej nie zachodzisz. Ja, mówiąc szczerze, też tego nie rozumiem. Nie obchodzi cię siostrzeniec? Dorianek jest taki słodki i zupełnie podobny do naszej rodziny.

– Ależ obchodzi, ciociu. Wiesz przecież, jaka jestem zajęta. Za chwilę mam egzaminy, a poza tym te lekcje...

– Wiem, wiem. Helenka zdążyła mnie pouczyć, że spotykasz się z dziwnymi osobami i włączysz z nimi po hotelach. Już jej zdążyli donieść. I jak się domyślasz, jest twoim zachowaniem zgorzonia, choć mimo wszystko nie wyklucza podania nam na Wielkanoc indyka faszzerowanego truflami. Podobno Dora potrafi go świetnie przyrządzać. Widać jaśnie panience znudziły się nasze tradycyjne *jastrë* i jajecznicą na boczku w pierwszy dzień świąt. – Matylda była w swoim ironicznym nastroju. Felicja miała wrażenie, że przy surowej matronie Helenie sześćdziesięcioletnia ciotka to niesforna dziewczynka. – Ale powiedz mi, Felu – nagle spowaźniała – czy coś zaszło między wami. Bo chyba nie jesteś zazdrosna o szczęście siostry, prawda?

– Ja zazdrosna! Ależ ciociu, jak możesz... – Nie zdążyła skończyć, bo ktoś zaczął walić do drzwi.

– Pewnie August coś niesie – uznała Matylda i nacisnęła klamkę. – Trzeba mu pomóc.

Za drzwiami stało dwóch zdyszanych mężczyzn. Na widok ciotki szybko zdjęli czapki i skinęli głowami.

– Dzień dobry – powiedziała Matylda, ale oni stali, wyraźnie roztrzęsieni, nie mogąc

wydusić z siebie ani słowa. – O co chodzi, panowie?

– Pani Halmanowa? – wyjąkał po polsku młodszy z nich, lekko piegowaty. – Wypadek był w tartaku. Józek...

– Co...? – Krzyk Matyldy był tak przeraźliwy, że wuj momentalnie zeskoczył ze znajdującego się za domem rusztowania i dobiegł do kobiet.

– Józul nie żyje! – Felicja obróciła ku niemu zapłakaną twarz.

– On żyje – wtrącił szybko piegowaty. – Ale... – Potrząsnął głową z rozpaczą.

\* \* \*

– To moja wina! To ja go namówiłem, żeby pracował w tym przeklętym tartaku – jęknął August i odwrócił zalaną łzami twarz. Widział w życiu różne makabry, ale widok wątlęgo ciała Józula leżącego wśród trocin był dla niego nie do zniesienia.

– Nie mogliśmy go podnieść. Tak strasznie krzyczał – wyjaśnił piegowaty robotnik. – On ma chyba wszystko połamane w środku. Teraz pewnie zemdlął, a może już kona.

– Niech pan zamilknie. – Matylda rzuciła się do Józula. Uklękła przy nim i gładziła jego czoło. – Nie dam ci umrzeć – szeptała mu gorączkowo do ucha. – Za nic! Pamiętasz, jak wyleczyłam cię z zapalenia płuc? Teraz też tak będzie.

– Czy wezwano lekarza? – wykrzyknął August do stojących obok robotników.

– Pan Jones od razu po niego posłał. Lada moment powinien dojechać.

Felicja miała wrażenie, że wszystko przed jej oczami dzieje się na niby. Nogi i głowa robiły się coraz cięższe.

– Odsuńcie się natychmiast, wracajcie do swoich zajęć. – Jones rozganiał gapiących się mężczyzn. – Bo skreślę wam dniówkę.

– Jesteśmy tu, bo ten chłopak omal nie zginął – odpyskował mężczyzna w czerwonej kraciastej koszuli. – Bo ktoś maszynę włączył. Ciekawe, który to? I z czyjego polecenia?

Jones pobladł.

– Ty, Petersen, uważaj! Myślisz, że jak jesteś w związku, to możesz sobie na wszystko pozwolić. Ja już od dawna mam cię na oku. Jak wylecisz, nigdzie w mieście nie znajdziesz posady.

– Jones, przestań ty wreszcie ludziom wygrażać – zdenerwował się August. – Bierz dupę w troki i dawaj tu lekarza. Natychmiast. Rozumiesz?

Chociaż wuj był o dwadzieścia lat starszy, nadal był bardzo postawny i silny, więc Jones, słysząc to, natychmiast zamilkł. Rozejrzał się dokoła i widząc wokół jedynie nieżyczliwe twarze, odwrócił się na pięcie i szybko oddalił.

– Powietrze mu zabieracie – bąknął na odchodne. – Ja tylko dla jego dobra.

– Macie tu jakiś koc? Trzeba by go przykryć – poprosiła Matylda, nadal klęcząca nad Józefem.

Felicja wciąż była zbyt słaba, by uklęknąć tam razem z nią. Nie miała pojęcia, co się z nią dzieje.

– Jak to się mogło stać? – August potrząsał głową.

– Sami nie wiemy. Wasz chłopak oliwił tę maszynę – zaczął wyjaśniać Petersen i wskazał na jedno z kół zamachowych – kiedy ktoś ją włączył. Ubranie zahaczyło o ząb tego koła i go wciągnęło.

– Uderzył kilka razy o platformę, zanim zdążyli wyłączyć maszynę – dodał piegowaty. – Doprawdy cud, że żyje. Tak go przemaglowało, że inny to byłby trup.

– Zamknij się natychmiast! – wrzasnął Petersen i złapał piegusa za poły koszuli.

W oczach Felicji nagle pociemniało i z pewnością by upadła, gdyby ktoś jej nie pochwycił wpół.

– Miss, panienko! Proszę oddychać powoli. – Ale nie mogła. Robiło się jej coraz słabiej. – Proszę spróbować. Już idzie lekarz. – Siłą woli zachowała przytomność. Znowu ciało ją podstępnie zawodziło. Zaczęła wolno oddychać i po chwili obraz przed jej oczami znów się rozświetlił. Ręka podtrzymująca ją w pasie jąła się wycofywać.

– Chyba już lepiej, prawda?

To był ten mężczyzna od Hieronima Derdowskiego, Tom, skojarzyła Felicja. Miał mu pomagać przy gospodarstwie. Co on tutaj robił?

George Tweedy nachylił się nad Józulem. Doktor miał przy sobie skórzaną torbę, z której wyjął kilka przyrządów potrzebnych do badania. Wszyscy w hali wstrzymali oddech, oczekując werdyktu.

– Żyje – oświadczył po dłuższej chwili i nakazał zgromadzonym, by znaleźli deskę, na której rannego można by przenieść do domu. – Tam go zbadam – oznajmił.

Wreszcie mogli się do czegoś przydać, jakoś pomóc, mężczyźni więc błyskawicznie znaleźli oheblowaną deskę, która doskonale nadawała się na nosze. Najgorszy był moment włożenia na nią Józula. Wystarczyło podnieść mu nogę, żeby ocknął się i zaczął wyć z bólu.

– Boże przenaświęty, doktorze. Dajcie mu coś, by tak nie cierpiał – błagała Matylda.

Doktor Tweedy wiedział, co ma robić. Ponownie sięgnął do czarnej przepastnej torby. Zastryk z morfiny uspokoił chłopaka w ciągu paru minut.

– Chodźmy, ciociu. – Felicja pomogła Matyldzie powstać z kolan. Miarowe oddychanie pozwoliło przezwyciężyć pierwszy szok i zaczęły wracać jej siły. Rozejrzała się za Tomem, ale chłopak zniknął z hali.

Józul leżał już na prowizorycznych noszach. Jego towarzysze podnieśli go silnymi ramionami delikatnie jak porcelanowe cacko. Felicja chciała podejść i wziąć brata za rękę, ale dopiero teraz ujrzała, że jest nienaturalnie wykręcona. Z oczu pociekły jej łzy.

– Chodź. Musimy tam być pierwsze. Trzeba zrobić miejsce w izbie, żeby mieli go gdzie położyć. – Matylda dotknęła jej ramienia. Zawsze potrafiła zachować zimną krew i wiedziała, co robić.

Pod komendą ciotki, która co chwila przychodziła z izby z nowymi zaleceniami doktora, Felicja krzątała się po kuchni. Rozpaliła w piecu, nastawiła garnek wody, położyła na podłodze makatkę, by doktor mógł wygodnie klęczeć przy Józulu, wyjmowała czyste ręczniki z komody. Chciała być jak najbardziej przydatna w tej strasznej chwili, w której nawet wuj August się poddał. Siedział tylko w kącie z pochylonymi ramionami i łkał.

– Doktor mówi, że ma ponad siedemdziesiąt połamanych kości – mówił, obcierając nos wierzchem ręki. – Nie wiedziałem nawet, że człowiek tyle ma w swoim ciele.

– Wuju, jest ich znacznie więcej – uspokajała go Felicja, stale próbując miarowo oddychać. Wydawało jej się, że nie potrafi już odruchowo zaczerpnąć powietrza.

– One się nigdy nie zrosną. Umrze w cierpieniach.

– Nie damy mu umrzeć.

– Nie gadaj głupstw – zdenerwował się August na dziewczynę. – Nawet lekarz nie wie, co robić. Księżda trzeba wezwać. Gdyby nie ten łotr Mortenson, nigdy by się to nie zdarzyło!

Nagle drzwi do kuchni otworzyły się i stanęła w nich Wiera Wilczewska. Widać, że przybyła tu w pośpiechu, bo jej kapelusz był niemal przekręcony na bakier, a ona sama zziązana.

– Gdzie on jest?

– W izbie. Doktor Tweedy się nim zajmuje. Jest bardzo źle. – Felicja wybuchnęła płaczem. Chciała się nawet przytulić do Wiery, ale ta złapała dziewczynę za fartuch i pociągnęła ją do drzwi.

– Chodź ze mną. Pomożesz tłumaczyć. Ja wiem, co trzeba robić! – oświadczyła.



## Rozdział VII

Doktor Tweedy nie był zadowolony. Felicja widziała jego minę. Ale w oczach Matyldy pojawiła się nadzieja.

– Czy ta pani jest lekarzem? Czy kiedykolwiek leczyła ludzi?

– Oczywiście, powiedz temu bezbarwnemu sztywniakowi, że leczyłam. Może nie przed jego urodzeniem – Wiera szybko oszacowała wiek doktora – ale od wielu lat. Widziałam dwa takie przypadki trudnych złamań i zawsze ta metoda była skuteczna.

– Dwa przypadki! – prychnął Tweedy. – Ale z pewnością nie było aż tyle złamań.

– Nie było – przyznała Wiera, wachlując się chusteczką. W izbie zaczął się robić zaduch, więc Felicja rzuciła się otworzyć okno. – Panie doktorze szacowny wielce, Fela, tłumacz, a czy pan miał już taki przypadek? Nie, więc się pan tu nie mądrzy. Musimy spróbować. Nie ma innych sposobów pomocy. Dzieciaka przecież przemielilo!

Tweedy podniósł się z kolan i spojrzął na nieprzytomnego Józula z dziwnie powyginanymi kończynami. Nagle z jego twarzy zniknęły arogancja i złość. Zamyślił się. Trzy kobiety wstrzymały oddech.

– O leczniczym mule wspominali już Pliniusz i Herodot – powiedział na głos, ale bardziej do swoich myśli niż do nich. – Ma właściwości kojące zapalenie stawów. Może zabija też bakterie? – Z nagłym błyskiem w oku spojrzął na Wierę. – Ale trzeba by go całego wsadzić do tego błota.

– Najlepiej! – przytaknęła Wiera, ale widać było, że żadnego pomysłu w tej sprawie nie ma.

Tweedy znowu się zamyślił. W izbie było cicho jak makiem zasiał. Lekarz przyjrzał się uważnie Józulowi.

– Musimy mieć wannę do tego błota. Taką, żeby swobodnie w niej leżał. Jedyne głowę może na czymś oprzeć. To szczęście, że szyi nie skręcił i ma czucie w nogach.

– Wuju! – Felicja pobiegła z powrotem do kuchni. – Musimy mieć dużą wannę.

Ze zdumieniem zauważyła, że stryj stoi przy drzwiach wejściowych i rozmawia z Hubertem Jaszewskim. Skinęła mu głową na powitanie i zauważyła, że mężczyzna się zaczerwienił.

– Jaką wannę? – spytał wuj i odwrócił się od drzwi.

Jaszewski skorzystał z okazji i wszedł do środka. Nie jest to dobry moment na wizyty towarzyskie, pomyślała. Czy sam tego nie rozumie?

– Taką wielką – odparła i zaczęła wyjaśniać, o co doktorowi chodzi. Z pewnością znalezienie takiej nie będzie proste, ale może ktoś spróbuje to zrobić.

Stryj podrapał się po głowie. Zauważyła, że oczy wciąż ma zaczerwienione od łez.

– Trudno będzie zrobić taki duży odlew, choć nasz Józul nie był wielkoludem.

– Wuju, Józek żyje i będzie zupełnie zdrow! – Felicja zezłościła się na obu mężczyzn. Na wuja za jego czarnowidztwo i na Jaszewskiego, że nie miał za grosz taktu. – Panie Hubercie, jak pan widzi, jesteśmy teraz bardzo zajęci. Jest u nas lekarz.

A teraz przebywał tylko z Wierą. Sami nie mogli się przecież dogadać.

– Ja wiem, jak zrobić taką wannę! – oznajmił nagle Jaszewski.

Jego słowa zatrzymały Felicję w pół kroku. Spojrzała na niego ogromnymi ze zdumienia oczami.

– Jak to? Pan?

– Ja sam nie, ale wiem, kto wam to robi. Mój znajomy, który ma odlewnię i emaliernię.

Sprzedają w sklepie wiele jego produktów. Jeśli na przykład chcieliby państwo nowy zlew...

Tym razem wuj ocknął się ze stuporu i klepnął Jaszewskiego w plecy, zanim ten zdążył na nowo urządzić im kuchnię.

– To nie ma co czekać! Mierzmy chłopaka i idźmy do niego.

„Mierzmy” – na to słowo Felicja aż się wzdrygnęła. Brzmiało jak branie miary na trumnę.

Minęły jednak cztery dni, a Józul uparcie trzymał się życia, choć czasami, gdy przeraźliwie krzyczał z bólu, wyglądało na to, że koniec się zbliża. Na szczęście jednak przez większość czasu był uspioony miksturami Wiery. Doktor zachodził do nich rano i wieczorem, nie miał więc pojęcia, kto majstruje przy chorym w czasie jego nieobecności. Trochę go dziwiło, że chłopak niemal ciągle śpi.

– To lepiej dla niego. Przynajmniej go nie boli – uznał.

Najgorszym momentem było przeniesienie Józula do cementowej wanny specjalnie odlanej przez znajomego Jaszewskiego. Była ogromna i postawiono ją w izbie w niedokończonych częściach domu. Nie było tam jeszcze okien, więc wuj zamknął otwory w ścianie za pomocą desek i siatki. Na szczęście już wcześniej pocięto ubranie chłopaka na kawałki i zupełnie nagiego wpuszczono do błota, do którego Wiera dodała różne mikstury i zioła. Ramiona i głowa Józula umieszczone były w specjalnej uprzęży, by zapobiec utopieniu się w błocie. Na wszelki wypadek i tak ciągle ktoś przy nim czuwał. Kiedy był przytomny, dostawał coś do picia, ale jeść nie chciał, bo zbyt go bolało. Wtedy zaczynał rozpaczliwie krzyczeć. Matylda potrafiła sobie z tym poradzić, nawet Helena, która teraz codziennie przyjeżdżała do brata, ale Felicja trzęsła się z przerażenia jak osika. Na szczęście Wiera była teraz u nich niemal przez cały czas, a jej Joachimek gonił kury po podwórku. Szkoda tylko, że potem nie chciały się nieść.

– Dobrze się tu czuje – zauważyła któregoś dnia Matylda. – Niepotrzebny mu ten hotel.

– Właśnie. – Wiera nasmarowała czymś twarz Józula i odwróciła się do Matyldy. – Myślę, że byłoby najlepiej, gdybym mogła tu z wami zamieszkać. Ktoś musi się zajmować chłopakiem, bo Felicja wraca do szkoły. Niedługo ma przecież egzaminy, prawda?

Dziewczyna skinęła głową. Od kiedy zdarzył się wypadek, nie myślała ani o szkole, ani o innych rzeczach.

– Naprawdę? – Matylda nieba by przychyliła tej, która uratowała jej bratanka.

– Tak, ale pod jednym warunkiem. I to bezwzględnie. – Wiera uniosła palec.

– Na wszystko się zgodzimy. Prawda, Auguście?

Wuj szybko skinął głową.

– Ja wam zapłacę za pokój. Tylko tak się zgodzę.

Cóż było począć, musieli na to przystać. Nie było innego wyjścia. Poza tym było to jedyne logiczne rozwiązanie ich problemów. Kiedy Józul nie pracował, nie mieli przecież z czego żyć ani też z czego skończyć przebudowy domu. Tych parę dolarów z redakcji gazety było zbyt nikłym zastrzykiem finansowym. Felicja miała nadzieję, że Matylda poprosi o pomoc kuzyna Joachima.

Stryj przeniósł się do kuchni ze swoimi rzeczami i przygotował izbę dla Wiery i jej syna, którzy trzy dni później zjechali do nich na stałe ze swoimi kuframi. Mimo tego rodzinnego tłoku zrobiło się znacznie raźniej. Tylko Helena się oburzyła:

– Nie wolno się na to zgodzić!

– To jest doskonałe rozwiązanie – tłumaczyła Matylda. – Wiesz, że musimy jak najszybciej dokończyć przebudowę domu. Trzeba jakoś zarabiać na życie. Nie mogłabyś pożyczyć wujowi trochę dolarów? Powinno się szybko zwrócić.

– Pożyczyć? – Helena pochyliła głowę. – Przecież wiesz, że nie mam żadnych swoich

pieniędzy, tylko na życie.

– Myślałam o Franku.

– Nie będę go nawet pytać – oświadczyła szorstkim tonem. – Zainwestował teraz wszystkie pieniądze w zakup nieruchomości. Będzie rozbudowywać rzeźnię. Nie mogłam nawet kupić sobie nowej sukienki.

– Sama widzisz. Wiera jest naszą wybawicielką – dorzuciła Felicja, czując, że z każdym dniem siostra coraz bardziej się od niej oddala. Przez tyle lat mieszkały razem pod jednym dachem, zwierzały się sobie ze wszystkiego i raptem miała do czynienia z kimś zupełnie innym.

– Kim ta kobieta jest? Cała rodzina mnie o to pyta – rozkręcała się Helena. – Bo tak wyzywająco się zachowuje. Widziano ją nawet w saloonie, a przecież to jest rozrywka tylko dla mężczyzn i kobiet lekkich obyczajów. No cóż, ona też jest wystrojona jak... kokota!

– Waż słowa, Helu. Ona uratowała twojego brata.

– Miejmy nadzieję, ale czy ciocia coś o niej wie? Ludzie mówili na mieście, że ona potrafi wróżyć jak jakaś Cyganka. Wstydu się wszyscy najemy.

Matylda się wyprostowała. Zawsze była wysoka, ale teraz się wydawało, że góruje nad Heleną o głowę.

– Nie masz prawa tak się odzywać w moim domu – powiedziała zdecydowanym głosem do bratanicy. – Wiera jest moim gościem i będzie tu mieszkać. A ty się postaraj, żeby twój własny dom był równie przyjaznym miejscem.

Helena się popłakała, chwyciła kapelusz i odjechała powozem Bronków. Nie przychodziła na Maple Street przez dwa dni, a potem, kiedy wróciła, nie nawiązywała już do tematu Wiery. Felicja zauważyła jednak, że siostra stała się oschła i zasadnicza, w dziwny sposób podobna do swojej teściowej. Wyglądało na to, że zamierza ją naśladować. Nie chciała nic u nich pić czy jeść. Odwiedzała ich tylko po to, by posiedzieć przy bracie, a potem wychodziła bez słowa. Felicja niemal się z nią nie widywała, bo siostra wpadała do domu zawsze z rana, kiedy ona przebywała w szkole.

Po tygodniu Józul po raz pierwszy poprosił o jedzenie. Było widać, że choć nadal go boli, zaczął teraz cierpieć z powodu unieruchomienia w błotnej kąpieli. Z pewnością byłby jeszcze bardziej przerażony swoją sytuacją, gdyby nie głębokie przekonanie Wiery, że wyjdzie z tego bez szwanku.

– Widziałam już takie przypadki. Ludzie zdrowieli – mówiła to tonem nieznoszącym sprzeciwu, więc Józul uznał, że się na tym zna. – Parę miesięcy to potrwa. Tymczasem trzeba się czymś zająć, więc mi lepiej powiedz, jak będzie po angielsku: „prawdziwy dżentelmen z dochodem rocznym powyżej tysiąca dolarów”. Nie wiesz? To co tu przez tyle lat robiłeś?

Wyglądało, że modlitwy o życie bratanka zostały wysłuchane. Nie był to jeszcze jednak koniec zmartwień Matyldy. Cały czas rozmyślała teraz o tym, czy Józul będzie mógł chodzić po zakończeniu kuracji i jak bardzo będzie zdeformowany. Korzystając z wolnej chwili, postanowiła więc pójść do kościoła i tam się pomodlić. W świątyni taka modlitwa będzie miała właściwy charakter, pomyślała. Tym bardziej że zbliżała się Wielkanoc, a ona nie była ani razu na gorzkich żalach ani na żadnym innym nabożeństwie. Nie miała też czasu włączyć się w parafialne przygotowania do święta. Zawsze to ona była w grupie strojącej ołtarz. Pewnie się na nią obrazili. A może sam ksiądz też? Jakby się dobrze zastanović, to dziwne, że nawet ich nie odwiedził przez cały tydzień, a Matylda nie wierzyła, że wieść o wypadku Józula do niego nie dotarła.

Modliła się pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, zapaliła świecę za zdrowie bratanka, ale cały czas czuła się niepewnie. Zaczęła podejrzewać, że pech prześladowający rodzinę

Hallmannów dotarł do nich przez ocean. Czekał przez kilka lat tylko po to, żeby z nich zakpić. A myśleliście, że wam się uda zgubić? Niedoczekanie wasze!

Zamyślona przeżegnała się, podniosła z kolan i już chciała się obrócić do wyjścia, kiedy zobaczyła wychodzącego z zakrystii wikariusza, księdza Zenona.

– Pani Matyldo! – Sam do niej zagadał, więc zatrzymała się przy obrazie, czekając, aż do niej zejdzie. – Dobrze, że was spotykam. Myślałem, że już przestaliście chodzić do naszego kościoła. Wielkanoc się zbliża...

– A niby dlaczego miałabym przestać, proszę księdza? – obruszyła się Matylda.

– Skoro takie rzeczy się wyprawiają w waszym domu, to nie byłoby dziwne.

– A co się wyprawia? – Matylda była harda i nie bała się nikogo. A jeśli chodzi o osoby duchowne, to musiały one mieć coś więcej niż sutannę, żeby je mogła szanować.

– Niechrześcijankę trzymacie pod waszym dachem. A ona guśła odprawia i mąci ludziom w głowach.

– Jakie guśła? Leczy mojego bratanka. I nie tylko ona. O wszystkim wie doktor Tweedy i to aprobuje.

– Bo nie jest katolikiem i nie jest częścią naszej społeczności. A wy, córko, węża nam podrzucacie.

– Wiera nie jest żadnym wężem. To dobra i uczynna kobieta. – Matyldę ogarnął taki gniew, jakiego nie czuła od lat.

– Ha! Już wam oczadziła umysł. Miała rację wasza bratanica.

– To Helenka nas przed księdzem oczernia? – Tego się nie spodziewała. Do tej pory się nie zdarzyło, żeby ktoś doniósł. Nawet wówczas, trzydzieści pięć lat temu, kiedy najbardziej się o to bała. Zawsze uważała więc, że na najbliższych krewnych może najbardziej liczyć.

– Pani Bronkowa wie, co mówi. To z troski o was.

– Ładna troska. Jak ksiądz może takie rzeczy mówić na temat pani Wiery Wilczewskiej, kiedy ksiądz jej nie zna. A poza tym skąd księdzu przyszło do głowy, że to nie jest katoliczka. A kto jej dawał ślub na Syberii, jak nie polski kapłan skazaniec?

Ksiądz Zenon się zmieszał, ale nie chciał tak łatwo ustępować.

– Pewnie wam bajki opowiada.

– Widziałam świadectwo ślubu. – Matylda nie mogła się oprzeć, by nie wysunąć podbródka dla podkreślenia swych słów. Trudno, będzie żyła z grzechem kłamstwa.

– Wszystko można kupić w tych czasach. – Ksiądz Zenon był absolutnie odporny na wszelkie argumenty, pożegnała się więc z nim szybko i oschle i postanowiła nie pomagać w kościele przed świętami.

Matylda sama nie była przekonana o tym, czy Wiera jest katoliczką, ale zupełnie o to nie dbała. Ich najbliżsi sąsiedzi byli luteranami, po przeciwnej stronie mieszkali ewangelicy, a na końcu ulicy znajdował się warsztat szewski należący do pana Blumberga, rosyjskiego Żyda. I wszyscy potrafili się doskonale dogadać, pod warunkiem że nikt z zewnątrz nie mieszał się w ich sprawę.

Przy okazji poruszyła ten temat u Joanny Derdowskiej, kiedy ją odwiedziła.

– Nie fraszujcie się, pani Matyldo. – Derdowska z uśmiechem wręczyła jej filiżankę z herbata. – Wikariusz już od nas odchodzi. Pewnie dlatego próbuje robić na siłę ostatnie porządki.

– Naprawdę?

– O tak, dość ciężko mu się wśród Kaszubów żyło. I powiem drogiej pani na ucho, iż sądzę, że jest to kolejna zasługa mojego męża – powiedziała i puściła oko do Matyldy.

– Znowu się pokłócił?

– Nawet nie. Po prostu Heruś przypomniał mu, co tak niedawno działo się w naszej para-

fii.

Matylda pokiwała głową. Każdy Polak w Winonie o tym przecież słyszał: o historii buntu parafian przeciwko księdzu. W sześciu się zebrali do kupy przed sumą i kiedy ksiądz szedł z wodą święconą, złapali go. Zerwali z niego albę, wzięli kropidło i je wyrzucili. Nie było potem żadnej mszy. Zrobił się wielki rejwach, kobiety mdlały i histeryzowały. Biskup McGrolick z Saint Paul, kiedy się o tym dowiedział, obłożył winońską parafię interdyktem. Niemal przez rok nie odprawiano mszy ani nie wykonywano innych obrzędów liturgicznych. Matylda jednak dobrze wiedziała, iż wówczas Derdowski stał po stronie tamtego księdza. A teraz...

– No cóż. Mój mąż nigdy nie przestaje walczyć. Nawet w zagrożeniu atakiem apopleksji – powiedziała Derdowska i westchnęła ciężko.

Nielekką być żoną wybitnego człowieka, pomyślała Matylda.

## Rozdział VIII

– Ach, co byśmy poczęli bez pana Jaszewskiego! – Matylda aż klasnęła w dłonie, zachwycając się nową emaliowaną miską w kwiatki.

To był zaledwie drobiazg, bo przecież ich nowy znajomy zrobił o wiele więcej. Przysłał na przykład dwóch stolarzy, którzy w ciągu dwóch dni wykończyli to, z czym August nie mógł się uporać sam od paru tygodni. Położyli podłogę, wstawili okna i na dodatek zbili łóżka.

Może gospodarz nie zgodziłby się na to, ale nie miał wyboru. Wrócił mu ból krzyża, i to tak dotkliwy, że aż Wiera rozkładała bezradnie ręce. „Musi przeleżeć co najmniej tydzień”, oznajmiła, a potem dała Matyldzie maść, którą miała smarować plecy chorego. W ten sposób dwóch mężczyzn w domu znalazło się w pozycji leżącej, nie wiadomo na jak długo i z jakimi prognozami na wyleczenie. Domowe sprawy do załatwienia przypadły kobietom.

– Proszę się nie martwić. Ja sam wszystkiego dopilnuję. Możecie już dać do gazety ogłoszenie w sprawie wynajmu. Pokój będzie gotowy w przyszłym tygodniu – obiecywał Augustowi Hubert Jaszewski.

Ale po co w gazecie, zadały sobie pytanie kobiety, choć Derdowski pewnie nie wzięłyby od nich za to grosza. Potrzebowały najwyżej trzech lokatorów, bo przecież drugie pomieszczenie, w którym mieli zamieszkać goście, zajmowała cementowa wanna z Józulem. Matylda postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i z samego rana pomaszerowała do tartaku Lairda.

Na początku miała zamiar wypisać adres domu na małych karteczkach, ale szybko doszła do wniosku, że ich potencjalni lokatorzy mogą się wystraszyć słowa pisanego. Stanęła więc przy bramie, czekając na ranną zmianę, kiedy zauważyła znajomą twarz.

– Pani Halman!

Tym razem ona sama została zaczepiona. Odwróciła głowę i ujrzała przed sobą kierownika Jonesa. Zdjął czapkę i skłonił się jej.

– Dzień dobry. – Miała nadzieję, że nie będzie z nią rozmawiał. Nie rozumiała wszystkiego, co do niej mówiono po angielsku.

– Niech pani tu nie wystaje – powiedział, na szczęście dość wolno.

– Ale ja tylko... – zaczęła mówić, lecz Jones jej przerwał:

– Chodzi mi o to, że ja sam pani znajdę ludzi. Nie musi pani tu być.

Popatrzyła na niego zdumiona. To przecież ten sam człowiek, który wyrzucił Augusta z pracy. Jones jakby zrozumiał jej myśli i się zachnął:

– Ja wiem, że macie do mnie pretensje. Ale to nie jest mój tartak. Ja też mam szefów. I powiem jeszcze jedno. To nie ja dałem polecenie włączenia maszyny, kiedy młody ją oliwił. To był nieszczęśliwy wypadek.

Matylda spojrzała mu prosto w oczy. Potem skinęła głową i odeszła powoli od bramy.

Tydzień później pojawiło się na Maple Street trzech Polaków, którzy chcieli u nich wynająć kwaterę. Wszyscy byli przysłani przez Jonesa. Dwóch swojaków, a trzeci z Kongresówki, zupełnie zagubiony w nowym świecie. Pokój przypadł im do gustu, warunki finansowe również, chociaż ten „ruski” zrezygnował z opierunku. Wszystko wskazywało na to, że ponownie uda im się przetrwać kryzys.

– Popatrz, dziecko, tylu dobrych ludzi – zachwycała się Matylda. – Pewnie im się za chwilę znudzi, ale przynajmniej na początku nam pomogą.

Oprócz pomocy przy domu i ze znalezieniem lokatorów Halmanowie otrzymali dużo zapasów jedzenia, szczególnie wiele frykasów dla Józula, żeby szybko dochodził do zdrowia.

Po miesiącu chłopak zaczął odzyskiwać apetyt, ale Wiera kazała go żywić głównie jajkami i owsianką. Co tydzień podczas obecności doktora wymieniana była część błota. Józul miał już teraz lepszą podpórkę. Nie było obawy, że się osunie w głąb. Mógł sobie leżeć w wannie jak w łóżku pod pierzyną. Z każdym tygodniem doktorowi poprawiał się humor i coraz mniej liczył sobie za każdą wizytę.

– Tylko szkoda, że Helenka tak rzadko przychodzi – zauważyła ciotka. – Ale to można zrozumieć. Mąż, małe dziecko, teściowie. I goście. Wiesz, że ona musi przyjmować raz w tygodniu? – zwróciła się do Felicji studiującej podręcznik do angielskiego.

– To chyba męczące – odparła dziewczyna, która padała na nos od codziennej pracy. Zrywała się o piątej, żeby rozpaścić ogień i przygotować śniadanie dla nowych lokatorów i pozostałych domowników. Kiedy tylko udało się jej po nich posprzątać, biegła do szkoły, a po powrocie musiała znowu gotować i sprzątać, opiekować się Józulem, odbyć lekcje angielskiego z Wierą, a wieczorami uczyć się i przepisywać teksty do gazety. Wiedziała jednak, że inni też nie mają lekko, choć akurat może nie Helena, która miała do pomocy dwie służące i teściową. – Już się nie mogę doczekać końca szkoły – mruknęła znad książek. – Choć myślę, że pewnie nie zdam tych ostatnich sprawdzianów.

Matylda rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Nawet o tym nie myśl. Masz je zdać i już. Nie wiesz, kiedy to wszystko ci się jeszcze przyda.

Ciekawe kiedy, pomyślała Felicja, ale wiedziała, że nie ma wyboru. Jej polska przyjaciółka, Rozalia, również stale motywowała ją do nauki. Nie mogła ich wszystkich zawieść.

– A wybierasz się na tańce w sobotę?

– Ja na tańce? – Odłożyła książkę i potarła powieki. Dość na dzisiaj, postanowiła, tym bardziej że temat był poruszający.

– A dlaczego nie? – odezwała się nagle Wiera, która warzyła przy kuchni jakieś zioła. – Ja bym się wybrała. Pójdziemy wszyscy! Pani też, Matyldo. A ten twój Jaszewski, Felicjo, jeszcze cię nie zaprosił?

– Jaki mój! – oburzyła się dziewczyna.

– No nie robi on do mnie maślanych oczu, to chyba nie mój. – Wiera się zaśmiała.

Czasem trudno znieść taki niewyparzony język, szczególnie kiedy dotyczy tak osobistych spraw, uznała Felicja, której coraz bardziej się wydawało, że Jaszewski powoli wkrada się do ich domu. Był po prostu niezbędny i niezawodny. Zawsze szarmancki i umiejący się zachować wobec ciotki i wuja. Miała nieodparte wrażenie, że widzi go na każdym kroku i jest przez niego obserwowana. Stawało się to coraz bardziej irytujące, choć kiedy zaczął się temat tańców, dziewczyna musiała stwierdzić, że w równym stopniu denerwuje ją to, iż Hubert nawet się o tym nie zająknął, choć potańcówkę planowano już od długiego czasu. Wszystkie znajome szykowały się do niej i szyły sobie nowe sukienki specjalnie na tę okazję. To nie miała być jak zawsze zabawa wyłącznie dla parafian, tylko impreza, w której za drobną opłatą mógł wziąć udział każdy. A nawet powinien, gdyż głównym organizatorem potańcówki było stowarzyszenie Winona General Hospital Association. Zbierano pieniądze na miejski szpital, działający nie dla zysku, w którym opieką objęto by różnego typu pacjentów.

– W domu jest chory. Nie wypada nam chodzić na tańce – odpowiedziała zdecydowanym tonem Felicja.

– A to już głupstwa, dziewczyno, opowiadasz – zauważył wuj, który pojawił się w drzwiach izby. – Toż na szpital te pieniądze. A ty zabaw się teraz, bo za chwilę młodość ci uleci! – zapowiedział.

Wiera aż klasnęła w ręce.

– Najświętsza racja, panie Auguście. Bawmy się, póki czas!

Felicja przewróciła oczami. Ale ci starsi ludzie są dziecinni, pomyślała.

Kiedy jednak minęły kolejne dwa dni, a Hubert Jaszewski nie pisnął ani słowem o tańcach, ani tym bardziej o zaproszeniu, dziewczyna zaczęła się niepokoić. Na nic zdało się myślenie, że jej nie interesują takie głupstwa jak jarmarczna rozrywka. Za każdym razem, kiedy ktoś wspomniał o zbliżającym się wydarzeniu, rzęda jej mina i robiło się nieprzyjemnie. Wyglądało na to, że wybierali się tam wszyscy oprócz niej. Oczywiście zawsze mogłaby pójść z Wierą, ale byłoby to przyznaniem się do klęski. A ta zbliżała się właśnie wielkimi krokami, i to wcale nie w rytm polki czy walca.

– Ile bym dał, żebym mógł jeszcze raz w życiu zatańczyć! – westchnął Józul, a błoto wokół niego zbulgotało, tak jakby próbował poruszyć w wannie nogami.

– Nie lubiłeś nigdy żadnych tańców. – Felicja spojrzała z uwagą na brata. – Nawet „szewca”. – I zaintonowała popularną piosenkę: – *Szëję bótë, szëję bótë, wecygóm draaatew!*

– Ładnie śpiewasz, Felu – pochwalił ją brat. – To prawda, że nie lubiłem. Tak jak i pisanie, i książek. Teraz, kiedy mi codziennie czytacie gazetę i książki, zrozumiałem, jak wiele straciłem. Świat jest przecież taki ciekawy. I powiem ci coś jeszcze. Tylko nie śmieć się ze mnie.

– Nie, Józus, nie będę się śmiała. I nikomu nie powiem. Wiesz o tym.

– To prawda – odpowiedział Józul, ale na wszelki wypadek zniżył głos. – Tańczyć to bym oczywiście chciał, ale moje marzenie jest inne. I nie śmieć się!

Felicja zmarszczyła gniewnie czoło.

– Zaraz cię wepchnę w to błoto!

– Bo to takie głupie jest, Fela. Ja bym najbardziej chciał zostać czyimś mężem i mieć dzieci.

– To nie jest głupie. – Dziewczyna poczuła podchodzące do oczu łzy. – Raczej normalne.

– Nie dla kaleki, Fela. Nie dla kaleki. – Brat mówił coraz ciszej.

Pochyliła się nad jego głowę i pocałowała go.

– Głuptas z ciebie, braciszku. Zobacz sam. Jeszcze parę miesięcy temu wywinąłeś się śmierci spod kosy, a teraz myślisz o ożenku. Wyliżesz się z tego, zobaczysz.

– Tak myślisz?

– Obiecuję ci – odparła Felicja i poczuła w piersiach zimno. Skąd mogła wiedzieć, czy będzie zdrowy? Nie miała w tej sprawie żadnego przeczucia. Wiedziała jednak, że nie może pozbawiać brata nadziei.

Następnego dnia, kiedy wracała ze szkoły, już z daleka zobaczyła Jaszewskiego. Tym razem nie udawał, że ogląda witrynę sklepową. Podszedł do niej, uklonił się i z miejsca zagaił o tańce. Zgodziła się bez wahania!

\* \* \*

– Egzaminy egzaminami, ale ja muszę jakoś wyglądać! – Felicja nie dawała się wygonić spać i zużyła już zarówno podwójną ilość nafty, jak i własne oczy. Od kiedy Hubert zaprosił ją na tańce, szyła i wyszywała jak opętana.

– Ta jest zupełnie ładna – oceniła Wiera.

– Miała ją niedawno na ślubie Heleny. – Matylda wzruszyła ramionami.

– Wszyscy ją więc widzieli – uznała Felicja i postanowiła przerobić swoją sukienkę o perłowej barwie z bufiastymi rękawami i rozkloszowanym dołem. Dziewczyna chciała pozbyć się wysokiej opinającej szyję stójki i zrobić z przodu lekkie wycięcie w szpic.

Buffy również musiały zniknąć, choć Matylda kiwała ze smutkiem głową, że niszczy się aż tyle dobrego materiału. Kiedy jednak zobaczyła, jak Felicja w sobotnie popołudnie obraca się w koło w przerobionej sukni, musiała uznać, że wybór bratanicy był słuszny. Wyglądała wiosen-



nie i zwiewnie, tak jak powinno się wyglądać w majowy dzień. Chciała tylko ostrzec dziewczynę, żeby się nie pakowała z tym dekoltem pod oczy zasłużonych parafian, ale zrezygnowała. Parę dni temu Derdowski szepnął jej do ucha w sekrecie, że wikary Zenon już za miesiąc opuści parafię. Nie zamierzała za nim tęsknić, tym bardziej że nastawił przeciwko nim wielu sąsiadów. Prawie każdego dnia musiała odpowiadać na ich bezmyślne uwagi na temat Wiery.

– Czy to prawda, że ona jest córką indiańskiego czarownika?

– Słyszałam, że pani Wiera potrafi wskrzeszać umarłych? Podobno wasz Józek był już martwy.

Matylda musiała jednak przyznać, że jadowite języki były takie same na starej ziemi, jak i na nowej. Pocieszało ją to, że już nie raz przeżyła takie sytuacje i każda sensacja w końcu przedstawiała ludzi interesować.

– Wyglądasz pięknie, moja droga! – Teraz cieszyła się widokiem młodszej bratanicy. Odświętna suknia wydobyła z jej urody to, co najlepsze. Włosy były wysoko upięte, a niebieskie oczy stały się jeszcze większe dzięki temu, że Wiera potarła węgielkiem jej jasne brwi.

– Pewnie już wkrótce drugie wesele.

– Ależ ciociu! – Felicja zmarszczyła czoło.

– Pan Jaszewski chyba nie będzie zbyt długo czekał.

– Nie zamierzam wychodzić za mąż. Nie chcę być jak Helena.

– I nie będziesz. Jesteś zupełnie inna niż ona. Nikt cię nie będzie do niczego zmuszał.

– Chcę żyć tak jak ty! – Fela rzuciła się Matyldzie na szyję.

– Tylko że ja w twoim wieku bardzo chciałam wyjść za mąż.

– Naprawdę?

– Ale mi nie wyszło. – Ciotka wzruszyła ramionami. – A teraz poczekaj jeszcze chwilę i się nie kręć, bo się ubrudzisz. – Sięgnęła do komody po pudrko z masy perłowej i wyjęła z niego bursztynowe serduszko na aksamitce. Pamiętała dzień, kiedy... No nie, nie będzie o tym rozmyślać, skarciła się w duchu. – To jest twój dzień! – Uroczyście nałożyła wisiorzek na szyję Felicji. Pasował idealnie. Poza tym trochę zakrywał dekolt. Uśmiechnęła się do siebie. Tak, tak, nie było wątpliwości. Starzała się!

Czy to tak wygląda prawdziwa młodość? – zastanawiała się Felicja. Pogoda wyjątkowo dopisała, choć na wypadek deszczu przygotowano stojącą nieopodal starą stodołę nad winońskim jeziorem. Felicja podziwiała rozstawione stragany z ciastami upieczonymi przez miejscowe gospodynie. Przewidziany był konkurs na najsmaczniejszy tort i można było w nim wygrać nawet dwadzieścia dolarów. Na straganach leżały też wyłożone pęta kielbasy i sery. Spragnionych kusily szklanki z lemoniadą i ponczem. Najbardziej oblegane było stoisko z zabawkami dla dzieci. Stało przy nim trzech chłopców i dęło w gliniane gwizdki tak mocno, że bębenki w uszach pękały. Wszystkie zakupione produkty miały zasilić kasę stowarzyszenia zbierającego fundusze na szpital miejski.

– Pani kochana, kiedyś to były takie piękne uroczystości. Nasze własne, kaszubskie. – Felicja usłyszała nagle narzekania w języku polskim. – Ale młodym się zachciało Ameryki. I nawet dzikich tu nasprawdzali. Co to się wyprawia? Czy ja przypuszczałam czterdzieści lat temu, kiedy wyjeżdżałam z Kościerzyny, co mnie tu spotka? Inna ta młodzież teraz. Już nie nasza.

– Co tam nie nasza, sąsiadko? Co nie nasza! Bawić się tu przyszli.

Felicja obracała głowę w prawo i w lewo, przypatrując się i podsłuchując. Zauważyła Derdowskiego z żoną, burmistrza w towarzystwie paru oficjeli, a nawet szeryfa, którego obecność w tym miejscu była szczególnie pożądana, bo ledwie zaczęła się uroczystość, rozległy się

pierwsze strzały z rewolwerów. Krewkie i nietrzeźwe osoby trzeba było wyprowadzić poza teren imprezy.

– I jak się to wszystko pani podoba? – spytał towarzysz Felicji, tego dnia jeszcze bardziej rumiany niż zwykle.

– Jest przepięknie – odpowiedziała. Miała tylko nadzieję, że tym razem nie przydarzy się nic, co by spowodowało omdlenie. – Za chwilę odbędzie się pokaz. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Chyba będzie dużo hałasu, prawda?

– Trzeba się przygotować na wystrzały – ostrzegł.

Jeszcze przed tańcami zaplanowano pokaz cyrkowy przedstawiający wydarzenia z Dziekiego Zachodu. Nie udało się ściągnąć na ten dzień słynnej wędrownej rewii Buffalo Billa, w której występowały takie gwiazdy, jak choćby Calamity Jane, znakomita kobieta rewolwerowiec, czy Annie Oakley, kobieta strzelec wyborowy, potrafiąca zestrzelić popiół z papierosa cesarza Wilhelma II. W Winonie miał wystąpić inny zespół, który dopiero aspirował do sławy.

– Mam nadzieję, że panienka się nie wystraszy. Słyszałem też, że mają być konie i inscenizacja napadu na dyliżans.

– To wspaniale – aż klasnęła w dłonie – bardzo się cieszę, że tu dzisiaj jestem. – Jak mogła być tak niemądra i uważać, że takie wydarzenie jej nie obchodzi. Mniej radosny był widok szwagra, który witał się właśnie z szeryfem. Odwróciła głowę. Nie widziała za to nigdzie Heleny. Z jednej strony poczuła ulgę, że siostra nie spotka się z Jaszewskim, o którym zdążyła już powiedzieć „sklepikarz”, z drugiej jednak tęskniła za tą nieznośną Heleną. Dziwne, bo szykowała się na ten dzień i nawet dała do uszycia nową suknię. Może mały Dorian zachorował? To byłby prawdziwy pech. Felicja postanowiła, że zajdzie do siostry, kiedy impreza się skończy.

Trochę dalej za straganami ustawiono strzelnicę. Kilku mężczyzn w pióropuszech na głowie demonstrowało swoje umiejętności w strzelaniu z łuku. Felicja nie widziała jeszcze Indian w tradycyjnych strojach, patrzyła więc na nich zafascynowana, podziwiając ich zręczność. Po ich występie zachęcono do konkursu publiczność. Tu również przewidziano nagrodę za celne strzały. Tarcze jednak odsunięto tak daleko, że wydawało się niemożliwe, by ktoś w nie trafił. Pewnie organizatorzy zamierzali zatrzymać nagrodę, domyśliła się dziewczyna.

– Nie chciałby pan spróbować? – Nagle w Felicji odezwał się duch rywalizacji.

Hubert Jaszewski nabrał koloru piwonii i potarł się pod nosem. Dopiero teraz dziewczyna zauważyła, że znajdował się tam zupełnie świeżo wyhodowany wąs. Nie spostrzegła go wcześniej, gdyż był bardzo jasny, prawie niewidoczny. Po co mu takie coś?

– Raczej się nie skuszę. Chyba że pani.

– Nie, dziękuję, choć zupełnie dobrze wychodziło mi strzelanie z procy – powiedziała Felicja, przypominając sobie zabawy z dzieciństwa, ale nie rozwinęła tematu, widząc, że Jaszewski skrzywił się, jakby go ząb zabołał. Pewnie nie przywykł też do dziewczyn, które wspinają się po drzewach i kąpią nago w jeziorze przy blasku księżyca. Zawsze podejrzewała, że ciotka Matylda dobrze o tych rozrywkach wiedziała, ale przymykała na nie oko. Dopiero tutaj, na amerykańskiej ziemi, Felicja zrozumiała, jak nietypowe było to ich wychowanie i ile wolności otrzymały w dzieciństwie. Ale nikt inny nie miał tak niezwykłej ciotki jak one.

Stojąc przy linii odgradzającej wejście na teren prowizorycznej strzelnicy, patrzyła z satysfakcją, jak Frankowi po raz drugi z rzędu nie udaje się trafić w środek tarczy.

– Pójdziemy dalej? – Jaszewski delikatnie dotknął talii dziewczyny na ułamek sekundy i szybko cofnął rękę. – Lepiej zająć wcześniej dobre miejsce przed pokazem.

Felicja już chciała go posłuchać, gdy nagle dostrzegła Toma, pomocnika pana Hieronima, o tym dziwnym kolorze włosów. Podeszedł do Indian z ponurą miną i wziął od nich łuk.

– Jeszcze chwilkę, dobrze?

– Pannie Felicji podobają się, jak widzę, męskie sporty.  
– Miałyśmy lucznicstwo w szkole – zaznaczyła zdecydowanym tonem.  
– No proszę. Czego to uczą dzisiaj młode panny – powiedział Jaszewski z pewnym przekonaniem, jakby właśnie ukończył sto lat.

Felicja nie odpowiedziała, zbyt zajęta obserwacją tego, co działo się na strzelnicy. A tam zapadła cisza.

Tom stał bokiem do celu z lekko rozstawionymi, wyprostowanymi nogami. Łuk trzymał w lewej dłoni i wolno zakładał strzałę na cięciwę. A potem wszystko potoczyło się szybko. Przed chwilą jeszcze ciągnął cięciwę do policzka, zamykał oko, gdy nagle strzała znalazła się w samym środku tarczy.

– Doskonały cel! – Wśród widzów nastąpiło poruszenie. Nawet stary Indianin pykający fajkę wstał z miejsca.

– To przypadek – zaprotestował Frank i rozejrzał się dokoła po ludziach, czy podzielają jego zdanie. Felicja stanęła nieco bokiem, próbując się ukryć za chudym Jaszewskim. – Stawiam dziesięć dolarów, że za drugim razem mu się nie uda.

– Dlaczego?! – oburzyła się dziewczyna i pociągnęła Jaszewskiego za rękaw. – Proszę coś im powiedzieć. Przecież ten człowiek wygrał.

Ale nagle Hubert zupełnie przestał jej słuchać, gdyż zaciekała go sytuacja na strzelnicy. Z kolei wyraz twarzy Toma się nie zmienił. Z wciąż posępną miną sięgnął do indiańskiego kołczanu po drugą strzałę i po sekundzie też znalazła się w samym środku tarczy.

Frank pokręcił głową.

– On bierze udział w występie. Jest podstawiony – zaczął protestować, kiedy kolejne strzały wypuszczane przez Toma trafiały do celu. – To jest niemożliwe.

– Jaki podstawiony? On pracował u nas w tartaku. Sztapluje drewno – rozległy się głosy.

Rozwścieczony Frank wyjął z kieszeni banknot, ale nie podał go Tomowi, tylko rzucił na stojący obok stragan z ozdobami indiańskimi. Obrócił się na pięcie i odszedł.

Wówczas Jaszewski zdecydowanym ruchem odwrócił Felicję od strzelnicy.

– Zaraz będą tańce – powiedział i poprowadził swoją towarzyszkę tam, gdzie zaczęli się już zbierać pierwsi chętni.

Przy stodole ustawiono podwyższenie, na którym występowali muzycy. Poniżej była podłoga taneczna ze zbitych poprzedniego dnia desek.

– Panno Felicjo, czy mogę panią prosić? – spytał już przy pierwszych dźwiękach skocznej polki. I tak to się zaczęło!

Parę godzin później po przetańczeniu rozlicznych polek i walców młodzież winońska uprosiła niezmordowanych muzyków o bardziej nowoczesne utwory. Ale nie takie jak *Devil's Dream* – melodia wygrywana na skrzypcach, przy której najchętniej tańczyli pionierzy. To miało być coś innego! Coś, o czym niektórzy jedynie słyszeli, a niektórzy mogli przeczytać w gazetach. Muzycy naradzali się przez parę minut i zaczęli grać. Muzyka była rzeczywiście inna, dziwaczna, dominowały w niej bębny i trąbki. Po chwili na tanecznym parkiecie pojawili się pierwsi odważni. Ustawili się parami i defilowali w dziwnym marszu, po czym każda z par zaczęła występować osobno. Wykonywali najdziwniejsze łamańce, zadzierali nogi, przechylali w tył głowy, wypinali brzuchy, a ułożenie ich dłoni przypominało łapy psa robiącego stójkę i żebrzącego o jedzenie.

– Co to takiego? – spytała zdyszana Felicja, pijąc kolejną szklankę lemoniady.

– To jest cake-walk. Nawiązuje do tańców murzyńskich – odpowiedział Hubert. – To zupełnie niestosowne. Te ruchy...

Jego opinię musiały podzielać miejscowe matrony, bo kilka z nich nadęło się jak purchawki. Felicja zauważyła, że Wierze, która na tańcach pojawiła się dość późno, ale za to wystrojona w najbardziej jaskrawą sukienkę, ta muzyka zupełnie nie przeszkadzała. Wyginała się wdzięcznie, demonstrując szczupłe łydki, jakby знаła ten taniec od dziecka. Partnerujący jej łysiejący jegomość ciężko dyszał. Nic dziwnego. Mimo iż słońce zaczęło zachodzić, panował wciąż nieznośny upał. I kiedy Jaszewski zaproponował, żeby podejść w stronę jeziora, Felicja chętnie się zgodziła. W żaden sposób nie było to niestosowne. Dokoła było dużo spacerujących par, a nawet rodzin.

Kiedy zwolniła się ławka przy krzaku jaśminu, młodzi postanowili usiąść.

Tego wieczoru Hubert był wyjątkowo rozmowny, może pod wpływem wypitego ponczu. Felicja dowiedziała się, że dziadek Jaszewskiego dotarł do Winony z rodziną w 1857 roku. Pochodzili jak większość tutaj spod Bytowa i byli ponoć dość zamożni. Huberta nigdy nie pasjonowały opowieści rodzinne, w związku z tym nie miał pojęcia, co w takim razie zmusiło ich do wyjazdu.

– Może chęć przygód? – zasugerowała Felicja, myśląc o wuju Auguście, ale Jaszewski tylko pokręcił głową.

– My nie jesteśmy tacy – oświadczył poważnym tonem. – Przywykliśmy do ciężkiej pracy. W Winonie nas znają i szanują, bo wiedzą, że można nam zaufać. Nigdy nie staramy się sprzedać złego towaru.

– To bardzo szlachetne! – zgodziła się dziewczyna.

– Mam dopiero dwadzieścia cztery lata, ale pracuję w naszym sklepie od szesnastego roku życia. Teraz prowadzę go sam, bo ojciec ma już drugi. – Odwrócił twarz w stronę towarzyski.

– Chwali się panu! – Tylko dwadzieścia cztery lata! Myślała, że jest znacznie starszy.

– Pomyślałem ostatnio, że to odpowiedni wiek do żeniaczki. I tak się złożyło, że spotkałem panienkę.

Felicji momentalnie zrobiło się zimno. Przyszło nagle zrozumienie. A przecież zarówno Wiera, jak i Matylda jej o tym mówiły. Uprzedzały ją, co może nastąpić. Obie były przychylnie do niego nastawione. Przecież to dobry związek. Młody mężczyzna zarabiający własne pieniądze i mogący z nich utrzymać rodzinę. Z porządnego domu. Zaradny. Obowiązkowy.

A z drugiej strony... Młoda dziewczyna bez rodziców, tylko z wujostwem w starszym wieku. Brat z pewnością kaleka. Trudne czasy dopiero ich czekają, kiedy przyjdzie zima, ostrzegła ciotka. Kiedy zamkną tartak, lokatorzy również poszukają innej pracy, i to pewnie przy wyrębie drzew poza miastem. Wówczas wymówią im kwaterę. Na Wiery stała obecność też nie było co liczyć. Czy znajdzie pracę, jeśli skończy szkołę?

Tak się zamyśliła nad tym wszystkim, że w pierwszej chwili nie usłyszała, co mówił.

– ...ja dobrze rozumiem. Szkoła, egzaminy, sprawa brata. Nie chciałbym nalegać w tej chwili, mogę poczekać, ale...

– Ale co? – Jej ręka zacisnęła się na bursztynowym serduszku od Matyldy.

– Może panienka się domyśla. – Głośno przełknął ślinę. – Chciałbym się z panienką oze-  
nić.

Felicja próbowała oddychać spokojnie. Obserwowała kątem oka mężczyznę, który właśnie jej się oświadczał. Nie wspomniał ani słowem o miłości. Ale chyba musiał ją kochać, skoro ją wybrał? Zawsze się jej tak uważnie przyglądał i czerwienił na jej widok. Może więc było to uczucie, choć milczał. A ona sama? Kochała swoje rodzeństwo, wujostwo i nawet przyzwyczała się do stałej obecności Jaszewskiego. Nie miała jednak wrażenia, że wzbudza w niej jakiegoś gwałtowne uczucia. Przypomniała sobie te miesiące, kiedy zakochana Helena szalała po domu

i wyczekiwała na spotkania z Frankiem. Felicja pamiętała błysk w jej oczach i to spojrzenie, którym siostra obdarzała ukochanego. I co się z nią stało?

– Panno Felicjo, ja poczekam na odpowiedź – powiedział Hubert, po czym sięgnął po jej rękę i ucałował ją.

\* \* \*

Kiedy Felicja wróciła do domu, zrobiło się już ciemno, ale u Halmanów jeszcze nikt nie spał. Joachimek Wilczewski, syn Wiery, co chwila gwizdał na glinianym ptaszku-świstawce, a Józul zza otwartych drzwi podśpiewywał stare, skoczne piosenki. Oj, pewnie dostał od wuja coś mocniejszego do picia, pokręciła głową siostra.

– Co tu tak wesoło?

Nawet August stukał w stół obuchem fajki.

– A gdzie mama? – spytał Joachimek po angielsku.

Felicja uśmiechnęła się, bo chłopiec nieczęsto się odzywał, a już najrzadziej po angielsku. Wydawało się, że w głowie pomieszały mu się wszystkie języki, z którymi miał do tej pory do czynienia.

– Mama jeszcze chwilę została. Niedługo wróci. – Jakby Matylda się dowiedziała, co wyprawia jej przyzwoitka, z pewnością złapałaby się za serce. Kiedy Felicja z Hubertem opuszczali zabawę, Wiera wdała się w rozmowę z Indianami. Żywo przy tym gestykulowała, próbując coś wytłumaczyć. W pewnej chwili rzuciła nawet rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Felicji, ale widząc ją z Hubertem, zrezygnowała. – I co się tu dzieje? – powtórzyła Felicja, bo jakoś nikt nie zamierzał jej odpowiedzieć.

W końcu ciotka przestała poszukiwać czegoś w komorze, odwróciła się do niej i powiedziała:

– Był dzisiaj u wuja ten Petersen, działacz związkowy. Przyniósł sto pięćdziesiąt dolarów.

– Co?

– Chłopcy z tartaku tak się przejęli wypadkiem, że zebrali pieniądze dla naszego Józula. Wszyscy, nie tylko związkowcy. Będziemy mieli na opłacenie lekarza i może uda nam się przeżyć zimę.

– Mielibyśmy mnóstwo pieniędzy, gdyby nie ten łajdak Mortenson – przypomniał sobie wuj.

Matylda przewróciła oczami. Ile można słuchać na ten temat.

– A jak ty się bawiłaś, kochanie? – spytała ciotka.

Felicję już zaświerzbiał język, by powiedzieć jej o oświadczeniach Jaszewskiego, ale się wstrzymała w ostatniej chwili. Miała jeszcze czas do namysłu.

– Wspaniale. To był chyba najlepszy dzień mojego życia. – Zdziwiła się, słysząc serdeczny śmiech ciotki i wuja.

## Rozdział IX

Felicja czuła się inaczej, od kiedy postanowiła wyjść za Jaszewskiego. Jakby trochę urosła i się postarzała. Nie była już taką zwykłą dzierlatką, tylko kobietą, którą ktoś wybrał na żonę i matkę swoich dzieci. A kiedy z doskonałymi wynikami skończyła szkołę średnią – sam dyrektor wręczył jej nagrodę książkową – poczuła się jeszcze ważniejsza. Postanowiła jak najszybciej wykorzystać to niezwykle samopoczucie i zabrawszy swoje świadectwo, udała się do rady szkolnej, by się zorientować w sprawie posady nauczycielki. Najbardziej chciała uczyć polskie dzieci, ale w szkole parafialnej Świętego Stanisława Kostki nie było wakatów, musiała więc szukać pracy gdzie indziej.

– Niestety, w mieście nie ma wolnego miejsca – odpowiedział mężczyzna w szylkretowych oprawkach okularów. Siedział przy wielkim dębowym biurku i wertował papiery.

Felicja już chciała podziękować i odejść, kiedy powstrzymał ją gestem ręki.

– Prawdę mówiąc, to wiele dobrego słyszeliśmy o pani. Najlepsze wypracowanie w klasie i nagroda dyrektora. Musimy więc coś dla pani zrobić. Nie można tracić najzdolniejszych. A wygląda na to, że zwolni się miejsce w szkole poza Winoną. To nie jest tak daleko, zaledwie siedem mil, w Homer. Zastępstwo na rok. Chyba że...

– Tak, proszę pana?

– Jest jeszcze jedna propozycja. To akurat nie jest z naszego hrabstwa, raczej prośba mojego kolegi ze szkoły w Pipestone. To jest nowa szkoła mająca na celu reedukację czerwono-skórych. Przyświeca jej prawdziwa misja nawracania i kształcenia oparta na nauczaniu mieszanym. Połowa dnia to teoria, a potem uczenie przydatnego fachu. Bardzo sensowne, uważam. W ten sposób wybije się im z głowy strzelaninę i napady na białych. Czy byłaby pani zainteresowana?

Felicja spuściła wzrok.

– To daleko od domu.

– Tak też myślałam. Chyba kobieta by się tam nie nadawała. Te dzikusy potrzebują silnej ręki – powiedział mężczyzna i zacisnął pięść. – Czyli wolałaby pani do Homer, tak? Mieszkałaby pani u bardzo porządnej rodziny.

– Oj, to by mi bardzo odpowiadało – ucieszyła się.

– Pewnie potem będzie chciała pani skończyć szkołę dla nauczycieli, prawda? – spytał mężczyzna w szylkretowych oprawkach.

Czekał wyraźnie na jej twierdzącą odpowiedź, więc skinęła tylko głową. Kiedy jednak wychodziła z biura, ogarnęła ją panika. Zgodziła się, ale przecież najpierw powinna porozmawiać z narzeczonym.

Ustalili, że ich ślub odbędzie się jesienią, ale przecież wiosną przyszłego roku byłaby równie dobra, zastanawiała się Felicja, chcąc przez ten rok wesprzeć zarobkami rodzinę. Być może, kiedy będzie mężatką, stanie się to trudniejsze. Najlepszym na to przykładem była Helena, która mimo iż jej brat wciąż leżał bezradnie w błotnej kąpieli, zachodziła do niego bardzo rzadko. A któregoś dnia, kiedy Felicja przemogła lęk i poszła ją odwiedzić, kazała służącej powiedzieć, że ma migrenę i nie może się spotkać z siostrą. O zaręczynach Felicji dowiedziała się dopiero po dwóch tygodniach.

– Helenko, nie słyszysz, co do ciebie mówię? Wychodzę za męża.

– Słyszałam. Teściowa mi mówiła. – Helena zawsze miała jasną cerę, ale teraz była zielonkawa, tak jakby czerwcowe słońce nie musnęło jej nawet jednym promykiem.

– I nic nie powiesz?  
– A kiedyś nie chciałaś wychodzić za męża! – Starsza siostra zaniósła się głośnym i nieprzyjemnym śmiechem.

Felicja próbowała spojrzeć jej w oczy, ale Helena uciekła wzrokiem.

– Nie jesteś szczęśliwa!

– A dlaczego miałabym nie być? Mam wszystko, co sobie wymarzyłam. Czasem tylko jestem zmęczona. Od kiedy teść zgodził się zostać rajcą, nie mam chwili wytchnienia.

– To ważna funkcja.

– O, tak. A Frank z pewnością ją kiedyś po ojcu przejmie. Jest taki ambitny.

Na temat Huberta nie padło wówczas nawet jedno słowo.

O właśnie, jej narzeczony, przecież powinna jak najszybciej powiedzieć mu o propozycji pracy, przypomniała sobie Felicja i w te pędy ruszyła w stronę sklepu. Przepelniał ją entuzjazm. Zostanie nauczycielką jak Rozalia. Ciekawe, czy przyjaciółka udzieli jej cennych rad? Tylko czy dzieci będą jej słuchać? A jeśli trafi na urwisów jak mały Peter, który czasem był przymilny, a czasem wyciągał na jej widok język, i to tak mocno, iż się martwiła, że się oderwie. Jednak nawet takie wizje nie mogły jej zniechęcić.

Hubert zaczynał akurat przerwę obiadową. Zastała go, gdy zamykał sklep.

– Co za miła niespodzianka! Zje panienska... zjesz ze mną kanapki w parku? – Dopiero od paru dni mówili sobie na „ty” i stale im się myliło.

Felicja skinęła głową i ruszyli przed siebie. Po wielu godzinach spędzonych w ciemnym pomieszczeniu Jaszewski marzył o świeżym powietrzu.

Usiedli na niewielkiej ławce z widokiem na rzekę. Przyglądając się pniom spychanym przez barkę w kierunku tartaku, Hubert sięgnął po kanapki. Felicja nie chciała się poczęstować, choć aż ją skręcało z głodu. Nie powinna pozbawiać narzeczonego posiłku. Przecież miał pracować do wieczora.

– Mam dobre wieści – zaczęła Halmanówna. – Spotkałam się dzisiaj z przewodniczącym rady szkolnej... – Była tak pochłonięta opowieścią, tak bardzo ją przeżywała, że dopiero po paru minutach zauważyła, iż Hubert przestał przeżuwać kanapki i patrzy na nią takim dziwnym, ostrym spojrzeniem. Zamilkła.

– Nie wiedziałem nic o tym, że zamierzasz ubiegać się o posadę.

– Chciałam ci zrobić niespodziankę. O niczym bym nie wspomniała, gdyby mi nie wyszło. A tak! Ja zawsze chciałam zostać albo dziennikarką, albo nauczycielką.

– Wspominałaś o tym.

– Prawda?

– Tak, ale wtedy nie byłaś moją narzeczoną.

– A teraz jestem.

– Właśnie. I to ja mam decydować o naszej przyszłości, a nie ty. Tylko stare panny albo siostry zakonne są nauczycielkami.

– To nieprawda! – oburzyła się Felicja, ale entuzjazm z niej wyparował.

– Nieważne. Jako moja przyszła żona musisz mnie słuchać. To ja jestem głową rodziny.

– Będiesz – poprawiła go dziewczyna.

\* \* \*

– Ty się wreszcie przestań martwić o wszystko i się czymś zajmij! – zwróciła jej uwagę Wiera, która właśnie upiekła razem z ciotką chleb.

– To może zrobić pranie? – zaproponowała szybko Felicja.

Matylda zauważyła, że powinna przygotowywać wyprawę, ale nie miała tyle entuzjazmu do szycia co jej siostra. Dopiero wybrała tkaninę na sukienkę ślubną, ale Hubert zażyczył sobie,

żeby uszyła ją u krawcowej. Jednak po tym, co usłyszała od niego poprzedniego dnia, straciła nieco zapał.

– Nie rób żadnego prania, bo nie wyschnie. Będzie burza wieczorem – oceniła Wiera, przyglądając się niebu.

– To co mam robić?

Wilczewska włożyła pachnące i rumiane chleby do kosza i otarła umączone ręce w fartuch.

– Może przesłabyś się nad rzekę, póki ładnie? Potrzebuję tataraku.

– Tataraku? – powtórzyła za nią Felicja, ale wcale nie spytała, po co jej to potrzebne. Wiedziała, że Helena zawsze dodawała go do mycia włosów, ale nie miała pojęcia, do czego miał posłużyć Wilczewskiej. Zdążyła się przyzwyczaić do zbierania najdziwniejszych roślin, z których Wiera warzyła tajemnicze substancje. Dobrze, że przybyła do Ameryki teraz, a nie dwa wieki wcześniej, bo jeszcze spalono by ją na stosie jak te biedne dziewczyny z Salem.

– Pełen kosz! – zarządziła Wilczewska. – Muszę dodać coś do naszego blocka. W przyszłym tygodniu uwalniamy Józulka. Sam doktorek o tym postanowił.

– Naprawdę? – Felicja chciała jej się rzucić na szyję, ale Wiera się uchyliła.

– Na uściski przyjdzie jeszcze czas – powiedziała.

Co ona miała na myśli? – zastanawiała się Felicja w drodze nad rzekę. Czyżby Wilczewska zaczęła wątpić, że Józul wyzdrowieje? Może zauważyła jakieś niepokojące objawy?

Nagle z jej oczu zaczęły płynąć łzy. Odłożyła bosak, postawiła koszyk na ziemi i otarła policzki. Doskonale rozumiała, kto się przyczynił do tego podłego nastroju. Od rozmowy z Jaszewskim nie mogła znaleźć sobie miejsca. Nie spodziewała się, że jej miły i uczynny narzeczony przejdzie nagle transformację i zacznie rościć sobie prawo do jej wolności. Nie miała pojęcia, że w małżeństwie będzie mógł ją traktować jak swoją własność. Może kiedyś tak było, ale w ostatnich latach kobiety wywalczyły tyle praw. Mogły pracować i studiować. Mówiono, że pewnie niedługo będą mogły też głosować, skoro czarnoskórym przyznaje się prawo wyborcze.

Ciotka Matylda też ją zawiodła. Tak bardzo liczyła na jej poparcie, ale ona tylko ją objęła i ucałowała.

– Taki jest los kobiety.

Jaka żartownisia! Jej się przecież udało.

– Z mężem trzeba się uładzić, skoro chce się z nim spędzić życie.

Felicję aż rozbolał żołądek. Słowa o spędzeniu z kimś życia brzmiały w jej uszach jak dożywotni wyrok. Czuła podświadomie, że popełniła błąd. Uzmysłowała sobie to, kiedy ponownie przeczytała ostatnie listy od Rozalii. Jej przyjaciółka wróciła do Paryża i kipiąc entuzjazmem, opisywała swoje nowe życie. W każdym akapicie listu można było wyczytać, jak bardzo jest szczęśliwa ze swoim „upartym jak osioł” Dimą i jak bardzo go kocha. Młodzi małżonkowie potrafili ze sobą rozmawiać całymi godzinami, grali wspólnie na pianinie i jeździli na wycieczki.

Felicja rzuciła pantofelki i podwinęła spódnicę. Chwyciła bosak i ruszyła w kierunku, gdzie rósł dorodny tatarak. Znowu musiała otrzeć łzy bezwiednie lecące po policzkach. Stąpając boso po grząskim gruncie, doszła do miejsca, gdzie zaczynała się linia wody. Nic dziwnego, że Wiera wysłała ją po ten tatarak. Dużo było z tym pracy. Najpierw trzeba było roślinę wyciągnąć z wody za pomocą bosaka, a potem wyczyścić kłącza z mułu i zbutwiałych części.

Po chwili praca zupełnie ją pochłonęła i nieco odgoniła smutne myśli. Dopiero kiedy bosa stopy zeszywniały od zimnej wody, postanowiła wyjść na suchy ląd. Zaczęła przedzierać się przez trzciny i tatarak, wydzielające bardzo przyjemny aromat. I nagle przypomniała sobie, że tak pachniał napar z mlekiem, który kiedyś sporządziła Wiera. W tej samej chwili poczuła dotkliwy ból stopy. Coś ostrego musiało ją przeciąć. Powinna szybko przyłożyć do niej liść babki. Rozchy-



liła ostatnią kępę trzciny i... zmartwiała.

Na niewielkiej łączce osłoniętej z trzech stron przez krzaki i trzciny odgrywała się dziwna scenka, której Felicja początkowo zupełnie nie rozumiała. W pierwszej chwili wyglądało to, jakby kobieta klękła, próbując coś podnieść, a mężczyzna złośliwie pchał ją od tyłu, żeby zaryła nosem w trawę. Ale kiedy usłyszała głośnie jęki i dojrzała obnażone piersi kobiety, które podskakiwały rytmicznie, rozumiała, w co się wpakowała. I pewnie udałoby się jej dyskretnie wycofać i zasunąć za sobą kurtynę z trzciny, gdyby błocko pod jej stopami nagle nie wydało ssącego dźwięku. Głowa mężczyzny obróciła się w jej stronę.

– Ej, ty! – krzyknął mąż Heleny, a Felicja, nie czekając na dalszy ciąg wydarzeń, rzuciła się do ucieczki przez szuwary.

Mimo iż nogi zapadały się w grząskim terenie, a twarz chłostały łodygi trzciny, parła do przodu. Dopiero kiedy zabrakło jej tchu, rozumiała, że oddała się od miasta, a poza tym nikt jej nie ściga. Nagle zrobiło jej się słabo i poczuła, że za chwilę zemdleje. Osunęła się na kępę suchej trawy. Objęła dłońmi kolana i pochyliła głowę. W tej pozycji mdłości zaczęły ustępować.

Nie było żadnych wątpliwości, że mężczyzną kopulującym z młodą żoną Jonesa jest jej szwagier Frank. Biedna, biedna Helenka, załkała Felicja. I po to chciała wyjść za mąż? A może ona wiedziała, że jej mąż biega za kobietami. Nie, niemożliwe. Helena była zbyt zaborcza. Biada tej kobiecie, którą by uznała za rywalkę. Czy Hubert jest taki sam? Myśli krążyły jej po głowie jak rój uciążliwych meszek. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero głuchy grzmot.

Zerwała się na równe nogi. To był odgłos pioruna. Zbliżała się burza, Wiera miała rację.

Dopiero w tej chwili się zorientowała, że nie ma ani butów, ani koszyka z kłęczami tataraku, ani bosaka, a poza tym nie ma pojęcia, gdzie jest. Nie przestraszyła się jednak. Ile to razy jako dziecko zgubiła się w kaszubskim lesie! Umiała znaleźć drogę. To było proste, bo przecież rzeka wyznaczała kierunek. Jednak chociaż mokra i zablocona, nie chciała wracać tą samą drogą. Postanowiła opuścić podmokły teren i zawrócić przez las. W tej samej chwili mocniej zawiął wiatr. Zrobiło się nagle tak dziwnie. Poczowała, jak jej się jeżą włosy na głowie. Miała wrażenie, że zaraz zobaczy przed sobą upiorne postaci z baśni opowiadanych przez Matyldę: łopiego, wieszczego i morę. Odetchnęła głęboko. To dziecinne głupstwa. Raz kozie śmierć, powiedziała sobie. I już chciała opuścić kępę traw, gdy nagle usłyszała męski głos i poczuła, że krew odpływa z jej ciała.

– Nie radzę. Tam już jest prawdziwe bagno i można się utopić. – Po dłuższej chwili rozumiała, że głos mówi po angielsku.

Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę stojącego w łódce z płaskim dnem. Rozpoznała Toma, najlepszego w mieście łuczника.

Zanim odpowiedziała, szybko obciągnęła spódnicę, która wyglądała już teraz jak brudna i mokra szmata do podłogi.

– Proszę poczekać i nie próbować schodzić. Zaraz pomogę.

Opuścił łódkę i w trzech susach przez suche kępki trawy znalazł się przy niej. Nawet sobie nie pomógł spodni. Wyciągnął ręce przed siebie. Felicja zrozumiała, że chce ją wziąć w ramiona, i się zawahała.

– Nie bój się. Przeniosę.

Może by się dłużej wahała, gdyby nie poczuła na sobie pierwszych kropli deszczu.

– Złap mnie za szyję.

Mocno ją objął i nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się w łodzi. Kiedy odbijali od brzegu, rzeka kipiała od milionów kropli padającego coraz gwałtowniej deszczu.

Felicja spuściła głowę i nakryła się grubą tkaniną, którą podał jej Tom. Zerwał się nagły wiatr, więc musiała ją mocno przytrzymać. Jezusie, spraw, żeby to nie było tornado! Do tej pory

żadnego nie przeżyła, ale słyszała o nich już niejedno.

– Musimy się jak najszybciej schronić! – Tom próbował przekrzyczeć wiatr i deszcz. – Nie możemy dalej płynąć, bo nas zatopi.

Nim Felicja zdążyła się zastanowić, co on zamierza zrobić, skręcił w ujście niewielkiego strumyka. A potem nie mogła już patrzeć, bo ulewa zalała oczy. Mimo iż znajdowała się w łódce z nieznanym mężczyzną, a wokół szalała burza, nie odczuwała już takiego lęku jak godzinę wcześniej. W głębi duszy czuła, że może zaufać Tomowi. Kiedy więc dopłynęli do niewielkiego pomostu, ponownie pozwoliła się wziąć na ręce.

– Gdzie jesteście? – spytała, wyężając głos, kiedy postawił ją na ziemi. Przed sobą nadal widziała tylko ścianę wody.

– W domu. – Dopiero po chwili zza gęstej zasłony deszczu wynurzył się zarys drewnianej chaty.

Ach, to tutaj mieszkał! Słyszała już o tych domach niemal na wodzie, które zajmowali ubodzy mieszkańcy Winony, jak również rybacy i myśliwi, ale do tej pory ich nie widziała.

Weszła do izby i zdjęła z głowy tkaninę, która okazała się szalem. W środku było ciepło i pachniało tak jak u nich w kuchni, kiedy Wiera przygotowywała swoje napary. Dopiero teraz poczuła, jak przemokła i zmarzła. Zaczęła się trząść.

Tom zacumował łódkę i wszedłszy do izby, od razu podał jej gruby pled, który okrywał łóżko.

– Zdejmij ubranie. Postaram się je wysuszyć. Włóż to. – Wyjął ze skrzyni flanelową koszulę. – Deszcz przestanie padać mniej więcej za godzinę – oznajmił, jakby był Panem Bogiem, i zabrał się do rozpalania w kominku.

Felicja nie wierzyła w to, co robi. Rozebrała się do bielizny w domu obcego mężczyzny, który zwracał się do niej na „ty”, i wcale nie była tym przejęta. Wprost przeciwnie. Kiedy otrzymała od Toma kubek z gorącym słodkim płynem i usiadła w ciepłej koszuli, okrywając ramiona kocem, a nogi skórą sarny, zarumieniły się jej policzki i zapragnęła, by wizyta trwała jak najdłużej.

– Co ci się stało w nogę? – Nie zauważyła nawet, że ledwie zasklepiona ranka zaczęła ponownie krwawić.

– To głupstwo! – Policzki Felicji stały się jeszcze czerwieniejsze, kiedy Tom się pochylił i zaczął oglądać jej stopę. A potem dotknął ją i przewiązał chusteczką. – Od dawna mieszkacie w Winonie? – spytała ochryplym głosem, nadal czując jego dotyk na skórze.

– Mieszkamy? – zdziwił się Tom. – Ach, rozumiem. Nie, jestem tu sam. Ja nie mam rodziny. A mieszkam tu od dwóch lat. Nie zagrzewam zbyt długo miejsca. Najdłużej mieszkałem w La Crosse, przez cztery lata.

– Ale sam zbudowałeś ten dom? – Felicja przyglądała się wnętrzu, w którym panował półmrok, rozpraszany jedynie światłem dochodzącym z jednego niewielkiego okna. Pomieszczenie było bardzo ubogie i stanowiło połączenie kuchni i izby mieszkalnej. Załedwie stół, ława, która pewnie służyła za łóżko, i jedno krzesło. To, na którym teraz siedziała.

– Nie, nie. Ja nie buduję domów. Ja je znajduję. Ten też stał opuszczony. Tam dalej jest ich większa kolonia, ale tym się nikt nie interesował.

– A to? – Felicja wskazała na skóry, którymi obite były drewniane ściany.

– Mieszkał tu traper. Przynajmniej tak mówią sąsiedzi.

– Jest tu... zupełnie miło.

– Doprowadziłem wszystko jakoś do porządku. Wcześniej to... – Machnął ręką.

– Jesteś stolarzem, prawda? – Felicja musiała zaspokoić ciekawość. Wpatrywała się w Toma z uwagą. I ciekawe, ile miał lat? Chyba był sporo od niej starszy.

– Najbardziej chyba dekarzem. Nie boję się wysokości. Przyjechałem tu pracować na dachu w Lambertton Home. Ale robię wszystko, co wpadnie w ręce. Jak na przykład w tartaku. Widziałas przecież te wysokie sztaple?

– I ty się nie boisz?

– Nie. – Tom się zaśmiał.

– Jesteś stąd? – Och, jaka zrobiła się nagle ciekawska.

– Czyli? Nie rozumiem.

– Bo ja z Polski. Spod Gdańska. – Nawet nie liczyła, że Tom będzie wiedział, o czym mowa, i się nie pomyliła.

– Pożyczę od sąsiada mapę Europy, to mi kiedyś pokażesz.

Pokiwała głową z uśmiechem. Oczywiście, że chciała mu kiedyś to pokazać, tylko w jaki sposób? Miała przecież narzeczonego, a nawet gdyby nie miała... A pomyśli o tym później.

– Jest ci już cieplej?

Znów kiwnęła głową. Z wiszących przy kominku spódnicy i bluzki przestało wreszcie kapać. Tom kuczał przy ogniu w przemoczonym ubraniu, ale to zdawało się mu nie przeszkadzać.

– Powiesz mi coś o sobie? – spytał.

Nie zdążyła skończyć opowieści obejmującej dzieciństwo w Sitnie, utratę rodziców, podróż przez ocean, pobyt w Kanadzie i wielkie rozczarowanie wywołane nagłym bankrutem wuja Augusta, gdy wtem przestało padać. Na dworze raptem zapanowała cisza, przez co Felicja straciła wątek.

– To ja już chyba pójdę.

– Jest dopiero około trzeciej – powiedział Tom, choć zegara nigdzie nie było widać. – Niech się jeszcze trochę posuszy, a potem pożyczę konia od sąsiada i cię odwiozę.

Siedziały tu znacznie dłużej. Nowy znajomy był świetnym słuchaczem, interesowało go, co do niego mówiła, a poza tym tak miło na nią patrzył. Jakby była kimś bardzo ważnym. Nie mogła się jednak dłużej ociągać. Kiedy Tom wyszedł, przebrała się we wciąż wilgotne rzeczy i wyszła na ganek, który pełnił też funkcję pomostu. Znów świeciło słońce, a przed jej oczami rozpościerał się tak piękny widok, że dech jej zaparło. Gdzie okiem sięgnąć kwitły różnobarwne irysy. Aż się mieniło w oczach.

Tom nadjechał od strony lasu.

– Podoba ci się? – Uśmiechnął się, widząc zachwyconą twarz dziewczyny.

– Bardzo.

Dała się wsadzić na siodło. Potem, kiedy jechali przez las, zamknęła oczy, ale wciąż czuła na powiekach słoneczny blask i słyszała żabi rechot dochodzący z rozlewiska.

\* \* \*

– Jezusie Chrystusie, dziewczyno, ja tu odchodzę od zmysłów! Myślałam, że coś złego się stało! – Kiedy pojawiła się w drzwiach, Matylda aż pobiełała na twarzy.

– A mówiłam, że wszystko będzie dobrze.

Felicja miała wrażenie, że Wiera do niej mrugnęła. Jakby doskonale wiedziała, co ona robiła przez całe popołudnie.

– Uciekłam przed ulewą i schowałam się w starej chacie.

– Już dawno przestało padać! A po deszczu przyszła do nas Helcia i koniecznie chciała z tobą rozmawiać.

Felicja, wyjmująca z komody suchą bieliznę, zastygła w pół ruchu. Helena. Frank. Żona Jonesa. Nagle wszystko jej się przypomniało. Wróciła do rzeczywistości. Zniknęła ułuda spędzonego z Tomem popołudnia.

– A gdzie tatarak? – Uśmiech Wilczewskiej był mocno irytujący.

– Ja muszę do Heleny! – Przebierała się jak najszybciej, wiedząc, że siostra jej potrzebuje. Frank z pewnością o wszystkim żonie powiedział, a teraz potrzebowała jej pomocy. Będzie musiała się z nim rozwieść. W tych okolicznościach sam papież powinien unieważnić jej małżeństwo.

– Fela, obiad zjedz najpierw!

– Zjem, jak wrócę! – krzyknęła już za drzwiami. Niczego by w tej chwili nie przełknęła. Przeskakiwała przez kałuże i biegła, nie patrząc na boki, i niemal staranowała czarnoskórego mężczyznę dźwigającego drabinę.

– Felicja! – Na szczęście drzwi otworzyła jej siostra. – A ty bez kapelusza? Jak ty wyglądasz? Jak skaranie boskie.

Helena była blada, ale jej włosy były starannie upięte. Miała na sobie granatową sukienkę i broszkę z szafirem przypiętą pod samą szyją. Zupełnie nie wyglądała na zdradzaną żonę w głębokiej rozpacz.

– Biegłam do ciebie, bo chciałaś się ze mną spotkać.

– Tak, rzeczywiście tak jest, tylko... – spojrzała za siebie i ściszyła głos – tylko teraz nie mogę mówić. Franka nie ma...

– Helenka, ja o wszystkim wiem.

– Jak to wiesz? Przecież to niemożliwe. Teraz przyszły do mnie panie na wista, ale to tobie pierwszej chciałam powiedzieć, że znów będę miała dziecko.

Felicja wracała do domu z ciężkim sercem. Nie mogła już niczego powiedzieć siostrze, przed niczym jej przestrzec. Czowała się kompletnie bezradna, życie obracało nią, jak chciało. Taki dmuchawiec na wietrze, pomyślała. To uczucie jeszcze bardziej się wzmogło, kiedy idąc zamknąć kury, zobaczyła oparty o zagrodę zagubiony bosak. Obok stał kosz pełen oczyszczonych już kłaczy. I para oskrobanych z błota pantofelków. Będzie musiała mu podziękować.

## Rozdział X

– Nie wiem, jak się nazywa ta roślina, ale działa przeciwgorączkowo – mówił Tom.  
– A skąd wiesz? – dopytywała się Felicja, kiedy płynęli łodzią po rozlewisku i wyjmowali sieci z rybami.

– Kobieta, dla której pracowałem w Red Wing, znała się na leczeniu.

– A kto ci powiedział, jak wypłatać węćierz?

– Farmer Holmes z La Crosse. Chodziliśmy razem na ryby.

– A jak polować? – przekomarzała się, przebierając palcami w krystalicznie czystej wodzie, która wypływała ze strumienia w rozlewisko.

– Mój ojciec.

Dziewczyna zaciekawiona wyjęła rękę z wody i spojrzała na Toma Scotta. Dopiero teraz dostrzegła, jaki kolor mają jego oczy. Ciemnozielony.

– Miałeś ojca?

– A znasz kogoś, kto by nie miał?

Mimo swego wykształcenia Felicja w obecności Toma zawsze czuła się niepewnie. Wiedział o rzeczach, o których ona nie miała pojęcia. Poza tym odpowiadał zawsze krótko i rzeczowo. Teraz też nie wiedziała, czy rozwinie wątek. Nie wspominał przecież nigdy o rodzinie.

– Nie znałem go prawie. Zaledwie dwa lata.

– I jako dwulatek polowałeś?

Och, powinna siedzieć cicho i pozwolić mu mówić zgodnie z jego tempem, nie dopytywać się o wszystko, a tak? Tom rzucił jej tylko urażone spojrzenie i dobił do brzegu.

– Odprowadzę cię do drogi!

I tak sama skróciła kolejne, jak zawsze zbyt krótkie spotkanie.

Nikt nie miał pojęcia, że się widują. Oczywiście Wiera wiedziała swoje, można było się tego domyślić po jej lekko złośliwych uwagach, ale trzymała język za zębami. I całkiem słusznie, bo dyskusjom nie byłoby końca. Przecież Felicja miała narzeczonego! Młoda panna nie powinna przebywać z niespokrewnionym mężczyzną, a w dodatku pływać z nim łódką i przesiadywać do zmroku. Wszystko to racja, ale Felicja nie umiała się powstrzymać. Tom nigdy nie zachował się wobec niej w taki sposób, żeby mogła sobie czynić wyrzuty. Opowiadał jej historie, jakich do tej pory nigdy nie słyszała. Głównie o lesie i jego mieszkańcach, ale również o okolicy.

– A wiesz, co to znaczy Winona?

– To była córka wodza Wapashy Trzeciego. Zakochała się w białym, a ponieważ ojciec nie chciał się zgodzić na ślub, rzuciła się w przepaść.

– Eee, to tylko legenda. Tak się mówi na pierwszą córkę w języku Indian. Caske to pierworodny syn.

– A skąd to wiesz?

– Znałem kiedyś Indian.

Kolejna niespodzianka w życiu Toma i kolejny powód do zafascynowania. Coraz trudniej jednak było się spotykać, bo Hubert domagał się jej towarzystwa i stopniowo zaczynało brakować czasu. Zgłosiła wprawdzie przewodniczącemu rady szkolnej, że nie zostanie nauczycielką w Homer, ale musiała poszukać sobie innego zajęcia niż sprzątanie i gotowanie. Ślub planowany był na początek października i Matylda ze zdwojoną energią zabrała się do szycia i wyszywania pościeli i obrusów.

– Chętnie widziałbym cię w moim sklepie, Felicjo, ale to nie jest chyba dobry pomysł –

oznajmił Hubert. – Ze względu na asortyment towarów przychodzą do mnie sami mężczyźni i obsługująca kobieta mogłaby ich krępować. Chyba sama to rozumiesz.

– Nie szkodzi. Nie zamierzam krępować mężczyzn. Dostanę trochę dodatkowej pracy od pana Derdowskiego. Może będę sprzedawać prenumeratę gazety. Albo jakieś broszury.

– Po domach będziesz chodzić? Jak jakiś domokrażca? Nie wypada nawet.

– To może przyjmie mnie do redagowania? Zastąpię panią Joannę.

Jaszewski nie był jednak z tego zadowolony.

– Stracisz oczy od tego pisania. Lepiej wyszywaj wyprawę ślubną.

Felicja nie mogła pojąć, jak doszło do tego, że jej narzeczony wpadł kiedyś na pomysł pójścia na zajęcia kółka teatralnego, i nawet go o to spytała.

– Twój znajomy, pan Jarosz, mi poradził. Odpowiedział, że mogę tam kogoś ciekawego poznać. Sam poznał przyszlą żonę, gdy grała w *Halce*. Wszystkim o tym opowiada.

Aha, czyli dla Huberta była to wyprawa matrymonialna, a nie podążanie za swymi zainteresowaniami.

Z każdym dniem czuła się coraz bardziej jak w potrzasku.

Wreszcie przyszedł uroczysty moment wydobywania Józula z błota. Nikomu nie pisnęli ani słowa, nawet Helenie, żeby nie wywoływać niepotrzebnego zamętu.

– Mają być tylko pan doktor i pani Wiera – zarządził Józul mocnym głosem, choć broda mu się podejrzenie trzęsła.

Wuj August zaczął krążyć po kuchni jak oszalały. Co chwila stawał i masował się po krzyżu, bo od rana znów go chwyciły bóle. „Z nerwów chyba”, warknął, ale nie dał Wilczewskiej sobie pomóc.

– Chłopie, napij się lepiej czegoś mocniejszego i daj nam żyć – strofowała go Matylda, sama blada ze zdenerwowania.

A Felicja umawiała się w myślach z Panem Bogiem i obiecywała Mu, że przestanie spotykać się z Tomem. Józul musi wyzdrowieć i mieć żonę, o czym tak bardzo marzył. Modliła się tak zapamiętale, iż nie zauważyła nawet, że w pewnej chwili otworzyły się drzwi i stanęła w nich Wiera.

Dała znać, żeby weszli do środka. Zaledwie parę kroków do przejścia, a serce waliło jak młotem. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Ciotka przechodziła przez próg, jakby maszerowała na szafot. A wuj August? Ten stary odważny traper usiadł na zydlu i kręcił głową, odmawiając ruszenia się z miejsca.

– Braciszku kochany! – Wiera musiała oczyścić Józula, bo był odziany w długą wyszywaną koszulę niesięgającą kostek. Dzięki temu widać mu było nogi. Były całe! A on siedział na fotelu, specjalnie zakupionym dla niego przez Helenę.

– Patrzcie, mogę ruszać palcami. – Jego lewa noga uniosła się lekko w górę. – Doktor Tweedy dokładnie sprawdził. Będę za parę dni chodził – oświadczył, patrząc ze łzami w oczach na lekarza.

Matylda rzuciła się na kolana i zaczęła płakać na cały głos. Felicja jeszcze nigdy nie widziała ciotki w takim stanie, więc wzruszona dołączyła do niej w jednym zawodzącym chórze.

– August, dzieciak ozdrowiał!

Wuj nie mógł być na to obojętny. Wbiegł do izby i również nie wytrzymał, łzy poleciały mu po policzkach.

– Widzi pan doktor, jakie pan tu cuda zrobił. – Wiera była uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Z pani pomocą.

– Nie, nie, to pan. – Wilczewska nie zamierzała stawiać się na piedestale. Ze swoimi

talentami wolała pozostać w cieniu.

– Zbadałem tego młodego człowieka. – Tweedy chrząknął, jemu również udzieliło się wzruszenie. – Wygląda na to, że wszystko się szczęśliwie zrosło. Z jednym wyjątkiem. – Podszedł do Józula i podniósł mu prawą rękę ze zdeformowanymi trzema palcami. – Można by je znów połamać, ale...

– Nie, panie doktorze, już mi wystarczy – przerwał mu Józul.

– To właśnie chciałem powiedzieć. Nie wiadomo, jak by to wszystko zniósł.

Matylda patrzyła na pokrzywione palce bratanka i pomyślała, że tak by wyglądało całe jego ciało, gdyby nie te dwa dobre anioły, które pomogły odegnąć prześladowający Halmanów zły los.

– To teraz możemy zaprosić do domu gości. Pana Jarosza z panią Joanną, twoich kolegów z tartaku, a szczególnie naszego dobrodzieja pana Petersena – zaproponował wuj.

Józul potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Czekałem na ten dzień od tak dawna, a teraz jestem potwornie zmęczony. – Nie mógł się napatrzeć na swoje ramiona i nogi.

– Oczywiście, że jesteś wyczerpany, synku. Położymy cię zaraz do łóżka i popróbujesz mojej golonki, którą specjalnie zrobiłam na tę okazję – oznajmiła Matylda.

Józul przy pomocy wuja i doktora znalazł się w swoim łóżku wstawionym do sypialni kobiet. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że wyzdrowiał, od następnego dnia zaplanowano dalszą przebudowę domu. Już jesienią mogliby przyjąć kolejnych lokatorów i tym samym zapewnić sobie spokojną zimę.

– To może porozmawiam z panem Jonesem – odezwała się Matylda, zdradzając w ten sposób, że miała z nim jakiekolwiek kontakty.

August wybuchł gniewem. Zakola na jego głowie zrobiły się purpurowoczerwone jak przed apopleksją.

– Nie będziesz z tym mordercą rozmawiać. To on tak urządził Józula. – Nie zauważył nawet, że chłopak kręci głową i chce protestować, ale jest zbyt słaby.

Matylda jednak wcale się nie przejmowała złym humorem Augusta i poszła przygotowywać kolację, jak gdyby nic.

Po posiłku, kiedy Wiera nasmarowała nogi Józula maścią swojego wyrobu, oczywiście bez żadnej konsultacji z lekarzem, Matylda usiadła na łóżku chłopaka i poprawiła mu poduszki w świeżo wykrochmalonych powłóczkach.

– Myślałam, że będzie ci miło po blocku, ale ty masz taką minę, jakby cię ćwiartować mieli.

– Nie, jest mi jak w raj, ciotko, ale martwi mnie to, co wuj mówił o Jonesie.

– Tak?

– On nie miał z tym nic wspólnego. Jestem tego pewien. I jest jeszcze coś, czego do końca nie jestem pewien i co mi się tylko wydaje.

– Co takiego?

– Kiedy oliwiłem maszynę, kątem oka widziałem tego, kto stał przy włączniku. Nie krzyknąłem nawet, bo sądziłem, że on mnie widzi. Ale on...

– Jaki on? – Matylda czuła, że robi jej się zimno.

– On nie był tego dnia zupełnie trzeźwy. Poprzedniego wieczoru świętowali narodziny syna. Dlatego wydaje mi się, że to był on.

– Powiesz mi czy chcesz mieć mnie na sumieniu?

– Petersen, ciotko Matyldo, to był Petersen.

Matylda chwyciła chłopaka za rękę i ścisnęła ją mocniej, niż powinna, bo aż się skrzywił.

– Musisz powiedzieć wujowi stanowczo, że Jones nie ma z tym nic wspólnego. Ale o Petersenie nie mów.

– Nie chciałem nawet.

– Słusznie.

Teraz zrozumiała, dlaczego tak się starał i czemu przychodził do nich, i oferował pomoc. Własne sumienie wyznaczało mu cięższą karę niż ludzkie sądy. Matylda uznała, że lepiej to tak zostawić. Kto zajmie się dzieckiem Petersena, gdyby ten trafił do więzienia?

Chciała to powiedzieć Józulowi, ale kiedy spojrzała na niego, już spał. Wiedziała, że po raz pierwszy od trzech miesięcy sama spędzi spokojną noc. Poczowała, jak wielki ciężar opuszcza jej piersi, a ona staje się lekka jak piórko. Czarna godzina jeszcze nie nadeszła.

Felicja przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Było jej tak ciężko! Wiedziała, że jak najszybciej musi się wywiązać ze swoich obietnic i przestać spotykać z Tomem. Tylko jak to zrobić, skoro obiecał jej, że pojutrze popłyną na wyspę. To będzie ostatni raz, postanowiła. Nie może przecież zniknąć bez wyjaśnienia. Nie chciała, by źle o niej myślał. I wcale nie chciała zniknąć, ale wiedziała, że beztrudny czas ich spotkań minął. Lada chwila ktoś ich zauważy i doniesie o tym Hubertowi. Nie mogła skrzywdzić narzeczonego. Przecież tyle im pomógł. To przecież on załatwił wannę, w której brat się uleczył.

Następnego dnia nie mogła pobiec do nadrzecznego domku Toma, bo przyszła Helena z synkiem. Z kolei w dniu, kiedy mieli wypłynąć, wypadło jej spotkanie z panią, która osiem lat wcześniej wraz z dwiema przyjaciółkami przekazała bogaty księgozbiór miastu, tworząc tym samym pierwszą bibliotekę publiczną. Starsza dama uważnie zlustrowała Felicję przez monokl i spytała, czy interesują ją książki.

– O, proszę pani, ja je kocham! – odparła z entuzjazmem.

Kobieta pokiwała głową i podziękowała za rozmowę. Kolejny zawód. A była pewna, że zaoferuje jej pracę w bibliotece. Chodziły pogłoski, że pan Laird chce wyasygnować sporą sumkę na budowę obiektu reprezentacyjnego.

Dopiero po kilku dniach Felicji udało się wyrwać z domu bez zwracania na siebie uwagi. Było to nie lada sztuką, ale w ostatnich tygodniach się w niej wyspecjalizowała.

Wiedziała, że wczesnym popołudniem Tom będzie w domu. Pracował teraz rano na budowie, a wieczorami w tartaku. Kiedy się jednak pojawiła, miała wrażenie, że się pomyliła, gdyż jej pukanie do drzwi pozostało bez odpowiedzi. Przy pomoście nie było łódki, wyglądało więc, że Tom wybrał się na przejażdżkę. Postanowiła na niego poczekać. Musiała się wytłumaczyć, że go zawiodła w sprawie wycieczki, a poza tym, i to było najgorsze, powiedzieć mu o Hubercie. Miała jeszcze trochę czasu na czekanie, tym bardziej że dzień stawał się coraz dłuższy i coraz cieplejszy. Przypomniła sobie, jak bardzo się kiedyś zamartwiała, czy w Winonie nie będzie jej za zimno.

Usiadła na ganku i oparła się plecami o drewnianą ścianę. Mogła patrzeć od razu na wodę, która kilka metrów dalej zmieniała się w trzcinowisko. Wszystko tam wirowało i migotało. Przelatywały wielobarwne motyle, monotonicznie brzęczały trzmiele. Zrobiło się tak słodko i miło.

– Kaszubska princeso?

Chciała się poderwać z miejsca, ale zatrzymało ją muskularne ramię.

– To tylko ja – powiedział kucający przed nią Tom ze szczerym uśmiechem na twarzy.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Po chwili oprzytomniała na tyle, by sobie przypomnieć, w jakiej sprawie przyszła. Jej przyjaciel jednak był tego dnia wyjątkowo rozmowny.

– Dlaczego nie weszłaś do środka? Przecież wiesz, że drzwi są dla ciebie zawsze otwarte. Pomyślałem, że mi się śnisz. Bo wcześniej tak było. A potem, kiedy się obudziłem, nie zjawiłaś



się. Ale miałaś pewnie ważny powód. Słyszałem, że twój brat wyzdrowiał.

– O, tak. Jesteśmy tacy szczęśliwi, ale... – Nie zdążyła dokończyć, bo Tom wstał z kucek.

– Coś ci pokażę – powiedział i wszedł do domu. Po chwili wrócił z wiklinowym koszem.

– Zobacz!

Felicja od razu się zachwyciła.

– Boże, jakie są malutkie i piękne.

– Znalazłem je w mieście. Matkę rozjechał pociąg. Akurat przechodziłem obok i usłyszałem te maleństwa. Który ci się podoba? Ten rudy? – Podał jej do ręki może dwumiesięcznego szczeniaka, który od razu zaczął gryźć jej palec.

– Jest cudowny, choć już potwornie zapchlony.

Połąskotała go po brzuszku. Po chwili nie chciał już opuścić jej spódnicy.

Uzmysłowiła sobie, jak bardzo tęskni za domowym zwierzakiem. W Sitnie mieli zawsze koty i psa, który miał pilnować gospodarstwa, ale kiedy ojciec wychodził do lasu, Matylda zawsze spuszczała Burka z łańcucha, pozwalając mu się wybiegać do woli. W Winonie mieli tylko kury, a wuj August nie chciał się zgodzić na inne zwierzęta. „Pójdziecie na swoje, będziecie mieli zwierzynę. Mnie od nich boli głowa”, oświadczył. Teraz Felicja myślała gorączkowo o tym, jak będzie go przekonywać do nowego lokatora, bo że chce zabrać rudzielca, to było już pewne.

Tom przyniósł spodek z mlekiem, a cała trójka wystawiła malutkie różowe języczki i zaczęła chleptać.

– Nie będzie mnie przez tydzień – odezwał się. – Widziałem się z farmerem z Rushford, który chce mnie nająć. Czy zajęłabyś się maluchami, kiedy mnie nie będzie?

Szczeniak zaczął podgryzać nadgarstek Felicji. Tom włożył go z powrotem do kosza i spojrzął na rękę dziewczyny.

– Nic mi nie zrobił. Toż to maleństwo!

Musiał się jednak przekonać i podsunął rękaw sukienki, a potem lekko dotknął skóry przedramienia. W tym momencie Felicję przeszył taki prąd ciepła, iż niemal podskoczyła. Poczwała nagłą chęć przytulenia się do Toma. Pragnęła, by ją całował.

– Felicja?

Jego usta znalazły się tak blisko. Niemał ją dotykały, a ona stawała się taka słaba. Mogłaby zrobić z nim wszystko, czego by sobie zażyczył.

– Weźmiesz pieski do domu?

Dom! I nagle się jej przypomniało. Nie mogła z nim rozmawiać na wprost. Wstała na uginających się nogach. Ponownie zakreśliło się jej w głowie.

– Nie mogę, Tom. Nie mogę. – W jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie martw się, inaczej to załatwię.

Chciał ją objąć, a ona – mimo iż tego pragnęła najbardziej na świecie – cofnęła się o krok. Oparła się o ścianę domu.

– Ja nawet nie będę mogła się z tobą widywać.

– Bo jestem biedny i bez rodziny?

Zaskoczyło ją tak bezpośrednie postawienie sprawy. Co ona najlepszego zrobiła! Ledwo rozpoczęła dorosłe życie, a już je sobie skomplikowała.

– Skądże, absolutnie nie! – Podniosła oczy i powiedziała to, co powinna powiedzieć na samym początku. – Ale muszę przygotowywać wyprawę ślubną. Ja... ja wychodzę za mąż na początku października – dokończyła szybko, nim głos jej się załamał.

– Za mąż? – Wydawało się jej, że jego zawsze opalona skóra pobladła. – Masz narzeczonego? Kogo? O nikim nie wspominałaś.

- Hubert Jaszewski.
- Ten chudzielec ze sklepu z narzędziami?

Nie mogła mówić, bo łyzy dławily jej gardło, więc tylko skinęła głową. Tym razem Tom nie zamierzał jej pocieszać, stał zmartwiałym z opuszczonymi rękami.

– A ja myślałem... – Wzdrygnął się i odwrócił od niej. – Nieważne, co myślałem. Miło było cię poznać, Felicjo – uciał kurtuazyjną frazą, jakby był na przyjęciu u burmistrza, a nie na trzcinowisku.

Po drodze do domu płakała. Potem wycierała sobie starannie twarz chusteczką, by znowu wybuchać szlochami. Trzeba było się trzymać postanowienia, by nie wychodzić za męża. Wiodłaby tak spokojne życie jak ciotka.

I to właśnie Matylda powitała Felicję na progu domu, kiedy bratanica rąbkiem fartucha ocierała sobie oczy.

– A ty skąd się dowiedziałaś? Pewnie wcześniej ci powiedziała. Ale żeby ani słowa! Nie spodziewałam się tego po tobie, Fela. No, coś tak oczy wybałuszyła? Wchodź i pomóż się jej pakować.

Felicja przemknęła obok ciotki, zastanawiając się, o co może jej chodzić. Po chwili już wiedziała. Wiera wyprowadzała się z domu. Cała izba zastawiona była kuframi i garderobą, a wszystko wyglądało tak, jakby przez dom przeleciał tajfun.

– Tylko ani słowa – zapowiedziała Wilczewska, widząc dziewczynę. Pociągała głośno nosem, tak jakby i ona przestała dopiero co płakać. – Już o wszystkim wiem od twojej ciotki. O mojej niewdzięczności.

Wiera wychodziła za męża za swojego łysego adoratora, buchaltera. Ale to nie wszystko, i nie to wywołało tak wielkie wzburzenie u Matyldy. Nowi małżonkowie postanowili się wynieść do Chicago, gdzie przyszły mąż Wiery otrzymał interesującą posadę.

– Felicja, ty chyba sama najlepiej rozumiesz, że nie mogę tu dłużej zostać. To się nie podobam księdzu, to aptekarzowi. To z kolei damulki z towarzystwa nazywają mnie za plecami kokotą.

– Ale ratujesz ludzi. Uzdrowiłaś Józula!

– To nie jest ważne w tak małym mieście. Powinna się jeszcze odpowiednio prowadzić. Ja tu nie pasuję.

– To nie jest małe miasto, prawie dwadzieścia tysięcy mieszkańców.

– Dla mnie tak, bo każdy zagląda drugiemu w garnki. Ja i Martin rozpoczniemy nowe życie gdzie indziej. Na szczęście dobrze się rozumiemy. Jesteś dobrą nauczycielką, Felicjo.

– I zabierzesz Joachimka? On się tak dobrze u nas czuje.

– To moje dziecko. Jak bym go miała zostawić? O niego Matylda tak chlipie, bo go pokochała z całego serca. Będziemy was odwiedzać – obiecała Wiera i pogładziła dziewczynę po policzku. – I przyjedziemy na twój ślub. Oczywiście, jeśli się odbędzie – dodała po krótkiej pauzie.

Ślub przecież mógłby się nie odbyć, rozmyślała Felicja przed zaśnięciem. Tylko co z jej obietnicą? Jeśli Bóg się rozgniewa i jeszcze kogoś innego ukarze? Postanowiła jak najszybciej zapomnieć o Tomie i poświęcić cały wolny czas narzeczonemu. Tylko że z kolei on był zajęty tapetowaniem pokoju, w którym mieli zamieszkać po ślubie. Oczywiście u swoich rodziców, których Felicja zdążyła zobaczyć jedynie raz. Nie zapalała do nich uczuciem.

Wynudziła się potwornie podczas wizyty i nie potrafiła w żaden sposób znaleźć wspólnego języka z tymi ludźmi. Wyglądało na to, że nie interesowało ich nic poza pieniędzmi,

a o panu Derdowskim wyrażali się, że jest pruskim agentem. Nie wydawali się też zachwyceni wyborem syna, zwłaszcza ubrana na czarno matka. Była już piąty rok w żałobie.

– Mogło jej się z tego nieszczęścia pomieszać w głowie – tłumaczyła ją Matylda, wysłuchawszy opowieści Felicji o przyszłych teściach. – Nie powinnaś jej tak surowo oceniać. Twoja dobroć sprawi, że cię pokocha całym sercem.

– Ona nikogo nie kocha! – zaprotestowała dziewczyna.

– Skąd to wiesz? Przecież rozmawiałaś z nią tylko raz. Z pewnością nie jest gorsza od Dory. – Matylda westchnęła.

W domu bez gadatliwej Wiery zrobiło się dziwnie pusto. Izba została starannie sprzątnięta i czekała teraz na nowych lokatorów. Trzeba było znaleźć czterech, bo poprzedni pozbyli się z izby gościa z Kongresówki. Nie pasowało im jego towarzystwo, w dodatku zaczęli go oskarżać o podkradanie pieniędzy.

Józul spędzał teraz całe godziny w ogrodzie, stopniowo stawiał samodzielnie coraz więcej kroków. Pielęgnował posadzone wiosną kwiaty i krzewy ozdobne. Zamierzał się zabrać do robienia ławeczki, tymczasem jednak strugał dziwne ludziki z kory i z pokorą znosił złośliwe uwagi wuja, że jego dzieła przypominają mu mory, wieszczych i diabły purtki. Matylda, korzystając ze względnego spokoju, połykała jedną za drugą książki pożyczane od Derdowskich. Nie może jej teraz martwić swoimi wątpliwościami, zdecydowała Felicja, obserwując zaczytaną ciotkę. Matylda potrafiła tak się wczuć w lekturę, że czasem się zaśmiała lub uroniła łzę. Ciekawe, co by powiedziała, gdyby się dowiedziała o Tomie? Pewnie wybiłaby jej z głowy takie mrzonki, bo jednak Matylda była przywiązana do polskości. Jej siostrzenica z Amerykaninem? Nie zniosłaby tego!

Felicja odbyła pierwszą przymiarke sukni ślubnej u krawcowej i zaczęła pomagać pani Joannie w księgarni. I nie tylko tam. Bardzo chętnie zajmowała się innymi zadaniami, które powierzał jej pan Derdowski. Została nawet introligatorem. Zszywała jego najnowszą broszurę na maszynie do szycia. Najchętniej robiłaby wszystko, żeby móc nie myśleć, ale i tak jej myśli jak zaczarowane wracały stale do Toma. Powinna była poprosić Wierę, żeby przed wyjazdem dała jej jakąś odtrutkę. Nie męczyłaby się aż tak okrutnie.

Aż wreszcie nie wytrzymała. Pod koniec lipca postanowiła wybrać się na spacer w okolicy domku Toma. Tylko sprawdzi, jak się czują pieski. Może nawet je zobaczy? Spytała też Huberta, czy nie chciałby mieć szczeniaka, kiedy zamieszkają razem, ale był nieprzejednany.

– Rodzice mają już psa i wystarczy.

– Ale to byłby mój pies.

– Felicjo droga – pochwyił jej ręce – będziemy mieć dzieci. Mówiłaś, że bardzo ich pragniesz. Po co ci kundel?

Chyba jestem za młoda na dzieci, myślała, odnajdując znajomą ścieżkę nad rzeką. Nogi same ją niosły i nie zatrzymała się ani razu, póki nie doszła do celu.

Ale dom był pusty i nigdzie dokoła nie było widać śladów obecności Toma. Tym razem nacisnęła kłamkę i weszła. Nie było też szczeniaków ani wesołego szczekania na jej widok. Podeszła do okna i spojrzała na pomost i wodę, by sprawdzić, czy jest tam łódź. Na próżno. Wyglądało na to, że Tom Scott postanowił nie wracać z Rushford. Korciło ją, żeby spytać o niego sąsiadów, którzy mieszkali po przeciwnej stronie rozlewiska, ale nie zrobiła tego. Widać tak musiało być.

## Rozdział XI

– Józiu, przestań już natychmiast, bo sobie krzywdę zrobisz. – Felicja nie mogła patrzeć, jak po raz kolejny unosi się w górę zaczepiony na belce.

– Muszę ćwiczyć – wystękał Józul i po chwili zeskoczył na ziemię. – Draństwo ta ręka. Nie trzymaj, jak powinna.

– Nie marudź, dobrze, że ją masz! Minęły niecałe trzy miesiące. Daj sobie czas.

– Nie mogę. Frank zaproponował mi pracę w rzeźni od przyszłego miesiąca. Muszę zacząć zarabiać na chleb. – Józul otarł pot wierzchem dłoni i przysiadł na zydelku. – Wszyscy coś robią, ty też tutaj pomagasz i pracujesz w sklepie u Cierzanowej. Tylko ja próżnuję. – Wskazał na kolekcję ludków z kaszubskich opowieści, które Felicja z dumą umieściła na półce. – Chcę się zająć wreszcie czymś, za co płacą.

– Do rzeźni! – wykrzyknęła. – Ale ty...

– Tak, wiem. Nie nadaję się.

– Nie to chciałam powiedzieć – oburzyła się siostra. – Po prostu kochasz zwierzęta, więc jak...?

– Podobno nie mam być przy zabijaniu. Tak mi Helenka obiecała. Nauczają mnie rozbierać mięso.

To nie był dobry pomysł, Felicja mogłaby przysiąc, ale jak go przekonać?

– Wuj chce zrobić jadalnię. Już niedługo będziemy mieć siedmiu lokatorów. Ciotka nie da rady się tym sama zająć. Musi mieć kogoś do pomocy.

– A ty nie będziesz mogła? Pan Hubert ci nie pozwoli?

– Chce, żebym pomagała jego matce. – Wzruszyła ramionami, choć na samą myśl o tym przechodziły ją dreszcze. – Ale może rzeczywiście powinniśmy kogoś zatrudnić. Jakaś miłą dziewczynę z Kaszub. Jak myślisz, braciszku? – Spojrzała mu niewinnie w oczy, ale on oczywiście natychmiast się domyślił, o co jej chodzi, i się zarumienił.

– Wszystko w swoim czasie – zdążył tylko powiedzieć, kiedy w drzwiach izby stanęła Matylda. Jej policzki były zarumienione, w jednej ręce trzymała okulary, a w drugiej list.

– Wiadomość od Wiery? – Felicja niemal podskoczyła. Od tak dawna wyczekiwała korespondencji od „księżniczki kirgiskiej”.

– A skąd! Wiera nie napisze, bo nie umie pisać, przynajmniej ani po polsku, ani po angielsku.

– Ale może poprosić męża, prawda?

– Toż wysłał pocztówkę z Chicago z ich adresem. Wiesz, gdzie przebywa. Ale to nieważne. Luiza do nas napisała.

Ciekawe, co takiego ekscytującego mogła napisać żona kuzyna z Gdańska, pomyślała Felicja. Jej listy były sztywne jak nakrochmalona poszewka na poduszkę.

– Spodziewa się dziecka! A może nawet już urodziła – dodała Matylda, przypatrując się dacie.

– Zdaje się, że jedno już mają – zauważyła spokojnie Felicja, nie bardzo rozumiejąc to podniecenie ciotki. Sprawy Joachima zawsze ją tak pochłaniały, jakby był jej własnym synem, a nie brata stryjecznego. Ta gdańska rodzina złościła ją coraz bardziej. Ileż to razy mieli już tu zjechać? Trudno naliczyć. A potem zawsze albo choroba, albo inna plaga stawała naprzeciw. Bałamutne bajki! Matylda mogła się zachwycać tą zamożną rodziną, ale ona wcale nie zamierzała. Woląла dostać list od Wiery lub od Rozalii. Przyjaciółka też nie dawała znaku życia.

W sobotę Felicja miała dzień wolny i została zaproszona do Heleny. Frank wyjechał negocjować ceny z dostawcami mięsa i siostra zaproponowała, by spędziły razem popołudnie, a nawet, jeśli Fela się na to zgodzi, noc. Termin ślubu zbliżał się wielkimi krokami i być może nie będą miały okazji, by porozmawiać tylko we dwie. W takich okolicznościach Felicja mogła tylko klasnąć w dłonie z radości, bo przecież od dawna o to jej właśnie chodziło. Hubert był wprawdzie niezadowolony, że nie pójdzie z nim na zabawę organizowaną na rzecznych tratwach, ale wyjątkowo się tym nie przejęła, tylko spokojnie wyjaśniła, że musi być przy siostrze ze względu na jej stan zdrowia.

Helena odprawiła służbę i rzeczywiście nikt inny nie miał im przeszkadzać. Był też oczywiście ulubieniec młodej ciotki, Dorian.

Helena wyjęła go z becika i położyła na kanapie, pozwalając Felicji zachwycać się każdym jego paluszkim. Oczywiście musiała je wszystkie dokładnie wyczuwać. Gdyby tylko mieć pewność, że urodzi jej się ktoś taki jak Dorian...

– I to jest właśnie najcudowniejsze w małżeństwie. Dzieci. Zobaczysz, Felu.

Przytaknęła bez entuzjazmu.

– Sama już nie wiem. Nie mam przekonania...

– Przekonania do małżeństwa? No wiesz? Chcesz cudze dzieci niańczyć jak Matylda? Taka dumna, że Augusta nie chciała.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

Helena wzruszyła ramionami, ale nie rozwinęła wątku.

– Małżeństwo to poważna sprawa. To poświęcenie dla drugiej osoby, a mężczyźni są od nas zupełnie inni. Czasem nie wszystko może ci się podobać, ale trzeba to znieść – ciągnęła kaza-  
nie starsza siostra. – Szczególnie z myślą o dzieciach.

Fela się zadumała. Całe życie wychowywała się z bratem, w dzieciństwie przyjaźniła się z chłopcem i nigdy nie poczuła tej pełnej inności, do której nawiązywała siostra. W opowie-  
ściach Heleny pojawiła się poza tym nowa, nieznana dotąd nuta. Nuta poświęcenia. To może  
lepiej byłoby wstąpić do klasztoru?

– Ale ty chyba nie musisz się poświęcać. Wasze małżeństwo jest przecież takie udane, prawda? – spytała jakby nigdy nic, licząc na sprowokowanie Heleny do wynurzeń na temat męża.

– O, tak – odpowiedziała żona Franka.

I mogłoby się wydawać, że nic jej nie dotknęło, gdyby nie lekkie ściągnięcie ust. Wystarczył ten jeden drobny grymas, żeby Felicja zyskała potwierdzenie. Helena nie była szczęśliwa w małżeństwie. I robiła się coraz bledsza. Na tak jasnej skórze każdy siniak był dobrze widoczny.

– Panno Felicjo!

Wracała rano od Heleny, żeby się przebrać i pójść z Matyldą na sumę, kiedy ku swojemu zaskoczeniu została dostrzeżona przez matkę Huberta.

Dziewczyna grzecznie dygnęła i przeszła na drugą stronę ulicy.

– Strasznie dużo pyłu – zauważyła Maria Jaszewska, podstawiając sobie pod nos chusteczkę z haftowanym monogramem. – Kiedy w końcu zrobią te wszystkie chodniki?

– Od paru tygodni nie pada – dodała Felicja.

Upał też doskwierał i można było tylko współczuć przyszłej teściowej, że wybrała tak ciepłe ubranie. Miała na sobie grubą czarną sukienkę bez jakiegokolwiek ozdoby z wyjątkiem medalika z Matką Boską, a na ramiona narzucony płaszcz, bardziej nadający się na porę zimową. Tylko że Maria Jaszewska zawsze tak wyglądała, a przynajmniej od kiedy ją z widzenia koja-  
rzyła. Czarny kolor był żałobą po jej starszym synu, który zmarł na czerwonkę pięć lat wcześniej. Była znacznie młodsza od Matyldy, przyjechała do Ameryki jako dziewczynka, ale wyglądała

o wiele starzej.

– Jak państwa zdrowie? – zagadnęła uprzejmie Halmanówna.

– Tak jak może być w tych okolicznościach. Gorąco, kurz i stałe cierpienie. Wracam z cmentarza – oznajmiła Maria tak dramatycznym tonem, jakby jej syna pochowano poprzedniego dnia.

Rzeczywiście musiała cierpieć, pomyślała Felicja. To był kawałek drogi. I w takim ubra-  
niu!

– Teraz zostało nam tylko jedno dziecko. Nasze oczko w głowie.

– Rozumiem – odpowiedziała Felicja, opuszczając wzrok pod świdrującym spojrzeniem matki narzeczonego.

– Nie wiem, czy wystarczająco dobrze – powiedziała zimnym tonem Jaszewska. – Moja przyszła synowa ma być posłuszna swojemu mężowi, musi być świetną gospodynią i oddaną matką dzieci. Mam nadzieję, że ty taka będziesz.

Felicja dygnęła lekko.

– I ma chyba kochać pani syna?

– Miłość – syknęła Jaszewska. – Może to dla młodych. Dla mnie jest ważne, by nie brano jej na języki na mieście.

– Słucham?

Jaszewska ciągnęła:

– I nie szwendała się po krzakach w towarzystwie mieszańców. Takie jest moje zdanie – zakończyła, po czym zarzuciła suknię w kurzu i odeszła bez pożegnania.

Serce Felicji waliło jak oszalałe. Czyżby ktoś ją widział z Tomem i rozniósł to po całym mieście? A może miała na myśli Wierę, skoro mówiła o mieszańcach? Złapała się framugi witryny sklepowej, żeby się nie przewrócić. Świat się jakby zmniejszył, a wszystko zaczynało falować.

– Fela! Trzymaj mnie za mankiety! – Kątem oka zauważyła, że pojawił się przy niej pan Derdowski. – Będzie to trochę jak wiódł ślepy kulawego, ale damy sobie radę. Doprowadzę pannę do domu, tylko się mnie mocno trzymaj. I oddychaj.

Parę minut później znalazła się znów na tej samej pełnej pyłu ulicy.

– Przepraszam, przepraszam, ale... – I rozpląkała się.

– Widziałem, że rozmawiała panna z przyszłą teściową – zauważył Derdowski i podał Felicji chusteczkę do nosa. – Ona jest dobrze znana z wielkiego miłosierdzia, niech więc się panna nie przejmuj. To jak, lepiej? Odprowadzę.

– Już się lepiej czuję, a pan pewnie zajęty.

– Wysłała mnie Joasia na przechadzkę. Ruszać się i ruszać. Taki to pruski żandarm z mojej żony rodem z Golubia się zrobił. Równie dobrze mogę się poruszać, odprowadzając pannę. Albo możemy się umówić, że to panna odprowadza biednego staruszka.

Oj, ten pan Derdowski, on to ze wszystkiego potrafi kpić, pomyślała Felicja.

– Bardzo jestem panu wdzięczna! A przyszła teściowa... Ma w sobie tyle cierpienia.

– I to jej zostanie na wieki. Amen. Powiem tylko, że mnie powoli też już ci wszyscy ludzie męczą. To kołtuństwo i zakłamanie, te spory w polonijnych organizacjach. I jeszcze ten szmatławiec „Winona Daily Republican” się do mnie przyczepił. Jakieś warchoły i krętacze ten dziennik redagują – pocieszał ją pan Hieronim w drodze.

– Pewnie pan poruszył jakąś czułą strunę – zauważyła, z trudem skupiając się na tym, co do niej mówi.

– Panna sama czytała te listy, które wpływają do naszej redakcji. Ile to wyzwisk i jadu na mnie w każdym. Im bardziej tych warchołów pomacamy, tym mocniej jęczą i wyzywają. Ale nie

na próżno cierpiałem za wiarę i ojczyznę w bismarckowskich więzieniach. Hartuj swą duszę, moja droga, ona jest najważniejsza! Gorzkie i jadowite słowa się od niej odbiją i ciebie samej nie dotkną. Pamiętaj o tym.

Przed domem pan Derdowski się pożegnał i uchylił kapelusza.

– I powiedz wujowi, że jak chce robić przy dachu, to Tom Scott jest najlepszy.

Felicja zamarła ze zdziwienia i dopiero, kiedy autor *Pana Czorlińskiego* się odwracał, zauważyła:

– Ale przecież jego chyba nie ma w Winonie?

– Nie, już jest. Wrócił w zeszłym tygodniu – oznajmił i odszedł, ciągnąc za sobą lewą nogę.

U Halmanów nikogo nie było. Nawet żadnych lokatorów. Wszyscy musieli pójść już do kościoła. Felicja zerknęła na zegar z kukułką przywieziony z Sitna. Musi się pospieszyć, by zdążyć na czas. Wyjęła z torby koszulę nocną i przybory toaletowe i zaczęła szukać książeczki do nabożeństwa. I nagle wpadł jej w ręce list od Rozalii, który otrzymała dwa tygodnie wcześniej. Szybko przebiegła go wzrokiem.

*Najdroższa Przyjaciółko moja, zadajesz mi tak istotne pytania, a przecież wiesz, że jestem bardzo szczerą i muszę Ci odpowiedzieć zgodnie z sumieniem. Nie znamy się osobiście, ale czytając Twoje listy od dłuższego czasu i wydaje mi się, że wiem, co się w Twym sercu dzieje. Nie kochasz swojego przyszłego męża. Wydaje mi się również, że on nie kocha Ciebie, skoro za wszelką cenę próbuje Cię zmusić do spraw, przed którymi się wyraźnie wzdragasz. Nie chcę przez to powiedzieć, że do ślubu nie powinno dojść. Jest wiele niekochających się małżeństw, w których ludzie żyją szczęśliwie we wzajemnym szacunku. Pytałaś mnie jednak o poradę. Przemyśl to sobie jeszcze. Może za krótko się znacie. Czy uwierzyłabyś, że przez pierwsze cztery lata ja nienawidziłam Dimy? I to z całego serca. Mój zabawny mąż mówi z kolei, że on się we mnie zakochał od pierwszego wejrzenia. Słuchaj więc rad, miła memu sercu Przyjaciółko, ale sama decyduj o swym losie.*

Wepchnęła list do szkatułki ozdobionej muszelkami. Zerwała się z krzesła i pospiesznie wyszła z domu.

– Nic ci nie jest, dziecko? – spytała Matylda, kiedy Felicja niemal spóźniona przeciskała się na miejsce.

– Nie wiem, ciociu – odpowiedziała, ale jej słowa zagłuszyło dzwoniące sygnalizujące pojawienie się księdza.

Wierni podnieśli się z ławek.

Felicja spojrzała na krucyfiks i pochyliła głowę. Czekwała na znak! Żarliwie modliła się o niego. Czy może złamać daną obietnicę? Czy może zawieść oczekiwania innych? Życie małżeńskie to obowiązek, tak przecież mówiły wszystkie kobiety. Miała wrażenie, że Hubert Jaszewski siedzący sztywno pomiędzy matką i ojcem personifikuje właśnie ten obowiązek. Dopiero teraz zauważyła, że nie usiadł przy niej, jak do tej pory od czasu ogłoszenia zapowiedzi. Czy to dlatego, że pojawiła się w kościele niemal spóźniona? To mu się nie spodobało?

Wkrótce się dowiedziała.

Kiedy wychodziła z kościoła, narzeczony podszedł do niej i poprosił na słowo. Felicja spojrzała na Matyldę, ale ciotka uśmiechnęła się przyzwalająco.

– Coś się stało?

– Tak, stało się – odparł Hubert, jak zawsze czerwony na twarzy. To wcale nie były

rumieńce zawstydzienia, zrozumiała teraz Felicja, tylko jego uroda. – Zawiodłem się na tobie.

– Na mnie? – zdumiała się dziewczyna.

– Obraziłaś moją matkę. Powiedziała mi, że się dzisiaj spotkałyście, a ty byłaś wobec niej harda i nieprzyjemna.

– Ależ to nieprawda. Było całkiem odwrotnie – zauważyła Felicja.

– Oskarżasz moją matkę o to, że kłamie?

– Nie, ja...

– To pamiętaj, kim dla ciebie będzie. Nie życzę sobie, żeby w przyszłości moja żona tak traktowała swoją teściową. To niedopuszczalne.

– Masz rację! – Teraz Felicja poczerwieniała jak piwonია. Jeśli to nie był ten znak, to co nim miało być?

– To dobrze, że się ze mną zgadzasz.

– Zgadzam się, bo nie będzie moją teściową.

– Co?

– Przykro mi, Hubercie, ale nie nadaję się na twoją żonę. Myślałam, że jest to możliwe, ale teraz... przepraszam! – Nie kończąc, odwróciła się od niego.

Jaszewski chciał ją dogonić, ale rodzice podeszli do niego. Matka położyła na jego ramieniu dłoń w czarnej rękawiczce.

Kiedy Felicja skręciła z drogi na łąkę, szła coraz szybciej. Przez chwilę coś zawirowało jej w głowie, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi. Czuła, jak wyrastają jej skrzydła i na nich leci. Krew w żyłach tętniła tak mocno, jakby chciała wytrysnąć przez policzki.

Najpierw usłyszała szczekanie, zwolniła więc kroku, by za chwilę zobaczyć zabawną rudą kulkę biegnącą w jej stronę. Jak on urósł przez ponad dwa miesiące! Był też bardziej przyjacielski, bo nie rzucił się na nią z zębami, tylko zaczął lizać po rękach. Kucnęła i głaskała psa.

– Fido! – Zza trzciny wyłonił się właściciel psiaka.

Żeby on się teraz widział, zaśmiała się w duchu Felicja. Tak bardzo był zdumiony! A potem rozjaśnił się w szczerym uśmiechu.

– Cześć, Tom! – Podniosła się z kucek i stanęła przy nim twarzą w twarz. Nie był tak wysoki jak Hubert, ale dla niej w sam raz.

– Co ty tu robisz? – Uśmiech zaczął znikać.

– Nie wyjdę za Jaszewskiego – oświadczyła i wypowiadając te słowa, poczuła ogromną ulgę.

– Masz rację – odpowiedział Tom. – Bo wyjdiesz za mnie. – Przytulił ją do siebie i tym razem jego usta dotknęły jej warg.

O, jak bardzo słusznie postąpiłam, pomyślała Felicja, oddając pocałunki. Czy to możliwe, że przyszły narzeczony nigdy nie pocałował jej w usta? I na szczęście nigdy już tego nie zrobi.



# **CZEŚĆ DRUGA**

**TOM**

## Rozdział XII

*Winona, luty 1895*

– Mortenson, ty łajdaku jeden, ty łotrze!  
– August, obudź się. – Czuje szturchnięcie w ramię i nadludzkim wysiłkiem woli otwiera oczy. Widzi nad sobą twarz starej kobiety. – Matko!

– Oj, z tobą to już jest chyba zupełnie źle – słyszy niecierpliwe westchnienie. – Napij się tego naparu. Może nie będziesz po nim szalał.

– Jak to szalał?

– Cały czas majaczysz. Nie poznajesz mnie? Matyllda.

Kolejna oszustka. Myśli, że on nie wie, jak wygląda jego ukochana? Jest młoda, piękna i ma usta stworzone do pocałunków. Nie chce go całować, bo woli innego. To wszystko sprawa tego Mortensona. To on jest wszystkiemu winny.

Matyllda raz po raz zerknęła z niepokojem na leżącego w malignie Augusta. W żaden sposób nie mogła mu pomóc w cierpieniach. Wilczewska ostrzegęła, że te bóle w plecach to nie jest zwykła dolegliwość, którą zdołałaby wyleczyć. Będą się nasilać, a na koniec... Matyllda zostanie już sama, bez tego, który ostatni na tej obcej ziemi pamiętał ją z lat młodości.

August był zaczerwieniony na twarzy, ale po kilku łykach naparu trochę się uspokoił i przestał walczyć z wrogami. Co chwila zresztą się zmieniali. Jednym razem byli to Indianie, innym koniokrady, ale dominował wśród nich „łotr Mortenson”, złodziej Augustowej „góry złota”. Słuchała jego majaczeń od kilku dni i zdążyła już się zorientować, jak wiele złego doświadczył w życiu ten schorowany teraz człowiek. Dotknęła dłonią rozgrzanego czoła kuzyna, mając nadzieję, że mu to przyniesie ulgę.

– Moja Matyllda! – jęknął cicho i się uśmiechnął, nie otwierając oczu.

Gładziła jego twarz, która w jej oczach zmieniała się z każdym ruchem ręki. Znów miał dwadzieścia pięć lat i ciemne włosy. Prosił ją o rękę, a ona mu odmówiła. Porywczy i dumny wyjechał, zanim odkryła swój błąd. Bo przecież byli dla siebie stworzeni. Rozumiała go znacznie lepiej niż Henryka, który w zasadzie cenił tylko pieniądze. Dopiero gdy August wyjechał, pojęła, jak bardzo go kocha. Całymi latami czekała, że do niej napisze i ponownie jej się oświadczy, ale nadaremnie. August nigdy tego nie zrobił i nigdy się nie ożenił. Tak jak ona wybrała samotne życie. A jednak ich ścieżki skrzyżowały się na stare lata. Los mimo wszystko okazał się dla nich łaskawy. Nie pozwolił mu odejść w samotności.

– Ciotko? – Drgnęła, słysząc głos Józula. – Jak wuj się czuje?

– Bez zmian, synku. Chcesz coś zjeść? Są kluski z kapustą. Chyba smaczne, bo nasi goście prawie wylizali garnki.

– Ciociu?

– O, jaki przymilny. Liczysz na placek z jabłkami? – Z czułością spojrzała na bratanka, który wszedł do pokoju chorego.

– A chętnie coś skubnę przed spaniem. Są tam orzechy?

Było już po północy i Józul dopiero wrócił z pracy. Od paru miesięcy terminował w „salunie” i robił tam wszystko, co mu kazał jego boss, pan Ebertowski. Od szorowania podłóg i mycia brudnych garnków do nalewania piwa. Ostatnio coraz częściej stał za barem, bo do salonu przychodziło wielu ciekawskich, którzy chcieli zobaczyć ozdrowieńca na własne oczy. „Panie, siedemdziesiąt kości połamanych. Uciekł kostusze spod kosy!”

Józul był wprost stworzony do tego zajęcia. Lubił rozmawiać z ludźmi i im usługiwać. Dobrze się czuł w gwarnej, zadymionej atmosferze, wśród wybuchów rubasznego śmiechu. Matylda uważała, że rekompensuje sobie w ten sposób spędzone samotnie miesiące rekonwalescencji. Wcześniejsza praca w rzeźni Franka okazała się, tak jak to zresztą trafnie przewidziała Felicja, czasem straconym. Józul nie mógł patrzeć na krew i nie dał się przyuczyć do nowej pracy. Od tego czasu – choć ciotka narzekała, że nie nabierze wystarczająco ciała – nie tknął mięsa.

Józul skończył wyjadać ostatnie okruchy placka i spojrzał na ciotkę.

– O coś ci jednak chodzi – stwierdziła spokojnie.

– Fela przyjechała.

– Jak to przyjechała? – Matylda zerwała się z krzesła. – To gdzie ona jest?

– Nocuje u Ebertowskiego. Słyszała o chorobie wuja.

– To dlaczego ta głupia dziewczucha nie przyszła do domu?

– No, wie ciotka, ze względu na pana Jaszewskiego.

Matylda kręciła gniewnie głową. Jak ona mogła? Toż powiedziała Felicji, kiedy pojawiła się wraz z Tomem, że nigdy się jej nie wyprą i zawsze może na nich liczyć, ale dziewczyna wbiła sobie do głowy nie wiadomo co.

– Ciotko najukochańsza. – Klęczała przed Matyldą i całowała jej rękę. Mówiła po polsku, więc Tom Scott niczego nie rozumiał. – Myśmy postanowili stąd wyjechać na jakiś czas. Niech tu się lepiej uspokoi. Wy będziecie mogli patrzeć Jaszewskim prosto w oczy. Również Helena nie będzie was nachodzić z pretensjami.

– Ależ, dziewczyno, nikt cię na siłę nie chciał wydawać za męża. Coś ty sobie ubzdurała – oburzył się August. – I teraz też nie mamy zamiaru cię wyklinać. Zakochałaś się w innym. Tak to bywa. Gratuluję! – Uścisnął prawicę zakłopotanemu Tomowi.

Nie dało się jednak jej przekonać. Widać, że zawróciła temu mężczyźnie w głowie, bo zgadzał się ze wszystkim, co mu narzuciła. Wyjechali więc tego samego dnia i pobrali się w jakimś miasteczku po drodze. Na szczęście Fela miała choć na tyle przyzwoitości, by przysłać rodzinie ślubną fotografię. Nie wyglądali na niej zbyt odświętnie, no ale cóż robić. Przecież suknię kupioną przez Huberta mu zwróciła. A on... Też się ożenił na Boże Narodzenie, z inną panną. Była tej samej postury co Felicja, więc suknia pasowała na nią jak ulał.

– Trzeba ją natychmiast jutro przyprowadzić! – zapowiedziała bratankowi Matylda. – Przyjechała z mężem?

– Nie, sama.

Matylda się przeżegnała, dziękując Bogu za przyjazd Felicji. Nawet nie przypuszczała, że tak szybko się zjawi. Zamieszkali teraz znacznie dalej od Winony, w Red Wing. Dobrze, że będzie tu razem z nimi przy ostatnich chwilach Augusta. Bo koniec się zbliżał. Weszła do izby i przez chwilę wpatrywała się w postać leżącą pod pierzyną. Oddychał znacznie spokojniej.

Coś siedzi mu na piersi i nie może się cholerstwa pozbyć. Patrzy przed siebie i dopiero po chwili widzi, że w ciemności czai się ktoś nieznajomy.

– Ktoś ty? – chrypi August.

– To ja – pada odpowiedź.

Oj, zna ten głos doskonale, lepiej niż własny, bo on zawsze tyle gadał. Kiedy August mówił mu, żeby się przymknął, bo ktoś ich jeszcze usłyszy, ten plółł swoje, tłumacząc, że inaczej język mu zarośnie. Zarośnie język, widział ktoś takie cuda? Pozwolił mu więc gadać do woli.

– Oszukałeś mnie, ty draniu! – przypomina sobie nagle. Złapie zaraz tego łotra za kark i obje łagą.

– August, zawsze byłeś dla mnie bratem.  
– Chyba jak Abel dla Kaina.  
– Nie. Nie mogłem wówczas wrócić do ciebie, bo mnie napadli. Wiesz, kto to był! Oszukałeś ich w szulerni na grube pieniądze. Ty nawiałeś, ale mnie skatowali tak strasznie, że latami dochodziłem do zdrowia. I zabrali mi twoją część złota. Zobacz, że nie mam ręki. – August widzi podstawiony mu pod nos kikut i odsuwa od niego twarz. – Ale udało mi się zakopać część grudek, zanim po mnie przyjechali. Długo ich szukałem, bo wyrosły tam krzaki. Ale trochę ich odzyskałem. Przywiozłem je dla ciebie, August.

– Przywiozłeś?  
– Patrz! – Złoto mieni się przed oczami jak blask zachodzącego słońca.  
– Jest moje złoto! – August się wzrusza.  
– A co zrobiłeś z resztą, bracie?  
– Z jaką resztą?  
– Tą, którą zatrzymałeś?  
– Ja? – jęczy chory. – Nie pamiętam. Jestem już stary.  
– To ja ci przypomnę, August, co z nim zrobiłeś. Przegrałeś je w karty. Jak zwykle. Zaprosiłeś do siebie rodzinę, swoją dawną ukochaną. Mogli mieszkać tu w pałacu, a nie w tej chacie. Wcale nie lepsza niż ta w twoich stronach, mnie możesz się przyznać, bracie. Bo ty wszystko straciłeś. Twoją posiadłość w Renfrew, tartak, który do dzisiaj pracowałby dla was na chleb, a nawet...

– Nie dręcz mnie! – Ika Halman. – Nie mogę tego słuchać!  
– Ale to na mnie złożyłeś przez całe życie! A siebie powinienes winić.  
– Tak, masz rację. Mea culpa! Mea maxima culpa.  
– Ale ja ci odpuszczę, Auguście. Ja ci odpuszczam!

Matylda obudziła się z nagłym bólem serca. Usiadła na łóżku i usłyszała, jak zegar wybija czwartą. Coś się stało. Musiała sprawdzić, co z Augustem. Postanowiła, że jak pojawi się Felicja, to wezwą księdza. Chyba nie można było zwlekać.

– August! – Ku jej zdumieniu chory siedział na łóżku przy zapalanej świecy.  
– Dobrze, Mati, że przyszedłeś, bo wielkie nowiny.  
– Co się stało? – spytała przerażona.  
– Mortenson oddał mi pieniądze.  
– Jak to ci oddał?  
– Załatwiliśmy sprawę ze sobą. To będzie spora sumka. I wiesz, co ja chcę z nią zrobić? Co się z nim dzieje? Matylda zaniepokoiła się nie na żarty. Przedtem może majaczył, ale teraz wyglądało na to, że po prostu oszalał.

– Co chcesz z nią zrobić? – spytała, nie chcąc mu się przeciwstawiać.  
August złapał jej rękę kurczowo.  
– Będzie na dom dla Felicji. Nie mogą się tak tułać po świecie. Tu jest twój dom i Józula. A pieniądze będą dla naszej Feli. Za to, że wybrała miłość.

Matylda siedziała na łóżku Augusta. Z oczu pociekły jej łzy. Płakała coraz bardziej, kiedy uścisk dłoni mężczyzny słabł.

\* \* \*

Felicja przygotowała kilka talerzy kanapek, pokroiła ciasta i ustawiła wszystko na stole nakrytym białym obrusem. Nasypała kawy do dzbanka i wzdrygnęła się z zimna. W domu panował przeraźliwy chłód, ponieważ ze względu na nieboszczyka w trumnie niewiele palili w piecu.

– Już za chwilę się pojawią – stwierdziła Matylda i poprawiła czarny materiał zakrywa-

jący lustro. Zaczynała się pusta noc. Zbiorą się sąsiedzi i znajomi parafianie, żeby modląc się i śpiewając pieśni żałobne, pożegnać Augusta. Jutro go pochowają w obcej ziemi. Jednak zanim to zrobią, ona musi coś dla niego zrobić. Jeszcze tu leży obok, jeszcze jego obecność jest odczuwalna. I właśnie w tej chwili można dla niego najwięcej zrobić. Niech więc wie, że ona umie spełniać obietnice. Choć Matylda nie wierzyła, że August mógłby się pokazać pod postacią upiora *wieszci* albo *òpi*, nie zaznałaby spokoju, gdyby nie spełniła danej choremu obietnicy.

Sięgnęła do kasetki w komodzie.

– Felu – zwróciła się do bratanicy, kiedy wróciła do kuchni. – Usiądź tu, muszę ci coś rzec.

Ech, dorodna panna się z niej zrobiła. Ledwo pół roku minęło, a poznać jej nie można. Chyba rzeczywiście szczęście i miłość jej sprzyjają, pomyślała Matylda. Wzięła rękę Felicji i uścisnęła ją.

– Ciii, nie płacz już – uspokoiła ją, widząc, że dziewczynie zbiera się znów na łzy. – Wuj jest już u naszego Pana. Dobry z niego był człowiek, a w ostatniej chwili myślał o tobie.

– O mnie?

– Tak, kochanie. Kazał ci przekazać te dolary. – Matylda podała zawiniątko dziewczynie, której oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – Bo chciał, żebyście mogli kupić sobie dom. I to tutaj, w Winonie, a nie z dala od rodziny.

– Wuj tak powiedział? A pieniądze, skąd je miał? Przecież...

– Pamiętasz „łotra Mortensona”?

– A jakże! Ten, co fortunę wujowi zabrał.

– I wyobraź sobie, że parę dni przed jego śmiercią otrzymaliśmy anonimową przesyłkę pieniężną. Była tylko jedna jedyna litera – M.

– Boże święty! On oddał pieniądze?

– Tak. Oczywiście nie wszystkie. To jest tylko tysiąc dolarów, a według wuja miały być ich krocie, ale szczerze mówiąc, miło z jego strony, że cokolwiek zwrócił, nieprawdaż?

– Oj, ciotko, kochana! – Felicja rzuciła się jej do kolan. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale do kuchni wbiegł Józul z zaczerwienionymi od mrozu policzkami.

– Idą już śpiewak i kobiety!

Felicja zapaliła szybko kolejne świece, zaniósła je do izby i postawiła przy trumnie, by oświetlały oblicze nieboszczyka. Wuj wyglądał niezwykle spokojnie.

Matylda oparła czoło o framugę i odetchnęła z ulgą. Zrobiła, co należało. Joachim, który przez lata przysyłał te pieniądze na czarną godzinę, chyba by nie oponował. A poza tym wcale tak bardzo nie skłamała, M jak Matylda.

## Rozdział XIII

*Winona, 1900*

Wiosna. Wiosna. Była tu znacznie krótsza niż w domu w Sitnie, czasem potrafiła trwać zaledwie jeden dzień. Jednego dnia zima z przymrozkami, drugiego upalne lato. Trzeba się cieszyć tą wiosną bardzo szybko, powtarzała sobie raz po raz, pucując energicznie szyby. Lada dzień będzie już zupełnie ciepło. Ledwie zniknął śnieg, a już pod domem na rabatce pojawiły się pierwsze żonkile. Za parę dni zakwitną też tulipany. Felicja nachyliła twarz ku delikatnym promieniom słonecznym i westchnęła odprężona. Nagle ujrzała, że uszy Fida stają sztorcem i zwierzak czegoś nasłuchuje.

– Piesku?

I dopiero wówczas na sąsiedniej posesji rozległ się huk. Cofnęła się, myśląc, że wypaliła czyjaś broń, w pobliskim saloonie często dochodziło do burd. Po chwili usłyszała płacz dziecka, a następnie rozległ się hałas zatrzaszczonych drzwi i znów płacz. Tym razem stłumiony. Fido zaszczekał, ale tylko raz, i spojrzał na swoją panią. Zagryzła wargę aż do krwi. Znowu to samo. I nic nie można począć.

Skończyła myć ostatnie okno i usiadła przy kuchennym stole. Miała dla siebie całe sobotnie przedpołudnie, bo Tom dostał pierwszą pracę po zimie i powinien wrócić do domu dopiero na przerwę obiadową. Już od paru tygodni szykowała się na wiosenne porządki, dzień wolny, pogoda dopisała, a teraz wystarczył tylko płacz dziecka, by wszelki zapał ją opuścił.

Właśnie, dziecko. Nie może o tym myśleć, bo zaraz się zacznie. No, już się zaczęło. Kuchenny obrus stawał się mokry od łez. Była żoną Toma od ponad pięciu lat i nie mieli jeszcze potomstwa. Przez pierwsze dwa lata niczym się nie niepokoiła, ba, nie miała nawet czasu o tym myśleć. Tak bardzo pochłonięta była miłością do męża. No cóż, zupełnie straciła dla niego głowę. Jednak stopniowo zaczął narastać w niej lęk. Bo co będzie, jeśli ona nie będzie mogła mieć dzieci?

– Felu, jeśli cię to tak martwi, to może powinnaś iść do lekarza? – zasugerowała jej ciotka.

– Chyba za bardzo się wstydzę. Nie wyobrażam sobie... A ciocia by poszła?

– Jesliby mi na tym zależało, to tak – odparła Matylda, jak zawsze zdumiewając bratanicę, która sama nie wiedziała, czy jest równie postępową jak ta niemal siedemdziesięcioletnia kobieta. – Potrafisz być zdeterminowana, jeśli tego chcesz, prawda?

Taki lekki przytyk, ale celny, pomyślała Felicja.

– Szkoda, że nie ma Wiery. Może ona by mi coś pomogła?

– To prawda. Dawno się nie odzywała do nas. Joachimek pewnie już o nas zapomniał. – Matylda starła łzę wierzchem dłoni. Po śmierci wuja Augusta zrobiła się bardzo sentymentalna i byle słowo powodowało u niej potok łez.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała Felicja, wyjmując z kieszeni fartucha chusteczkę. Ona również stawała się coraz bardziej płaczliwa i coraz bardziej przekonana o tym, że bezdzietność jest karą za złamanie obietnicy wobec Boga.

Na początku małżeństwa nie nurtowały jej żadne złamane obietnice, gdyż przepelniało ją szczęście. Tak bardzo się przecież kochali. Tom był łagodnym i czułym mężczyzną, wprawdzie bardzo niezależnym, ale liczącym się z jej zdaniem. Mieszkając w okolicach Red Wing, przetrwali w niezmaconej harmonii ciężkie chwile. Gdyby Tom był sam, z pewnością nie miałby kło-

potów ze znalezieniem pracy i miejsca do spania, ale wszyscy farmerzy krzywili się na młodą żonę. W końcu udało im się zamieszkać niemalże na pustkowiu, w starej chacie mogącej się zawalić przy byle mocniejszym podmuchu wiatru. Felicja, która nigdy w życiu nie wydoiła krowy, musiała się nimi zajmować, a Tom pomagał farmerowi przy wyrębie. Mimo to obojgu dopisywał humor, a ciepła poszukiwali we wzajemnych objęciach i futrze już teraz całkiem sporego Fida. Na wiosnę zamierzali wrócić do swojego letniego siedliska nad rzeką, ale umarł wuj August, który ofiarował im pieniądze na zakup prawdziwego domu w Winonie.

– Cieszysz się z tych dolarów, Tomie? – spytała Felicja męża po pogrzebie wuja.

– Mnie są one niepotrzebne, ale wiem, że ty powinnaś mieć dom i być blisko swojej rodziny.

– Teraz to też twoja rodzina.

– Może i tak. – Tom pokiwał głową. – Ja nie bardzo się na tym znam. Do tej pory byłem swobodny jak wiatr.

– Nie szkodzi. Jesteś moim mężem.

Okazało się jednak, że kwota tysiąca dolarów pozwalała im jedynie na zakup domu na przedmieściach Winony, niedaleko jeziora, ale również torów kolejowych. Kiedy przejeżdżał pociąg, na stole podskakiwały talerze, ale po paru latach zdążyli się do tego tak przyzwyczaić, że teraz nawet tego nie zauważali. Domek był maciupęki, zaledwie kuchnia z salonikiem na dole, a na górze sypialnia. I jeszcze pokój nie większy niż pomieszczenie na szcgotki, w którym Felicja widziała w przyszłości miejsce na kołyskę.

Dom wymagał wielu napraw i odmalowania, ale czyż nie byli młodzi i silni? Tom spędzał na majsterkowaniu każdą wolną chwilę, ona sprzątała i szyła nowe zasłony. Pół roku po wprowadzeniu się postanowili zaprosić do siebie rodzinę Halmanów, żeby się sami przekonali, iż pieniądze Augusta nie poszły na marne. Maple Street odległa była od ich nowego gniazdka o półtorej mili, więc każdorazowa wizyta wymagała nieco więcej zachodu niż zwykle sąsiedzkie wpadnięcie po sól. Młoda pani domu krzątała się więc od paru tygodni, by sprostać wymaganiom starszej siostry, ale zupełnie niepotrzebnie, bo Helena nie zaszczyciła ich swoją obecnością.

– Ona mnie nienawidzi za zerwanie zaręczyn z Jaszewskim – skarżyła się Felicja ciotce, która przyjechała wraz z Józulem dwukółką pożyczoną od sąsiadów.

– Zawiadomiła przez posłańca, że niedomaga. Nie mówiła wcześniej, że nie chce – wyjaśniła Matylda, ale Felicja jakoś jej nie wierzyła.

Ciotka zawsze tłumaczyła Helenę, a ona stale jej unikała, od kiedy wyszła za męża za Toma. Nawet w kościele odwracała się na jej widok. Jak więc tu wierzyć w jej niedomaganie.

– Pewnie jej Frank robi interesy z Jaszewskimi. Dla niej liczą się tylko pieniądze! Przecież ciocia wie, że nie widziałam mojego chrześniaka od wielu miesięcy, a małej Amelii wcale.

– Do nas też zbyt często nie przychodzi – zauważyła Matylda.

– A mnie powiedziała, że to wstyd mieć brata, który nalewa alkohol w barze – dołączył się do rozmowy Józul.

Felicji dotkliwie brakowało Heleny. Nie rozumiała dlaczego, ale z każdym miesiącem to uczucie coraz bardziej narastało. Pewnie przyczyniał się do tego brak przyjaciółki, której mogłaby się zwierzyć. Rozalia również pisała dość rzadko, ale trudno było od matki małych bliźniaków oczekiwać ożywionej korespondencji. Po paru miesiącach w końcu zastała siostrę u Matyldy, obie jednak zachowywały się wobec siebie dość sztywno, jakby skrępowane swoją obecnością.

Przez ponad pięć lat spotkały się może z dziesięć razy i Helena ani razu nie zaprosiła Felicji do siebie. Co niedzielę widywały się za to w kościele. I to z daleka, gdyż nowo powstały kościół św. Stanisława Kostki był ogromny.

W powietrzu zawibrował kolejny przerażający krzyk dziecka. Felicja zerwała się z krzesła i podbiegła do okna. Sierść się Fidowi zjeżyła i pies wyglądał teraz nawet groźnie.

– Co się tam dzieje? – zawołała, wiedząc, że nie doczeka się odpowiedzi. Serce jej dudniło i poczuła ciężar w piersiach.

Miss Watson z biblioteki powiedziała jej, iż być może Felicja ma wadę serca. I to pewnie z tego powodu pojawiają się zawroty głowy i omdlenia. Pomyślała, że może niepotrzebnie tak bardzo pragnie dziecka, skoro jego przyjście na świat przypłaciłaby niechybnie życiem, dzieląc los własnej matki. A może wcale tak by nie było? Raz kozie śmierć, postanowiła nagle. Pójdzie do lekarza i poprosi o poradę. We wszystkich sprawach. Ciotka miała rację.

Po chwili ciężar znikł, a Felicja wróciła do sprzątanania. Postanowiła najpierw zająć się tym, co najbardziej lubiła, czyli odkurzaniem dwóch półek z książkami. To był jej prawdziwy skarb. Większość woluminów była po polsku: pozycje zakupione w księgarni winońskiej lub ofiarowane jej w zamian za pracę przez pana Derdowskiego. Tu również znajdowały się powieści amerykańskich pisarzy, takich jak Mark Twain, Edgar Allan Poe czy Henry James. Obok nich stało kilka książek, które Felicja pożyczyła sobie z pracy.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się, kiedy miotłką ze strusich piór omiatała kurz z okładek. Była naprawdę niemądra, że jako szczęśliwa mężatka z domem i wspaniałą pracą szukała powodu do zmartwień. Otworzyła jeden z opasłych tomów Dickensa i zerknęła na stempel. Biblioteka w Winonie. Pani Archer musiała ją zapamiętać podczas pierwszej rozmowy, gdyż wkrótce, gdy wrócili z Red Wing, zaczęła ją na ulicy i poprosiła o ponowne spotkanie.

– Niestety, nie mogłam wówczas zaproponować pani pracy, bo dopiero dyskutowaliśmy o funduszach – mówiła dostojna dama. – Obecnie nasz dobroczyńca, pan Laird, postanowił zbudować dla naszych książek przepiękny gmach. Będziemy potrzebowali więc osób, które potrafią się nimi odpowiednio zająć.

Felicja nie wierzyła własnym uszom. Pamiętała jednak reakcję Huberta Jaszewskiego, kiedy wspomniała mu o posadzie nauczycielki. Poprosiła więc panią Archer o dzień do namysłu. Tak naprawdę chciała sprawę zatrudnienia omówić z mężem. Zupełnie jednak niepotrzebnie się martwiła, bo Tom, kiedy usłyszał o pracy na stanowisku bibliotekarki, był w siódmym niebie.

– Jestem z ciebie taki dumny. Będiesz pracowała w tak dużym gmachu jak kościół.

– Większym. – Felicja śmiała się i wraz z mężem tańczyła po niewielkim pokoju. – Sam koszt budynku, bez działki i zdobień, to pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A i nie byle kto go projektował. Sam dziekan wydziału architektury na Uniwersytecie w Pensylwanii i znany architekt filadelfijski. Jak to się on nazywał...?

– Jeśli ten budynek będzie miał dach, to pomyśl o swoim mężu, skarbie – przymiłał się Tom, któremu ciężko było się przystosować do stałej pracy.

Jeszcze parę lat temu był wolny jak ptak, przemieszczał się z miejsca na miejsce, poznawał nowych ludzi i uczył się nowych rzeczy. Felicja widziała, że ta stabilizacja czasem go przytłacza, bo musi poskromić swoje pragnienia i dostosować się do wspólnego życia. Chyba więcej musi poświęcić niż ona, uznała, i rozmawiając z panią Archer, wspomniała o niezwykłych talentach Toma. Parę miesięcy później otrzymał pracę przy stawianiu bibliotecznej kopuły.

– Z takiej wysokości mógłbym trafić prosto do nieba – śmiał się Tom.

Felicja mu wówczas jednak nie wtórowała, gdyż właśnie ten fakt stanowił jej kolejne zmartwienie. Tom Scott nie był osobą wierzącą. Nie chodził do żadnego kościoła. I o tym doskonale wiedziały rodziny Bronków, Jaszewskich, Cierzanów, Ebertowskich i cała kaszubska Winona. I mieli jej to za złe. I nie tylko to.

Nagle usłyszała walenie do drzwi. Ruszyła w ich stronę, zastanawiając się, czy powinna otworzyć, ale zobaczyła, że Fido macha ogonem.



– Proszę, niech mnie pani wpuści. – To był głos sąsiadki, pani O’Brady.  
– Jezu Chryste! – zawołała Felicja na jej widok i złapała się mocno framugi, żeby nie upaść.

– Nie miał nade mną miłosierdzia – rzuciła Minna. Krew z jej rozciętej brwi lała się na fartuch. – Nie, nie, ja nie po to... – Wyrwała się, kiedy Felicja próbowała otrzeć jej twarz. – Muszę wrócić. Reszta dzieci w domu z nim została. Proszę... pani Felicjo, czy Leo może tu zostać? – Felicja dopiero teraz dostrzegła szczupłego chłopczyka ukrytego za mamą.

– Oczywiście, ale... – Nie zdążyła skończyć, gdy Minna O’Brady ruszyła do wyjścia.  
– Leo mu wszedł w drogę. Lepiej niech tu przeczeka... – I zniknęła za drzwiami.  
Felicja spojrzała na siedmioletniego chłopca. Miał podbite oko i trzymał się za lewą rękę.  
– Fido, zostaw! Teraz nie będziesz się bawił, stary chuliganie! Kochanie, czy mogę zobaczyć? – zwróciła się do Leo i odsunęła drobną dłoń.

Na drugiej ręce były krwawe wybroczyny. Wyglądało to, jakby ktoś wbił w nią paznokcie.

– Boli! – Leo wyrwał się i uciekł w kąt kuchni, skąd ze strachem patrzył na nią czarnymi oczami.

– Może najpierw coś zjesz? A potem się zastanowisz, dobrze? Pamiętasz, jak poprzednio najpierw cię bardzo bolało, a potem poczułeś ulgę? Pamiętasz?

Kiwnął głową bez słowa. Wiedziała, że prędko się nie odezwie. Za każdym razem przedstawiał mówić. Bo to i brak słów było na to wszystko, co się działo u O’Bradych.

Postawiła na stole dodatkowy talerz i naląła do niego kartoflanki, która czekała już na Toma, ale mąż się spóźniał. Niech więc mały coś zje. Dobrze wiedziała, że u sąsiadów się nie przelewa, a dzieci całymi dniami chodziły z pustym brzuchem. Była poza tym przekonana, że lada dzień ten pijak O’Brady straci robotę. I wówczas będzie jeszcze gorzej.

– Ale najpierw umyjesz ręce. – Naląła ciepłej wody do miski, dodając trochę mydła.  
Leo chwilę się wahał, ale zapach zupy pomógł mu przezwyciężyć rozterki.  
– Pomogę ci podtrzymać tę chorą rączkę, dobrze? To potrwa chwilę, a po obiedzie będziesz mógł poglądać książkę z obrazkami. Ale wiesz, nie możesz jej pobrudzić. Będziemy musieli nałożyć ci bandaż...

Był taki chudy i przerażony, a Felicji serce się ścisnęło, gdy widziała jego obrażenia. Jakim to trzeba być człowiekiem, żeby tak skatować dziecko?

Tom spóźnił się niemal trzy godziny. Tego dnia nie mieli przerwy obiadowej, musieli bowiem skończyć kryć dach. Ktoś przepowiedział burzę i choć Tom protestował, że to nieprawda, właściciel domu tak się przejął, że zmusił ich do pracy bez wypoczynku.

– Ale przynajmniej będziemy mogli pójść nad jezioro albo pojedziemy nad rzekę – zapowiedział już w sieni.

Felicja wiedziała, że w taką pogodę trudno będzie utrzymać go w domu.  
– Mamy gościa – zniżyła głos, kiedy weszli do kuchni. Na ławie przy piecu leżał chłopiec przykryty jelenią skórą i spał. – Podam ci zupę w pokoju, dobrze?

– Który to z nich? Pewnie Leo? – szepnął Tom i zacisnął szczęki.  
– Tak. Podobno nie przyniósł mu na czas piwa. Stary dostał szału. Oberwało się również Minnie.

Tom podszedł do śpiącego chłopca i spojrzał na jego rękę.  
– Powinno się zawiadomić szeryfa – stwierdziła Felicja.  
– Nic z tym nie zrobią. – Pokręcił głową. – Nie wtrącają się w awantury domowe.  
– Ale on ich kiedyś zabije!  
– Chodź. Nie przeszkadzajmy mu. Wygląda na wyczerpanego.

Tom pociągnął żonę za rękę i przeszli do niewielkiego saloniku. Felicja nakryła stół serwetką i przyniosła zupę. Chwycił za łyżkę i już chciał zanurzyć ją w kartoflance, gdy ją odłożył. W tej samej chwili podszedł do niego Fido i położył mu łeb na kolanach.

– Nie lubisz tej zupy?

– Nie. – Tom poczochnął psią sierść. – Uwielbiam wszystkie twoje zupy. Po prostu straciłem apetyt. Zastanawiam się, co mógłbym zrobić dla Leo i jego rodzeństwa, i czuję się bezradny, ale gdy pomyślę, jak on się czuje, to... – Silna pięść Toma pochwyciła serwetkę i zgniotła ją.

Felicja nie zaprotestowała. Doskonale wiedziała, o czym myśli jej mąż w tej chwili. Przypomniała sobie pewien dzień sprzed ponad pięciu lat. Dopiero co się wówczas pobrali.

## Rozdział XIV

*Red Wing, 1894*

W Red Wing w Goodhue County znaleźli się dwa tygodnie po ślubie. Było to wprawdzie miasto wielkości jednej trzeciej Winony, ale też leżało nad Missisipi, a poza tym Tom liczył na pracę przy rozbudowywanym uniwersytecie Hameline. Felicja również miała nadzieję na posadę nauczycielki. Ze względu na kiepskie płace nauczyciele czasem porzucali pracę już na samym początku roku szkolnego. Zostawili więc Fida u sąsiadów Toma nad rzeką, z obietnicą, iż go odbiorą w następnym miesiącu, i wyruszyli kolejną budować wspólny los. Podróż nie trwała jednak zbyt długo i nie zdążyli się nią ani trochę zmęczyć. Kiedy tylko wysiedli z pociągu na stacji w Red Wing, przywitał ich ogromny afisz reklamujący sobotni festyn. Jego kulminacyjnym punktem miały być występy prawdziwych Indian i kowbojów.

– To może być ta sama trupa co w Winonie. – Tom się zaśmiał i pochwycił niewielki kufer, ich jedyną ruchomość na nowej drodze życia.

– Piszą, że wstęp za darmo, bo to jest prezent od burmistrza dla mieszkańców – zauważyła Felicja. – Ciekawe, czy będą znów zawody łucznicze...

– Warto sprawdzić. W Winonie udało mi się zarobić na nich tygodniówkę.

Felicja nie przywiązywała się do tych potencjalnych zarobków, ale uznała, że skoro przyjechali tego samego dnia, w którym organizowano festyn, to warto by się temu przyjrzeć. Może spotkają kogoś, kto dałby Tomowi posadę. Przez pierwszych parę dni mieli się zatrzymać w dość tanim pensjonacie, ale na dłuższy pobyt nie będzie ich stać. Muszą szybko znaleźć pracę, a pewnie nie będzie to łatwe. Mimo iż nadal przygrzewało słońce, zaczął się przecież październik. Roboty budowlane i sezonowe dobiegały końca. Chociaż Felicja, ciesząc się swoim nowym szczęściem małżeńskim, starała się o tym nie myśleć, były momenty, kiedy przeszywał ją strach o najbliższą przyszłość. Szczególnie martwiła ją perspektywa mroźnej zimy. Ale zanim przyjdą pierwsze mrozy, trzeba było się zabawić!

Felicja i Tom ledwie zdążyli zostawić bagaż w pensjonacie, gdy za oknem usłyszeli dźwięki trąbek. Ulicą jechał wielobarwny orszak złożony z aktorów, którzy mieli wystąpić na festynie.

– To nie są ci sami Indianie – zauważył Tom.

Felicja przyglądała się ich twarzom i nie widziała żadnej różnicy. Dla niej rdzenni mieszkańcy Ameryki wyglądali tak samo. Wysokie kości policzkowe i plecione warkocze, dziwne kolorowe ubrania. Poza tym nie miała wielu okazji, by ich zobaczyć. Pan Derdowski wyjaśnił jej kiedyś, że Siuksów mieszkających w Minnesocie wygnano stamtąd po rozpętanej przez nich wojnie w 1862 roku. Niewielu więc można było spotkać na co dzień.

– Nie zaszkodzi popatrzeć! – Felicja poprawiła włosy i przypięła kapelusz. Lustro ukazało jej bardzo pochlebny wizerunek, więc się do niego uśmiechnęła.

– A może byśmy tutaj zostali? – Twarz Toma wyłoniła się zza jej pleców. Poczowała delikatny pocałunek na szyi.

– Ooo! Jak uważasz. – W zasadzie mogliby zostać. Po co jej inni ludzie, ten cały gwar i zamęt? Tom jej zupełnie wystarczał, a rozumieli się bez słów. Zapominała przy nim o bożym świecie. Nigdy w życiu nie była tak bardzo szczęśliwa. Czasami przez chwilę zatęskniła za rodziną, ale to szybko mijało. Tom wypełnił jej życie całkowicie. Dotykem też, o, jak bardzo ten dotyk jej się podobał!

– To ja uważam, że może pójdziemy, ale trochę później. I co ty na to?  
Jakie zachwycająco mądre pomysły miał jej mąż! A ze mnie to prawdziwa bezwstydnica, pomyślała, wkładając mu ręce pod koszulę.

Festyn odbywał się nad samą rzeką i już z daleka było widać, że frekwencja dopisała. Kiedy tam dotarli, mieli wrażenie, że zgromadziło się już całe miasto.

– Patrz pan, jak za darmo, to wszyscy chętni, a jak trzeba bilet kupić, to teatr pustkami świeci – fuknęła piękna dama w kapeluszu ze strusim piórem.

Patrząc na zebranych tu wielu jasnowłosych ludzi, Felicja miała wrażenie, że większość mieszkańców musi być potomkami Skandynawów.

Powoli precyzyjnie się na plac, gdzie zaaranżowano występy. Właśnie kończył się numer woltyżerski i zaczęto rozstawiać tarcze do strzelania z łuku.

– Zdążyliśmy na czas – szepnęła Felicja i uśmiechnęła się do siebie, gdyż prowadzący ogłosił, że kto pokona Indian w celowaniu do tarczy, otrzyma złoty pierścionek z rubinem.

– Nie dostałaś nic na zaręczyny – zauważył Tom i zawiadliwie opuścił rondo kapelusza.

– Nie mieliśmy żadnych zaręczyn.

– Jak to? Było chyba parę godzin? – oburzył się żartem i podszedł do ustawiających się w kolejkę mężczyzn.

Indianie wręczali im łuki. Felicja przepchnęła się do przodu i stanęła bardzo blisko miejsca, z którego wypuszczano strzały.

Tom sięgnął po łuk i lekko skłonił głowę. Przejechał po nim kciukiem, jakby sprawdzając rodzaj drewna, z którego został wykonany. Po chwili zastygł w bezruchu. Felicja zauważyła, że jeden z Indian zaczął szeptać coś do drugiego, wyraźnie wskazując na Toma. To pewnie ten był w Winonie, pomyślała. Rozpoznał jej męża i poinformował pozostałych, że to on będzie zwycięzcą. I wreszcie Scott napiął cięciwę, a młoda mężatka z całej siły zacisnęła kciuki. W sam środek tarczy!

Do Indian zajmujących się łucznikami podszedł trzeci, znacznie od nich wyższy. Miał na sobie niezwykle piękny strój, skórzaną kurtkę zdobioną pasami z naszytych niebieskich koralików i frędzlami. Jego twarz przecinały podłużne zmarszczki, a siwe włosy były splecione w warkocze. Głowę zdobił mu ogromny pióropusz. Wyglądał tak wspaniale, że Felicja nie mogła odebrać od niego oczu. I tak się zagapiła, że umknął jej moment, w którym Tom wypuścił strzałę i umieścił ją w samym środku tarczy. Kolejne strzały również nie chybiły celu. Mężczyzna w pióropuszu powiedział coś do pobratymców i skinął głową. Indianin odpowiadający za łuki podszedł do tęgiego mężczyzny, który zajmował się konferansjerką na festynie, i szepnął mu coś do ucha. Ten się wyraźnie ożywił i kiedy na placu zostało już tylko dwóch łuczników, w tym Tom, sięgnął po tubę.

– Szanowni panowie, piękne panie. Jak obiecywaliśmy, ten dzień nie minie wam bez nieustających niespodzianek. I teraz nadchodzi kolejna. Za chwilę wyłonimy zwycięzcę konkursu, najlepszego łucznika, ale mamy dla was dodatkową zabawę. Zwycięzca zmierzy się z jednym z naszych czerwonych braci. Możemy też obstawiać tę szlachetną walkę.

Serce Felicji zaczynało niepokojąco dudnić przed ostatnią rozgrywką. Nie mogła przecież teraz zemdleć. Jeszcze by wszystko Tomowi zepsuła, a być może będzie mógł walczyć o kolejną nagrodę.

– Jest! Znowu środek tarczy! – wrzasnął radośnie konferansjer. – Jak się nazywasz, młody człowieku?

– Tom Scott – odpowiedział zwycięzca i pochylił głowę, kiedy zawieszano mu na karku tasiemkę ze złotym pierścionkiem.

– Tfu! Oszukańcy. Swoich biorą. – Felicja usłyszała głos za plecami i zobaczyła starszego mężczyznę, który strzyknął śliną za płot.

– Jakich swoich?

– A przypatrz się lepiej, panie Nilson!

Felicja chciała się obejrzeć, ale tłum pchnął ją w bok i musiała się przedzierać naprzód łokciami.

– Obstawiamy, panowie! Czy to będzie Scott, czy też... jak się, czerwony przyjacielu, nazywasz? – spytał konferansjer młodego Indianina, który miał walczyć przeciwko Tomowi. – Eee, nieważne, czyli Tom czy nasz gość w pióropuszu. Zaczynamy!

Felicja zauważyła, że ludzie wokół niej sięgają do kieszeni. Ona sama najchętniej postawiłaby na męża, ale nie bardzo wiedziała, jak to się robi. Poza tym żadna z obecnych kobiet nie paliła się do obstawiania. Najwidoczniej nie zajmowały się hazardem. Przypomniała sobie obietnicę daną wujowi Augustowi – cała trójka musiała mu przysiąc po przyjeździe do Kanady – że nigdy nie splamią rąk czymś tak plugawym.

Konferansjer umiał podnieść napięcie wśród publiczności, która coraz bardziej tłoczyła się na linii strzału. Zorganizował szybkie rzucanie monetą i wybór łuku – z pięciu zaproponowanych przez Indian.

Tom wygrał, ale nie dotknął żadnego z nich, tylko sięgnął po pierwszy lepszy, zdaniem Felicji najskromniejszy. Znów zauważyła poruszenie pośród czerwonoskórych. Stary mężczyzna w pióropuszu rozłożył ręce, a pozostali natychmiast się odsunęli i umilkli.

Młody indiański łucznik zaczynał pojedynek i oczywiście już za pierwszym razem trafił w sam środek. Tom nie był mu dłużny. Zawodnikom pozostały po dwa strzały i atmosfera stała się coraz bardziej gorąca. Druga runda przyniosła również remis.

Pieniądze podawano sobie ponad głową Felicji, a ona sama resztką sił przesunęła się wreszcie do przodu i zobaczyła, że do Toma podchodzi indiański wódz. Położył mu rękę na ramieniu.

– *Tukténithyhan he?*<sup>1</sup> – odezwał się.

Tom spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Słucham? Nie rozumiem.

Indianin w pióropuszu pokręcił głową i powiedział głośno:

– *Tókhí wániphika ní!*<sup>2</sup>

– *Philámayaye*<sup>3</sup> – odparł Tom, chyba w tym samym egzotycznym języku.

Było to tak zaskakujące, że Felicja nawet nie zauważyła, iż tym razem jej mąż spudłował. Chybił zaledwie o centymetr, ale gdy oddał już łuk i podszedł do niej, zobaczyła, że ręce mu się trzęsą.

– Tom!

Pokręcił tylko głową i złapał ją pod łokieć.

– Idziemy stąd. Natychmiast.

Szedł tak szybkim krokiem, że ledwo za nim nadążała. I wciąż się nie odzywał. Kiedy weszli do pokoju w pensjonacie, zamknął za nimi drzwi i przekręcił zamek. Dopiero teraz odechnął i zdjął z szyi aksamitną tasiemkę z pierścionkiem.

– Zobaczmy, czy będzie pasować. – Pochwyił jej dłoń.

– Tom, ja muszę wiedzieć, co się stało. Ty specjalnie nie trafiłeś do celu!

– Nie, wcale tak nie było! – bronił się, ale nieskutecznie, bo Felicja była zdeterminowana, by poznać odpowiedź.

– Masz powiedzieć prawdę, i to już! Ja zawsze byłam wobec ciebie szczerą, a ty taisz jakieś sekrety.

– Jakie sekrety? – oburzył się Tom. – To, że płynie we mnie indiańska krew, nie jest żadną tajemnicą.

– Indiańska? – wyszeptła i nagle przypomniała sobie słowa Jaszewskiej o mieszańcach. To o Toma jej chodziło.

– Moja matka była Metyską, ale ojciec Anglikiem. Bo tam się chyba urodził, zanim przybył do Nowego Jorku. Felicjo – zwrócił się do żony – ja wiem, że ty znasz swoją rodzinę, masz pojęcie, skąd pochodzisz, ale mnie to nigdy nie obchodziło. Poza tym nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Byłem dzieckiem. Matki nie pamiętam, ojciec umarł, jak miałem dwanaście lat. Nie wymagaj ode mnie cudów.

Tom protestował, uszy Felicji pochwyliły jednak jeszcze inną nutę: on się jej tłumaczył ze swojego pochodzenia. Tak jakby miał na to wpływ!

– Ale znasz język... Indian.

– Ja go nie znam! – upierał się.

– Dlaczego się przed tym bronisz? Przecież słyszałam na własne uszy. Jak ten wódz zwrócił się do ciebie, to mu odpowiedziałeś. Co to było?

– Dziękuję, odpowiedziałem mu dziękuję.

– To dlaczego twierdzisz, że nie mówisz w tym języku?

– Bo ja... – Tom zamilkł i zacisnął usta. Potem podszedł do stołu i uderzył w niego pięścią. Spojrzał na żonę. Na jego twarzy malowała się bezradność. – Felicjo, to cud, że cokolwiek zapamiętałem. Oni robili wszystko, byśmy zapomnieli.

– Kto, Tomie? – wyszeptła Felicja.

\* \* \*

*Szkola z internatem, 1870*

Mały David leżał na podłodze, a w kącikach jego ust pojawiły się bańki. Nie ulatywały w górę, tylko od razu pękały na jego spierzchniętych wargach.

– Boli, boli! – krzyczał i każdy z nich, stojących na baczność przy łóżkach, widział, jak bardzo cierpi.

Pan Giles kopnął go z całej siły w goleń.

– Wstawaj i nawet nie próbuj tego wypluć. Będziesz ssał to mydło, aż zrozumiesz, co się do ciebie mówi. Nikt nie będzie tu tolerował tego indiańskiego żargonu!

– Ale nasze duchy nie mówią po angielsku! – zabelkotał David, niemal dusząc się mydłem. – Nie rozumiem mnie!

Pan Giles kopnął go z drugiej strony tak mocno, że Tom zamknął oczy, wyobrażając sobie, jak noga jego przyjaciela urywa się i wypada przez okno.

– Scott! – Głos Gilesa sprawił, że momentalnie otworzył oczy i wyprostował się. – Co to za „nasze duchy”?

– Jedynym duchem, w którego wierzymy, jest Duch Święty – wymamrotał Tom.

Zawsze to on musiał odpowiadać, gdyż najlepiej znał angielski. I zawsze się wszyscy dziwili i pytali skąd. Odpowiadał grzecznie i zgodnie z prawdą, że nauczył się w misyjnej ochronce. To wystarczało, by stał się ulubieńcem nauczycieli. Wcale nie chciał nim być, szczególnie kiedy patrzył na takie sceny. Musi być dzielny, nie może się posikać jak przedtem, kiedy Giles stłukł pejczem Wambleeshę, to znaczy Harry’ego, za to, że płakał, gdy ścięto mu włosy prawie do skóry. Harry próbował się bronić. Niepotrzebnie, bo wszyscy inni mieli też krótkie włosy. Pan Giles wpadł w szal i przez to Wambleesha wrócił z izby chorych dopiero po dwóch tygodniach. A i tak wszyscy się dziwili, że mu się udało. Niewielu stamtąd wracało.

– Jesteśmy chrześcijanami, szczeniaku, chrześcijanami! – Giles nachylił się nad Davidem i uniósł mu brodę. – Nie będzie tu tolerancji dla waszych guseł i przesądów. Jeszcze będziecie nam wdzięczni za to! My was ucywilizujemy. Będziecie mieli szansę stać się ludźmi, a nie kim, Scott?

– Brudnymi dzikusami – powtórzył mechanicznie Tom.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Próbowałby pewnie liczyć gwiazdy, ale niebo było mocno zachmurzone.

– Tom? – David znalazł się przy jego łóżku zupełnie bezszelestnie. Chciał być najlepszym tropicielem jak jego ojciec.

– Tylko mów po angielsku – ostrzegł przyjaciela Tom i zrobił mu miejsce na pościeli.

– Dobrze, ale mi trudno. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Zapominam słów w moim języku, a nie znam ich w tym nowym. Nawet myśleć już nie mogę. Wszystko mi się płacze.

Myśli Toma były jeszcze bardziej splątane. Rozumiał rozpacz Davida. On też to kiedyś przeżywał. Na szczęście jemu niemal zupełnie udało się zapomnieć tę inną mowę. Był teraz przecież prawdziwym Amerykaninem.

– Bołą cię usta?

– Już nie. Miałem szczęście. Louisowi poparzyło cały język. Nic nie mówił przez tydzień.

– To ług – wyjaśnił Tom.

– Co to takiego?

– Z tego jest to mydło. Ono żre. Wyżera brud.

– Ja nie jestem brudem. Ja chcę do domu. Każdy chce, prawda?

– Ja nie mam domu – zauważył Tom.

I tak było znacznie lepiej. Nie płakał po nocach jak jego koledzy, nie rozpaczał za matką i ojcem, rodzeństwem, rodzinnym tipi z ukochanymi w nim przedmiotami, za bieganiem po prerii czy lasach. Czasem, kiedy bardzo się wysilił, przez głowę przelatywały mu różne obrazy: twarze nieznanymi albo widoki. Nie wiedział jednak, czy są prawdziwe, czy tylko mu się przyśniły. A śnił dużo i często, chociaż czasem nie od razu udawało mu się zasnąć. Tak jak teraz.

Ochronkę pamiętał najlepiej. I dzieci, które mu dokuczały, nie chcąc zostawić w spokoju, i wychowawców, którzy bili za najdrobniejsze przewinienie, i siostrę Georgianę, która zawsze dawała mu dodatkową pajdę chleba z masłem za to, że najlepiej recytował modlitwy. Mówiła mu, że go stamtąd zabierze, ale któregoś dnia zniknęła. Podśledzał pod drzwiami, że ktoś ją zabił. Nie bardzo to rozumiał. Kto mógł chcieć zabić taką łagodną osobę? Podobno jej mąż, ale tego też nie pojmował. Przecież ona nie miała żadnego męża. Ani też dzieci. Mieszkała u nich w ochronce przez cały rok. A teraz oni mówili, że ich wszystkich oszukała, bo uciekła z domu od swojego ślubnego męża. I ten mąż ją w końcu wytropił.

Tom tak się wsłuchał w rozmowę, że nawet nie zauważył, kiedy pojawił się za nim ojciec Paul. Takiego lania jeszcze w życiu nie dostał. Czuł, jak różga rozcina mu skórę. Zrobiło mu się ciepło, myślał, że popuścił w spodnie, ale to była sikająca pod nogawkami krew.

Następnego dnia kazali mu się spakować i czekać przed ochronką.

– Na szczęście pozbędziemy się tego mieszańca. Dzięki Bogu Biuro do spraw Indian znalazło dla nas rozwiązanie. Świetny pomysł z tymi szkołami dla dzikich. Tam jest jego miejsce – tłumaczył wychowawcy ojciec Paul.

Tom nie wiedział wówczas, o kim mówił ten człowiek, którego po spuszczonej mu laniu zniecierliwiał najbardziej na świecie. Zrozumiał to dopiero w nowej szkole, w której spotkał chłopców o zupełnie odmiennych rysach twarzy niż te znane mu do tej pory. Jego koledzy płakali, że się tu znaleźli, jemu początkowo było wszystko jedno. Potem już nie, bo teraz stał się głodny. Nie było chwili, w której nie chciało mu się jeść. Może dlatego nie mógł spać?

– David, wracaj do siebie. – Delikatnie potrząsnął śpiącym kolegą. – Jak cię tu znajdą, to znowu dostaniesz lanie.

Chłopiec po omacku wrócił na swoje posłanie. Chyba nawet się nie obudził, pomyślał Tom. A do niego sen nadal nie przychodził. Podszedł więc do okna, podstawił lekko kiwający się stołek i wdrapał się na górę. Nadal niebo zakrywały chmury. Nic nie było widać. Gdzieś z oddali niosło się ujadanie psa. Pewnie woźny robił obchód. Chłopiec rozpląsał nos na szybie, żeby lepiej widzieć. I wówczas zrobiła się w niebie szczelina, przez którą przedarł się blask księżyca. Wydobył z ciemności lewe skrzydło internatu, kaplicę, a potem przesunął się nad cmentarz i przemknął pospiesznie po nagrobkach, żeby zupełnie zniknąć. W zeszłym tygodniu pochowali Chrisa i Petera. Może to ich groby oświetla księżyc, pomyślał Tom. A może to nie księżyc, tylko ich dusze?

W końcu zamknął oczy, ale tej nocy snów nie było, tylko jak zawsze pobudka o piątej czterdzieści pięć. Był niewyspany, ale nie przeszkadzało mu to.

– Scott, wymień dziesięć przykazań. Jak się nazywa prezydent Stanów Zjednoczonych?

Mógł to wszystko wyklepać z zamkniętymi oczami. Na lekcjach nie musiał też zbytnio uważać, bo wiedział już wszystko, czego uczyli się jego koledzy. Miał więc czas obserwować.

– Tom, kiedy pojedę do domu? – spytał go na przerwie David.

– Za dziewięćdziesiąt dni. Powinieneś to wiedzieć. Wczoraj było dziewięćdziesiąt jeden, a minął jeden dzień.

– A zachody słońca?

– To to samo.

– Nie mogę się doczekać! Ojciec weźmie mnie na polowanie! – Zanim Tom zdążył otworzyć usta i go ostrzec, mały David wydał z siebie radosny okrzyk, ale w niewłaściwym języku.

Pan Giles był o dwa kroki od niego.

Obrócił się natychmiast i podbiegł do Davida, który chciał podskoczyć z radości, ale nie zdążył, bo ręka Gilesa złapała go za ucho. A potem na korytarzu rozległ się tak przeraźliwy krzyk, że wszyscy chłopcy momentalnie zastygli w trwodze.

– Ten sam gagatek! – zagrzmiął wychowawca. – Nie pomogło wczorajsze mydło, to może bat cię nauczy porządku.

Nie chciał na to patrzeć! To było okropne. Rózga, którą pochwycił Giles, i krzyki Davida. I ten strach, który przedostawał się przez skórę zebranych tu dzieci. Nie, nie mógł na to patrzeć!

– Tom! – Otworzył oczy, czując lekki kuksaniec w bok.

– Tak?

To był Harry.

– Zabrał go do lochu.

– Nie wróci – powiedział Tom. Cały się trząsł.

– Dlaczego? Ja wyszedłem stamtąd. Dostaje się chleb i wodę, ale da się przeżyć.

– David nie da rady.

Nie umiał tego wytłumaczyć. Czuł tylko, że pobyt w ciemnym lochu tak wpłynie na jego małego przyjaciela. Nie był przyzwyczajony do zamknięcia, miał dopiero sześć lat. Dołączy więc do kolegów na cmentarzu. A nagrobków przybywało. Odra, grypa, pan Giles, utonięcie, pan Giles. I tak dalej.

– Trzeba coś zrobić.

– Ale co?

– To ja się pomodlę do duchów – obiecał Harry.

– Nie uda się.

– Uda.



– To dlaczego wcześniej się nie modliłeś?

Harry nie umiał mu odpowiedzieć. Potrząsnął tylko głową i odszedł. Po południu pracowali przy świniami, ale Harry trzymał się od niego z daleka. Szkoda, bo Tom tak bardzo chciał mu powiedzieć, że mu wierzy i dziękuje za to, że robi wszystko, by uratować przyjaciela.

Trzy dni później mały David dołączył do swoich kolegów na cmentarzu przy szkole. Mówiono, że zachorował, ale Tom uważał, że pękło mu serce. Duchy Harry'ego nie zdążyły nic zrobić. Dopiero tydzień po pogrzebie Davida pan Giles spadł ze schodów i skręcił sobie kark. Podobno był pijany jak bela, podsłuchał Tom. Tak wszyscy mówili, ale on w to nie wierzył.

Nie wiedział, co się dalej stało z Harrym i innymi kolegami ze szkoły, bo nagle pojawił się zarośnięty mężczyzna, Francis Scott, który oświadczył dyrektorowi, że jest jego ojcem. Jeszcze tego samego dnia zabrał syna ze sobą.

Skąd jesteś? (ten i następne wyrażenia w jęz. dakota). ⇐

Powodzenia. ⇐

Dziękuję. ⇐

## Rozdział XV

*Winona, 1900*

Matylda poświęciła na toaletę znacznie więcej czasu niż zazwyczaj. Upięła starannie włosy, wybrała odświętną sukienkę i założyła na szyję bursztynowy naszyjnik. Wybierała się na spotkanie z najmłodszą bratanicą. Tego dnia Felicja kończyła wcześniej pracę i umówiły się, że pójdą do herbaciarni niedawno otwartej przy Main Street. To był pomysł młodej pani Scott i Matylda wiedziała, że nie należy się jej sprzeciwiać. Jeśli sobie ubzdurzyła, że musi niepotrzebnie wydać pieniądze na starą ciotkę, to było wiadomo, że to zrobi. Lepiej się poddać i czerpać z tego przyjemność. Wiedziała, że właśnie tego Felicja pragnie – dostarczyć jej rozrywki. Nie wiedziała jednak, że Matylda i tak jest bardzo zadowolona ze swojego życia. I kto by pomyślał, że może już za parę miesięcy doczeka nowego wieku, którego była coraz bardziej ciekawa. Zwłaszcza pojazdów mechanicznych, o których przeczytała wczoraj w gazecie.

Mijało dziesięć lat, od kiedy opuściła swoją wioskę, i mimo różnych pojawiających się niedogodności losu była bardzo zadowolona z podjętej wówczas decyzji. Dziesięć lat i mimo podeszłego wieku nadal była sprawna i żywotna, choć ostatnio odkryła, że ulice w mieście stają się coraz dłuższe. Wszędzie było coraz dalej. Felicja się z niej śmiała i mówiła, że to nie wina nóg Matyldy, tylko miasto się rozrasta. Podobno mieszkało w nim teraz półtora tysiąca ludzi więcej niż wówczas, kiedy się tu wprowadzali. Tak, to jest amerykańskie tempo, myślała, pokonując kolejne przecznice i zbliżając się do imponującego gmachu biblioteki.

Polubiła ten dziwny kraj, polubiła również mieszkanie w mieście. Nie przeszkadzał jej hałas maszyn tartacznych, odgłos kopyt końskich przy otwartym oknie, tłok, ścisk i obca mowa. Wiedziała, że wielu rodaków cierpi z tego powodu. Przeprowadzali się na farmy, głównie w okolicy Wisconsin, i tam starali się żyć zgodnie z naturą i starymi przyzwyczajeniami.

Zarówno Helena, jak i Felicja nie miały kłopotów z miejskim życiem, potrafiły z niego wycisnąć co najlepsze. Inaczej było z Józulem, który miał zupełnie inne usposobienie niż siostry. To właśnie sprawa bratanka tak absorbowwała Matyldę, że postanowiła ją omówić z inną bliską osobą. Może Felicja będzie miała jakiś pomysł?

Czekała na nią przy głównym wejściu do biblioteki, dumna, że bratanica pracuje w takiej ważnej instytucji. Każdego dnia może obcować z książkami, dotykać ich, wręczać je innym ludziom i polecać do czytania najlepsze dzieła. To była wprost wymarzona praca. Sama Matylda już parę lat wcześniej musiała skończyć z pracą redakcyjną dla „Katolika”, gdyż oczy zbyt jej się męczyły. Na szczęście wystarczały do czytania dla przyjemności.

– Dlaczego ciocia nie weszła do środka? – wyrwał ją z zamyślenia głos Felicji.

Bratanica miała na sobie skromną granatową sukienkę z białym szydełkowym kołnierzykiem, ale wyglądała niezwykle promiennie. Jest jeszcze taka młodziutka, pomyślała z rozczuleniem Matylda. Dopiero dwadzieścia cztery lata. To ja w jej wieku jeszcze...

– Nie chciałam ci przeszkadzać. Następnym razem, jak będziesz miała więcej czasu, to zabierzesz mnie, żebym mogła popatrzeć sobie na te półki pełne książek. To taki wspaniały widok!

Felicja wzięła ją pod ramię i poszły w stronę herbaciarni. Na szczęście było to zaledwie kilka kroków, wkrótce więc Matylda mogła spocząć na pluszowej eleganckiej sofie.

– Po prostu rozpusta – uznała, próbując herbaty z porcelanowej filiżanki ze złotym brzegiem.

– Ależ ciociu! – zaśmiała się Felicja i ugryzła miniaturową kanapkę z serem i ogórkiem.  
– Chciałam jednak, żebyśmy mogły swobodnie porozmawiać, bo mam pewien kłopot.  
– Czy coś się dzieje z Helą?  
– Z Heleną? Nie – zdziwiła się Matylda. – A dlaczego myślisz, że to miałyby jej dotyczyć?

Felicja się zmieszała.

– Nie, to nie to. Po prostu dawno o niej nie rozmawialiśmy.

A o czym było rozmawiać, skoro jej wcale nie widywały, co najwyżej na mieście? To było największe zmartwienie Matyldy, oczywiście oprócz tęsknoty za Augustem i wiecznego oczekiwania na przyjazd Joachima i jego rodziny – Helena i jej dzieci, których nigdy nie widywali poza kościołem. Tylko że te wystrojone w koronki, batysty i aksamity maluchy miały niewiele z nią wspólnego. Wcale nie miały ochoty przytulać się do starej pomarszczonej kobiety w sukience pachnącej smażeniną, a nie lawendowymi perfumami, których używała ich babka Dora.

– Nie byłam u Heleny od świąt. Kochanie, ale co tobie... – Zobaczyła, że oczy Felicji napęłniły się łzami. – Tak bardzo za nią tęsknisz, biedactwo? Nic tu nie zrobimy, jeśli jej się w głowie nie poprawi. Ale ja tu chciałam porozmawiać o sprawie, w której być może mogłybyśmy się przydać. Coś przyniosłam, ale najpierw słuchaj. To dotyczy twojego brata.

Józul był najlepszym bratankiem, jakiego ziemia nosiła. Od śmierci wuja Augusta mężnie przejął obowiązki głowy domu i pracował więcej, niż powinien. Nadal przecież prowadzili pensjonat dla sześciu niezonatych mężczyzn, którzy u nich nocowali i się stołowali. Gotowaniem zajmowała się Matylda, do sprzątanía i prania przychodziła za pieniądze sąsiadka, ale reszta obowiązków należała do Józula. Ogród, który teraz otaczał ich dom, stał się dzięki niemu ozdobą całej ulicy. Przychodzili tu ludzie z okolicy, by podziwiać wielobarwne kwiaty, krzewy podcięte w różne kształty i zadbane trawnik. Ogród był tak piękny, że udanie przysłaniał nieforemny kształt budynku. Józul zajmował się nim w każdej wolnej chwili, a tych chwil było bardzo niewiele, bo wieczorami nadal pracował w saloonie w hotelu pana Ebertowskiego. Wprawdzie młody Halman nie wykonywał ciężkiej pracy fizycznej, bo ze względu na zdrowie nie mógł się przemęczać, pracował jednak od świtu do nocy.

– Do czego zmierzasz, ciociu?

– Zauważyłam, że ostatnio jest coraz bardziej przygnębiony, a za nic nie chce mi się przyznać, o co chodzi.

– To nie dotyczy pieniędzy, prawda?

– Nie, kochanie. Mamy ich wystarczająco dużo. – Matylda nie wspomniała o tym, że Joachim wciąż przysyła kolejne podarunki i znowu udało jej się trochę zaoszczędzić na czarnej godzinie. – Myślę, że przyczyna jest inna. On ma już dwadzieścia siedem lat i...

– ...powinien się ożenić – zakończyła za nią Felicja.

– Też tak uważasz?

– Oczywiście.

Matylda westchnęła z ulgą, odsunęła starannie talerzyki i sięgnęła do torebki.

– Coś ci więc pokażę. Wiesz, że on sam się do tego nie umie zabrać.

Po chwili na stole pojawiły się cztery fotografie młodych panien.

– Ogłoszenie matrymonialne? – zdziwiła się Felicja.

– Niekoniecznie – zaczęła wyjaśniać ciotka.

W zasadzie na pomysł wpadła Joanna Derdowska, która uznała, że chłopak powinien się ożenić. Tutejsze panny są bardzo śmiałe i potrafią przepłoszyć oddanego adoratora, w związku z tym najlepszą partią dla niego ze względu na jego charakter byłaby panienka prosto z Polski:

pobożna i pracowita. Nie musi być bardzo zamożna, ale nie z biedoty, no i oczywiście miła i ładna.

– I to są te bóstwa? – Felicja zasłaniała ręką usta, bo przecież nie wypadało pokazywać zębów przy tak serdecznym śmiechu. Sięgnęła po fotografie, na których pozujące panny nie były zbyt dobrze widoczne.

– A, tak. Wiesz, że Derdowscy mają liczną rodzinę i znajomych. Z naszych, oprócz Joachima, nikt nie został. A on to i tak nie nasza sfera.

– Joachim ma też braci i siostrę.

Matylda machnęła ręką.

– Tamci nie nasza krew. Poszli w matkę.

– W takim razie dobrze. – Felicja wzruszyła ramionami. – To może ja rzucę teraz okiem.

– I zaczęła się wpatrywać w wystrojone jak choinki kaszubskie chłopki z ponurymi minami. Westchnęła ciężko. – To trzeba będzie kupić wybrance bilet, prawda? Mam trochę oszczędności.

– O tym nie myśl. Jest jeszcze trochę grosza, na narzeczoną wystarczy.

– Ale czy to nie Józul powinien sam wybierać?

– Zrobimy wstępną selekcję – oznajmiła ciotka i obie zaczęły się śmiać.

Misja się powiodła, stwierdziła Matylda, kiedy Felicja odprowadziła ją pod dom. Będzie miała, bidulka, szmat drogi do przejścia, ale jest taka młoda, że dobrze jej to zrobi, myślała zadowolona, ale i zmęczona po przechadzce.

Wybrały zdjęcie najładniejszej panny. Miała na imię Katarzyna, osiemnaście lat i była powinowatą Derdowskich spod Bytowa. Jasne włosy, duże oczy, podobno błękitne jak chabry, jak napisała w liście do rodziny. Potrafi pięknie szydełkować i wyszywać. Jej ojciec jest wdowcem, a osiemnastoletnia Kasia najmłodszą z czworga rodzeństwa. Pozostało jeszcze zapytać przyszłego pana młodego, co on na to, ale Felicja była przekonana, że ten pomysł przypadnie mu do gustu.

– Nie uciekaj jeszcze. – Matylda próbowała zatrzymać bratanicę. – Tak dawno u nas nie byłaś. Zjesz coś?

– Nie, dziękuję z całego serca, ale muszę jeszcze zrobić po drodze zakupy i przygotować kolację dla Toma.

– To wpadnijcie do nas wkrótce. Zbyt rzadko się widzimy – namawiała Matylda.

Kiedy miały się rozstać, minął je powóz pełen rozkrzyczanych dzieci. Twarz Felicji pobladła. Nadal niepotrzebnie przejmując się tym Jaszewskim, pomyślała starsza kobieta.

– Ile ich już jest?

– Trójka. A ona chyba znowu się spodziewa. I zupełnie sobie nie radzi z tymi dziećskami. – Matylda pokręciła głową z dezaprobatą.

– Ma już tyle – zauważyła Felicja ze wzrokiem wbitym w dal za odjeżdżającym powozem.

– Nie martw się, wy też będziecie mieli. – Starą się pocieszyć bratanicę, sama wątpiąc w swoje słowa.

– Postanowiłam iść do lekarza. – Felicja uśmiechnęła się blado.

– Nareszcie. – Matylda uściskała bratanicę. W takim razie nie powinna tracić nadziei. Tak bardzo chciała, by ta jasnowłosa dziewczyna była nadal szczęśliwa ze swoim Tomem. Konieczne musi się pomodlić w niedzielę, żeby Felicja jak najszybciej została matką. Chyba Bóg sam rozumie, że ona się doskonale na nią nadaje.

Matylda patrzyła za bratanicą do chwili, aż skręciła za róg, i odwróciła się w stronę domu. Wchodząc po schodkach, dostrzegła pocięte czubki butów. Westchnęła. Powinna dać sobie

uszyć nowe u szewca, te się już zupełnie rozpadały. Nie może przecież przynosić wstydu swoim dzieciom. Bo to były jej dzieci!

Zamyślona weszła do środka i chciała już odpiąć kapelusz, gdy nagle do jej spódnicy przylgnęło prawdziwe dziecko, no, może nie całkiem małe, ale tak na pierwszy rzut oka dziesięcioletnie.

– *Granny!*

Babciu? Nikt jej tak nie nazywał. Któż to jest, zaczęła się gorączkowo zastanawiać, gdy w tej samej chwili do sieni weszła...

– Po prostu oczom nie wierzę! Nasza Wiera kochana.

– Ano ja! Ta sama. – Kobieta rzuciła jej się do kolan, żeby ucałować jej ręce, ale Matylda nie pozwoliła na to.

– Większe szczęście nie mogło mnie spotkać! – mówiła wzruszona, kiedy w końcu przestały się ścisnąć, całować, i ocierała łzy chusteczką. – Stara baba umarłaby przez panią na serce! Takie zaskoczenie.

– Józul wpuścić. Też zdziwiony.

Matylda zauważyła, że Wiera ma kłopot z mówieniem po polsku. Nic dziwnego, tyle czasu go nie używała. Pewnie Joachimka też trzeba będzie znowu uczyć.

– Gdzie to mój skarb się podziewał? – Ramiona Matyldy pochwyliły teraz chłopczyka, a potem wypuszczały go tylko wtedy, kiedy trzeba było mu dać pić i jeść. Cieszyło ją bardzo, że się do niej wciąż tuli.

– A mąż pani gdzie?

– Mąż? A, mój *husband*. – Wiera pokręciła głową. – Do niczego on. Umarł sobie. Umysł mu odszedł. Durny zupełnie. Jest grób w Chicago. Na szczęście podpisał mi wszystkie papiery.

– Jakie papiery? – zdumiała się Matylda. Chciała Wierze składać kondolencje, gdy do izby wszedł Józul i zaczął wszystko wyjaśniać.

Wiera z Joachimkiem pojawili się niemal od razu po wyjściu Matyldy. Na szczęście rąbał drewno na podpałkę za domem, więc się spotkali. Wiera przyjechała tu robić interesy.

– A po co, na miły Bóg?

Oczywiście dla pieniędzy! Wiera miała nadzieję zarobić na tym interesie grube tysiące dolarów. Jej łysy małżonek, Francis Hughes, nie był tak zamożny, jak się przedstawiał, bardziej liczył na to, że to ona zapewni mu godne utrzymanie.

Sprawa potencjalnego zarobku zaczęła się całkiem przypadkowo, a mianowicie od spotkania z komiwojażerem od Watkinsa, firmy farmaceutycznej z siedzibą w Winonie, ba, całkiem niedaleko od nich, bo na Liberty Street. Wiera się rozrzewniła, nie wyrzuciła sprzedawcy za drzwi, tylko przyjęła w domu i poczęstowała herbatą. Niestety, pomyliła się, bo mężczyzna wcale nie był z Winony. I nie mógł jej nic opowiedzieć o Halmanach. Na początku się tym zmartwiła, ale potem spojrzała na produkty, którymi handlował komiwojażer. Były wśród nich pieprz i ekstrakt wanilii, ale to akurat niezbyt ją interesowało, choć pachniało upojnie. Zaciekawiała się, natrafwszy na tonik, który według sprzedawcy miał dokonywać cudów. Łagodzić, upiększać i leczyć. Brakowało tylko zmartwychwstania! Wiera zakupiła ten specyfik i wypróbowała go na mężu, który, jak zdążyła na wstępie nadmienić, tracił rozum. Nie spodziewała się, że mu on wróci, ale jakiegoś efektu jak najbardziej. Tymczasem był tylko jeden – silne przeczyszczenie, choć prawdopodobnie nie było to zamierzeniem producenta. Wiera postanowiła więc wziąć sprawy w swoje ręce i wymyśliła coś, co ją tak uradowało, że nie domagała się nawet od sprzedawcy zwrotu pieniędzy, co podobno gwarantowała firma.

– Co takiego?

– Mój własny specyfik – oświadczyła dumnie Kirgizka i wyjęła z torby ciemną butelkę

z dużym korkiem. – Ten leczy bóle głowy i dodaje energii. Człowiek może potem... – Podniosła rękę i napięła mięśnie. – A u mężczyzn, *barysznia* Matylda... – ściszyła głos.

– Ja nie chcę tego wiedzieć. – Starsza pani przeżegnała się, ale z uśmiechem na ustach.

– I pani Wiera chce zaproponować kupno tego leku Watkinsowi – dodał Józul, krzyżując ręce na piersi. Patrzył z zachwytem na Wierę, uważając, że jego cudotwórczyni wszystko się musi udać.

Matylda przyjrzała się uważnie gościowi. Gust Wiery się nie zmienił. Nadal nosiła pstre kolory, ale na twarzy nie postarzała się ani o jeden dzień. Miała piękną, czystą cerę i wciąż kruczoczarne włosy. Wyglądała jeszcze bardziej egzotycznie niż przed wyjazdem z Winony, ale może to tylko wrażenie, pomyślała Matylda. Pewnie była wówczas do niej bardziej przyzwyczajona.

– Pójdzie pani tam sama? – Chrząknęła lekko, bo zupełnie sobie tego nie wyobrażała. Watkins miałby podpisać z nią umowę? Nawet na sprzedawców nie zatrudniali kobiet.

Wiera potrząsnęła głową.

– Nie, ja już *znaju*, jak ta Ameryka działa. *No women*. Ja nie sama. Ja mała kobietka, *widow*. Mój mąż, świętej pamięci, taki mądry. To jego wynalazek.

Matylda coraz szerzej otwierała oczy. Zaczynało jej świtać w głowie, co zamierza ta szalona niewiasta.

– A ja tylko po nim, jak to się mówi, dziedziczę. Wszystko – dodała z niewinną minką.

– Pani Wiera chciałaby, żeby poszedł z nią doktor Tweedy. I ja! – wtrącił się bratanek.

– Ty? Ty też coś miałeś wynaleźć? – Józul miał wprawdzie doświadczenie w mieszaniu drinków w saloonie...

– Żeby pokazać, co pani Wiera potrafi. Dać świadectwo cudu, rozumie ciocia?

W głowie się to wszystko nie mieściło!

## Rozdział XVI

Felicja wróciła do domu i nim zabrała się do przygotowywania obiadu, postanowiła sprawdzić, co się dzieje z małym Leo. Nie widziała go już od paru dni i zaczynała się niepokoić. Nie chciała jednak zachodzić do sąsiadów, obawiając się, że natknie się tam na znów pijanego O’Brady’ego. Wyszła więc z domu tylnym wyjściem, podeszła do płotu i gwizdnęła na palcach, jak ją nauczył Tom. Nie minęło pięć minut, jak zobaczyła przez okno jasną głowę chłopca.

– Nie miałbyś ochoty na naleśniki z syropem kłono...? – zaczęła, po czym obróciła się i podskoczyła z przerażenia. – Leo!

Stał przed nią z umorusaną twarzą, ale to nie było ważne. Jego oko! Wyglądał tak, jakby ktoś mu je wybił. Opuchnięta fioletowa powieka potęgowała makabryczne wrażenie.

– Kiedy? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Wcoraj. I zęby. – Mały odsłonił dziąsła. Brakowało mu górnych jedynek. – Mama powiedziała, że odrosną, bo to mlecne były – zaseplenił ze stoickim spokojem. – A mogę dostać te naleśniki? – Jedno oko zaświeciło się na myśl o słodkim przysmaku.

– Czy mama była z tobą u lekarza? – Ręce Felicji trzęsły się, kiedy nalewała mleka do garnka.

– Nie, bo do wesela się zagoi.

Minna O’Brady nie miała rozumu, ale skąd go miała mieć, skoro mąż walił ją po głowie kilka razy dziennie. Najgorzej jednak cierpiał najstarszy syn O’Brady’ego, Leo. Ojciec uznał, że nie jest jego dzieckiem, a żona musiała się puszczać przed ślubem z innymi. Bo przecież skąd taki jasny bachor w rodzinie? A poza tym umiejący czytać i pisać jako mały gnojek. Już on wytropi tego łachudrę, z którym się ta idiotka zadawała. Chyba że wcześniej dziwka pęknie, kiedy jej będzie garbował skórę. Już on jej wybije wszystkie amory ze łba. A przecież cała jego rodzina była przeciw. Że sobie taką wieśniaczkę bierze, co gnój ma pod stopami. Jak tylko pomyśli o tym swoim nieszczęściu, to od razu musi się napić, żeby zapomnieć. A wszystko to wina tej niewiernej baby.

Kiedy trzeźwiał, płakał, całował ich wszystkich i przysięgał, że więcej nie wypije ani kropli. Do następnego wieczora!

– Twój ojciec jest teraz w domu?

– Nie, posedł na budowę – odpowiedział Leo i wyciągnął rączkę po talerz z naleśnikami.

– Jak zjesz, to pójdziemy do lekarza.

– Nie! – Leo odstawił natychmiast talerz. – By mnie wtedy zabił.

– On się o tym nie dowie.

Felicja wyjęła parę monet ze skrzynki trzymanej w kuchni. Postanowiła wziąć powóz i jak najszybciej pojechać z Leo do doktora Tweedy’ego. Tylko on mógł coś pomóc w tej sytuacji. Zależało jej, żeby jak najszybciej wrócić do domu i by Tom nie zobaczył dziecka w tym stanie. Po ostatnim razie, kiedy ojciec uszkodził rękę syna na ponad dwa tygodnie, Tom zapowiedział, że zrobi z nim porządek. Felicja wiedziała, że ma bardzo łagodnego męża, ale nie potrafi znieść niesprawiedliwości i zła i może być wówczas nawet porywczy. Mógłby się rzucić na O’Brady’ego, a nie była przekonana, kogo by wówczas uznano za winnego. Wprawdzie Tom niewiele wiedział o swym indiańskim pochodzeniu, ale wszyscy inni zdawali się mieć pełną wiedzę na ten temat. Felicja któregoś dnia bardzo się zdziwiła, kiedy podsłuchiwała, jak ktoś w bibliotece pytał o tę panią, która ma męża Metysa. Na szczęście nikt nie wiedział, o kogo chodzi, tylko ona. Ze wstydu udała, że jej to nie dotyczy. Domyślała się bowiem, co może nastąpić. Kiedy się

dowiedzą, nie będą patrzeć na nią jak na Felicię Scott, tylko jak na żonę Indianina. Tak tam rozmawiali. Wśród personelu bibliotecznego była jedyną imigrantką i katoliczką. Wystarczyło, żeby się czuć nieswojo.

– Leo, nie bój się. Nie chcesz chyba stracić wzroku.

– Juz i tak nic nie widzę na to oko. Po co mi doktor? – Mały próbował się wyrwać z jej rąk, gdy do domu wszedł niespodziewanie Tom.

Jak pech, to pech.

– Na dzisiaj fajrant. Z Winona Lumber nie dowieźli drewna na czas. Wyobrażasz sobie! Winona, miasto przemysłu drzewnego, same tartaki i brak drewna. A co tu się... – Jego wzrok padł na chłopca, który na widok Toma przestał się wyrwać, tylko zastygł w pół ruchu. – Znowu – powiedział tylko Tom i chciał się cofnąć do wyjścia, ale Felicja rzuciła się na drzwi.

– Nie!

– Co nie?

– Pójdiesz teraz po powóz. Muszę jechać z małym do lekarza. Mówi, że nie widzi na oko.

Szczęki Toma zaczęły się rytmicznie poruszać, jakby chciały przegryźć skórę policzków, a potem dorwać się do wroga.

– Tom! Proszę. – Kiedy łza potoczyła się po policzku Felicji, twarz męża złagodniała.

– To chodź, koleżko! – powiedział i wziął Leo na ręce.

Nie odzywali się do siebie w drodze do lekarza, za to podwożącemu ich sąsiadowi usta się nie zamykały. Oczywiście nie omieszkali skomentować stanu, w którym znajdował się dzieciak.

– Ktoś z tym powinien zrobić porządek! – przemawiał buńczucznie, a Felicja miała ochotę mu powiedzieć, żeby się zamknął i przestał podburzać jej męża. Mówiąc „ktoś”, z pewnością nie miał na myśli siebie.

Zajechali pod dom doktora Tweedy’ego.

– Niech pan nie czeka, panie Kowalczyk – powiedziała Felicja. – Nie wiadomo, ile to będzie trwało. – Sąsiad chciał jeszcze coś powiedzieć, ale dostawszy kilka centów, zmienił zdanie.

– Jak pani sobie życzy. Ale powiem pani, że nie zdziwię się, jak tego O’Brady’ego ktoś kropnie. I nikt się nie będzie martwił.

Felicja zastygła z otwartymi ustami. Chciała zaprotestować, ale nagle zrozumiała, że Kowalczyk mówił do niej po polsku.

– Ma pan rację – odpowiedziała mu i weszła z mężem i chłopcem do domu doktora Tweedy’ego.

A tam czekała na nich niespodzianka. Lekarza nie było i jego służąca nie miała pojęcia, kiedy wróci. „Udał się do miasta w interesach”.

– Lekarze robią interesy, zamiast przyjmować pacjentów – zezłościł się Tom. – To może zajedziemy do twojej ciotki?

– Widziałam się z nią parę dni temu, ale z pewnością się ucieszy, szczególnie z twojej obecności. Ciągle o tobie wspomina – powiedziała do męża. – Poczekamy tam godzinę i wrócimy do lekarza.

– Ale...

– Nie martw się. Nikt nie zauważy, że go nie ma w domu, prawda, Leo?

Chłopak pokręcił głową, coraz bardziej wciągnięty w nową przygodę. Wiedział, że do wieczora nikt się nim nie będzie interesował. Czteroletni bliźniacy zajmowali się sobą, a matkę obchodziła tylko paromiesięczna siostra.



Po dziesięciu minutach stanęli przed domem na Maple Street w tej samej chwili, w której z eleganckiego powozu wysiadła dama w czerni. I nagle Felicji przyszło na myśl, że już niegdyś przeżyła podobny moment. Zamrugła, policzki jej się zarumieniły, a serce przyspieszyło rytm.

– Wiera! Wróciłaś! – krzyknęła i ku zdumieniu Leo rzuciła się w objęcia „czarnej damy”.

Mogły się tak naprawdę nagadać ze sobą dopiero w następnym tygodniu. Felicja miała wolne popołudnie i Wilczewska przyjechała do niej z wizytą hotelowym powozem. Nie dała się tym razem przekonać i zamieszkała w Winona Hotel, choć Joachimek i tak spędzał całe dni przy Maple Street.

– Pani Matylda zmieniła zdanie, ale wydaje mi się, że miała jakiś powód – powiedziała Wiera.

Felicja domyślała się jaki. Ciotka Matylda chciała po raz kolejny zostać ciotką! Chciała, by same porozmawiały.

– A to dla ciebie, moja kochanieńka. – Wiera wręczyła jej bombonierkę i flakon wody toaletowej o cytrusowym zapachu. – Zrobiłabym sama lepsze, ale nie miałam pod ręką produktów.

– Ależ... to ja powinnam podziękować za oko Leo.

– Rozumiem, że pomogło?

– Już pierwszego dnia zesza opuchlizna, a drugiego zaczął widzieć nim kontury postaci.

– To oko zawsze będzie gorsze. Silne uderzenie. Mogło się coś w nim zupełnie odkleić.

Felicji dreszcz przebiegł po plecach. Dobrze, że nie było tu Toma. Od historii z okiem Leo stał się bardzo milczący. A na pytanie, co się dzieje, nie odpowiadał, tylko wychodził z domu i wracał dopiero późnym wieczorem. Każdego dnia czekała, że wybuchnie.

– Czego się napijesz? – Posadziła Wierę w salonie na najpiękniejszym fotelu przykrytym kapą wyszywaną przez ciotkę.

– Najpierw pokaż mi to swoje gniazdko! – zarządziła Wilczewska i ściągnęła z głowy kapelus. – Jaki piękny masz kominek, jak u prawdziwych bogaczy! A to sprytna dziewczynka. Ledwo wyjechałam, a ta uciekła za lubym. Ale z tego, co słyszałam od pani Matyldy, to z niego dobry *muż*.

– Bardzo. Oj, Wiero, jestem taka szczęśliwa. Tylko, tylko...

– No sama widzę, że tylko dziecka ci brak, moja miła. Nie martw się niczym. Dam ci mój najlepszy lek, który już nie raz wypróbowałam na najbardziej opornych. Powinien zadziałać w ciągu góra dwóch miesięcy.

Sięgnęła do torebki i podała młodej kobiecie zakorkowaną szczelnie butelkę.

– A co się tak patrzysz na mnie? Skąd wiem? No tym razem nie z gwiazd. *Barysznia* Matylda mnie spytała, czy coś mogę pomóc. Nie gniewasz się?

– Ale skąd! – obruszyła się Felicja. – Już dawno chciałam się ciebie poradzić. Tylko że nie odpisujesz na listy.

– Mnie trudno. Pomyśl sobie, jak mi się już te wszystkie języki w głowie mieszają. A co u twojej przyjaciółki z Polski?

– Ona już nie z Polski. Mieszka w Paryżu. – Felicja westchnęła.

Rozalia wprowadziła starą jej pisać o nowym tańcu, kankanie, teatrzykach rewiiowych, nowych operach i książkach, ale żadne słowa nie mogły przesłonić obecności Saszy i Adasia w jej życiu. Wystarczyła drobna wzmianka o bliźniakach, żeby Felicji przypomniało się to, czego jej najbardziej brak.

– Rodzice ją wyklęli za wyjście za mąż za Rosjanina.

– I nadal tacy uparci? – Wiera zamyśliła się. – Obcego nie mogą przytulić do serca. Och,

ileż to razy ja sama doświadczyłam tej sytuacji.

- Niestety. Ale Rozalia teraz ma przy sobie najmłodszą siostrę, Julię.
- Na szczęście. To z pewnością ją uraduje. A jak twoja siostra Helena?
- Bez zmian. – Felicja westchnęła.
- Czyli ma wciąż pięćdziesiąt lat?
- No nie, teraz to już sześćdziesiąt. – Dziewczyna zachichotała i nagle pacnęła się ręką w czoło. – Wybacz mi, Wiero, mój nietakt. Nie zapytałam nawet o twój eliksir. Czy przyjęli was w Watkinsie?

A dlaczegoż by nie mieli, skoro z Wierą na rozmowę udawał się sam winoński lekarz! Nie było tak łatwo skłonić go do współpracy, choć doskonale orientował się przecież w jej zdolnościach związanych z ziołarstwem. Przez dłuższy czas stał przed nią i Józulem jak jakiś orator i przemawiał, że to dla niego ryzyko i taki eliksir może naruszyć jego reputację. I gadałby jeszcze tak pewnie z kilkanaście minut, gdyby nie pytanie Wierę, ile sobie wieszkuje za uczestnictwo w tak interesującym projekcie. Siedemdziesiąt procent, padła natychmiastowa odpowiedź, Wiera więc odetchnęła z ulgą i przystąpiła do negocjacji. Skończyło się na pięćdziesięciu pięciu.

– Ale to przecież twój eliksir – zdenerwowała się Felicja. – To niesprawiedliwe. Dlaczego on ma mieć więcej?

Tak, o tym Wiera doskonale wiedziała, ale wiedziała również, że mężczyźni, z którymi przyjdzie jej rozmawiać, uważają kobiety za głupsze i nienadające się do interesów. A wynalazki? Przecież uważali, że niewiasta nie jest w stanie wynaleźć czegokolwiek. W dodatku kobieta o skośnych oczach i słowiańskim nazwisku! Potrzebowała więc osoby, która mogłaby ją reprezentować. A doktorek był mimo wszystko nie najgorszym człowiekiem, wrażliwym na krzywdę ludzką, poza tym doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że pani Hughesowa nie jest w ciemni bita. A w ogóle Felicja nie powinna nazywać tego eliksirem.

- A jak ?
- To jest tonik regenerujący „Ciało i Dusza”. Tak to nazwaliśmy. I to akurat pomysł doktora.

Specjaliści od Watkinsa postanowili sprawdzić działanie specyfiku. Wiera i doktor wyprodukowali kilkadziesiąt litrów toniku, który miał zostać rozdany za darmo przez sprzedawców Watkinsa. Jeśli klienci będą nim zainteresowani, spółka zamierzała podpisać z Tweedym umowę.

- Była mowa o dwóch tysiącach dolarów do podziału – powiedziała Wiera.
  - To mnóstwo pieniędzy. – Felicja złożyła ręce i spojrzała z podziwem na przyjaciółkę.
- Jakie mnóstwo? Muszą dać o wiele więcej. Na tę próbę Wiera wydała już sporo i dlatego biznes musiał się jej wielokrotnie zwrócić. Obecnie czekali na wyniki eksperymentu, ale była przekonana, że okażą się znakomite. Uprzedziła już doktorka, że nie mogą tak tanio sprzedawać skóry. On na razie wątpił we wszystko, ale zamierzała dojść z nim do ładu. Nie lubiła takich rozmawianych mężczyzn, nawet jeśli byli lekarzami. Doktorek jest chyba wdowcem, prawda? Czy Felicja wie coś na ten temat?

Wieczorem rozradowana Felicja opowiadała Tomowi o wizycie pani Hughes. Nie wspominała tylko o flakonie z miksturą, co do której była przekonana, że jest niezwykle skuteczna. Wiedziała, że Tomowi nie zależy na dzieciach. I nawet przypominając sobie ciężkie chwile z przeszłości, potrafił powiedzieć, że ich świat, pełen złych i okrutnych ludzi, nie jest miejscem do wychowywania przyszłego pokolenia. Nie dawał się przekonać, że jest inaczej. Uważał, że mimo iż ludzie się modlą do Boga, krzywdzą siebie nawzajem i są niereformowalni. Felicja wiedziała jednak swoje – Tom będzie zachwycony, kiedy urodzi się im dziecko. Doskonale sobie radził z maluchami. Taki Leo chodził za nim krok w krok jak jakiś szczeniak.

– A wiesz, gdzie byłem parę dni temu? – spytał, kiedy skończyła opowiadać o Wierze. – Nie wiesz. W domku nad rzeką. – Nachylił się nad żoną i ucałował ją w sam kącik ust.

Felicja uwielbiała jego pocałunki, bo robił to z taką czułością. Nie musiał jej nawet mówić, że ją kocha. Od razu kręciło jej się lekko w głowie i chciała się natychmiast kochać.

– To on jeszcze się nie przewrócił? Takie były przecież wiatry w zeszłym roku – zainteresowała się dopiero, kiedy wypuścił ją z ramion.

– Nadal stoi. Jest na tyle niedostępny, że żaden włóczęga się nim na dłużej nie zainteresował. Nie ma w nim nawet śladów po obcych. Wszyscy traperzy już dawno się stąd wynieśli. Dobrze, że go wówczas podreperowałem.

– Tak bardzo chciałabym go zobaczyć. – Bo to przecież tam zaczęła się jej miłość do męża. A w tym domu nie była... od dwóch lat. Tom zwykł tam nocować, gdy wybierał się na połów ryb.

– Pomyślałem, że trochę bym go uprzętnął i moglibyśmy tam latem spędzać niedziele, a nawet parę dni. Czuję, że miasto wysysa ze mnie całą krew.

– Żałujesz?

– Ciebie? Nigdy w życiu. Jesteś moim przeznaczeniem.

Wiedziała, że jeszcze bardziej się zmartwi, gdy mu powie, że w niedziele to ona chodzi do kościoła. Czyżby Tomowi to umknęło? To byłby kawał drogi do przejścia, bo powozu nie mieli. Może czasem można by spróbować, ale... Chciała mu właśnie o tym wspomnieć, gdy nagle Fido zawył, a potem naraz usłyszeli brzęk tłuczonego szkła, lament kobiety i krzyk dziecka.

Poblądły Tom zerwał się na równe nogi.

– Nie rób mu nic złego, proszę cię. – Felicja zagroziła mu drogę, ale odsunął ją zdecydowanym ruchem.

– Zostaw! – I wybiegł na dwór.

Ruszyła za nim, próbując złapać go za rękę, ale był zbyt szybki.

– Tom!

Przeskoczył przez niewysoki płotek dzielący ich od sąsiadów i zniknął w ciemności. Razem z Fidem, który nie odstępował swojego pana. Felicja z bezsilności walnęła pięścią we framugę drzwi. Gdyby była mężczyzną, mogłaby pomóc Tomowi. Cofnęła się do środka i poszła do kuchni, bo tam z bocznego okna można było czasem zobaczyć, co się dzieje na podwórku O'Bradych.

Stała tam zaledwie chwilę, gdy usłyszała kroki męża.

– I co się...? Uderzył cię? – Dostrzegła ślady krwi na koszuli Toma.

– Nie, to z jego nosa tak trysnęło. Powiedziałem, że rozwalę mu łeb, jeśli nie zostawi w spokoju żony i dzieci. Tym razem oberwała Minna. Leo się dobrze ukrył.

– I co?

– Nic. Powyzywał mnie od najgorszych. Darł się, że mi tego nie daruje.

A Minna w obronie męża zaczęła go okładać pięściami i również wyzywać. Potem zaprowadziła męża pijaka do kuchni, by go obmyć z krwi.

– No to masz, obrońco uciśnionych. Po co ci to było?

Tom zacisnął szczęki.

– Za Davida. Przecież wiesz. Muszę.

Pokręciła głową i przytuliła się do piersi męża.

– Lepiej zapiorę ci tę koszulę, bo plamy zostaną.

Zanim jednak Tom rozpiął guziki, Fido ukazał kły i zaczął warczeć. Po chwili usłyszeli skrobanie do drzwi od ogrodu.

– Pewnie Leo przybiegł – stwierdziła Felicja.

Ale za drzwiami stał zupełnie ktoś inny. Gdyby Toma nie było w domu, wykrzyknęłyby na cały głos. Chociaż takiej osoby nie powinna się bać. Był to mężczyzna o tak pooranej zmarszczkami twarzy, iż wyglądał na sto lat. Mimo nieco egzotycznych rysów miał na sobie kowbojski strój.

– Mister Scott?

Jej mąż pojawił się bez wołania. Starzec zrobił palcami jakiś dziwny gest, a twarz Toma znieruchomiała, jakby nagle usłyszał coś niezwykle ważnego i chciał się na tym skupić. Po chwili skinął głową i obrócił się do Felicji.

– Wyjdę na trochę. Nie martw się. – I zniknął w ciemności jak kot, zanim zdążyła się odezwać.

Nie wrócił, nawet kiedy kładła się do łóżka. Potem leżała bardzo długo, czekając na jego powrót. W końcu zasnęła. To był długi i dziwny dzień. Obawiała się, że odcisnie on piętno na ich przyszłości.

## Rozdział XVII

„A nie mówiłam!” Mogła tak sobie powtarzać co chwilę, a i tak nie miało to żadnego sensu. Ostatni miesiąc przyniósł potwierdzenie jej obaw.

Pobicie O’Brady’ego było ogromnym błędem. Mimo iż z niego pijak, kat żony i dzieci, miał jednak duży posłuch wśród swoich. Już następnego dnia Scottowie odczuli szykanowanie ze strony irlandzkich sąsiadów. Najpierw były to złośliwe uwagi rzucane za plecami, kiedy szła po zakupy. Potem wyzywanie od dzikusów i brudasów. Następnie, kiedy była w pracy, rozwalono jej klomb z hortensjami, a potem ktoś podpalił szopę, w której Tom trzymał narzędzia. Nikt niczego nie widział.

– Oni nie wiedzą, jak używać zapalek – usłyszała któregoś dnia, wracając z pracy.

Plotki na temat Scottów zaczęły zataczać coraz szersze kręgi i stopniowo docierać do polskiej społeczności. Kiedy Felicja przychodziła do kościoła, wszyscy się w nią wgapiali bez jakiegokolwiek zażenowania. Gdy skarżyła się potem Tomowi, wzruszał ramionami, mówiąc, że to minie i ludzie się uspokoją. Tak jak to było z zerwanymi zaręczynami. Natychmiast przypominała sobie konfrontację z matką Huberta i późniejsze złe spojrzenia Jaszewskich. Wówczas Felicja gotowa była wystąpić przeciwko całemu światu w obronie swojej miłości. Ale teraz nie chciała walczyć. Pragnęła tylko żyć w spokoju i doczekać się dziecka. Chciała się podzielić tymi myślami z Tomem, ale ten codziennie pracował do późna, a wieczorami znikał z domu. Mówił, że naprawia domek i łowi ryby, tylko że żadna z nich nie trafiła do kuchni. Temat tajemniczego gościa sprzed miesiąca również został przemilczany. Tom był niesłuchanie uparty i jeśli nie chciał nic powiedzieć, nie można było z niego niczego wyciągnąć.

– To był ktoś, kto znał mojego ojca. – Takie jedno zdanie miało posłużyć za wytłumaczenie.

– Ale kto?

– Felicjo, to stary człowiek.

– Czy ja oczu nie mam?

– Jaka ty jesteś ciekawska.

Zaśmiał się i pocałował ją w czubek nosa. I zbył ją. Zdążyła jednak poczuć ostry zapach alkoholu.

Felicja czuła, że zaczyna się dziać coś złego. Nie miała jednak czasu się na tym skupić ze względu na dodatkowe obowiązki. Obiecała też pomóc Matyldzie w porządkowaniu domu przed przybyciem „narzeczonej” Józula.

Wybranka powinna się pojawić w Winonie już za parę tygodni. W związku z tym na Maple Street panowało radosne wyczekiwanie. Trzeba było wszystko dokładnie wypucować i wyświecić, żeby od samego początku przyszła żona Józula wiedziała, jak trzeba utrzymywać dom. Również w bibliotece Felicja starała się być jeszcze bardziej gorliwa, żeby nikt nie miał powodów do niezadowolenia. Cały czas się obawiała, że plotki rozsiewane na temat jej męża dojdą w końcu do kierownictwa i wówczas ją zwolnią bądź odsuną od podawania książek paniom z dobrego towarzystwa. Mogła sobie rozmyślać nad niesprawiedliwością tego świata, ale i tak nic na to nie poradzi. Felicja miała wrażenie, że przez większość swego życia doświadcza bezradności. Nie ma na nic wpływu.

Czy to dlatego, że jest kobietą? Choć nawet w tym nie jest do końca spełniona, gdyż mikstura Wiery wciąż nie przynosiła efektów. Tylko jak ona ma działać, skoro Tom, pochłonięty swoimi myślami, odsuwa się od niej w łóżku? Po raz pierwszy w życiu poczuła się zupełnie

samotna. I kiedy otrzymała liścik od siostry, która zapraszała ją na podwieczorek, niemal podskoczyła z radości. Może maj stopi lód, który przed laty wkradł się w rodzinne stosunki, i siostra wreszcie okaże jej cieplejsze uczucia. Tak bardzo za nią tęskniła.

Umówiły się na sobotnie popołudnie. Tom po pracy od razu zniknął z domu, zapowiedziawszy, że wróci późnym wieczorem. Felicja miała więc czas, by upiec ciasto z orzechami włoskimi, tak bardzo lubiane niegdyś przez Helenę, i kiedy zegar wybił czwartą, wyruszyła w drogę. Zastanawiała się, czy przypadkiem siostra nie będzie miała do niej pretensji o Wierę. Już kilka dni temu miało się okazać, czy tonik „Ciało i Dusza” jest przydatny, lecz ludzie od Watkinsa cały czas zwlekali z ogłoszeniem wyniku. Może w ten sposób chcieli wynegocjować niższą cenę. Wiera jednak była zdeterminowana, wiedząc, że jej produkt jest świetnej jakości. Jeśli uda się jej wyciągnąć takie pieniądze, o jakich wspominała ostatnio, to ciekawe, co na to powie Helena. Może zmieni zdanie o dobrodziejce ich rodziny? Najwyższy czas, żeby przestała udawać kogoś innego, pomyślała Felicja.

Czy to możliwe, że nie została zaproszona do Bronków od pięciu lat? Coś musiało się stać Helenie, że postanowiła zakopać topór wojenny. Przez chwilę pojawił się niepokój związany z Frankiem, ale momentalnie zniknął.

– Witam cię, siostrzo! – Nadal była taka piękna. W nowej ciemnoniebieskiej sukni z muslinu z niewielką kryzą i perłowymi guzikami u góry. Nikt by nie pomyślał, że Helenka ma trzydzieści lat!

Powitanie wypadło jednak dość sztywno, a ciasto przyniesione przez Felicję zostało natychmiast zabrane przez służącą do kuchni. Zauważyła, że również później nie pojawiło się na stole wraz z innymi słodkościami.

– Usiądź, moja droga, z pewnością czujesz się zmęczona. – Helen mówiła do siostry po angielsku i wszelkie próby przestawienia jej na polski były daremne.

– Jestem przyzwyczajona do chodzenia.

Gospodyni naląła herbaty do filiżanek, po czym wdzięcznym ruchem sięgnęła po jedną z nich i robiąc z ust śmieszny dziobek, zanurzyła je w płynie.

– Dzieci są w domu?

– Nie, pojechały z Frankiem i Dorą na piknik nad rzekę. Chciałam z tobą porozmawiać w cztery oczy – oświadczyła tak zimnym tonem, że Felicja poczuła zawrót głowy.

Jaka była głupia, myśląc, iż siostrze chodzi o ocieplenie stosunków. Zwabiła ją do tego domu, by znów ją upokorzyć.

– Jesteś moją jedyną siostrą, Felicjo.

Czyżby dopiero teraz to odkryła? Ale Felicja milczała, uznawszy, że siostra za chwilę rozwinie wątek. I się doczekała.

– I chyba rozumiesz, że bardzo mi zależy na tobie. Powiedz mi, czy ty wiedziałaś, że w żyłach twojego męża płynie indiańska krew. Zanim wyszłaś za mąż?

– Ja? – Helenie zawsze udawało się ją zaskoczyć. O co jej chodzi? – On sam tego tak naprawdę nie wie.

Siostra odetchnęła z ulgą.

– Tak podejrzewałam. Jest więc powód do unieważnienia małżeństwa.

– Słucham?

– To, co mówię. Ksiądz mi to powiedział.

– Ojciec Pacholski? – jęknęła Felicja. Teraz na dobre kręciło jej się w głowie.

– Chyba żartujesz! Nie pytałam w naszej parafii.

– Ale o co ci chodzi? Jaki powód?

– Moja droga. Moja rodzina długo tolerowała twoje niestosowne zachowanie, choć kosz-

towało nas to zerwanie dobrych kontaktów z rodziną Jaszewskich. Frank stracił znakomitych klientów. Ale teraz przyszedł czas, by się w końcu rozmówić. Wieść o pochodzeniu Toma Scotta była dla nas dużym wstrząsem. Bo czy to możliwe, że moim szwagrem jest człowiek, w którego żyłach płynie krew dzikusów? Ludzi, którzy skalpują, podpalają i mordują?

– Heleno, czyś ty oszalała, przecież to rdzenni mieszkańcy tych ziem. Oni mieszkali tu dłużej niż ty i cała rodzina Bronków. – Felicja ledwo oddychała z nagłego zdenerwowania. Nie takie słowa spodziewała się tu usłyszeć.

– Ale to ma znaczenie, nie rozumiesz sama? Chyba wiesz, że Tom Scott pobił waszego sąsiada, ojca czwórki dzieci.

– Pobił, bo tamten katował swoją rodzinę.

– A jakie miał prawo się wtrącać? A poza tym jego żona oskarżyła twojego męża o pobicie. Będzie miał wytoczoną sprawę.

– Co?

– Rozumiesz sama, że nie możesz być żoną przestępcy. Przeprowadzisz się do ciotki na czas oczekiwania na unieważnienie małżeństwa, a potem będziesz wolna. Nikt cię za nic nie będzie winił. Już my tego dopilnujemy. Frank startuje wkrótce w wyborach do rady hrabstwa. Nie możemy sobie pozwolić na jakikolwiek skandal. Całe szczęście, że nie macie dzieci. W takiej sytuacji trudno by już było cokolwiek pomóc. Ale co ty robisz? Dokąd to? Nie pozwalam.

Felicja ostatek sił zerwała się z sofy i rzuciła do wyjścia. Helena próbowała ją odciągnąć od drzwi, kiedy szamotała się z klamką.

– Nie rozumiesz, że jeśli z nim zostaniesz, będę musiała się ciebie wyrzec? Frank mi tak kazał.

Felicja odwróciła się w stronę siostry.

– Ach tak? A ty go tak we wszystkim słuchasz. A twój kochający mąż powiedział ci też, z kim się zabawia na leśnych polanach? – rzuciła na koniec. Ostatnim obrazem, który wrył się jej w pamięć, była pobladła twarz siostry.

Na trzęsących się nogach, ze łzami lecącymi po policzkach, po półgodzinie doszła do domu i tam zemdlła. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła poświatę zachodzącego słońca. Musiała być nieprzytomna przez dłuższy czas. Jeszcze nigdy tak się nie zdarzyło. Ta jej choroba serca musi coraz bardziej postępować. Była taka głupia, że od razu nie poradziła się Wiery. Jakże ona chce się zajmować niemowlęciem, skoro sama sobą nie potrafi!

Obolała podniosła się z podłogi w sieni i dotknęła skroni. Uderzyła nią w stojące przy wejściu wiadro i teraz czuła pod palcami opuchliznę. Ale ból nie był najgorszy. Najgorsze było to, że nie miała komu opowiedzieć o upokorzeniu, nie miała z kim się podzielić tym zmartwieniem. I wcale też nie była zadowolona, że wspomniała siostrze o Franku. Nie powinna była tego robić!

Tego dnia Felicja poszła spać bardzo wcześnie, ale i tak nie mogła zasnąć. Wciąż w uszach brzmiały jej nienawistne słowa siostry. Czyżby inni ludzie myśleli tak samo jak Helena? Jeśli tak było, to nie miała ochoty mieszkać dłużej w tym mieście. Jak Tom wróci, zaproponuje mu, żeby przenieśli się do Minneapolis albo Chicago.

Kiedy się rano obudziła, okazało się, że Tom nie wrócił. Ani tego dnia, ani następnego.

– Myślę, że powinnaś iść do szeryfa – radziła zapłakanej Felicji Matylda.

– Ja się tak boję, że mógł się utopić albo ktoś pobił go do nieprzytomności.

– Ale kto?

– Ktoś od O’Bradych, a kto inny? To oni są wszystkiemu winni.

– Jeszcze nic nie wiadomo.

– I Wiera znowu wyjechała do Chicago. Z pewnością by powiedziała co i jak.  
– Felu kochana. Wiera zna się na ziołach i naturze ludzkiej, ale nie jest jasnowidzem. – Matylda przytuliła do siebie młodą kobietę. – Pójdź z Józulem do szeryfa. Zarządzi poszukiwania.

– I tak nie przyjdą. Jak się dowiedzą o pochodzeniu Toma, z pewnością zignorują zgłoszenie.

Dopiero po kilku dniach podczas sprzątanania zauważyła pod stolikiem nocnym kopertę z kartką papieru. Musiała ją przypadkowo strącić na podłogę. „Nie martw się. Niedługo wrócę”. Słowa napisane były nieporadnym pismem należącym niewątpliwie do Toma. W kopercie oprócz liściku znajdowały się również banknoty. Równowartość jego miesięcznych zarobków. Samopoczucie Felicji nie było wcale lepsze po znalezieniu koperty. Schowała ją do kieszeni fartucha, gdy nagle Fido zaczął warczeć i usłyszała pukanie do drzwi.

– Dzień dobry! – Nigdy do tej pory nie rozmawiała ze stróżem prawa. A poza tym skąd on się tu wziął? Czyżby Józul wziął sprawy w swoje ręce?

– Przepraszam, ale czy mogłaby pani nam pomóc?

– Słucham?

– Jest w bardzo kiepskim stanie – wyjaśnił pomocnik szeryfa. – Taka nagła śmierć.

– Kto zginął? – udało jej się w końcu spytać.

\* \* \*

– Matko Boska Częstochowska! – Matylda się przeżegnała.

Felicja chlipała w podaną jej chusteczkę i próbowała opowiedzieć o wszystkim na raz. Miała wrażenie, że nie uspokoi się nigdy, jeśli w jej głowie zostanie jakakolwiek myśl, zarzewie problemu.

– To jest takie straszne. Jak on wyglądał!

– Pozwolili ci na niego patrzeć?

– Nie był zasłonięty. I ta skręcona szyja!

– Przestań o tym natychmiast myśleć. Powiedz lepiej, co zrobiłaś.

W domu O’Bradych panowało istne pandemonium. Trójka dzieci wrzeszczała tak, że pękały bębunki, a ich matka, zamiast je uspokoić, miotła się po izbie, rwąc sobie włosy z głowy, jakby zupełnie straciła rozum. Trup jej męża leżał wciąż pod gankiem. Wcześniej, żeby wejść do domu, Felicja musiała przez niego przeskoczyć. W pierwszej chwili w ciemności nie wiedziała, co to za przeszkoda, dopiero później... i kiedy obróciła głowę...

– Proszę coś z nią zrobić! – zarządził pomocnik szeryfa. – Jak ją zabierzemy do szpitala, to kto zostanie z dziećmi?

Te słowa wyrwały Felicję ze stanu osłupienia. Żałowała teraz, że się tu znalazła. Co się stało w tym domu? I nagle przeszła ją straszna myśl, tak straszna, że była tą myślą, której nie „wypłakała” na kolanach Matyldy. A jeśli Tom miał z tym coś wspólnego?

Mimo wszystko przystąpiła do działania. Uniosła głowę Minny i kiedy ta próbowała się jej wyrwać, uderzyła ją z całej siły w twarz, a potem zmusiła do wypicia dwóch łyżek kropli uspokajających, które dostała w prezencie od Wiery. Kiedy wdowa po O’Bradym dochodziła do siebie, kiwając się na podłodze w przód i w tył i od czasu do czasu głośno czkając, Felicja zajęła się dziećmi. W tym czasie mężczyźni towarzyszący szeryfowi zanieśli nieboszczyka do szopy. Szkoda, że tak blisko domu, pomyślała.

W kącie izby Felicja dojrzała małego Leo. Kiedy do niej podszedł, przestraszyła się, widząc jego drobną twarz. Chłopiec był śmiertelnie przerażony. Jemu też podała krople uspokajające, możliwe, że za dużo, bo zasnął już po kilku minutach, kiedy głaskała go po głowie.

Dom O’Bradych był w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż zazwyczaj. Wszystkie



meble były połamane, zapewne podczas pijackich awantur, potem prowizorycznie posklejane. Wszędzie, czegokolwiek by dotknąć, panował potworny brud. Kiedy dzieci się uspokoili i ułożyła je do łóżek, poszła do studni po wodę i przy świetle jedynej lampy naftowej zaczęła szorować podłogi. Skończyła porządkować wszystko, gdy wybijała północ. Poszła jeszcze na chwilę do domu i przyniosła całą żywność, którą postawiła na stole dla O'Bradych. I jeszcze biały obrus. Z pewnością Minna nie miała żadnego. I wówczas Leo zapłakał przez sen.

– Cii, kochanie. Jesteś bezpieczny.

– On do mnie przyszedł i chce mnie bić – odezwał się do niej, zupełnie już obudzony.

– To twoja wyobraźnia, Leo. Jak czytamy książki, to czasem wymyślasz sobie inne zakończenia. Pamiętasz?

Chłopiec kiwnął głową.

– Właśnie. I sobie to w głowie wymyśliłeś. A teraz pomyśl o czymś innym!

– A mogę o Tomku Sawyerze?

– Możesz, o kim chcesz – odpowiedziała, głaszcząc czoło chłopca. W ciągu paru chwil sama usnęła.

Obudziły ją wrzaski. Otworzyła oczy i momentalnie poczuła, jak bardzo zeszywniała. Zasnęła przecież na siedząco. Nagle zobaczyła przed sobą paru mężczyzn. Jeden z nich prowadził Minnę za ramię, a ta szła za nim jak bezwolne ciele.

– Kto to jest? – Inny mężczyzna wskazał na Felicję.

Minna rzuciła obłąkane spojrzenie i się wzdrygnęła, jakby ktoś ją uderzył.

– Nie wiem, co ona tu robi.

– Jestem Felicja Scott. – Podniosła się z trudem z posłania. Leo ani drgnął. – Mieszkam tu obok...

– Wiem, kim jesteś – powiedział mężczyzna i plunął na świeżo wyszorowaną podłogę. – I wynoś się stąd natychmiast. Żebyś się tu nie pokazała więcej. Takich jak wy tu nie chcemy, rozumiesz? – Zbliżył brodatą twarz do Felicji i poczuła kwaśny odór przetrawionego alkoholu. – Zbieraj się stąd, pańciu. Dobrze pamiętamy, kto pobił naszego brata. I nie zapomnimy, mimo iż on nie żyje.

Minna O'Brady patrzyła na nią tępym wzrokiem, kiedy wychodziła z domu, i nawet nie zaprotestowała.

– A ty, dziwko, zapamiętaj teraz... – usłyszała, zbiegając z ganku. Tego samego, z którego mąż Minny spadł poprzedniego dnia i skręcił kark.

A potem rozległ się kobiecy krzyk.

– Dziecko, przestań już płakać. Nie ma w tym żadnej twojej winy. To źli ludzie są, a ty chciałaś jak najlepiej. A co się stało z małym Leo? – spytała Matylda i postawiła przed Felicją smażone racuchy.

Bratanica nie chciała ich jeść, ale zapach ciasta podstępnie wkręcał się w nozdrza, wzbudzając apetyt.

– Zabrali ich bracia O'Brady'ego. – Była nieszczęśliwa, ale również bardzo głodna. Sięgnęła więc po racucha.

– Zmarnują dzieciaka, łotry jedne – zmartwiła się Matylda. – Jak matka mogła do tego dopuścić!

Felicja westchnęła. Od dłuższego czasu miała wrażenie, że Minna jest chora psychicznie. Coś jej się musiało przestawić w głowie od tego ciągłego bicia.

– Ale jak on sobie skręcił kark? – Ciotka drążyła teraz temat bardzo niewygodny dla Felicji. – To przecież zaledwie parę stopni.

– Zawadził o skrzynkę z narzędziami, a był zbyt pijany, by złapać równowagę. Słyszałam, że tak mówili.

Matylda przeżegnała się.

– Wybacz mi, Boże, ale modlić się za niego nie będę.

Felicja wzruszyła ramionami.

– Jeszcze by tego brakowało – oświadczyła i wygłodniała rzuciła się na pozostałe racuchy.

– Myślę, Felu, że nie powinnaś wracać do domu, kiedy nie ma Toma. Zostań z nami. A swoją drogą, to kiedy on wróci?

Dobre pytanie, ale Tom, podobnie jak Wiera, nie należał do osób piszących listy. Jeszcze nigdy nie zniknął na tak długo. Nie pozostawało nic poza czekaniem. Oczywiście, że wołałaby zostać teraz z bratem i ciotką. Nie chciała być sama w domu, ale musiała zająć się Fidem, a poza tym obawiała się, że jej nieobecność może rozzuchwalić O’Bradych. Jeszcze przyjdzie im do głowy jakiś głupi pomysł. To był jej własny dom, kupiony za pieniądze wuja Augusta, i zamierzała go bronić. Tom nauczył ją strzelać, więc poradzi sobie, jakby zaczęli ją nachodzić intruzi. Takim typom nie należy okazywać słabości, Tom zawsze tak powtarzał.

Matylda nie była zadowolona z decyzji bratanicy, lecz w żaden sposób nie mogła sprawić, by zmieniła zdanie.

– Ale chyba pójdziesz z nami na pociąg po narzeczoną Józula?

– To Katarzyna już przyjeżdża? – Felicja otarła usta z cukru pudru. Przez ostatnie wydarzenia zupełnie o niej zapomniała, mimo iż jeszcze parę tygodni temu pomagała w gruntownym sprzątanii całego domu.

– A tak, szybko to poszło, ale na co to czekać, skoro podjęto się decyzję o wyjeździe. W Winonie będzie już we wtorek. Znajomi pana Derdowskiego w Chicago pomogą jej wsiąść do pociągu. A twój brat oszalał wprost z miłości, mimo iż jeszcze nie spotkał swojej lubej. Jak już skończyłaś jeść, to spójrz, jaki ogród dla niej urządził. Aż się o niego boję.

Rzeczywiście, trochę oszalał, stwierdziła Felicja, wychodząc przed dom. Sporo się tu zmieniło od ostatniego razu. Trawa była świeżo skoszona jak na boisku do krykieta. Oko cieszyły wielobarwne klomby z kwiatami. Część ogrodu, gdzie znajdowały się wygodka, kurnik i ogród warzywny, Józul odgrodził żywoplotem. Pod krzakiem bzu ustawił ławkę, a trochę dalej zamocował huśtawkę. Jeśli nie słychać było maszyn z tartaku, to można było odnieść wrażenie, że jest się...

– Jak na królewskim dworze! – Usłyszała nagle za plecami znajomy głos.

– Wiera!

– Pani Hughes, moja droga. Kobieta, której już się udało, a uda się znacznie więcej. I zaraz będziemy się cieszyć! – W geście triumfu uniosła trzymany w ręku dokument.

– Udało się? – Felicja klasnęła w ręce.

– Musieli się poddać. Zgodzili się na wyższą cenę. Po spożyciu toniku wszyscy ludzie zdrowieli – opowiadała Wiera z właściwą sobie przesadą i momentalnie za jej sprawą świat nabrał innych barw.

Felicja już się nie spieszyła do domu, tym bardziej że Wiera obiecała ją odwiedzić. Z wypiekami na policzkach słuchała historii tej niezwyklej kobiety. Może i nieprawdziwych, ale tak bardzo fascynujących.

– Myślisz, że ten tonik jest taki znakomity? – spytała ciotkę, kiedy Wiera wyszła na chwilę z pokoju.

– Oj, tak! – Ciotka kiwnęła głową. – Nie ma to jak medykament na dobrym spirytusie. Od razu poprawia się humor, a ludzie zapominają o boleściach. – I mrugnęła do bratanicy.

Nikt nie ma takiej ciotki jak ja, pomyślała Felicja i otworzyła szeroko oczy, bo w drzwiach znów pojawiła się Wiera, z paczkami słodczy i kandyzowanych owoców. Chyba rzeczywiście zaczęła świętować.

– Czy jadłyście czekoladę z mchem islandzkim? Bo właśnie coś takiego kupiłam w Chicago.

\* \* \*

Felicja poprawiła koronkowy kołnierzyk u odświętnej bluzki i strzepnęła niewidoczny pył ze spódnicy. Na szczęście pociąg przyjeżdżał późnym popołudniem i miała czas, by się odszykować na przyjazd przyszłej bratowej. Wiedziała więc, że wygląda zadowolająco, nawet jeśli przyuważą ją krytyczne oko Heleny.

Raczej jej to nie groziło, gdyż siostra od samego początku potępiła brata za szukanie sobie żony w Polsce. Uważała, że Józul powinien się wżenić w jakąś zamożną polską rodzinę z Wisconsin. Nietrudno by było taką znaleźć, gdyby dali wcześniej znać. Ona, Helena, obracała się w odpowiednim towarzystwie, więc dla niej być swatką to pestka. Józul zachował się karygodnie, że w podstępny sposób zaczął się zajmować swoim ożenkiem, bez ścisłej konsultacji ze starszą siostrą. Po prostu bezprawie, prychnęła Felicja. Co się stało z jej siostrą? Od kiedy zaczęła rościć sobie prawo do sprawowania kontroli nad życiem innych?

Felicja opowiedziała Matyldzie o konfrontacji z Heleną sprzed paru tygodni, ale oczywiście nie pisała ani słowem o tym, co powiedziała siostrze na temat jej męża. To była tajemnica między nimi. Ciotka jednak podeszła do sprawy z dziwnym spokojem.

– Pogodźcie się jeszcze. Coś złego dzieje się z biedaczką, ale modłę się każdego dnia, by wydobrzała.

Zobaczymy, czy te modlitwy pomogą, myślała sceptycznie Felicja. Miała nadzieję, że uda jej się nawiązać przyjazne stosunki z Katarzyną. Może ona zastąpi jej brakującą siostrę?

– Józul, przestań obgryzać paznokcie! – Oderwała się od swoich myśli i zaczęła strofować brata, który szalał z niepokoju. Najpierw biegał po peronie w tę i we w tę, a teraz to. I pomyśleć, że ma dwadzieścia siedem lat!

– Uspokójcie się, dzieci – upomniała ich Matylda, jakby oboje byli jeszcze niedorostkami, i wyprostowała się dumnie. – Już nadjeżdża pociąg.

Zastanawiali się wcześniej, kto z nich ma wyjść po Katarzynę, ale szybko doszli do wniosku, że nie może być to sam Józul i najlepiej będzie, gdy wprowadzenia na łono rodziny dokona sama nestorka rodu. Matyldzie było to na rękę, lubiła bowiem stację kolejową, gdzie mogła przyglądać się różnym ciekawym osobnikom pojawiającym się na peronie.

– Fela, odsuń się od torów! – rozkazała, nie zauważając uśmiechów wymienianych przez rodzeństwo.

– Dobrze, ciociu – odpowiedziała posłusznie Felicja.

Po chwili zobaczyli na horyzoncie kłęby pary, a potem usłyszeli gwizd lokomotywy.

Józul wyglądał, jakby miał zemdleć.

– A jak jej nie poznam?

– Nie bądź niemądry – syknęła Felicja i kiedy otwierano drzwi, zaczęła się rozglądać.

Najpierw na peronie pojawili się mężczyźni, którzy po podróży do Chicago chcieli jak najszybciej znaleźć się w domu. Przed budynkiem dworca czekały już na nich powozy. Potem zaczęły wysiadać rodziny: mężczyźni po podróży z nieco uszczuplonymi portfelami, dumne matrony z pudłami zakupów z wielkiego miasta i roześmiane dzieci.

Felicja obracała się w prawo i w lewo, ale nigdzie nie mogła dojrzeć młodej jasnowłosej dziewczyny. Zdenerwowanie Józula sięgnęło zenitu.

– Nie przyjechała! Rozmyśliła się.

Tak to niestety wyglądało i po kilku minutach Felicja poczuła pieczenie pod powiekami. To niesprawiedliwe, że taki zawód musiał spotkać jej kochanego braciszka.

– Dzieci! – Matylda skinęła do nich. – Spójrzcie tam, pod filar.

Dopiero teraz zwrócili uwagę na drobną postać dziewczyny. Stała, kryjąc się za słupem, i trzymała w objęciach niewielką torbę związaną konopnym sznurem.

– Ale to nie ona! – zaprotestowała Felicja.

– Z pewnością nie jest stąd. Spójrz na jej ubranie.

To prawda, takiej sukienki nie włożyłaby żadna amerykańska dziewczyna.

– Ale to nie Katarzyna!

– Może potrzebuje pomocy? Stoi tam taka sama i bezradna.

Felicja wciąż by oponowała, gdyby nie zrozpaczone spojrzenie brata. Ruszyła w stronę nieznaną, która widząc, że ktoś się do niej zbliża, spuściła głowę, jakby się nagle zawstydziła.

– *Witôjtaż* – zwróciła się do niej, a dziewczyna natychmiast podniosła wzrok i posłusznie dygnęła. Nie powiedziała jednak ani słowa.

Była drobna i ciemna. Felicja zauważyła, że przysłonięte włosami oko o czarnej jak węgiel źrenicy nieco zezuje. Co to za bieda kaszubska się tu przywlokła?

– Jestem Felicja od Halmanów. Nie spotkałaś może dziewczyny spod Bytowa? Ma na imię Katarzyna.

Czarne oko się jeszcze bardziej rozszerzyło i młoda Kaszubka zaczęła coś chaotycznie wyjaśniać.

– Fela, coś ty tak długo robiła? Co ta dziewczyna ci mówiła? – Matylda nie mogła powstrzymać się od pytań, a Józulowi z nerwów drgał prawy policzek.

– Mówi taką gwarą, że trudno zrozumieć. Dawno nie słyszałam, żeby ktoś tak gadał.

– Ale na miły Bóg, gdzie jest Katarzyna? Czy ona coś o niej wie?

Felicja skinęła głową i wypuściła całe powietrze.

– Tak. Katarzyny nie ma. Nie przyjechała.

– Jak to nie przyjechała? Ona coś wie? Może ją zatrzymali na kwarantannie? – Józul był bliski rozpaczu.

– Braciszku! – Felicja ujęła go za ramię i popatrzyła mu w oczy. – Katarzyna zamieniła się z tą dziewczyną. Ona przyjechała zamiast niej.

– Dlaczego? I czy ja dobrze widzę? Ona kuleje?

– Trzeba będzie ją o to zapytać. Tak, kuleje na prawą nogę. I co z nią robimy?

– Jak to co? Bierzemy ją do domu! – oburzyła się Matylda. – Przecież takiego dzieciaka nie zostawimy tu na zmarnowanie. Idź po nią, Fela.

\* \* \*

Brygida, zwana Britą, знаła Katarzynę Retman od dziecka. Jej matka czasem najmowała się do pracy u Retmanów, no, może nie tak często, bo im samym się nie przelewało. Katarzyna jednak miała znacznie więcej ubrań niż ona, a nawet dwie pary butów. Czasem pozwalała te buty przymierzyć Bricie, ale potem wyrosła i jej stopy również. Kasia była piękną dziewczyną z warkoczami jasnymi jak len i od początku kręcili się wokół niej chłopcy, chcąc chociaż popatrzeć na nią z bliska. Oni jednak jej nie interesowali. Już jako dziesięciolatka zwierzyła się Bricie, że chciałaby zostać oblubienicą Chrystusa. Nie chce wychodzić za mąż i mieć dzieci. Pragnie poświęcić życie modlitwie. Kiedy po raz pierwszy wspomniała o swym powołaniu ojcu, ten sprzął ją pasem, gdyż miał co do niej inne plany, ale nie mógł jej zabronić chodzenia do kościoła.

Kiedy Kasia skończyła siedemnaście lat, postanowiła uciec z domu, ale przyłapał ją starszy brat i skończyło się na kolejnych batach. Przez chwilę ojciec się wahał, co ma dalej z córką

robić, ale gdy się dowiedział, że zamożny Kaszub z za wielkiej wody poszukuje żony, natychmiast wysłał mu fotografię córki. Był pewien, i zupełnie słusznie, że jej uroda zainteresuje każdego, a on, wysyłając córkę do Ameryki, nie będzie musiał się już o nią martwić. Nie będzie również kłopotu ani z posagiem, ani z dziedziczeniem. Decyzja zapadła natychmiast, a Katarzynę poinformowano o niej, dopiero gdy bilet został już kupiony i sprawę przyklepano.

– To gorzej niż sprzedaż konia – skarżyła się Brygidzie i zapowiedziała, że rzuci się do morza, kiedy tylko statek odpłynie.

I wówczas Brita wpadła na pomysł, że może pojechać do Ameryki zamiast Katarzyny. Kiedy spontanicznie złożyła tę propozycję, od razu poczuła dreszcz emocji. To była jej jedyna życiowa szansa. Na wsi nic jej nie czekało, za mąż i tak by nie wyszła ze względu na braki w urodzie, a przede wszystkim z powodu braku posagu. Po śmierci matki została całkiem sama, więc mogła śmiało wybrać się za ocean. Jeśli Kasia się na to zgodzi, będzie mogła znaleźć swój upragniony klasztor i również żyć zgodnie z własną wolą. Katarzynie długo nie trzeba było tłumaczyć i kiedy agent po nią przyjechał, poprosiła go, by się zatrzymał za zakrętem, bo musi pilnie za potrzebą. W krzakach czekała ukryta Brita. I dalej wszystko było już proste.

– Tylko jakim cudem agent pomylił cię z Katarzyną? – dziwiła się Felicja.

Brita pogrzebała w torbie i wyjęła z niej perukę z jasnymi warkoczami i buty na grubej podszewie.

– To nas niewiele kosztowało, bo perukę udało się zwędzić. Jeśli kobieta ma długie jasne włosy, to każdy widzi tylko to jedno. Reszta nie jest istotna.

– Ile ty masz, dziecko, lat, że takie doświadczenie przez ciebie przemawia? – zainteresowała się Matylda.

– Dwadzieścia sześć – odpowiedziała Brita.

– Aż tyle? – Felicja się zdumiała, że stoi przed nią nie dziewczyna, ale kobieta. I to dwa lata od niej starsza. To jej drobna postura musiała ich zmylić.

– Ja wiem, że mnie teraz nienawidzicie, ale zrozumcie, że to była nasza ostatnia szansa. Nie mam zamiaru siedzieć tu z założonymi rękami. Nie wiecie jeszcze, że jestem robotna, ale się przekonacie. Odrobię każdy grosz, który wydaliście na mój bilet, i to jak najszybciej, żeby pan Józef mógł sobie znaleźć nową narzeczoną.

– Wystarczy tego dobrego! – uniosła się Felicja. Z przykrością stwierdziła, że Helena miała rację. Szukanie kandydatki na żonę w Polsce nie było dobrym pomysłem. Józul jest cudownym człowiekiem i musi znaleźć odpowiednią pannę na amerykańskiej ziemi. Tylko co zrobić z tą Brygidą? Chcąc nie chcąc, będą musieli znaleźć jej pracę. A gdzie ona będzie mieszkać? I oczywiście nowy skandal znów się rozniesie po polskiej społeczności, gdyż dziwnym trafem już wszyscy wiedzieli, że Józul czeka na narzeczoną. Kiedy zobaczą zezowatą Britę, pewnie będą się tarzać ze śmiechu.

– Niech tu zostanie, skoro łóżko jest dla niej przygotowane – postanowiła Matylda, kiedy z Felicją wyszły do kuchni. Józul został w salonie z Britą, ale obie wątpiły w to, żeby porozmawiali, bo niedoszły narzeczonemu milczał jak zakłęty. Zapewne z powodu szoku. – Nie jest taka zła, skoro przyjechała nam o wszystkim powiedzieć. Mogła przecie w Nowym Jorku dać drapakę. Kto by ją znalazł?

– I księżniczka zamieniła się w żabę. – Felicja pokręciła głową.

– Urodziwa to ona nie jest – zgodziła się z nią ciotka. – Ale mam dla niej pewien podziw. Odważna jest, a takich tu trzeba. Powinna sobie poradzić.

– Tylko co z nią zrobić?

– Może weźmiesz ją jutro do siebie? Będiesz miała towarzystwo, kiedy Toma nie ma.

Chyba nie było wyboru. Wprawdzie Felicji nie uśmiechało się mieszkanie z zupełnie obcą osobą, ale przecież Brita nie mogła mieszkać z Halmanami, skoro nie miało być ślubu.

– Dobrze. Popytam też, czy nie szukają jakiejś sprytnej dziewczyny do pomocy.

– Tylko co na to pan Derdowski? – zaniepokoiła się Matylda. – Miała przecież przyjechać jego powinowata.

– Powiemy, że zachorowała.

Skinęły głowami i ustaliwszy ostateczną wersję, wróciły do saloniku. Ze zdziwieniem odnotowały, że jest pusty, ale z dworu dochodził do nich serdeczny śmiech. Podeszły do okna i ujrzały siedzącą na huśtawce Britę. Józul popychał siodełko, które unosiło młodą kobietę w górę. Śmiali się oboje.

Matylda i Felicja wymieniły spojrzenia.

– Niezbadane są wyroki boskie – szepnęła do siebie ciotka.

Już się zmierzchało, kiedy Felicja wróciła do domu. W ciemnościach wyglądał na opuszczony. Nieodmalowane fasady sąsiednich budynków odzierały go z godności i wdzięku. Kiedy Felicja wprowadzała się tu parę lat wcześniej, była taka szczęśliwa, że ma własne gniazdko i będzie je w miarę upływu czasu coraz bardziej ozdabiać. Teraz widziała jasno, że cokolwiek zrobi, nie zmieni otoczenia. Może Tom miał rację, że powinni zamieszkać poza miastem? Tylko co poczęłaby z pracą? Gdzie w lesie znalazłaby swoje ukochane książki? Nie mogła się bez nich obejść, były dla niej jak powietrze, podobnie jak otwarte przestrzenie dla Toma. Tylko że on potrafił je poświęcić dla żony, stwierdziła z wyrzutami sumienia.

Weszła do domu i z miejsca coś ją zaniepokoiło. Coś się tu zmieniło. Zapach? Nie słyszała Fida! Bezszelестnie podeszła do wnęki w korytarzu, gdzie wisiała strzelba. Przeładowała ją i energicznie wkroczyła do kuchni.

– Ręce do góry! – krzyknęła, widząc siedzącą pod ścianą męską sylwetkę.

– Felicja! – To był głos Toma.

Na szczęście zabezpieczyła strzelbę, gdy rzuciła się do niego na podłogę.

– Dlaczego tu siedzisz, kochany? Co się stało? – Czy ktoś mu zrobił krzywdę? Nie wyglądał wprawdzie na rannego...

– Wróciłem – powiedział tylko, ale kiedy Felicja przytuliła się do niego, poczuła mocny zapach alkoholu. Do niedawna Tom w ogóle nie pił. Mówił, że mu to szkodzi.

– Czy chcesz coś zjeść?

– Nie. – Oparł się o jej ramię. Zachowywał się, jakby nie miał sił wstać.

– Co się stało?

– Dowiedziałem się, kim rzeczywiście jestem – odpowiedział prawie niesłyszalnym głosem. – Wreszcie znam całą prawdę.

## Rozdział XVIII

1862, stan Minnesota

Od kiedy zaczęła rozumieć świat, Dowanhowee zdumiewało znaczenie jej imienia – „śpiewający głos”, tylko że w przeciwieństwie do rodzeństwa zupełnie nie umiała śpiewać. Ale było coś w zamian. Potrafiła tak się posługiwać głosem, że wszystkim jej mowa wydawała się szalenie wdzięczna i wsłuchiwali się w nią z dużą uwagą. Dziewczyna wiedziała jednak, że wraz z imieniem zostało jej również nadane przeznaczenie. Miała być niezależna, obdarzona niezwykle twórczą naturą i doświadczyć znacznie więcej niż inni.

Teraz, przekładając słowa Thomasa Galbraitha na język swych braci i widząc ich zmartwione twarze, pragnęła, żeby jeszcze można było odwrócić tę przepowiednię. Wcale nie chciała znaleźć się właśnie w tym miejscu i usłyszeć tę odmowę. Czy drugie imię, Nancy, pomoże jej odwrócić los? Otrzymała je od białych, kiedy podjęła pracę w Dolnej Agencji.

– Dlaczego nie możemy otrzymać żywności, skoro biali bracia mają tak dobrze zaopatrzone magazyny? Nasi ludzie głodują, dzieci umierają. Cała zwierzyna zniknęła już z rezerwatu. Co mamy począć, kiedy przekazaliśmy wam wszystkie nasze ziemie?

Nancy starała się jak najlepiej tłumaczyć słowa Małego Kruka. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak wiele tracili jej bracia za sprawą złych lub przekupionych tłumaczy. Wiedziała, że musi mówić niezwykle precyzyjnie. Koncentrując się dokładnie na każdej frazie, współodczuwała każdą emocję indiańskiego wodza.

Ileż to jeszcze przypadnie mu upokorzeń? I tak wszyscy mówią, że sprzeciwił się duchom przodków, bo to właśnie on parę lat wcześniej pojechał do Waszyngtonu i podpisał traktaty, które pozbawiły jego lud zarówno ziemi, jak i obiecanych pieniędzy. Nancy nie wierzyła, że teraz, w lipcu 1862 roku, wódz nie czuje goryczy rozczarowania. Mimo iż twarz miał zupełnie nieruchomą, wiedziała, że zaczyna buzować w nim gniew. Jakże chętnie zdarłby z siebie tę marynarkę ze złoconymi guzami i włożył indiański strój. Och, jakże chętnie... Nie, nie, nie może wpadać w gniew. Biali przecież obiecali, a słowo to największa świętość, której nie można lekceważyć. Musi im to po prostu przypomnieć.

– To nie jest takie proste, drogi bracie. – Agent Galbraith westchnął. – Rozumiem waszą sytuację, ale nie mogę wam wydać żywności z magazynu, dopóki nie przyjdą pieniądze obiecane przez rząd.

Francis powiedział Nancy w sekrecie, że całe złoto rządowe zostało zużyte na prowadzenie wojny domowej i ratunek nieprędko przyjdzie. Chodziły też pogłoski, że pieniądze dla Indian wydała żona Lincoln na wystrój rezydencji, ale te plotki wydawały się Nancy przesadzone. Kto by słyszał o takich budynkach?

Na policzkach agenta Galbraitha pojawiły się czerwone plamy. W zasadzie to nie był on już agentem do spraw Indian. Wiosną zrezygnował z tego stanowiska, gdyż miał dosyć tłumaczenia się czerwonoskórym z opieszałości rządu. Poproszono go jednak, by się wstrzymał z rezygnacją do czasu zapłaty. Jako dobry urzędnik państwowy zgodził się poczekać. I tak mijał kolejny miesiąc daremnego czekania.

Po zakończeniu rozmów z Małym Krukiem Nancy mogła wreszcie powrócić do męża. Nie musiała już pracować, jak przed ślubem, ale ze względu na jej umiejętności ludzie z Agencji zawsze potrafili ją odszukać i prosić o pomoc. Tak jak teraz. Żałowała bardzo, gdyż wolałaby nie uczestniczyć w tych rozmowach. Za bardzo krwawiło jej serce. Teraz czuła ulgę, że ma to za

sobą. Tylko na jak długo?

Francis układał skóry bobrowe, kiedy lekkim krokiem weszła do sklepu. Nie było żadnych klientów, więc odwrócił się i objął ją w pasie, a ona opuściła głowę na jego ramię.

– Nie zaczepiał cię nikt?

Okropny z niego zazdrośnik. Musiała się roześmiać, a potem potarła nosem o jego flanelową koszulę i jeszcze bardziej się doń przytuliła.

– Boję się – szepnęła, zaskakując Francisca. Jeszcze przed chwilą się śmiała.

– Czyli nic nie wskórali. Od razu mówiłem, że agent nie da żywności. Obawiają się większych rozruchów. – Francis zmarszczył czoło i potarł ręką rudą brodę, a potem z całej siły przytulił młodą żonę. – Sama się przekonałaś. To ostatni moment, żeby wszystko sprzedać i stąd wyjechać. Siedzimy na beczce prochu. Za chwilę wzniesi się ogień.

– Nie mogę zostawić mojej rodziny. Myślałam, że to rozumiesz.

Kiedy poprosił ją o rękę, początkowo nie chciała się zgodzić. Jej matka, Metyska, zawsze ostrzegała ją przed związkami z białymi mężczyznami. Jej ojciec o białej skórze był najgorszym okrutnikiem, zarówno dla matki, jak i dla rodzeństwa. Tylko że Nancy była niesłuchanie stanowcza i zawsze potrafiła postawić na swoim. Bo kiedy spojrzała w jasne oczy tego rudzielca, wiedziała, że jest jej przeznaczeniem. Czasy się zmieniają, tłumaczyła matce. W tej chwili nie była już tego pewna. Miało przecież być zupełnie inaczej. I biali obiecali, że tak będzie.

– Mogłabyś im bardziej pomóc gdzie indziej.

– Ale gdzie? W Nowym Jorku będziemy handlować futrami?

Bo gdzieś stamtąd, ze Wschodniego Wybrzeża, jej mąż przyjechał jako osiemnastoletni mężczyzna i od dziesięciu lat nie odwiedził ani domu, ani krewnych. Nawet nie chciał o nich wspominać. W ogóle tego nie rozumiała.

– A dlaczego nie? Pamiętaj, Nancy, że teraz my oboje jesteśmy rodziną. Udało mi się zdobyć rękę najpiękniejszej dziewczyny.

– Przesadzasz, rudzielcze!

– Nie przesadzam. Ty nawet nie chodzisz, tylko płyniesz. – Oczy Francisca patrzyły z zachwytem na żonę.

Nancy chciała coś odpowiedzieć i w tej samej chwili poczuła ukłucie w dole brzucha. Zmrużyła oczy, ale już od jakiegoś czasu wiedziała, że w jej łonie zawiązało się nowe życie. Nie chciała jeszcze mówić o tym Francisowi, bo nie wypuściłby jej z domu i rzeczywiście wywiózł na wschód.

– Nic nie zwróciło twojej uwagi, kiedy tu szłaś? – Głos męża wyrwał ją z zamyślenia.

– Nie.

– Setka zbrojnych ruszyła w stronę magazynów. Ubezpieczają się. Galbraith też wie, że w każdej chwili może wybuchnąć bunt.

– Nie sądzę. Dogadają się, zobaczysz.

– Chciałbym to jak najszybciej zobaczyć, bo lada dzień muszę jechać, by zająć się skupem. Nie chcę cię zostawiać samej.

– Przecież potrafię wszystkiego sama dopilnować. Wszyscy mnie tu znają. Nic mi się nie stanie. Przestań się zamartwiać. – I znów przytuliła się do swego dużego męża i wsłuchiwała w bicie jego serca. Biło mocno i uczciwie. Żeby serca innych ludzi były do niego podobne, westchnęła.

Dwa tygodnie później Francis wyruszył po skóry, a następnego dnia w Górnej Agencji ponownie pojawili się Indianie ze szczepu Dakotów Santee. Tym razem nie przyszli rozmawiać, tylko otoczyli żołnierzy strzegących magazynów i zaczęli wnosić mąkę. Nancy została ponownie wezwana do Galbraitha. Spodziewała się najgorszego, ale dowódca żołnierzy Sheehan,



zresztą dobry przyjaciel Francisa, przekonał agenta, żeby nie strzelać do Indian, tylko wydać im żywność.

– Przecież można wziąć zapłatę z tych pieniędzy, które przyjdą – mówił.

Mały Kruk nie mógł jednak zapomnieć o braciach z Dolnej Agencji. Zażądał, by dostali takie same porcje jak te zabierane właśnie z magazynów. Galbraith obiecał przyjechać na naradę do Redwood i poprosił Nancy, by zgodziła się dla niego tłumaczyć. Tym razem nawet się ucieszyła, głównie z tego, że dawało to jej możliwość spotkania się z krewnymi, którzy mieszkali w sąsiedztwie Agencji. Poza tym wszystko wskazywało na to, że sprawa głodu wśród Indian zostanie rozwiązana. Nie mając jednak zaufania do żadnego białego w osadzie, postanowiła zamknąć sklep. Chyba Francis nie będzie miał o to do niej pretensji?

Żałowała, że nie wspomniała mężowi o dziecku. To będzie chłopiec, już to wiedziała, choć gdyby ktoś ją o to spytał, nie umiałaby wytłumaczyć, w jaki sposób. Po prostu tak było, tak naturalne jak oddech czy wiatr pędzący po prerii. Będzie miał na imię Tom, postanowiła. Łatwe do wymówienia imię bez żadnych ukrytych przeznaczeń. Tylko czy zgodzi się na to jej indiańska rodzina? Jej brat nie odzywał się do Francisa przez cały rok. Dopiero ostatnio dał się udobruchać. Nancy miała nadzieję, że to, co się działo w Agencji, nie wpłynie w żaden sposób na jej życie. Byle przetrwać to najgorsze.

15 sierpnia dotarli z Redwood do Dolnej Agencji. Już podczas podróży Nancy się zorientowała, że tym razem Galbraith nie ustąpi. Takie samo było zdanie handlarzy z Dolnej Agencji.

– Będziemy czekać na pieniądze rządowe – powiedziano w dobitny sposób Małemu Krukowi, który dopominał się tylko, by dotrzymali wcześniejszej obietnicy. Przecież obiecali. Byli na to świadkowie. Przecież są ludźmi honoru, prawda?

– Moi ludzie są głodni. Co mają jeść?

I wtedy podniósł się Andrew Myrick i wydymając nieogolone policzki, odpowiedział pogardliwie:

– To niech żrą trawę albo swoje łajno.

Nancy znieruchomiała. Nie mogła tego przełożyć. W zasadzie nie musiała. Przecież tak wielu z jej braci znało język białych.

W sali zapadła cisza, a potem wszyscy ludzie Małego Kruka podnieśli się jak jeden mąż i wyszli.

Nancy ruszyła za nimi. Nie zamierzała już nigdy więcej pracować dla białych jako tłumaczka.

– Cóрко, musisz się uspokoić. – Matka nakrywała ją kolejną skórą, a ona od paru godzin nie przestawała się trząść. – Mówiłam od razu, że z tej pracy nic dobrego nie wyniknie. Powinnaś się lepiej uczyć wyszywania, jak twoja młodsza siostra.

– Teraz już za późno. A ja czuję, że za chwilę stanie się coś strasznego – powtarzała, szcękając zębami. Czy to był wiszący w powietrzu konflikt z białymi, czy też gorączka?

– Nic się nie stanie. Biali podpisali umowy i dali słowo. – Ojciec pokręcił głową.

– I to ich akurat przed czymkolwiek powstrzyma – mruknęła matka i poszła w głąb tipi, by przygotować napar dla córki.

Ze względu na swoje doświadczenia z dzieciństwa nie wierzyła w jakikolwiek honor białych. Są chciwi i okrutni. Może Francis był wyjątkiem, ale to się jeszcze okaże. Było jeszcze za wcześnie, by o tym wyrokować.

Zbliżyła się do córki z rozgrzewającym naparem.

– Przestań o tym myśleć. Wszyscy słyszeli słowa tego strasznego człowieka. Bardziej nie mógł nas poniżyć. Jak jeszcze długo będziemy tak upokarzani? Mały Kruk jest skończony. To on

podpisał traktaty i oddał im naszą ziemię. I to jest najgorsze, a nie plugawe słowa tego białego.

– Matko, proszę cię. – Łkała, wiedząc, że rodzicielka za chwilę wypomni jej małżeństwo z Francisem. Kiedy przebywała z krewnymi, amerykańska dziewczyna Nancy, za którą się na co dzień uważała, natychmiast gdzieś zniknęła, zwracając Dowanhowee duchom, tym samym, które czuwały nad nią od dziecka.

– Oni nie szanują niczego. Kierują się tylko własnym interesem. Tak jak mój ojciec, który zostawił nas w nędzy.

– Muszę wyjść. – Dowanhowee odrzuciła skórę i zanim matka zdążyła ją powstrzymać, wyszła z tipi. – *O Wakan Tanka! O Wakan Tanka*, pomóż mojemu dziecku. Uratuj je i nie pozwól go skrzywdzić. – Patrzyła w gwiazdy i zwracała się do Wielkiego Ducha z prośbą o pomoc dla przyszłego istnienia. I nagle coś usłyszała, jakby szept, skierowany nie do ucha, ale do środka jej głowy.

– Będzie ocalony.

Przestała się trząść. Zdziwiona stała jeszcze przez chwilę, patrząc w gwiazdy i rozmyślając nad usłyszanymi słowami, a potem uśmiechnęła się do siebie i wróciła do tipi.

Matka już się do niej nie odzywała. Wręczyła jej miskę z kaszą kukurydzianą. Prezent od córki i jej amerykańskiego męża. Dzięki nim mieli jeszcze co jeść. Nie mogli jednak nakarmić wszystkich.

Dowanhowee obudziła się gwałtownie, słysząc tętent kopyt, i zdążyła zerwać się z posłania, kiedy jeździec odsunął wejście do tipi.

Westchnęła z ulgą i dotknęła piersi, uspokajając szybko bijące serce. Jej niemądry brat nie powinien robić im takich niespodzianek, ale spokój momentalnie prysł, gdy zobaczyła twarz Chaytona. Dygotał podobnie jak ona sama parę godzin wcześniej.

– Co się stało?

Zebrali się wokół niego całą czwórką. Ojciec, matka i jej młodsza siostra Wahkiyee, wszyscy mocno wystraszeni.

– Biali... – wycedził. Było to do niego niepodobne. Ostatnim razem, kiedy go widziała, był bardzo pewny siebie. Mówił, że wojna przeciw białym jest konieczna i trzeba ich wyprzeć z Minnesoty. Podobnie jak on uważało wielu młodych mężczyzn. Mieli już dość upokorzeń. Jeśli chodzi o Chaytona, to nienawiść do białych wyssał z mlekiem matki.

– Czy zabili kogoś z naszych? – zapytała drżącym głosem Dowanhowee.

– Nie. To my...

– Co takiego?

Spojrzało na niego osiem par oczu mieszkańców tipi.

– Tak wcale nie miało być – wyjąkał Chayton. – Żałuję, że z nimi pojechałem.

Byli po prostu głodni. I pomyśleli sobie, że pojedą na polowanie do Big Woods. Nie było na co polować, a głód narastał. Nagle znaleźli się przy ogrodzeniu białych ludzi. I jeden z nich, może Shakopee, nawet po paru godzinach trudno sobie przypomnieć, kto zaczął, znalazł jaja kury należącej do białego osadnika. Jeden z młodych Dakotów ostrzegł, żeby ich nie brać, bo to przecież kradzież. I wówczas któryś z nich się zdenerwował (Chayton znów nie mógł sobie przypomnieć który) i wyzwiał tego drugiego od tchórzy.

– Po prostu się boisz. Wolisz zdechnąć z głodu.

Jego towarzysz zacisnął usta. Nikt bezpodstawnie nie mógł wyzywać drugiego od tchórzy. Po chwili odpowiedział:

– Nie boję się niczego. Wiesz, do czego jestem zdolny? Chcesz się przekonać?

A potem...

– Zabiliście osadników? – Dowanhowee zerwała się z kucek i stanęła przed bratem, patrząc na niego oskarżającym wzrokiem.

– Ja nie. – Potrząsnął stanowczo głową. – Było pięciu ludzi. Trzy kobiety.

Dowanhowee nagle stała się ponownie Nancy. Spojrzała tylko bratu w oczy i wyszła z tipi.

Zaczęło się! Tak jak przewidywała, rozpoczęło się to, co miało całkowicie zburzyć jej dotychczasowy świat. Stojąc przed tipi, słyszała w głowie odgłosy walki i jęki rannych. A potem...

Zacząła się wojna, wojna, którą spowodowały cztery rozbite jajka kurze. Na samym początku zginął Andrew Myrick, któremu nie pomogła jego indiańska żona. Pozostawiono go leżącego na ziemi z ustami wypchanymi trawą. „Niech ją teraz zje”. Początkowo ginęli biali osadnicy, potem żołnierze. Biali opowiadali o okrucieństwie Indian, Dakotowie zaś o bezwzględności i fałszu białego człowieka. Każdą wojnę wygrywa silniejszy i Dowanhowee mogła z góry przesądzić, kto nim będzie. Jej bracia i siostry nie chcieli tego wiedzieć, a szamani przewidzieć.

Wszelkie podróżowanie było zbyt niebezpieczne i młoda pani Scott musiała zostać wraz z rodziną, choć próbowała skontaktować się z mężem. Bezskutecznie, żadne wieści nie nadchodziły z Górnej Agencji. Przybycie brata ostatecznie zniweczyło wszelkie plany dostania się do domu. Nie spodziewali się go tak szybko. Uradowany ojciec zbliżył się do syna, ale Chayton minął go, jakby był niewidzialny. Szedł prosto w kierunku Dowanhowee. A ona nie chciała tego wiedzieć. Zasłoniła rękami uszy, ale nie mogła nie usłyszeć imienia męża.

– Nie, nie mój Francis!

Dowanhowee położyła się na swoim posłaniu i nie wstawała z niego przez trzy zachody słońca. Nie chciała znać szczegółów śmierci męża. „Przysięgam ci, że nie był to nikt z naszych”, zaklinał się Chayton, jakby to cokolwiek zmieniało. A że sklep splądrowano i spalono? Co to ją mogło obchodzić, skoro straciła Francisca.

Dopiero myśl o dziecku zmusiła ją do jedzenia i picia. Powinna być silna, bo mały Tom urodzi się bez ojca i ona sama będzie musiała mu go zastąpić. Obawiała się, że nie może mu dać wystarczającego schronienia. W obozie zostały głównie kobiety i dzieci. Mężczyźni, nawet ci starzy, wkroczyli na ścieżkę wojenną. A czy nas ktokolwiek pytał, co jest dla nas dobre? – myślała z goryczą. Dziecko na przekór wszystkiemu rosło w niej. Kiedy posłańcy przynieśli pierwsze wieści na temat klęski Dakotów Santee pod Wood Lake, Dowanhowee poczuła pierwsze ruchy synka. Tylko jak mogła się tym cieszyć w takim momencie!

Dwa dni później postanowiły zrobić z matką pranie. Ledwie wyjęły z kosza ubrania, zobaczyły biegnącą ku nim Wahkiyee. Już z daleka było po niej widać, że coś się stało.

– Chayton – szepnęła tylko matka, a jej stopa poślizgnęła się na skale. Wpadłaby do strumienia, gdyby nie pomoc starszej córki.

– Pojmali ich! – wykrzyczała Wahkiyee i otoczyła ramionami matkę i siostrę. Tylko razem mogły to wszystko znieść.

Zarówno Chayton, jak i chłopiec, w którym podkochiwała się Wahkiyee, zostali uwięzieni przez wojsko pułkownika Henry’ego Sibleya, który przybył na odsiecz zagrożonym osadnikom i rozgromił bunt Indian. Początkowo przetrzymywano ich w Dolnej Agencji, ale nikt nie miał do nich dostępu.

– Ojczy, ja z nimi porozmawiam. Może pozwolą mi się spotkać z bratem. Wiem, jak do nich mówić – prosiła Dowanhowee, ale ojciec stracił zupełnie wiarę w białego człowieka i zabronił starszej córce wyjazdu. Miała do niego żal, bo wkrótce zapadły wyroki skazujące na śmierć trzystu trzech indiańskich wojowników.

– A Mały Kruk sprytnie sobie poradził! – szlochała młodsza siostra Wahkiyee. Nic dziwnego, że była rozgoryczona. Jej chłopiec również znalazł się w grupie skazanych.

– Dlaczego tak mówisz?

– Nie słyszałaś? Udało mu się uciec do Kanady.

– Mam nadzieję, że chociaż zabrał ze sobą rodzinę – westchnęła Dowanhowee.

Wahkiyee spojrzała na nią z wyrzutem.

– Ty, siostrze, tak bardzo się od nas różnisz, że myślę czasem, że nie powinnaś do nas nigdy wracać. Biali by się ciebie nie wyrzekli i wzięliby cię za swoją.

Dowanhowee odwróciła się i odeszła bez słowa. Było jej coraz trudniej wśród swoich. Wiedzieli przecież, że była żoną białego i spodziewa się jego dziecka. Jakie to życie będzie miał jej syn? Czy będzie zmuszony do walki po jednej lub drugiej stronie? Nie chciała, żeby stał po stronie białych. Byli silni i bogaci, ale również bezwzględni i okrutni. Wcale nie szło im tylko o zabranie Dakotom ziemi. Chcieli ich również zupełnie unicestwić, pozbywając się niewygodnych świadków swoich czynów.

Na początku listopada dowiedzieli się, że więźniów zabrano z Dolnej Agencji do więzienia w Mankato, gdzie miała się odbyć egzekucja. Zanim kobiety zaczęły lamentować, w wiosce pojawiło się wojsko. Rozkazano, by natychmiast przemieścili się do fortu Snelling, który znajdował się na drugim końcu stanu. Ojciec Dowanhowee usiłował się im przeciwstawić, więc go zastrzelili, nawet nie słuchając, co ma im do powiedzenia.

Prawie dwa tysiące Dakotów zostało zmuszonych do pozostawienia swoich terenów i wielodniowego marszu przez Minnesotę. Dowanhowee ze względu na swój stan mogła jechać na wozie wraz z matką, która od śmierci męża nie wypowiedziała ani jednego słowa.

W Henderson tłum białych zaatakował kolumnę Indian. Dowanhowee chroniła przede wszystkim brzuch i starała się mieć opuszczoną głowę, ale chcąc nie chcąc, widziała, jak atakowali ich mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Każdy czym mógł: kijami, nożami, pałkami. Próbowali wyciągać ich za włosy z wozów i zadawać jak największy ból. Eskortujący ich żołnierze odwracali głowy, pozwalając na to wszystko. W pewnej chwili Dowanhowee zobaczyła, jak biała kobieta z twarzą wykrzywioną nienawiścią wyrwa z rąk jej kuzynki niemowlę i rzuca je o ziemię. Dziecko upada na głowę, a kobieta śmieje się jak obłąkana.

– Wahkiyee, uważaj! – W ostatniej chwili siostra odskoczyła, kiedy jakiś mężczyzna zaatakował ją nożem.

– Zabiję tę indiańską wywłokę! – krzyczał z pianą na ustach.

Dowanhowee sięgnęła po kij, który trzymała pod pledem. Nie mogła pozwolić, by ten człowiek skrzywdził jej siostrę, nawet za cenę własnego życia.

Jej ręka już się zacisnęła na drewnie, gdy nagle nadjechał jeden z eskortujących ich żołnierzy i odegnał napastnika.

Po tygodniu udręki dotarli do fortu Snelling, znajdującego się pod Minneapolis, gdzie w okolicach rzeki mieli teraz rozbić obóz. Teren był ogrodzony palisadą, ale zdecydowanie zbyt mały dla wszystkich. Znużonym kobietom po wyczerpującej, dramatycznej podróży wydawało się mimo wszystko, że od teraz może być tylko lepiej.

– Jesteście tu, żeby czekać na transport. – Zebrani słuchali słów dowódcy fortu, a Dowanhowee tym razem tak bardzo cieszyła się, że to nie ona musi tłumaczyć swym braciom i siostrze te gorzkie słowa. – Za wasze winy, za złamanie pokoju, morderstwa i gwałty zostaniecie wygnani z Minnesoty. Nie jesteście godni, by dalej tu mieszkać. Skierują was do zachodnich rezerwatów, które od tej pory staną się waszym domem. Tak postanowił biały brat, nasz wspaniały prezydent Abraham Lincoln. On również, kierując się chrześcijańskim miłosierdziem, nie pozwolił na egze-

kucję wszystkich skazanych zbrodniarzy.

Wahkiyee nagle się ożywiła. Zaczęła uważnie słuchać.

– Kogo uniewinnili? – Pociągnęła za rękaw siostrę.

– Nie powiedział.

Wystarczyło parę słów, by dać nadzieję. Niemal każdej rodzinie zależało na tej informacji.

– Podobno Lincoln powiedział, że zostaną powieszani tylko ci, którzy brali udział w zabójstwach białych. Tych, którzy jedynie walczyli, postanowił oszczędzić.

Wahkiyee była pewna, że jej narzeczony jest niewinny. Nadzieja sprawiła, że zaczęła się budzić z letargu. Kiedy Dowanhowee się zaziębiła, zbierając szczapy na opał w trzaskającym mrozie, siostra zajmowała się wszystkim.

Matka po śmierci męża straciła zupełnie wolę życia i czekała teraz na swoją śmierć. Trudno było uwierzyć, że tak się nagle poddała, bo przez całe życie obie siostry pamiętały ją jako zapalczą i pełną wigoru osobę. Miała ostry język i bez skrupułów forsowała swoje zdanie. Potrafiła nawet przeciwstawić się wodzowi. Przy tej silnej kobiecie cała rodzina czuła się bezpieczna. A teraz siedziała w kącie tipi i bezmyślnie wpatrywała się w tłący się ogień. Na nic już nie czekała. Nawet na wieści o synu.

Wahkiyee oddawała siostrze połowę swojej, jakże niewielkiej porcji, którą wydzielano im wojsko. Dowanhowee niczego nie chciała. Nawet myśląc o dziecku, nie mogła niczego przełknąć. W uszach jej szumiało, miała wrażenie, że znajduje się w samym środku bitwy. Walczący strzelają do siebie, a ona nie może rozpoznać zalanych krwią twarzy. I nagle pojawia się matka. Bierze ją za rękę. Tętent kopyt końskich stopniowo cichnie.

– Matko! – wyszeptała spierzchniętymi ustami.

– Wreszcie! – Zobaczyła nad sobą twarz młodszej siostry. – Wiedziałam, że się w końcu obudzisz.

– Jak to? – Dowanhowee z wdzięcznością pochwyciła bukłak z wodą podany przez siostrę i zaczęła łapczywie pić.

– Byłaś nieprzytomna przez tydzień.

– Tydzień?

– Od czasu do czasu przyjmowałaś trochę napoju.

Dowanhowee spróbowała się unieść. Kręciło jej się w głowie i nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, tym bardziej że zobaczyła po drugiej stronie tipi trzy obce kobiety. Jedna z nich była tą kuzynką, której biali zabili niemowlę. Dziecko! I nagle jej się przypomniało. Czym prędzej dotknęła brzucha i z ulgą stwierdziła, że wyczuwa ruchy Toma. Spojrzała na siostrę. Było w jej wzroku coś niepokojącego.

– A gdzie jest matka? – spytała.

Siostra odwróciła głowę.

Już wiedziała.

– Zachorowała od razu po tobie. Nic jej nigdy nie było. Nie przypuszczałam, że po prostu się nie obudzi.

Dowanhowee po chorobie była nadal tak słaba, że nie miała sił na rozpacz. Cały czas szumiało jej w głowie.

– A co z naszymi w Mankato?

– Trzydziestu ośmiu straciło życie. Powiesili ich.

Nawet nie mogła płakać. Choroba zabrała jej wszystkie łzy.

– A Chayton, a twój Kangee?

– Obaj są w więzieniu. Może więc jeszcze się spotkamy. Wierzę, że rodzice nam w tym

pomogą – odparła z głębokim przekonaniem Wahkiyee.

Dowanhowee opuściła tipi dopiero po paru dniach. Kiedy stanęła na dworze, blask słońca natychmiast poraził jej oczy. Niebo było błękitne, bez żadnych chmur, jak zwykle w Minnesocie, gdy mróz jest największy. Dziewczyna stopniowo otwierała powieki, ale po chwili miała ochotę ponownie je zamknąć. Nie był to widok, do którego przywykła w rodzinnej wiosce, gdzie horyzont rozciągał się niemal do krańca świata. Tu tipi stały jedno obok drugiego i od razu zobaczyła zgarbioną kobietę trzymającą w rękach martwe dziecko.

– Nic nie chciał jeść – powiedziała do Dowanhowee.

Twarz dziecka pokryta była czerwonymi kropkami. Zaraza białych, pomyślała i instynktownie się cofnęła.

– Musisz go od razu pochować. Inni nie mogą się zarazić.

– Nie ma miejsca – zajęczała kobieta. – Nie ma go gdzie pochować. A ja go nie zostawię.

Ziemia pokryta była kilkucentymetrową warstwą śniegu i zapewne mocno zmrożona.

Dowanhowee nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała żadnego doświadczenia, co robić w takich sytuacjach. Jej giętki język nie znał żadnej odpowiedzi.

Po chwili milczenia, kiedy obie kobiety stały naprzeciwko siebie i się obserwowały, z sąsiedniego tipi wyłoniła się głowa staruszki.

– Chodź do środka, córko. Pochowamy go tutaj.

– Gdzie?

– W tipi. Będzie wśród nas. Wracaj tu z moim wnukiem natychmiast.

Dowanhowee wpatrywała się przerażona w otwór tipi, w którym zniknęła kobieta z martwym dzieckiem, gdy ktoś pociągnął ją za rękę.

– Masz coś do zjedzenia?

Stała przed nią paroletnia umorusana dziewczynka.

– Jesteś tu sama?

Mała skinęła głową.

– Mama i bracia się nie obudzili. Już nie pamiętam od kiedy – westchnęła.

Dowanhowee wyciągnęła do niej rękę.

– Pójdziemy do mnie.

Jej pierwszy spacer po chorobie trwał kwadrans. Wystarczyło tego, co zobaczyła. Resztę dopowiedziała jej Wahkiyee.

Zamkniętych w obozie Indian zaczęły dziesiątkować mróz i choroby. Wszyscy mieli wrażenie, że żywi stąd nie wyjdą. I pomyśleć, że znajdowali się tak blisko ich świętego miejsca, wodospadów na rzece Hahawakpa, którą biali nazywali Missisipi. Pod grzmiącymi wodami zamieszkiwał przecież Oanktehi, wodny potwór z rogami. Zapach z jego ust był tak trujący, że ofiara umierała natychmiast. Podobnie jak teraz ci, którzy zapadali na choroby białych.

– Gdzie ty znajdujesz jedzenie? – Dowanhowee spytała siostrę, oddzielając kawałek placka dla dziewczynki-znajdy, która nie mogła sobie przypomnieć, jak ma na imię.

Wahkiyee wzruszyła ramionami.

– Dostałam od misjonarza. Przychodzą tu nas nawracać.

– I dali ci mąkę?

Wahkiyee skinęła głową, a potem odwróciła się i zabrała do szycia. Coś tu się nie zgadzało, ale Dowanhowee była zbyt słaba, żeby pojąć, o co chodzi. Dopiero po paru dniach się zorientowała.

– Sprzedałaś naszą ziemię handlarzowi? – zwróciła się do niej z wyrzutem. – Zrzekłaś się naszego dziedzictwa.

– Tak! – Oczy Wahkiyee rzucały gniewne błyski. – Miałaś umrzeć, a ja miałam zostać

z naszą ziemią, z której i tak nie będzie żadnego pożytku?

– Nie, ale... – Nie miała na myśli nic złego. Po prostu chciała się dowiedzieć.

– I tak nic nam po niej. Przecież nas stąd wyganiają.

– Ale, siostrze, wybaczone moje złe słowa. Jestem ci bardzo wdzięczna. Za to, że wybrałaś moje życie i mojego syna. Dużo chociaż za to dostałaś?

– Nie mogłam się targować. Dwutygodniowe porcje żywnościowe. I trochę lekarstw. Tylko dlatego żyję. – Wahkiyee odpowiadała teraz spokojnie, ale widać było, że nadal wypełnia ją gniew. Nie potrafiła sobie z tym poradzić i opuściła tipi.

Żyły z dnia na dzień, zdziwione, kiedy o poranku znów otwierały oczy. Ile czasu można więzić dzikiego ptaka, nie dając mu wystarczająco jeść i pić? Ile czasu można go trzymać w niewoli, czekając, aż mu serce pęknie z tęsknoty za bezkresną prerią? Każdy dzień przynosił kolejne straszne wieści, na przykład o tym, jak pod osłoną nocy biali przedarli się przez palisadę i zanim wojsko zdążyło zareagować, udało im się zabić mieszkańców dwóch tipi. Niezależnie od tego, co się działo, czas mijał. Dwa tygodnie wcześniej, nim zabrano ich z obozu na parowiec *Davenport*, Dowanhowee urodziła zdrowego chłopczyka, Toma.

Mieli na zawsze opuścić swoją ziemię. Amerykański rząd anulował wszystkie traktaty i umowy zawarte z Dakotami i zmusił ich do całkowitego opuszczenia stanu Minnesota. Prawo i sprawiedliwość białych nie obejmowały Indian.

Po ciężkiej zimie przyszła jednak wreszcie wiosna i tak bardzo chciało się w coś wierzyć. Dowanhowee, stojąc na pokładzie i trzymając zawiniątko z dzieckiem, rozmyślała o tym, że kiedyś wszelkie zło przeminie, a jej syn stanie się dorosłym człowiekiem. Najbardziej chciała, żeby miał dobre serce jak jej zmarły mąż. Pragnęła nauczyć go tylu rzeczy.

Nie zdążyła. Pewnego majowego dnia zachęcona słoneczną pogodą wyszła wraz z dzieckiem na pokład. Parowiec płynął wówczas niedaleko miejscowości, w której ludność do tej pory żyła w pokoju i harmonii. Sąsiedzi dzielili się ciastem i modlili się zgodnie w kościele.

Dwunastoletni Jim Morris cisnął kamieniem w kierunku młodej kobiety, która nie potrafiła ukryć się tak szybko jak inni. Słyszał o Indianach, że są gwałcicielami i mordercami. On również chciał spełnić patriotyczny obowiązek i ratować kraj.

Dowanhowee zginęła na miejscu. Dziecko pewnie podzieliłoby jej los, gdyby nie młodsza siostra, która pochwyciła lecące zawiniątko. Nie dała mu upaść.

## Rozdział XIX

*Winona, 1900*

– Czyli to siostra twojej matki cię wychowywała? Ale w jaki sposób dostałeś się do misjonarzy? – Felicja wysłuchiwała opowieści Toma, siedząc obok niego na podłodze.

– Byłem pod jej opieką przez cztery lata, z których nie pamiętam niczego. Nawet jej twarzy, a to przecież Wahkiyee z takim oddaniem zastępowała mi matkę. I pewnie wyrósłbym wśród Indian, gdyby nie to, że pewnego dnia w Crow Creek pojawili się misjonarze i mnie jej odebrali. Uznali, że dziecko, które wygląda na białego, nie powinno się wychowywać wśród dzikich. Wahkiyee nie mogła się im przeciwstawić. Ironią losu było to, że tydzień później wrócił z więzienia w Iowa jej przyszły mąż, Kangee. To właśnie jemu udało się mnie odnaleźć. Widziałas go, kiedy do nas przyszedł tamtego wieczoru.

– A twój ojciec? Dlaczego Chayton powiedział siostrze, że Francis Scott nie żyje?

– Ojciec został ciężko ranny. Długo był nieprzytomny i początkowo uznano go za nieżywego. Dochodził do siebie powoli, bo od uderzenia w głowę stracił częściowo pamięć. Nie pamiętał nawet swego imienia i nazwiska. Zresztą te rany przyczyniły się do jego przedwczesnej śmierci.

Kiedy wreszcie mógł szukać żony, w stanie Minnesota nie było już żadnych Dakotów. Nikt nie mógł mu powiedzieć, co się stało z Dowanhowee i jej rodziną. Nie poddawał się jednak i po latach udało mu się odszukać Wahkiyee i jej męża. I ich czworo dzieci.

– Wiesz, że mam młodszych kuzynów? – Tom uśmiechnął się po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia opowieści. – Jeden z nich występował w tym show w Red Wing, pamiętasz? Opowiedział o tym ojcu, a ten zaczął mnie szukać.

– Ależ to dziwna historia! Francis dowiedział się po tylu latach, że jest ojcem!

– Tak. I wówczas zaczął mnie szukać po wszystkich szkołach, w których przebywali Indianie. Uratował mnie niemal w ostatniej chwili. Pamiętasz, co ci o niej mówiłem? Ojciec nigdy nie opowiadał mi o rodzinie matki. Dowiedziałem się od niego tylko, że poznał ją, gdy pracowała jako tłumaczka w agencji. Nigdy nie zabrał mnie, bym mógł poznać ciotkę, której tyle zawdzięczam. Chyba miał żal do Indian za to, co mu zrobili, mimo iż on nigdy ich nie prześladował i zawsze traktował z wielkim szacunkiem.

– Może uznał, że będzie lepiej dla ciebie, byś o tym nie wiedział? – Felicja podniosła się z ziemi i sięgnęła po strzelbę. Rozładowała ją i odwiesiła w bezpiecznym miejscu.

– Powiedział tylko, że mama umarła przy porodzie. Jak ja mam teraz żyć? Wśród białych?

– A gdzieżby indziej? Tu jest przecież twój dom. Chyba nie myślisz, żebyśmy zamieszkali w rezerwacie?

– Dlaczego nie, skoro tam jest moje miejsce?

– Nie pleć głupstw.

– To nie są głupstwa. Teraz już to wiem. Teraz już rozumiem, dlaczego nie znosiłem osiadłego życia. I osiadłych umysłów.

Felicja westchnęła.

– Mówiłam ci o moim narodzie, o kraju, którego nie mamy od ponad stu lat, o rozbiorach...

– To prawda, ale to miałyby znaczenie, gdybyśmy mieszkali tam, a nie tutaj. Poza tym



przeczuwam, że wkrótce i tak zostanę zmuszony do dokonania wyboru. Jak moja matka.

Felicja poczuła, że robi jej się zimno i coraz trudniej jej złapać oddech. Nie może teraz zemdleć! Za żadne skarby! Przypomniała sobie, że znów nie poprosiła Wiery o lekarstwo na serce.

Co się nagle stało z jej mężem? Zawsze był taki prostolinijny, żył prosto i uczciwie z pracy swoich rąk, a teraz zaczyna drążyć swoją przeszłość i targają nim wątpliwości. Może ten pobyt u Indian tak na niego podziałał? Chciała mu tyle powiedzieć, bo przecież tyle się zdarzyło podczas jego nieobecności, ale miała wrażenie, że i tak tego nie usłyszy. Tom był głęboko pogrążony w myślach. Może jutro mu przejdzie, dodała sobie otuchy.

– Przygotuję ci coś do zjedzenia – zaproponowała, licząc, że przez żołądek szybciej osiągnie sukces, ale mąż pokręcił tylko głową.

– Gdzie zostawiłaś Fida? – spytał po jakimś czasie, kiedy zaczęła układać suche szczapy w piecu.

– Jest w domu.

– Nie ma go w domu. Przecież przybiegłby do mnie.

I znowu poczuła klucie serca, kiedy zbiegała po schodach kuchennym wyjściem do ogrodu.

Od razu go zobaczyła. Leżał pod krzakiem, a w pysku widać było zaschniętą strużkę krwi. Wiedziała, że jest zimny, nim zdążyła go dotknąć i przyłożyć głowę do jego rudobrzozowego futra.

– Felicja! – Tom oderwał ją od Fida i wziął na ręce.

Dopiero teraz poczuła łzy płynące po twarzy. Nie zemdląła jednak. Czuła tylko w pierśsiach kulę goryczy, która coraz bardziej rosła.

– Mówiłem ci, że mnie nienawidzą – powiedział Tom. Ona przytuliła się do jego nieogolonego policzka. – A ja staram się ich nie widzieć.

Nie zasnęła tej nocy, a raniem jak zawsze pojawiło się rozwiązanie.

\* \* \*

– O nie, nie i po trzykroć nie! Ja się zupełnie nie zgadzam. Józul by to samo powiedział, gdyby tu z nami był. – Na lekko pomarszczonych policzkach Matyldy pojawiły się wypieki.

Felicja nie przypuszczała, że ciotka tak gwałtownie zareaguje na jej wieści.

– Ale ciociu Matyldo. To przecież nie jest koniec świata.

– Dla mnie wyjazd do Minneapolis to właśnie oznacza. Nie będę już mogła cię odwiedzić, kiedy będę miała ochotę. Ja nie wiem, chyba się wszystko przeciwko mnie sprysięgło. – Nagle Matylda oklapła, a z jej oczu pociekły łzy.

To rzeczywiście nie był fortunny moment. Poprzedniego dnia Matylda się dowiedziała, że Wiera jedzie na Zachodnie Wybrzeże i zabiera ze sobą Joachimka, którego chciała wysłać do najlepszej prywatnej szkoły. „Takiej dla milionerów”, oznajmiła. Choćby to miało kosztować całe honorarium otrzymane za sprzedaż toniku. Jej syn miał osiągnąć w życiu wielki sukces. I wszystkim pokazać! Tak się odgrażała, ale nie określiła, komu i co miał pokazać. Wiera miała swoje tajemnice.

Felicja zaczęła więc pocieszać ciotkę. Obiecywała jej częste odwiedziny, wspólne spędzanie świąt, ale wiedziała w głębi serca, że to się nie uda. Wprawdzie już raz odjechała na dłuższy czas od Matyldy, wówczas jednak jeszcze żył wuj August. W ostatnich latach bardzo się z sobą zżyły, trudno było myśleć o rozstaniu, ale Felicja czuła, że jej decyzja jest słuszna. Bała się o Toma i ich małżeństwo i miała jednocześnie nadzieję, że życie w dużym mieście ułatwi im ponowne zbliżenie się do siebie. Wtopią się w tłum. Będzie im łatwiej zacząć wszystko od nowa. Bez urazów czy prześladowań.

– Poza tym za jakiś czas wrócimy.  
– Nie sprzedajecie domu?  
– Nie, mamy lokatora. Uczciwi ludzie, więc jak widzisz, będziemy tu wracać. Poproszę tylko Józula, żeby zbierał od nich co miesiąc pieniądze. Myślisz, że się zgodzi?

– Nasz chłopak by się nie zgodził? Toż to święty – rzekła z westchnieniem Matylda i zamyśliła się na chwilę.

– O co chodzi, ciociu?

– A nic, dziecko. Może się napijesz kawy?

Felicja skinęła głową, zastanawiając się, co ciotka miała na myśli. Matylda stopniowo opanowała wzburzenie. Otarła zaczerwienione oczy rąbkiem fartucha, a potem wstała z krzesła i zaczęła się krzątać po kuchni.

– Widziała ciocia ostatnio państwa Derdowskich?

– W niedzielę. On trochę boleje, ale chyba jeszcze pobędzie na tym padole. To jego słowa. Coś od nich chcesz?

– Tylko by dał mi jakieś referencje. A i zapytać bym chciała, czy kogoś tam nie zna, kto mógłby mi dać jakąś pracę.

– On zna wszystkich. Pewnie łatwiej byłoby w Chicago, ale cieszę się, że nie jedziecie tak daleko jak ta niewdzięcznica. Niby obiecała przysłać tu dzieciaka na wakacje, ale... – Matylda potrząsnęła głową. – Kiedy zakosztuje już życia w luksusie, nie będzie chciał z nami mieszkać w skromnej chacie.

Felicja rozejrzała się dokoła. Dom nie przypominał wprawdzie pałacu, ani nawet domu państwa Bronków, ale nie była to już chata, przynajmniej taka, w jakiej urodziła się w Sienie. Podłogi pokryte były świeżo malowanymi deskami, ściany zdobione kaszubskimi malowanymi i kilimami. W oszklonym kredensie kupionym dwa lata temu znajdowały się kryształowe kieliszki, a poza tym największe skarby Matyldy, głównie te, które otrzymała od Joachima: srebrne puzderko czy flakonik perfum. Ściany ozdobiły nieliczne fotografie krewnych, które ciotka przewiozła przez ocean, w ramkach. W oknach wisiały modne zasłony, a pod sufitem lampa gazowa. Matylda miała bardzo dobry gust i potrafiła połączyć wszystkie drobiazgi w jedną stylową całość. Felicja żałowała, że sama nie ma takich umiejętności jak ciotka i starsza siostra.

To ciekawe wewnątrz w połączeniu z ogrodowym przepychem dostarczanym przez Józula stanowiło niemałą atrakcję. Wcale nie wyglądało na skromne obejście. Nawet nowi lokatorzy byli teraz bardziej cywilizowani. Nie pluli na podłogę, przestali wylizywać miski i nie hałasowali.

– Gdzie zamierzasz szukać pracy? – Pytanie ciotki przerwało rozmyślenia Felicji.

– Najchętniej w bibliotece. Może w jakiejś szkole? Pewnie na początku będzie trudno. Jak zawsze.

– Od nich też otrzymasz świetne referencje?

Tego nie była pewna. Jeszcze nie wspomniała o tym w pracy. Bała się, że będą niezadowoleni, że chce porzucić tak ciekawą, choć może mało płatną posadę.

– Zobaczymy. – Nagle poczuła w oczach szczypanie.

– Chodź do mnie, dziecko. – Matylda rozwarła ramiona i przyciągnęła ją do siebie. – Wiesz, że zawsze możesz tu wrócić. Jeśli będziesz tam nieszczęśliwa, to nie czekaj ani chwili. Ja będę na ciebie czekać.

– A dlaczego tylko wy, ciotko? A ja to co?

Za plecami Felicja usłyszała głos brata. Odwróciła się w jego stronę. Wyglądał na bardzo rozradowanego.

– Jeszcze, Józiu, nie wiesz, ale twoja siostra wyprowadza się z mężem do Minneapolis –

zaczęła tłumaczyć ciotka i nagle przerwała, bo do pokoju za Józulem weszła Brita.

Dziewczyna nie spojrzała im w oczy. Jej wzrok wbity był w podłogę. Zawsze się tak zachowywała ze względu na zeza, ale wyglądało to tak, jakby się czegoś bała lub próbowała coś ukryć.

– Jak to, Felu?

– Wiesz, że mieliśmy problemy z klanem O’Bradych. Teraz zabito nam Fida. A Tom nie może znaleźć pracy.

– Przecież zawsze tak było, że pracował nieregularnie.

– Tak, ale teraz... – Felicja spojrzała na Britę, która nie wyszła z pokoju, nadal była świadkiem ich rozmowy. Chyba ta dziewczyna zupełnie się zapomniała, pomyślała.

W tej samej chwili Brita musiała dojść do podobnego wniosku, bo zaczęła się chyłkiem wycofywać. Nacisnęła już na klamkę, kiedy Józul odwrócił głowę.

– Brita!

– Ja...

– Zostań tu z nami. – Dziewczyna opuściła rękę, na ułamek sekundy podniosła wzrok, który musiał zarejestrować zdziwione miny Matyldy i Felicji, bo od razu go opuściła.

– Felu, kiedy ty chcesz wyjechać?

– W przyszłym tygodniu. Nie ma na co czekać. Jest już początek września i sporo się buduje.

– Nie możesz teraz opuścić Winony – oznajmił Józul i złapał ją za obie ręce.

– Ale, bracie...

– Poczekaj, zaraz ci wszystko wyjaśnię. Bo widzisz. Ja i... – Skinął na Britę i gdy podeszła do nich, oderwał jedną rękę od dłoni Felicji i złapał nią gościa zza wielkiej wody. – Ja i Brygida chcemy się pobrać. Daliśmy właśnie na zapowiedzi.

– Co? – wykrzyknęła Matylda i złapała się za serce.

W okamgnieniu Felicja znalazła się obok niej. Sama nie zamierzała zemdleć. Ogarnęła ją złość na tę przybłędę, która korzystając z tego, że przygarnęli ją pod dach, postanowiła zagwarantować sobie wygodny pobyt w Ameryce.

– Ciociu, usiądźcie. Zaraz dam wam krople.

– Nie, nie potrzeba. – Matylda otarła czoło. – Usiądę tylko, bo to takie niespodziewane. Nic na to nie wskazywało. – Spojrzała karcąco na Józula.

– Wiem, ale spędziliśmy ze sobą trochę czasu i wychodzi na to, że bardzo wiele nas łączy.

I po co wzięli tę sierotę ze stacji? Trzeba było ją zostawić. Może by złowiła innego naiwnego chłopaka, złościła się w duchu Felicja. A swoją drogą to ma tupet, choć chroma i zezowata.

I nagle Brita wyrwała rękę z dłoni Józula i rzuciła się na ziemię przed krzesło, na którym spoczęła Matylda.

– Pani Halmanowa, ja wiem, co sobie myślicie. I pani, i pani Felicja, ale to wcale tak nie jest. Nie chcę niczego waszego. Ja tylko kocham Józia. Nie mam grosza, Bóg mi urody nie dał. Taka się urodziłam, trudno. Ale przysięgam wam na wszystkie świętości, że dla Józia zrobię wszystko. Nieba mu przychylę! Aby tylko był szczęśliwy.

– Wstawaj, dziewczyno, z tych kolan – odezwała się Matylda. – Jeszcze ci się przydadzą do szorowania podłóg.

Brita jednak złapała ją za rękę i składała na niej pocałunki.

– Własna matka nie była dla mnie lepsza niż wy, pani Matyldo.

– A jak mam być zła, skoro nie mogę mieć do ciebie o nic pretensji. Jesteś bardzo pracowita, tylko... tylko po prostu czuję się zaskoczona.

Ale Felicja miała wrażenie, że wcale tak nie było. Matylda musiała coś wcześniej zauwa-

żyć, ale nie pisnęła ani słowa. A teraz było już za późno. Felicja zacisnęła gniewnie usta, ale po chwili musiała je rozluźnić, gdyż zobaczyła swój profil w lustrze. Wyglądała zupełnie jak rozłoszczona Helena. Wpuściła do płuc powietrze i zaśmiała się serdecznie.

Cała trójka spojrzała na nią ze zdumieniem, jak na osobę, która straciła rozum.

– Felu? Dobrze się czujesz? – spytał Józul.

– Dobrze, a czemu miałabym źle? – Śmiała się nadal i nie mogła przestać. I tyle jej dało wykształcenie i czytanie książek! Oceniała ludzi po wyglądzie i majątku zupełnie jak jej starsza siostra. A jej się tak bardzo dziwiła. Ależ człowiek potrafi być ślepy względem własnych wad!

Po kilku minutach, kiedy miny pozostałych sposepniały, sięgnęła po chusteczkę i otarła z twarzy łzy.

– Kochany bracie i przyszła bratowo – mówiąc w uroczysty sposób, podeszła do zaskoczonych pary. – Uważam, że to wspaniała rzecz, iż udało wam się spotkać i pokochać. Życzę wam szczęścia z całego serca. – A ponieważ oboje tak oniemieli z powodu jej oficjalnego tonu, że nie odezwali się ani słowem, szybko dodała: – To od czego zaczynamy przygotowania do ślubu?

– Oczywiście od sukienki! – wtrąciła się Matylda i przytuliła do siebie całą trójkę.

W tej samej chwili usłyszeli łomot w sieni. Nim zdążyli zareagować, w drzwiach stanął Tom. To znaczy próbował stanąć na chwiejących się nogach. Nie, nic mu się nie stało, pomyślała Felicja po początkowym zaniepokojeniu. Kwaśny odór, który wraz z jej mężem wdarł się do izby, świadczył sam za siebie.

– Chodź już do domu! – wydusił z siebie mocno pijany Tom.

## Rozdział XX

Matylda raz po raz pocierała ręką oczy, nic więc dziwnego, że piekły ją już w najlepsze. Litery przed nosem stawały się coraz bardziej zamazane, a przecież jeszcze nie nauczyła się na pamięć wszystkiego, co było napisane. Chciała o tym pamiętać, kiedy wieczorem położy się do łóżka i zmówi już codzienne modlitwy.

Łzy zaczęły jej ciec po policzkach, więc starannie włożyła list do koperty i zaniósła ją do ozdobnego pudełka, w którym trzymała korespondencję z Polski.

W domu panowała głucha cisza. W sobotni wieczór wszyscy gdzieś poszli. Lokatorzy pewnie do „salunu”, a Józul i Brygida gościli u Derdowskich. Mimo iż młodzi nie zamierzali wyprawiać hucznego wesela, wypadało odwiedzić wszystkich dobrodziei i zaprosić ich na ślub. O, i fotograf, przypomniała sobie Matylda. Nie można o nim zapomnieć. Fotografia ślubna jest przecież konieczna. Musi powiedzieć Bricie, żeby zamówiła jak największą. Z pewnością ze względu na zeza będzie się przed tym bronić, ale Matylda dobrze wiedziała, że ich fotograf potrafi rozwiązać ten problem bez najmniejszego trudu.

Wyszła przed dom i usiadła na wykonanej przez Józula ławeczce. Mimo iż w dzień przgrzewało słońce, w połowie września wieczory stawały się już nieco chłodne. Matylda otuliła się chustą z czarnej przędzy i nabrała pełne płuca powietrza. Oj, żeby jej to pomogło w podjęciu decyzji! Tak bardzo pragnęła opowiedzieć o wszystkim Felicji, ale zdawała sobie sprawę z tego, że bratanica nie będzie mogła jej pomóc. Po prostu za mało wiedziała.

Kiedy Józul wręczył jej list z Nowego Jorku, Matylda była przekonana, że to Wiera pognęła taki szmat drogi. Już miała pytać, czy nie przeczytać im listu, gdy nagle rozpoznała znajome, ukochane pismo. Na szczęście Brita zapytała o coś i odwróciła uwagę Józula. No cóż, ten chłopak świata nie widział poza nią. I byłaby ostatnią, która by mu tego uczucia żałowała. Byle tylko przyszła żona okazała się szlachetną osobą! Wprawdzie robiła takie wrażenie, ale Matylda widziała już wiele sprytnych dziewcząt, które potrafiły udawać święte i zacne, byle tylko dobrze wyjść za mąż. Dopiero po ślubie widać było rogi, które szybko wyrastały na płowej głowie. Podobnie było z mężczyznami. Gra pozorów bywa niesłychanie skuteczna i dlatego tak ważna jest znajomość rodziny, z której wybranej czy wybranka pochodzą.

Matylda zakochała się w starszym o siedem lat kuzynie, którego znała od dziecka, gdyż byli sąsiadami. Dwa pokolenia wcześniej cała ziemia podzielona między braci Hallmannów należała do jednego właściciela. Kiedy Henryk opuścił Sitno i zaczął terminować w Gdańsku u ich powinowatego, złotnika, Matylda była jeszcze dzieckiem, ale już wówczas z tęsknotą wypatrywała przyjazdów eleganckiego kuzyna. Bo wystarczyły zaledwie dwa lata pobytu w mieście, by Henryk nabrał miejskiego sznytu. Zarumieniona z emocji towarzyszyła mu w jego wyprawach nad jezioro. Bardzo lubił pływać. Opowiadał jej, że nie boi się nawet morza, ale ona zamykała oczy zaniepokojona, kiedy jego głowa unosiła się na powierzchni wody jak korek, a potem zniknęła na horyzoncie.

Niestety Henryk nie przyjeżdżał zbyt często na wieś. Jednak wystarczająco wiele razy, by zmienić jej los. Kiedyś, siedząc na pniu nad brzegiem jeziora, opowiedziała mu o tym, jak kocha naukę i książki i jak jej żal, że szkolna nauka już się kończy. Nikt w domu nie mógł zrozumieć jej pragnień. Uważano, że jest leniwa, gdyż woli zajmować się książkami, a nie gospodarstwem. „Mąż ci wybije z głowy takie bzdury. Żona nie może być leniem”, ostrzegła matka.

Kuzyn jednak wcale jej nie wyśmiał i nie powiedział, jak inni, że dziewczyny nie muszą się uczyć.

– Każdy powinien robić to, do czego jest stworzony – oznajmił i poczęstował Matyldę toruńskimi piernikami, które przywiózł z miasta. – Jeśli masz talent do nauki, to powinnaś go rozwijać. Bóg nie chce, byśmy marnowali talenty.

W jakiego boga on wtedy wierzył, tego nie wiedziała. Dopiero po paru latach okazało się, że przeszedł na luteranizm. Zapamiętała jego słowa tak dokładnie, jakby je zapisał rysikiem w jej sercu.

– Ty masz talent do liczb, prawda?

Henryk skinął tylko głową i zmrużył oczy.

– Wkrótce będę bogaty – oświadczył, jakby takie rzeczy zdarzały się na co dzień.

Gburski syn bogaczem? A czemu nie? W ustach Henryka brzmiało to wiarygodnie.

– Pomogę ci, Matylko. Niedługo ci pomogę – obiecał.

Matylda wracała do domu znad jeziora z lekkim sercem. Ani przez chwilę nie wątpiła w jego słowa.

Musiała poczekać parę lat, ale w końcu się ziściło. Dzięki pieniądзом Henryka mogła uczyć się dalej przez dwa lata. Nie wiedziała jeszcze wtedy, że dostał je od przyszłego teścia, Gustava von Eistettena.

– Tak bardzo cię kocham! – W końcu nie wytrzymała i to powiedziała. W ostatniej chwili, gdy wysiedli z powozu i stali już przy furcie klasztornej. To właśnie tu szesnastoletnia Matylda miała kontynuować naukę.

Matka, jak można się było spodziewać, bardzo ubolewała nad losem córki, z której nie będzie żadnego pożytku. I już teraz może łatwo przewidzieć, że Matylda zostanie starą panną. Nie mogła jednak zaprotestować, bo pieniądze zostały już wydane, a poza tym ze zdaniem Henryka liczyła się cała rodzina. Skoro on tak chce, to trudno. Nikt się jednak nie kwapił z odwiezieniem córki, pojechali więc sami. I nawet nikt nie uznał, że może to być niestosowne. Byli przecież kuzynami, prawda?

Tylko że Matylda była zakochana w Henryku od dobrych dwóch lat. A może od trzech? I nie potrafiła już tego w sobie dłużej tłumić. On musi wiedzieć, co do niego czuje. Nie może jej wciąż traktować jak młodszej siostry, bo przecież nią nie jest.

– Matylko, ja też cię kocham – powiedział Henryk i popatrzył na nią swymi ciemnobłękitnymi oczami z czułością. Miała ochotę się do niego przytulić, tak jak robiła w dzieciństwie, ale przecież stali przed klasztorem. – Nie martw się niczym. Poradzisz sobie znakomicie.

– Ale... ale zabierzesz mnie stąd, jak będzie źle? – Podbródek zaczął się jej trząść i czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem.

– Obiecuję ci to. – Uśmiechnął się do niej i pochylił nad nią głowę.

Był tak blisko niej, że nie mogła oddychać. Od stóp do głów przechodziły ją dziwne dreszcze.

– Poczekaś na mnie? – wydusiła na koniec, zanim jej ręka dosięgła kołatki na furtce.

– Całe życie – odpowiedział.

Matylda skończyła szkołę, a potem zakonnice zachwycone jej postępami w nauce poprosiły, by została z nimi jako nauczycielka najmłodszych dziewczynek. Zgodziła się tam pracować i była szczęśliwa, a kobiety w habitach traktowały ją, mimo jej niskiego statusu, życzliwie i z miłością. Coraz bardziej wrastała w nowe środowisko, a własny dom stawał się dla niej obcy. Przyjeżdżała głównie po to, by spotkać się z kuzynami i oczywiście z Henrykiem. Ale na tamto Boże Narodzenie Hallmann nie przyjechał. Kiedy spytała ciotkę dlaczego, ta udzieliła odpowiedzi, która złamała jej serce. Henryk zaręczył się z córką swego chlebodawcy, Wilhelminą von Eistetten. Matylda nie powinna się spodziewać, że prędko go zobaczy. Bo oni przecie teraz są dla niego zbyt biednego stanu.

Nie poczekał na nią. I złamał jej serce.

– Ciociu?

Matylda drgnęła i otarła szybko łzę, która bezwiednie spłynęła jej po policzku. Zupełnie zapomniała o całym świecie.

– Jestem tutaj! – Podniosła się z ławki i ruszyła w stronę drzwi kuchennych, ale właśnie otworzyły się i do ogrodu wbiegła para narzeczonych. – Szybko wam poszło! – zauważyła zachrypniętym z emocji głosem.

– Szybko? – zdziwiła się Brita. – Nie było nas dwie godziny.

Niemożliwe! Tak długo siedziała w ogrodzie? A może zasnęła, nie zdając sobie z tego sprawy?

– A jak tam Derdowscy? – Matylda zdecydowała się nie rozwijać tego tematu.

– W dobrym zdrowiu. Pogratulowali nam i przyjdą na nasz ślub. Po drodze minęliśmy Helenkę – odezwał się Józul. – Ją też chcieliśmy zaprosić, ale powiedziała, że nie ma czasu, bo mąż na nią czeka. Nawet się nie przywitała z Britą.

Helena zachowywała się w stosunku do własnej rodziny coraz gorzej. Kiedy zobaczyła, że na nic się nie zdają jej pogróżki i wieczne połajanki w stosunku do Felicji, obraziła się na dobre. Matylda, początkowo przekonana, że bratanicy wkrótce to przejdzie, teraz zaczęła mieć wątpliwości. Być może trzeba będzie się pogodzić z tym, że Helenka na własne życzenie wypisała się z rodziny.

– Ciotko, a kto taki do nas napisał z Nowego Jorku?

A jednak Józul nie zapomniał o liście, choć na to liczyła. Musiała mu teraz odpowiedzieć.

– Kuzyn Joachim. Właśnie tam przybył.

– Kuzyn Joachim przyplął wreszcie do Ameryki? A to historia! I wy nam nic nie mówicie?

Tyle razy się tu wybierał, że Matylda całkiem straciła wiarę. A teraz nie wiedziała, co począć.

– Jest z żoną i dziećmi? – dopytywał się Józul. – Jaki to byłby honor, gdyby zjechali do nas na ślub. To i prawdziwe wesele powinniśmy wówczas wyprawić.

– Nie, nie – przerwała mu fantazje Matylda. – On przyjeżdża w interesach do Chicago już za tydzień, a potem wraca do Europy. Bardzo zajęty z niego człowiek.

I pyta w liście, czy może zajechać do Winony choć na parę dni, by nacieszyć się rodziną. Po tylu latach obiecań na temat przyjazdu – NA PARĘ DNI. Chcąc zachować spokój, Matylda nie mogła o tym mówić.

– I zapytuje, czy chcemy go tu widzieć – udało jej się wycedzić.

– Z całego serca przecie pragniemy – odpowiedział natychmiast Józul.

Jakie to zawsze dobre i pogodne dziecko było. Ani na jotę się nie zmienił!

– Zobacz, że nie mamy żadnego tartaku – wydusiła w końcu Matylda. Czemu ją kiedyś podkusiło, żeby o tym pisać? Teraz pomyśli sobie, że nie tylko w tej sprawie skłamała. Nigdy już nie będzie dla niego wiarygodna.

– Z pewnością nie ma to dla niego żadnego znaczenia. Przecież jest zamożny, nie zamierza po cioci dziedziczyć. Będzie się cieszyć ze spotkania z nami. Szkoda tylko, że akurat w takim czasie. – Józul zasępił się na chwilę. – Ale nie szkodzi, najważniejsze, że przyjedzie. Bo przecież wy, ciotko, do niego nie pojedziecie! – Zaśmiał się ze swojego pomysłu, ale Matylda uczepliła się natychmiast tej myśli.

– A dlaczego by nie, moje dziecko?

Zaczerwienił się. Grzeczny chłopak, nie chciał jej powiedzieć, że jest za stara na takie

wyprawy. Nie rozumiał jednak, dlaczego najbardziej w świecie zależało jej, by się spotkać z Joachimem sam na sam.

– Bo teraz nie mógłbym cioci towarzyszyć – wybrnął Józul.

Uczynny chłopak. Przed zaśnięciem Matylda zmówi jeszcze jedną modlitwę o to, by Brita to doceniła.

– To prawda – westchnęła. Jutro będą musieli wysłać depezę. O, jak trudno podejmuje się decyzje. Co robić?

– Ciotka Matylda zawsze była bardzo z kuzynem Joachimem związana – tłumaczył Józul przyszłej żonie.

– To ten zamożny przedsiębiorca z Gdańska? – spytała Brita.

Matylda kiwnęła głową.

– To wy się tak dobrze znacie? Jaka to jest rodzinna relacja? – dopytywało wścibskie dziewczynisko.

Po ślubie Henryka miała ochotę umrzeć. Tak bardzo ją zawiódł, a ona w zaślepieniu na jego punkcie nie potrafiła dojrzeć prawdziwego uczucia ze strony Augusta. Ten również wyjechał i została sama, opiekując się schorowanymi rodzicami. Nie żałowała życia w mieście ani swojej pracy nauczycielki, bo w ogóle nie było sensu żyć. I tak mijał dzień za dniem, rok za rokiem. Chcąc nie chcąc, dowiadywała się o dzieciach rodzonych Henrykowi przez bogaczkę Wilhelminę von Eistetten. Poznawała ich imiona, musiała czytać stryjence listy z opisami rodzinnego życia Henryka. Nie zapominał o krewniakach. Zawsze dostawali od niego dodatkowy grosz, matka miała najładniejszy serdak we wsi, a brat najlepszą łódź do połowu ryb.

Nie zapominał również o Matyldzie, tylko po co jej były te wszystkie naszyjniki i materiały na suknie! Nie ruszała się przecież poza Sitno i sąsiednią wieś, gdzie czasem uczyła. Nie mogła jednak przecież pogardzić przysyłanymi jej książkami. Szekspir, Homer, ale również Mickiewicz i Słowacki, bo pamiętał, że ukochała polskich poetów – można było się na dobre zatracić w lekturze.

– Ta Hallmannówna na starą pannę idzie. – Usłyszała kiedyś czyjś głos za plecami w kościele. Stara głucha kobieta mówiła znacznie głośniej, niż zamierzała. – A tak się zawsze wywyższali! Szwedzcy szlachcice, słyszeliście coś o tym?

– Chyba im te zamki pozabierali szmat czasu temu – odezwała się inna kuma.

– Taa, zamki na lodzie! A jak Hallmannówna przepędziła chłopaka za morze, to teraz ma.

– Aby to jednego. Od Kreftów chłopak też poszedł, dokąd go oczy poniosły.

– Aż za Berlin na saksy!

– Jak się tak przebiera, to nie dziwota, że się samemu zostaje. Kiedyś była z niej taka rumiana dziewczucha, a teraz wyschła.

– Starość, kumo, starość.

Matylda ledwo dotrwała do końca mszy. Następnego dnia postanowiła również opuścić Sitno. Ojciec już nie żył, gospodarkę po nim przejął brat. Nie będzie mu siedzieć na głowie. Napisze do sióstr do Gdańska, żeby ją ponownie przyjęły do siebie. Może po pewnym czasie zdecyduje się na nowicjat, czego do tej pory odmawiała. Wiedziała, że siostry chciały, by stała się jedną z nich. Więc się doczekały.

Następnego ranka zapomniła zupełnie o swoich planach, gdyż matka się rozchorowała. Opiekowała się nią cały ranek, ale dłużej nie mogła wytrzymać jej gderania i poszła zbierać jagody. Piękny słoneczny dzień, po paru godzinach jednak nagle umilkły ptaki, a niebo pociemniało. Zrozumiała, że to nie przelewki, i postanowiła natychmiast wracać do domu. Drzewa zaczęły trzeszczeć i uginać się od nagłego porywu wiatru. Kiedy dobiegała do chaty, z nieba



splynęły strugi deszczu. Za ledwie kilka kroków, a do izby wpadła zupełnie przemoczona. Zobaczyła, że matka siedzi na łóżku przy zapalanej gromnicy i trzyma w rękach różaniec.

– Idzie koniec świata – powiedziała grobowym głosem, chyba uznając, że śmierć przyszła nie tylko po nią, ale po jej całą rodzinę.

Matylda odsunęła pierzynę i usiadła koło matki. Chciała ją objąć, ale chora tak była przejęta swoimi modlitwami, że wcale nie zwracała na nią uwagi.

– Gdzie jest Józef? – spytała o młodszego brata.

– Kazałam mu się schować w piwniczce. Może jego kostucha nie zabierze.

Matyldzie zrobiło się przykro, że jej własne życie nie jest aż tak istotne. Ale przecież nie chciała żyć, prawda? Nie powinna mieć więc pretensji do losu.

Burza powyrwała wiele drzew, zawałiła wiele dachów i dokonała spustoszeń w kilku wsiach. Jednego chłopca przygniotło drzewo, ale na szczęście przeżył. Rodzina Hallmannów doświadczyła najgorszej straty. Na morzu, podczas tej samej nawałnicy, zaginął brat Henryka, Anton. Rybaczyl od wielu lat, doskonale pływał, nikt więc nie miał wątpliwości, że potrafi sobie poradzić nawet w tak dramatycznych okolicznościach. Jednakże tym razem sytuacja go przerosła. Jego ciało znaleziono na brzegu dwa dni później. Nazajutrz przywieziono je do rodzinnej wioski.

To był ukochany brat Henryka. Posłano do niego Józefa, żeby zawiadomił go o pogrzebie. Nikt nie przypuszczał, że bogaty pan natychmiast rzuci swoje wszystkie ważne interesy i przyjedzie od razu powozem do Sitna. I jak on rozpaczał! Był bardzo związany ze starszym bratem, który świata za nim nie widział. Tyle razy Henryk próbował namówić Antona na przyjazd do miasta, ale on ukochał morze i łowienie ryb. Wiedział, że w Gdańsku musiałyby się zająć rzeczami, na których się nie zna i które tak naprawdę go nie obchodzą.

Matylda jeszcze nie widziała, by mężczyzna tak płakał. Henryk przez całe życie starannie tłumził emocje, a teraz nad trumną brata wypływały ciurkiem w postaci obfitych łez. Zupełnie nie przejmował się spojrzeciami ciekawskich wieśniaków. Matylda doskonale wiedziała, co część z nich sobie myśli.

Ha, i bogatego dosięgło. Tak się wynosił, nawet ich nie dostrzegał, kiedy zajeżdżał tym wytwornym powozem. A zapomniał już, jak to z brudnymi od gnoju nogami biegał po klepisku z naszymi dziećskami. Do swoich starszych też tak rzadko przyjeżdżał. Nie chciało się wielkiemu panu. Pieniędzmi się chciał wykupić. Ale człowiek nie może się wykupić od śmierci nawet za największe bogactwa. Wobec śmierci my wszyscy równi. I co z tego, że teraz płacze judaszowymi łzami. Za późno. Na wszystko już za późno.

– Chodź, Henryku. Musisz coś zjeść. I zasnąć. Trzecią noc nie śpisz – powiedziała Matylda, patrząc w zaczerwienione oczy kuzyna. Kiedy przyniosła resztki ze stypy, uderzyła ją cisza panująca w chacie Hallmannów. Kiedyś było tu tak wesoło. Trzech przystojnych braci, ich rezolutna siostrzyczka, wesoła stryjenka, która zawsze podstawiała pod nos smakołyki, stryj mówiący tubalnym głosem... Matylda i Józef uwielbiali ten dom, choć stryjowi powodziło się znacznie lepiej niż ich ojcu. „Starszy syn dostał więcej ziemi, więc nie dziwota”. A teraz...

Matylda się wzdygnęła, jakby poczuła w izbie czyjaś obecność. Może to August, pomyślała prędko. Może jak się dowie o śmierci brata Antona, to wróci na ojcowiznę. Bo przecież Henryk nie przejmie tej ziemi. Po co mu te piaski, skoro ma całe statki wożące towary do egzotycznych krajów? Gdyby August przyjechał, to... Nie zdążyła pomyśleć, co mogłoby się wtedy stać, gdyż Henryk pociągnął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Matylda, moja mała Matylka – powtarzał, choć już taka wcale nie była. Za parę miesięcy kończyła dwadzieścia siedem lat i była starą panną. Pamiętała też, że ten mężczyzna złamał jej serce i zrujnował szanse na lepszą miłość. Kiedy jednak przytulał głowę do jej łona, jej ręka samoistnie zaczęła go gładzić po jasnych włosach. – Nigdy nie przestałem cię kochać! Ani na

chwilę! – mówił mężczyzna, który ożenił się z inną i miał z nią trójkę dzieci, ale teraz jego ręce dotykały jej talii i jej pośladków. Pozwoliła mu na to, gdyż wydawało się jej, że to się nie dzieje naprawdę. To był tylko dziwny sen, w którym ciało zatryumfowało nad umysłem. Kiedy podniósł się i dotknął jej ust, sama zaczęła oddawać pocałunki. A potem... To było jak wichur, jak burza, która przed tygodniem przeszła nad Sitnem. I tak jak w tamtym wypadku, nie było wątpliwości, że nie obejdzie się bez ofiar. I tak się stało.

Zupełnie się na tym nie znała, ale bardzo szybko się zorientowała, że spodziewa się dziecka. Jak mogła ulec mężowi innej kobiety? Co ona najlepszego zrobiła? I co ona teraz robi? Okryła hańbą rodzinę i siebie. Wprawdzie nie pierwsza i nie ostatnia we wsi, ale zawsze przecież zarozumiale twierdziła, że jest od nich lepsza. No to właśnie się okazało! Zdesperowana myślała o odebraniu sobie życia, gdy nagle pojawił się Henryk. Wcale nie spodziewała się jego przyjazdu.

– Nie mogłem znaleźć sobie miejsca – mówił jej, kiedy wyszli do lasu, by porozmawiać na osobności. – Zgromadziłem fortunę taką, jak chciałem, otaczają mnie wystawne przedmioty i przepych, a przez cały czas marzyłem o tym, by znaleźć się w tym lesie z tobą. Tak bardzo cię kocham.

Kiedy zaczęła płakać, wydawało mu się, że to z miłości. A potem powiedziała mu o dziecku. Henryk zbladł jak papier.

– Poczekaj tu na mnie. Za chwilę wrócę. Nie mogę tak od razu – jęknął i złapał się za skronie. – Muszę się zastanowić, co zrobić. Będę wiedział, poczekaj. Daj mi czas.

I zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zniknął w gęstwinie lasu.

Matylda przysiadła na pokrytym mchem pniu, rozmyślając nad rozwiązaniami, ale żadnego nie udawało jej się znaleźć. Nie sądziła, że Henrykowi się w tym powiedzie. Jej życie było skończone. Tak, sama nie była bez winy, ale kara była zbyt surowa. Chwila zapomnienia, jeden krótki sen i co teraz? Oj, głupia, głupia, głupia!

Henryk wrócił po paru minutach. To niewiarygodne, jak szybko potrafił podejmować decyzje. Nic dziwnego, że tak dobrze wiodło mu się w interesach.

– Zabiorę cię stąd i znajdę miejsce, gdzie urodzisz dziecko.

– Jak to?

– Postaram się je wychować – oświadczył zaskoczonej Matyldzie. – Chyba tak będzie najlepiej.

Ale nie było! Zupełnie inaczej to pojęła, choć z początku wszystko układało się zaskakująco dobrze. Żona Henryka zgodziła się przyjąć pod swój dach dziecko Matyldy, pod warunkiem że nikt nigdy się o tym nie dowie. Zaaranżują to tak, że ona sama będzie udawać ciężarną, a po porodzie odbierze od akuszerki Matyldy noworodka. Henryk musiał przysiąc na głowy swoich dzieci, że już nigdy nie spotka się ze swoją kuzynką ani też nie wyjawি nikomu prawdy. Wilhelmina obiecała nawet matce dziecka pieniądze do końca życia, jednak pod warunkiem że się będzie odpowiednio prowadzić. Matylda się wściekła i postanowiła wszystko odwołać. Nie sprzeda swojego dziecka! Oświadczyła to kuzynowi, ale wówczas Henryk ukazał swoje inne oblicze. Bezlitosnego kupca, który nie zawaha się sięgnąć po środki przymusu.

– I tak ci to dziecko zabiorę. A ciebie zamknę u obłąkanych.

– Nie zrobiłbyś mi tego? – Ale patrząc mu w oczy, nie była już tego pewna. Wiedziała za to, że zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie.

Kiedy parę minut po porodzie akuszerka zabierała od niej wrzeszczącego chłopczyka, Matylda czuła się zbyt źle, by protestować. Dwa dni i dwie noce niewyobrażalnej męki odebrały jej rozum.

– Jak będzie miał na imię? – spytała tylko Henryka, który wziął dziecko na ręce.

– Joachim – odpowiedział i nawet na nią nie spoglądając, wyszedł z izby.

Henryka przestała kochać tego samego dnia, przenosząc całą miłość na dziecko, które widziała zaledwie przez chwilę. Drugi raz ujrzała go jako młodego mężczyznę. Tak bardzo chciała go wówczas wziąć w ramiona i przytulić, ale musiała przecież dotrzymać danego słowa. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że jest matką tego dorodnego chłopaka. Joachim dowiedział się o tym dopiero po śmierci Wilhelminy. Matylda powinna być jej wdzięczna, że zdecydowała się ujawnić tajemnicę, ale jakoś mimo upływu lat nie mogła. Wydawało się jej, że zapłaciła zbyt wysoką cenę za ulotny moment szczęścia. Nie, nie będzie już myślała o przeszłości, tylko o tym, co za chwilę. Jej najdroższy syn Joachim przyjechał do Ameryki!

– Ciotko, co się stało? – Matylda stanęła w drzwiach do pokoju Józula ze świecą w ręku.

– Postanowiłam, co ma być – odpowiedziała. Jej lewa ręka pociągnęła za warkocz, który zdążyła sobie zapleść do snu.

– Ale co takiego? – Józul odłożył kozik i kawałek drewna, który pewnie za chwilę miał się przemienić w jakieś dziwo.

– Jadę sama do Chicago. Musicie sobie dać beze mnie radę przez te parę dni – oznajmiła, a potem, zanim zaskoczony Józul zdążył zareagować, obróciła się i poszła szybkim krokiem do swojej sypialni.

Tej nocy zasnęła bez trudu. Najgorsze było jednak niezdecydowanie, pomyślała, zanim zdążyła się pogrążyć w nocnych marzeniach.

Serce podchodziło jej do gardła i pociły się ręce. Za szybko domy stawały się coraz wyższe i wyższe, zbliżała się więc stacja docelowa i koniec wyczekiwania. Czemu nie potrafiła się rozkoszować widokiem za oknem, czemu nie mogła ze spokojem przypatrywać się współpasażerom? Przecież nigdy do tej pory nie jechała pociągiem taki szmat drogi. Nie przypuszczała, że będzie jej się to tak bardzo podobać. To przecież tysiąc razy lepsze niż powóz! I te mijane stacje z nieznanymi miejscowościami i ludzie o tak różnych rysach twarzy. Myśl o tym, że sześćdziesięcioośmioletnia Matylda z Sitna może jeszcze tego wszystkiego doświadczyć, napawała ją radością. Teraz rozumiała, dlaczego tak zawsze dbała o siebie i swoje zdrowie. W głębi duszy czuła, że kiedyś jeszcze spotka się z synem i on musi być z niej dumny. Ale czy będzie?

Matylda pogładziła fałdę nowej ciemnozielonej sukni. Felicja zabroniła jej kupowania czarnej. Mimo iż postąpiła zgodnie z jej sugestią, nadal miała wątpliwości. Czy Joachimowi będzie się to podobało? Może uzna to za zbyt dużą frywolność z jej strony. Szczególnie te koronkowe ozdoby! No cóż, na ślubie Józula wystąpi w zwykłej czarnej. Nie była już tak waleczna jak w młodości. Nie chciała, by ludzie wytykali ją palcami.

Włosy miała ułożone niezwykle starannie. Przez tyle godzin podróży nie wysmyknął się nawet jeden kosmyk. Najgorsze było jednak to, że zaledwie parę minut od celu opadła zupełnie z sił. Naszło ją potworne zmęczenie i zamykały jej się oczy. Miała już przecież swoje lata. Powinna siedzieć w domu za piecem i rozmyślać o dawnych czasach. Tylko że to jej nigdy nie interesowało, prawda? Lata spędzone poza Sitnem, kiedy po urodzeniu Joachima uczyła w szkole dla dziewcząt, były dla niej wielkim wytchnieniem. Znała jednak rodzinne obowiązki. Kiedy umarła bratowa, Matylda bez wahania wróciła na wieś i zaczęła im matkować. Nigdy tego nie żałowała.

Lokomotywa zaczęła zwalniać. Matyldzie podobały się nawet głośne dźwięki wydawane przez pociąg. Momentalnie wyrwały ją z letargu. Joachim! Za chwilę! I poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Chciało jej się pić i jeść, ale nic nie było ważniejsze niż on.

Pociąg zatrzymał się w wielkiej hali. Sięgnęła po torbę podróżną. Były w niej głównie

fotografie, akcesoria toaletowe i parę rzeczy na zmianę. Bez trudu ją sama niosła, więc podziękowała bagażowemu i podając rękę konduktorowi, zeszła po schodach na peron. A tam...

Jak ja go znajdę w tym tłumie, pomyślała, rozglądając się na boki. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tylu ludzi na tak niewielkiej przestrzeni. Wszyscy poruszali się w zawrotnym tempie. I robotnicy, i wyfiokowane damy w towarzystwie służących. Jak oni mogą się odnaleźć? To chyba niemożliwe! Serce biło jej teraz tak szybko, że miała ochotę oprzeć się o najbliższy filar. I nagle...

Sylwetka ta sama co Henryka. Wciąż jasne włosy. I oczy. Jej własne.

– Mamo! Tyle lat na ciebie czekałem – powiedział i pochwycił ją w ramiona.

# **CZEŚĆ TRZECIA**

**WINONA**

## Rozdział XXI

*Minneapolis, 1900*

– Nie przypuszczałam, że jeszcze kiedykolwiek wyjedziemy z Winony – powiedziała Felicja, odwracając głowę od okna pociągu.

– Przecież nie musieliśmy! – Tom wzruszył ramionami, co ją zirytowało.

Jak on może się tak zachowywać, myślała. Takie gesty! Jakby nic go już na tym świecie nie obchodziło. Coraz bardziej żył swoimi myślami, którymi już się z nią nie dzielił. Czy to możliwe, że ukochany człowiek może się tak nagle zmienić?

– Tak, nie musieliśmy! – powtórzyła z przekąsem. – Następnym razem spaliliby nam dom.

– Potrafię bronić mojej rodziny – zauważył urażonym tonem.

– Wiem. – Felicja chciała coś dodać i ugryzła się w język. Właśnie z powodu tej jego „obrony” musieli wyjechać, i to nie wiadomo na jak długo. Rodzina pomachała im na dworcu, a potem wróciła do domu. Lada dzień o nich zapomną. Mieli przecież teraz nową atrakcję – Brygidę.

– Felicjo, jak chcesz, to się przesiądziemy na kolejnej stacji. Widzę, że się martwisz.

Dotknęła szybko jego ręki, tak by nikt nie zauważył intymnej pieszczoty, i zaczęła się uspokajać. Jednak się jej przyglądał. Chyba zależało mu na niej. Wciąż ją kochał.

– Damy sobie radę. Z tobą jestem bezpieczna. – Rozciągnęła usta w uśmiechu i nagle zrobiło jej się znacznie weselej.

Powinna brać przykład z ciotki Matyldy, która wróciła z Chicago w tak dobrym humorze, że bez przerwy chodziła uśmiechnięta. „A poradziłam sobie! Dlaczego miałam sobie nie poradzić? Ludzie są przecież tacy pomocni”, opowiadała, kiedy na weselu zasypywano ją pytaniami o niedawną podróż. Cieszyła się, że stanowi źródło takiej atrakcji i nie traktują jej jak niedołęznej, siedzącej w kącie starowiny. Starowina, akurat! Nawet zmarszczki po tej chicagowskiej eskapadzie się jej wygładziły. Chyba z tej radości ze spotkania z krewniakiem. Kto by przypuszczał, że taki kuzyn z Polski tak może ciotkę uszczęśliwić. Może dlatego, że potraktował ją jak królową. Mieszkała w Grand Hotelu, była w operze i luksusowych restauracjach. Niby tydzień, a niektórzy przecież przez całe życie tyle nie zobaczą.

Kuzyn Joachim wydał na prezenty dla rodziny tyle pieniędzy, że można było dostać zawrotu głowy. Felicja otrzymała nową bluzkę i jedwabny szal, Józul – komplet szachów z kości słoniowej, a Helena – srebrny wisior. Ale najpiękniejszym podarkiem była chyba atlasowa suknia ślubna dla Brity koloru białego. Kiedy szła w niej do ołtarza, w upiętej koronie gęstych włosów i w butach ze specjalną wkładką, dzięki której tak mocno nie kulała, wyglądała na zupełnie ładną dziewczynę. Nie miało to znaczenia dla Józula, który kochał ją zarówno w pięknej sukni, jak i w kuchennym fartuszk.

– Już się o niego nie martwię – szepnęła Matylda do bratanicy, kiedy młoda para klęczała przed księdzem. – Ona jest taka robotna, że wszędzie sobie poradzą. I czytać po angielsku już się nauczyła!

To prawda, bratowa nieustannie zadziwiała pracowitością. Starła się z całych sił, że aż było to podejrzane. Trudno było rozszyfrować tę dziewczynę o mrocznym, wiecznie wbitym w ziemię spojrzeniu. Jednak przed ołtarzem tak pięknie spoglądała w oczy przyszłemu mężowi,

iz Felicja się rozkleiła.

Kiedy sięgała po chusteczkę, zobaczyła, że po twarzy jej siostry też lecą łzy. Czyli serce Heleny nie zamieniło się jeszcze w zimny głaz! Jeszcze reaguje na uczucia, pomyślała i postanowiła po zakończeniu uroczystości podejść do niej i serdecznie ją utulić.

Nie było to jednak możliwe. Siostra pochwyliła za ręce Doriana i Amelkę i dołączyła do teściowej. Nie było widać po niej ani śladu niedawnych emocji. A może mi się tylko przywidziało, pomyślała Felicja.

– Ale tu lasów! – przerwał jej rozmyślania Tom, który wprost pożerał wzrokiem mijane krajobrazy.

– Za chwilę powinniśmy dojeżdżać, a jest jeszcze całkiem dziko – zauważyła.

– Kiedyś na tych terenach polowała moja rodzina – wyszeptał. – A potem nas stąd wyrzucili.

Jakich nas? Jakich nas? Od chwili spotkania z Kangeem i wyprawy na zachód, do swych indiańskich krewnych, Tom cały czas mówił niepokojące rzeczy. Lepiej by było, żeby przestał, bo jeszcze go wezmą za czerwonoskórego. Wystarczyła kropla niepożądanego krwi. Po co drażnić odmiennością, wiadomo przecież, jak ludzie traktują obcych! Chciała mu powiedzieć, że oboje są Amerykanami i podlegają tej samej konstytucji, gdy nagle lokomotywa zaczęła hamować.

– To już? – Rzeczywiście wjeżdżali teraz na zabudowane tereny i pociąg zwolnił przed przejazdem, na którym czekał tramwaj konny.

– Tylko się nie denerwuj. Chyba nie zemdlejesz na peronie. – Tom mrugnął.

Nie miała takich planów. Nie bała się, że zasłabnie, bo przecież przed samym wyjazdem Wiera dała jej krople na serce. Wydawało się, że ich skuteczność jest znacznie większa niż tego drugiego medykamentu, tego, który miał dać jej dziecko.

– Nie, nie będziesz niczego niosła! Tylko torebkę. – Tom sięgnął po skrzynkę z narzędziami.

Tym razem ich dobytek był nieco większy niż podczas podróży do Red Wing i po odebraniu wszystkich pakunków od bagażowego Tom postawił je obok Felicji.

– Może lepiej byłoby zostawić to wszystko w przechowalni?

– Nie ma sensu. Musielibyśmy dwa razy jeździć. – Felicja poprawiła spinkę od kapelusza.

– Ta pani ma na nas czekać. Lepiej od razu wziąć dorożkę.

– Jak chcesz. – Tom zsunął rondo kapelusza na oczy. – Poczekasz tu sama, zanim znajdę woźnicę? Czy nie wypada?

I na dodatek złośliwy, westchnęła Felicja. Czy aż tak bardzo dbała o konwenanse, żeby to było widoczne? No cóż, jeśli tak, to by znaczyło, że staje się taka jak siostra.

Jej uwagę przykuł błakający się po peronie chłopiec. Musiał być w wieku Leo, miał tak samo umorusaną buzię jak on. Zauważyła, że wygrzebuje ze śmietnika kawałek chleba i zaczyna go łapczywie gryźć.

Przed wyjazdem nie miała szansy spotkać się z Leo i dręczyły ją wyrzuty sumienia. Powiedziano jej, że wyruszył wraz z matką i rodzeństwem do Wisconsin, ale jakoś w to nie wierzyła. Teraz żałowała, że tego nie sprawdziła. Mężczyzna, który otworzył jej drzwi, wyglądał na pijanego. Może nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, z kim rozmawia, albo też celowo wprowadził ją w błąd. W jaki sposób mogła się dowiedzieć, co się z chłopcem dzieje?

Do małego ulicznika podszedł tęgi mężczyzna. Najpierw wymierzył mu policzek, aż kłasnęło, a potem zaczął wykręcać mu ucho. Tego było już za wiele!

– Proszę pana! – Ze zdenerwowania głos Felicji przeszedł w pisk. – Dlaczego pan go bije?

– A co to? Mamusia się znalazła? To twoja matka? – Przeżony chłopiec pokręcił głową.  
– Jak nie, to co się pani wtrąca. Lepiej niech się pani zainteresuje, skąd taki złodziejasek wkradł się na dworzec.

– Jaki złodziejasek? – zdumiała się Felicja. – To małe dziecko.

– Aha. Dziecko!

– Dorożka już czeka. – Tom wyrósł obok niej.

Obróciła się do niego i chciała coś powiedzieć, ale zobaczyła, że mały urwis wyrwał się grubasowi i uciekł przez tory.

– Potem ci powiem. – Westchnęła i chwyciła rączkę torby.

– Felicjo, gdzie są moje narzędzia?

Już słysząc to pytanie, miała najgorsze przeczucia. Spojrzała w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą widziała skrzynkę, ale...

– Tom...

– Byłaś tu cały czas, prawda?

Felicja odwróciła głowę w narastającej panice i zobaczyła, że tęgi mężczyzna znika w dworcowym tłumie. Szedł zbyt szybko.

– Złodzieje! – Zamknęła oczy, przerażona tym, co zaszło. – Odwrócili moją uwagę. Boże miłosierny. I co teraz pocniemy?

Skrzynka Toma nie była byle błahostką. Stanowiła podstawę znalezienia pracy. Jej mąż przez całe lata zbierał do niej narzędzia potrzebne do dekarstwa. Ostatnio tak bardzo cieszył się z nożyc do blachy podarowanych mu przez kuzyna Joachima. Miały niezwykle wygodny i lekki uchwyt.

Co za wspaniały początek nowego życia, pomyślała z goryczą i zrezygnowana śledziła poczynania Toma, który biegał nerwowo po peronach. Po kwadransie pogodził się z porażką.

– To jest szajka! Biletowy tak powiedział. Za każdym razem przebijają się w inne stroje i wyczyniają różne sztuki, żeby odwrócić uwagę. Policjanci powinni ich dawno zamknąć, ale mają na głowie inne sprawy. Przeważnie działają pod dworcem. Ale żeby tak szybko zabrać tak ciężką skrzynkę? Trzeba uważać, żeby do cna nas nie okradli.

Felicja nic nie mówiła, tylko z opuszczoną głową bezgłośnie płakała.

– Felu, nie płacz. To tylko głupia skrzynka.

– Ale jak ty będziesz pracować?

– Normalnie, tak jak do tej pory, rękami. Nie płacz, moja dziewczuszko, bo jeszcze ktoś pomyśli, że cię krzywdzę.

Sądząc po tym, z jaką czułością ją obejmował, nikt by pewnie czegoś takiego nie pomyślał. Felicja przełknęła więc niewylane do końca łzy i ruszyła u boku męża do dorożki.

Kiedy powóz ruszył i poczuła na twarzy powiew powietrza, zmienił się jej nastrój. Kradzież skrzynki z narzędziami to jeszcze nie koniec świata, po prostu pech i tyle. Mieli przecież trzymiesięczny czynsz od lokatorów ich domu, a ona sama sto dolarów wciśnięte w garść od ciotki Matyldy. Zapomniała zupełnie powiedzieć mężowi o tym nieoczekiwanym prezencie.

– Pani Kowacz mieszka przy samej rzece. Myślisz, że tam się nam spodoba? Obiecała, że będę mogła korzystać z kuchni. Musisz przecież dobrze jeść!

– Felicjo, jakoś sobie poradzimy. Nie panikuj. Wiesz, że przyjechałem tu tylko dla ciebie. To miejsce kojarzy mi się jedynie z męczeństwem mojej rodziny i ze śmiercią babki.

Felicja już otworzyła usta, żeby przypomnieć mężowi, że o tych nieszczęsnych wydarzeniach dowiedział się zupełnie niedawno i nie znał ani swojej matki, ani babki, ale zamilczała, nie chcąc rozpoczynać dyskusji na niepożądany temat. W ciszy dojechali do dębowej alei, przy której znajdowały się nieduże, lecz schludne domki. Ich widok poprawił Felicji humor.



– Może zatrzymamy powóz? – spytał Tom. – Nie wiadomo, czy właścicielka tam będzie.

– Masz rację. Wprawdzie pisała, że będzie czekać, ale od tygodnia mogło się coś zmienić.

Zastukali kołatką, a Felicja rozejrzała się po obejściu. Pierwsze wrażenie było dobre. Miała nadzieję, że będzie się tu przyjemnie mieszkać.

– Państwo do kogo? – Po dłuższej chwili drzwi otworzyła tyczkowata niewiasta w sukni z czarnej krepy.

– Do pani Kowacz. Państwo Scott – odpowiedział Tom.

Kobieta spojrzała na niego uważnie, a potem bez ostrzeżenia zamknęła im drzwi przed nosem.

– Kto to taki?

– Nie mam pojęcia. – Felicja zauważyła, że ktoś się im przypatruje z okna na pierwszym piętrze.

Po pięciu minutach zapukała ponownie. Zaszuszonego postać w czerni pojawiła się niemal natychmiast.

– Nie mamy pokoi.

Chciała już zamknąć drzwi, ale Felicja postawiła szybko nogę na progu.

– Korespondowałam z panią Kowacz. Obiecała nam wynająć.

– Proszę stąd odejść. Mówię przecież. Nie mamy pokoi dla każdego. Takich lokatorów nie chcemy.

Felicja chciała jeszcze coś powiedzieć i zaczęła napierać na drzwi, ale Tom pociągnął ją w tył.

– Chyba nie będziemy mieszkać u ludzi, którzy nas nie chcą.

– Ale...

Drzwi zostały zamknięte z łoskotem.

– Ja nic z tego nie rozumiem – wyjąkała Felicja.

To było jak zły sen. Od samego przyjazdu wszystko szło na opak. Rozzłoszczona poszła do powozu. Woźnica zaciął konia i pojazd ruszył. Myśli w panice przebiegały jej przez głowę. Ledwo słyszała, jak Tom zagadywał woźnicę o wolne kwatery w okolicy.

Dopiero przy trzeciej próbie wynajmu pokoju Felicja domyśliła się, że powód, dla którego ludzie im odmawiają, musi się wiązać z Tomem. Mąż podszedł do drzwi nieco później, kiedy właścicielka już zobaczyła referencje Felicji i zaczęła się na głos zastanawiać, w którym pokoju byłoby im najlepiej. Kiedy pojawił się Scott, kobieta natychmiast zmieniła zdanie. Czyżby ci wszyscy ludzie rozpoznawali w nim indiańską krew? Ale przecież on wyglądał zupełnie inaczej, oburzała się Felicja. Miał ciemnorude włosy i zielone oczy! Może przerażał kolor jego skóry. Z wyjątkiem lata była zupełnie jasna, ale teraz, musiała przyznać, po całym sezonie budowlanym, wyglądał nieco ciemniej niż większość tutejszych.

– Panie, mogę was zawieźć. Myślę, że nie do Bohemian Flats, bo to kompletna nędza, a poza tym często ich tam zalewa rzeka. Lepszy będzie Northeast. Tam mieszka sporo imigrantów z Europy. Może coś znajdziecie. A jak nie, to zawsze są pensjonaty – poradził woźnica, którego akcent również zdradzał cudzoziemskie pochodzenie.

Wiedzieli, że muszą go posłuchać. Robiło się coraz ciemniej, a wyglądało na to, że w „eleganckiej” dzielnicy wszystkie drzwi są dla nich zamknięte.

Na niebie pojawił się już księżyc, gdy znów zajechali nad rzekę, ale tym razem na jej gorszą stronę, do miejsca zwanego jeszcze niedawno Saint Anthony, ale później wchłoniętego przez dynamicznie rozwijające się Minneapolis.

– Nie najlepiej tu wygląda – Tom pokręcił głową – ale chyba nie mamy wyboru. A przy najmniej pracę tu można znaleźć? – zwrócił się do woźnicy.

Ten podrapał się po zaczerwienionym karku i pociągnął za lejce, by przepuścić tramwaj konny.

– Pracy to jest. Browary, młyny, kolej... Najchętniej to przyjmowałiby za darmo. – Zachichotał i splunął pod koła.

– To jak wszędzie – odezwała się cichym głosem Felicja. – Ale my się nie boimy pracy.

– To i ją znajdziecie – mruknął woźnica i wjechał w szpaler jedno- i dwukondygnacyjnych domów, z których już na pierwszy rzut oka wyzierała bieda.

Nie będziemy tu długo, pocieszała się w myślach Felicja. Rok lub dwa, a potem z pewnością urodzi się już dziecko, Tom się uspokoi i przestanie zaglądać do kieliszka, a oni wrócą do Winony. Bo tam jest ich dom.

Na szczęście tym razem nikt nie przyglądał się jego twarzy, tylko obliczom wydrukowanym na dolarowych banknotach. Gdyby nie wcześniejsze doświadczenia z szukaniem mieszkania, Felicja pewnie byłaby bardziej wybredna. Zdecydowała się tylko dlatego, że nie widać było żadnego robactwa. Koce były wprawdzie nie pierwszej świeżości, sienniki też niewymieniane, ale przecież przywieźli z domu własną bieliznę pościelową. Za chwilę więc poczują się jak w domu. Najważniejsze, że były łóżko, szafa i stół z dwoma krzesłami.

Po podróży i wielogodzinnym szukaniu mieszkania oboje czuli się wyczerpani. Zjedli tylko kawałek chleba i popiwszy go wodą, momentalnie rzucili się na łóżko.

Felicja już zasypiała w objęciach męża, gdy rozbudziły ją krzyki z ulicy. Tom zbliżył się do okna.

– Wracają po jakiejś zabawie – wyjaśnił żonie. – Może z tego baru na zakręcie? Polka bar. To pewnie są tu twoi rodacy.

Felicja podniosła się z łóżka i stanęła obok Toma. Przez chwilę słuchała ordynarnych wyzwisk.

– Tak, masz rację – mruknęła.

Wróciła na posłanie, ale sen już zdążył uciec, natomiast w jej głowie zaczął krążyć rój czarnych myśli.

Bała się, że trafili z deszczu pod rynnę.

## Rozdział XXII

Następnego dnia Felicję obudziły dzwony kościelne. Kiedy przez sen doliczyła do dziesięciu, zerwała się z łóżka jak oparzona. Toma nie było w pokoju. Pewnie nie mógł się doczekać i wyszedł szukać pracy. Niczego przez sen nie słyszała, więc musiała być wyczerpana po przeżyciach poprzedniego dnia.

Kiedy wstała, ze wzruszeniem dostrzegła, że Tom zostawił jej pełne wiadro z wodą. Mogła się więc wygodnie umyć. Postanowiła najpierw poukładać ich rzeczy i zaczęła od ustawienia przyborów toaletowych. Dopiero w porannym świetle dostrzegła, jak biedny i zaniedbany jest wynajęty przez nich pokój. Okno też było niewielkie, nic więc dziwnego, że tak długo spała w takich ciemnościach.

A przecież miało być zupełnie inaczej. Mieli mieszkać w innej dzielnicy, mieć do dyspozycji dwa pokoje, osobny kąt w ogrodzie, możliwość gotowania posiłków! Tom miał dostać świetną pracę, która pozwoliłaby mu się ustabilizować, a Felicja zajmowałaby się domem, jeśli nie udałoby się jej znaleźć pracy w bibliotece. A może w jakiejś gazecie. To też było możliwe. Miała przecież doskonałe przygotowanie redaktorskie. I o tym wszystkim zamierzała napisać swojej polskiej przyjaciółce. Z przyjemnością czytała o jej podróżach do Nicei czy Rzymu i wydawało się jej, że Rozalia również chętnie dowiedziałaby się czegoś ciekawego i bardziej atrakcyjnego niż życie codzienne Winony. Ale chyba nie o tym, co ją tutaj otaczało.

Młoda kobieta spojrzała ze smutkiem na odstający pas tapety i podeszła do ściany, by go z powrotem przylepić. Nagle odskoczyła. A jednak było tu robactwo! Znalazło sobie ciepły kącik za tapetą. Były tylko nie wlażyły do ich kufrów, przeraziła się. Musi koniecznie przetrzeć wszystko octem, postanowiła i skrzętnie pozbierała okruszki ze stołu.

Toaleta i porządki zajęły jej niewiele czasu. Już przed jedenastą Felicja włożyła suknię, którą zawsze nosiła do pracy w bibliotece, i zamknęła pokój. Na korytarzu panował spokój, jakby cały dom był niezamieszkały. Jednak trzeszczące pod stopami Felicji schody zaalarmowały kobietę, która poprzedniego dnia wydawała im klucz.

– Widzę, że się dobrze spało w naszych wygodnych łóżkach! – zawołała z przesadnym entuzjazmem.

Felicja skinęła głową. Chciała coś powiedzieć o robakach, ale postanowiła z tym chwilę poczekać. Gospodyni nie powinna uważać, że jest marudna i niewdzięczna.

– Dziękuję – odparła. – Chcę się teraz przejść po okolicy. Widziałam tu w pobliżu sklep.

– O tak, mamy tu wiele sklepów. Wcale nie trzeba się stąd oddalać, zobaczy pani sama.

– A wie pani, gdzie jest biblioteka?

– Biblio... co?

– Miejsce, gdzie można pożyczać książki.

– Książki? A po co je pożyczać? Chyba dobre tylko na rozpałkę. Toż to strata czasu. Dla bumelantów. Nie popieram. – Kobieta czym prędzej czmychnęła do kuchni, jakby przerażona słowami lokatorki.

Felicja przewróciła oczami i wyszła na ganek.

Połowa października była wyjątkowo piękna. „Indiańskie lato”, tak tu nazywali babie lato. Jasnogranatowe niebo rozświetlały słoneczne smugi. Wszędzie pachniało mokrym drewnem. To taki swojski zapach z Winony, pomyślała, schodząc z ganku. Nic dziwnego, w pobliżu znajdowały się tartaki.

Dopiero po chwili zobaczyła kogoś chowającego się za rogiem. To była dziewczyna.

Przykładała palec do ust i skinęła ręką, zachęcając Felicję, by podeszła.

– Przepraszam panią najmocniej. Czy gospodyni tam jest? – spytała zatrwożonym głosem.

Felicja spojrzała na nią z uwagą. Wyglądała jak cień. Ciemne włosy opadające na oczy pogłębiały skrajną bladość jej cery. Pocerowane ubranie jasno wskazywało, że nieznajoma żyje na skraju nędzy.

– Tak. Szuka pani pokoju?

Ciemnowłosa potrząsnęła głową.

– Ja tam mieszkam. Tę klitkę bez okna trudno nazwać pokojem.

– To dlaczego nie może pani wejść do domu? Zapomniała pani klucza?

Dziewczyna westchnęła.

– To długa historia. Natomiast jej krótka wersja jest taka, że straciłam pracę, a mam zaległy czynsz od dwóch tygodni i ta smoczyca z pewnością będzie chciała mnie wyrzucić na bruk. – Mówiła dosadnym, barwnym językiem. – Wie pani, jak ona zionie ogniem. Przepraszam, nie przedstawiłam się. Jestem Jenny Richards. – Dmuchnęła w opadające jej na czoło loki.

– Felicia Scott. – Podały sobie ręce. – I co teraz poczniesz? – Felicja stwierdziła, że do takiej smarkuli nie będzie mówić „pani”. Ile mogła mieć lat? Siedemnaście? Dziwne, że mieszkała tu sama.

– Chciałam przez chwilę odpocząć. Jestem taka zmęczona tym codziennym kieratem. Jak człowiek się wyśpi, to od razu świat staje się lepszy.

Felicja mogła się z tym zgodzić. Od rana czuła się wybornie.

– A potem pójdę szukać pracy. Jakaś może znajdę, ale ponieważ wyglądam na chorą, to pewnie mi zapłacą połowę stawki.

– A jesteś chora? – Bezwiednie odsunęła się od Jenny. Panicznie bała się gruźlicy.

– Nie, tylko niewyspana. Pracowałam po szesnaście, osiemnaście godzin, wypruwałam sobie żyły, a i tak mnie drań wywalił bez zapłaty. Tylko za to, że poszłam się napić wody. Podobno za często piję wodę.

Słowo do słowa i nagle Felicja poczuła, że staje się częścią życia Jenny i nie może po prostu zostawić jej samej na ulicy.

– Czy jest tu gdzieś kawiarnia? – spytała bez zastanowienia.

– Kawiarnia? – zdziwiła się Jenny.

– A cukiernia?

– Jest piekarnia. Niedaleko stąd.

Po drodze Jenny trajkotała jak katarynka, tak jakby znały się od wieków. Opowiadała o swojej ostatniej pracy w fabryce, codziennie od siódmej do dwudziestej za nędzne pięć dolarów na tydzień, o prześladowaniu przez kierownika, który od dłuższego czasu chciał ją namówić, żeby została jego kochanką. Pokazała Felicji tanią jadłodajnię, w której się żywiła, ale nigdy tak do syta, żeby poczuć w żołądku przyjemną błogość. Opowiadała o wrednym charakterze gospodyni, która skąpiła wody, i jak trudno było Jenny w takich warunkach zadbać o toaletę i zmianę ubrania. Całe jej życie było nieustanną walką o przetrwanie i doszła właśnie do punktu, w którym miała już to wszystko w nosie i postanowiła umrzeć.

– Nie mówisz poważnie. To przecież grzech! – oburzyła się Felicja.

– Grzechem jest żyć w takich warunkach – ripostowała zaafierowana Jenny, a na jej bładych policzkach pojawiły się rumieńce. – Pani jest z wyższej klasy, to nie rozumie.

Felicja spojrzała na nią wstrząśnięta. Ona z wyższej klasy? Mogło tak wyglądać. Jej życie w Winonie wydawało się bajką w porównaniu z losem Jenny. Nawet w Sitnie po śmierci ojca powodziło im się znacznie lepiej. Nigdy nie doświadczyli takiej nędzy. Jej oznaki mogła tu

dostrzec gołym okiem. Ci ulicznicy biegający wokół nich w łachmanach, te prowizorycznie poskładane domy. I po co oni tu przyjechali, karciała się w myślach. Nawet O'Brady żyli lepiej niż ci tutaj. Ich rodzinę zniszczyło pijaństwo głowy domu, a nie bieda.

Chleb i kajzerki w piekarni, do której w końcu dotarli, wyglądały jednak niezwykle apetycznie. Po chwili wahania Felicja kupiła również drożdżówkę. Niestety w sklepie nie było nawet jednego stolika, przy którym można by usiąść.

– Masz ochotę? – Podąła Jenny drożdżówkę. – Tylko nie ma gdzie zjeść.

– Jak to gdzie? Tu! Dziękuję pani! – Jenny niemal wchłonęła całe ciastko, nie przejmując się zaleceniami Felicji, że nie wypada jeść na dworze.

– Mów mi Felicja.

– Dziękuję, Felicjo!

– To teraz musimy cię przemyć do twojego pokoju.

– A pomożesz mi?

– Oczywiście – odpowiedziała z entuzjazmem Felicja i uścisnęła dłoń Jenny. Dopiero teraz zobaczyła, jak ma zniszczone ręce.

Dziewczyna, widząc jej zdumiony wzrok, szybko wyjaśniła:

– To od zgrzewarki.

Zanim Jenny zaczęła pracować w fabryce, przez rok terminowała u żydowskiego przedsiębiorcy, który produkował sztuczne kwiaty i nakładał ozdoby na kapelusze. Zgrzewarka zawijająca materiał na róże poparzyła jej ręce.

– Do wesela się zagoi. – Wzruszyła ramionami. – Oczywiście, jeśli wcześniej nie wyzionę ducha.

– A ile masz lat?

– Dwadzieścia – odpowiedziała krótko.

Felicja zauważyła, że dziewczyna nie mówi nic na temat swojej przeszłości. Musiała być zbyt bolesna, by do niej wracać.

Szły wolno w stronę domu, a Jenny wzmocnionej drożdżówką nie zamykały się usta. Poczula się odpowiedzialna za pokazanie nowej znajomej całej okolicy.

– A to żona Knutsena, naszego kowala. – Wskazała na tęgą kobietę. – Wszyscy myślą, że to ona podkuwa konie, bo jej mąż jest o połowę mniejszy. Siostra Knutsenowej mieszka po drugiej stronie ulicy, tam gdzie wiszą te szmaty, które nazywa zasłonami. Prowadzi sklep, ale tam nie chodź, bo ona stale zapomina wydawać reszty. Poza tym wciąż pilnuje swojego męża obiboka, ale bez skutku, bo tamten i tak codziennie wymyka się do żydowskiej kochanki.

– A dużo Polaków tu mieszka?

– Ty jesteś Polką? – zdziwiła się Jenny. – Nie słyhać tego. Tamci mówią zupełnie inaczej. A są, są. – Zamachała żywiołowo rękami. – Mnóstwo! Jak pójdziesz w dół tej ulicy, to tam ich znajdziesz. Tacy są zabawni.

– Dlaczego?

– W dzień ciężko pracują, a wieczorami do baru! I tak śpiewają! Głośno, nie znaczy wcale, że dobrze. Naprawdę jesteś Polką?

– Tak, nawet mówię po polsku. A ty gdzie się urodziłaś?

– Nic ciekawego. W Duluth, na północy Minnesoty.

Wkrótce znalazły się w pobliżu domu.

– Wejść i sprawdzę, czy właścicielka się tam kręci.

– To nie jest właścicielka.

– Nie?

– Tamta to też potwór, i to jeszcze gorszy.

Na twarzy Felicji malowało się takie zdziwienie, iż Jenny natychmiast postanowiła jej wszystko wyjaśnić.

– Widzisz ten dom po prawej stronie?

Trudno było nie zauważyć. Ponure ciemnobrązowe gmaszysko, większe o kondygnację od pozostałych budynków, dominowało nad okolicą. Otaczał je dość wysoki mur. Można było do niego dojść przez jedyne drzwi przypominające wieko od trumny.

– Wygląda jak więzienie.

– Bo to prawie jest więzienie.

Właścicielka domu, w którym mieszkały, jak i kilku innych w dzielnicy, prowadziła też dodatkową działalność. Pobierała pieniądze od bogatych naiwnych ludzi o zacięciu filantropijnym na wychowanie osieroconych dziewczynek. Zamykała je wówczas w tym domu i traktowała jak swoje niewolnice. Rozgłaszała wszem i wobec, że przyucza je do zawodu praczek i krawców, w rzeczywistości zaś czerpała zyski z ich pracy.

– O mały włos bym się tam sama znalazła, kiedy szukałam noclegu. Na szczęście ostrzegła mnie dziewczyna, którą spotkałam w jadalni. Opowiedziała mi o tym, co się tam dzieje. Czy wiesz, że czasem wpuszcza się tam bogatych mężczyzn?

– Co?

Jenny skinęła głową.

– Ta dziewczyna uciekła, ale i tak skończyła na ulicy. Taka jest właśnie pani Ravensford. Rzadko ją można zobaczyć, bo przemyka się tylko w czarnej, gęstej woalce. Smoczyca jest jedynie jej sługą. To co, spróbujemy wejść?

Felicja ruszyła pierwsza, stąpając niemal na czubkach palców. Po drodze wymyśliła sobie powód, dla którego musi niezbędnie porozmawiać z gospodynią. Nie było widać śladu pani Brown. Przeszła wzdłuż korytarza i zajrzała do kuchni. Przez małe okienko dojrzała, że kobieta zajmuje się praniem na podwórku. Wróciła więc szybko do drzwi i dała znać Jenny, że droga wolna.

– Zajdź potem – szepnęła na pożegnanie.

– Pójdę szukać pracy. Dziękuję za wszystko.

Przez chwilę Felicja poczuła chropowatą rękę Jenny w swojej dłoni, a potem dziewczyna zniknęła w ciemnościach pomieszczenia pod schodami.

Spędziłam całe życie pod kloszem, doszła do wniosku Felicja, wdrapując się po wąskich schodach na górę. Do tej pory doświadczyła wprawdzie biedy, ale nie takiej nędzy. Trzeba będzie jak najszybciej opuścić tę okolicę. Wyjrzała przez okno. Gmach „więzienia” dla dziewczynek wyglądał stąd jeszcze bardziej posepnie. Na myśl o tym, co się tam dzieje, przewracały się jej wszystkie wnętrzności. I natychmiast pomyślała o Tomie. Za nic nie może się o czymś takim dowiedzieć! Mała szansa, że Jenny mu o tym powie, a za miesiąc już będą daleko stąd. Tylko że te dziewczynki tam zostaną i nikt im nie pomoże. A co ona może zrobić? Jeśli się skoncentruje przez chwilę, z pewnością coś wymyśli. Zawsze jej to przychodziło z dużą łatwością. Ale po kwadransie była tak samo mądra jak wcześniej.

Usiadła więc przy oknie, gdzie mimo wszystko było najlepsze światło, i zabrała się do cerowania. Niewiele tego było. Wszystko oporządziła już przed wyjazdem. Przepęłniała ją poczucie bezradności. Musiała je jakoś przełamać. Może zrobi coś innego? I nagle przypomniał jej się sklep, który mijają z Jenny. Wstała ze stołka i uśmiechnęła się do swoich myśli. Naprawi swoje grzechy!

\* \* \*

Tom wrócił do domu, kiedy już zmierzchało.

– Jak tyś to zrobiła?

Pokój wyglądał zupełnie inaczej. Okno ozdabiały zielone zasłony, na parapecie w butelce znajdował się bukiet stokrotek, na ścianie wisały makatki, a na niewielkim stoliku ustawiona była kolacja na zimno.

Tom zbliżył się do Felicji i ją objął.

– Napracowałam się. Wszędzie aż łśni. Mnie się nie powiodło.

– Nie ma pracy?

– Jest. I w młynach, i w browarze, ale za grosze i nie taka, jakiej szukam. W tartaku nikt nawet nie chciał ze mną rozmawiać. Spyтали tylko o narzędzia, ech! Co za los! Rzeka ta sama, ale miasto za duże. Nie będziesz ze mną jadła? – zwrócił się do żony.

– Nie, nie jestem głodna – odparła Felicja.

Tom pałaszował z apetytem, opowiadając, że zarobił dolara, pomagając szewcowi przetransportować z rzeki kłody na opał. Niestety, nie było ich więcej, więc następnego dnia będzie musiał znaleźć inną pracę dorywczą, skoro stałej nie może. Kiedy skończył, Felicja podeszła do niego i usiadła mu na kolanach.

– Może nie będziesz musiał mieć dorywczej pracy?

– A z ciebie czarodziejka? Druga Wiera?

– Zobacz – powiedziała głosem przepelnionym dumą. – Pod oknem.

Tom zdjął żonę z kolan i wstał od stołu. Przy łóżku stała skrzynka z heblowanym drewna.

– Felicja, co to takiego?

– Zajrzyj do środka.

Tom ukląkł i otworzył skrzynkę. Leżały w niej różne narzędzia do prac budowlanych.

– Skąd to masz?

Musiła się przyznać do pieniędzy od Matyldy. Nie było wyboru. Nie musiały być przeznaczone na czarną godzinę, tylko na taką, która pomoże im stanąć na nogi. Kiedy spacerowała z rana po okolicy, zobaczyła sklep, który ozdabiał szyld: „Najlepsze narzędzia budowlane”. I uznała, że jej mąż musi mieć właśnie takie, skoro to ona przyczyniła się do utraty poprzednich.

Felicja opowiadała to wszystko z wielką radością w głosie i dopiero po dłuższej chwili dostrzegła nieruchomą twarz męża.

– Co się stało, Tomie?

– Te narzędzia są do niczego!

– Jak to?

– Ja używam zupełnie innych! Te są kiepskie, źle wykonane... nigdy z nich nie skorzystałam.

– O Boże!

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taka bezmyślna. I jak mnie traktujesz! A twoja ciotka nie ma do mnie za grosz zaufania.

I zanim zdążyła mu odpowiedzieć, wyszedł z pokoju. Stała z otwartą buzią, słuchając jego kroków, jak zbiegał po schodach.

Wrócił w nocy, a następnego dnia wcale nie poszedł szukać pracy. Był zbyt pijany.

## Rozdział XXIII

*Minneapolis, marzec 1901*

Obudziła się na dźwięk zamykanych cicho drzwi. Do pokoju wkradła się szarość i szybko zniknęła, pozostawiając Felicję w ciemności. Podniosła się z łóżka i po omacku poszukała świecy. Knot zapłonął nikłym światłem, ukazując tę samą beznadzieję, w której Felicja zasnęła ubiegłej nocy.

Od miesiąca już tutaj wegetowali. Ten piwniczny magazynek przylegający do ściany budynku trudno było nazwać pokojem. Był tak mały i niemal cały czas pogrążony w mroku, gdyż jedyny wlot światła znajdował się przy samym suficie, o parę cali nad ziemią. I tak mieli szczęście, że pani Brown nie wyrzuciła ich na mróz, kiedy przez kolejny tydzień nie byli w stanie zapłacić czynszu.

Felicja zajrzała do miski. Chyba szła wiosna, bo woda, którą przygotowała sobie poprzedniego dnia, tej nocy nie zamarzała. Może to był znak, na który od długiego czasu czekała.

– Rudi, Rudi, zbieraj swój tłusty tyłek i ruszaj! – doszło ją jakieś nawoływanie z korytarza.

Gdyby ktoś powiedział Felicji pół roku wcześniej, co stanie się z jej życiem w najbliższym czasie, nigdy by w to nie uwierzyła. Bo jak mogła uwierzyć, że upadek nastąpi tak szybko i pozbawi ją wszystkich sił życiowych.

Dopiero teraz usłyszała dzwony kościelne. Biły na szóstą. Skoro Tom tak wcześniej zniknął z pokoju, to istniała nikła szansa, że udało mu się znaleźć jakieś zajęcie. W sumie niewiele z tego wynikało. Co zarobi, to przepije, więc raczej nic do domu nie przyniesie.

Ubrana wyszła ze świecą na korytarz i zapukała do komórki Jenny. Dziewczyna nie pokazała się u niej ostatnio.

– Jesteś tam?

Odpowiedziało jej ciche kasłanie. Weszła do pokoiku, który w zasadzie składał się jedynie z barłogu, gdzie leżała Jennifer.

– Jesteś chora?

– Od paru dni boli mnie brzuch – odpowiedziała słabym głosem Jenny. – Dlatego nie zachodziłam. Po robocie natychmiast padałam jak nieżywa. Dzisiaj powinno być lepiej. Ile można chorować. – Zaśmiała się, ale Felicja miała wrażenie, że to śmiech przez łzy.

– Masz. Zjedz to. – Sięgnęła do kieszeni sukni i podała dziewczynie pajdę chleba z twarogiem. – Powinno pomóc.

– Nie możesz mnie ciągle dokarmiać. Sama nie masz pieniędzy – zaprotestowała Jenny.

– Myślę, że niedługo to się zmieni – oświadczyła Felicja, próbując się sama oszukać. – Mrozy odeszły. Pojawi się nowa szansa. Idę do pracy, a ty zdrowiej.

Jenny wstała z łóżka i przytuliła się do Felicji. Sama skóra i kości, pomyślała starsza przyjaciółka. Niedługo jej wystające łopatki przebiją materiał tej nędznej sukienki.

Jeśli cały nieogrzewany dom zionął chłodem, na dworze o poranku było jeszcze gorzej. Ziąb przenikał całe ciało, a tego Felicja od czasów zimy w Kanadzie nienawidziła najbardziej. Zasłoniła się szczelnie szalem, który udzięgała na początku roku z wełny przysłanej jej przez ciotkę na święta.

– Na bułkę, szlachetna pani, głodna jestem!

Przed Felicją pojawiło się pierwsze zebrzące dziecko. Miała wrażenie, że czyhają tu na



nią z premedytacją, wiedząc, że nie jest w stanie minąć ich bez słowa.

– Nie dzisiaj – próbowała, ale widok tych malców rozrywał jej serce.

– Dajcie tej pani spokój! Tu macie i uciekajcie stąd.

Mężczyzna, który wyzwolił ją od przymusowej filantropii, uchylił kapelusza.

– Dzień dobry! Przepraszam, ale od paru dni obserwuję, jak ci cwani ulicznicy panią nabierają. Wcale nie kupują bułek za te pieniądze, tylko tytoń i piwo.

Usta Felicji zdrząły. Nie chciała się rozplakać przed obcym człowiekiem.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Nazywam się Matthew Rosen i jestem lekarzem.

– Tutaj? – zdziwiła się Felicja.

– Nie, mieszkam gdzie indziej, ale tu przychodzę czasem pomagać.

– Przynajmniej z sensem. Nie tak jak ja.

Wyglądało na to, że znów zachowała się jak naiwna idiotka. I to od samego przyjazdu do tego miasta. Może to przez nią Tom się tak bardzo rozpił?

– Nie jestem taki pewien. Ci ludzie zdrowieją, ale potem trafiają w to samo środowisko.

W pierwszej chwili się ucieszyła, lecz zaraz doszła do wniosku, iż nie ma prawa czuć się lepsza niż jej sąsiedzi.

– Niech mi pan wierzy, niełatwo się wyrwać – oświadczyła i obróciła się na obcasie.

– Proszę pani! – Głos Rosena ją zatrzymał. Lekarz wyjął z torby wizytówkę. – Niech pani ją weźmie. Może się kiedyś przyda.

Podziękowała i ruszyła przed siebie, nie wiedząc, co ją tak zirytowało. Może to, iż mężczyzna był młody, miły i... trzeźwy?

Półgodzinna wędrówka do pracy mijała jak zwykle na smętnych rozmyśleniach. Z dnia na dzień jej myśli stawały się coraz czarniejsze, gdyż stopniowo traciła jakąkolwiek nadzieję. Winona wydawała się coraz bardziej odległa. Tęskniąc za nią, zdążyła zapomnieć o dawnych problemach. Życie na Maple Street, a nawet w domu przy torach, wydawało się teraz bajką, którą na własne życzenie porzuciła.

Przyjazd do Minneapolis, zamiast uczynić ich życie znośniejszym, pograżył ich w ubóstwie. Nie przypuszczała nawet, że spotka tu taką nędzę. Nie było tu wcale lepiej niż w Polsce i nie bardzo mogła zrozumieć, czego ci ludzie tu szukają. Bo chyba nie równości, tej tu bowiem wcale nie było. Tom nie nadawał się do stałej pracy, a to, co udało mu się zarobić, przepijał. Wracał późno w nocy, rano przysięgał, że wszystko się zmieni, a potem działało się to samo. Zapas oszczędności szybko się skurczył, tym bardziej że ludzie wynajmujący ich domek z dnia na dzień postanowili się wyprowadzić do Teksasu. Ciotka obiecywała, że Józul z pewnością znajdzie na ich miejsce innych, ale wszystko się opóźniało. Felicja miała związane ręce, gdyż wcześniej nie napisała rodzinie o jakichkolwiek problemach. Jej listy opowiadały o tym, co sobie wymarzyła, a nie o rzeczywistości. Za bardzo się wstydziła, by wyznać im prawdę. W końcu skojarzyła, że zachowuje się tak jak ciotka Matylda, która chwaliła się tartakiem wobec kuzyna Joachima. I pomyśleć, że w dzieciństwie tak radykalnie potępiała takie listy. A teraz?

*Najukochańsza Cioteczko,*

*dziękuję za list i pozdrowienia. Masz rację, jesteśmy tacy szczęśliwi, że nam się udało. Przepraszam, że nie przyjechalśmy na Święta zgodnie z obietnicą, ale sami rozumiecie, że jeszcze się tu urządzamy. Kupno mebli, nowa praca...*

Jedyna Rozalia coś zauważyła.

*To Wasze życie wygląda jak opis z noweli. Chyba nigdy takiej całkowitej idylli nie doświadczyłam. Ja marzę o takim spokoju i możliwości czytania książek, ale tupot chłopięcych stópek i dzikie wrzaski obok skutecznie mnie odciągają.*

Felicja czytała te listy z przyspieszonym pulsem i narastającym wstydem. Ale wyznanie prawdy byłoby dla niej nie do zniesienia. To stałe balansowanie na krawędzi przetrwania. Nędza, w którą popadli w tak szybkim tempie. Kwaśny odór taniego piwa unoszący się w niewielkim pokoiku, upokorzenie związane z brakiem higieny. I ta praca, w której utknęła jak w ślepym zaułku. Nie daje przeżyć, ale i umrzeć, no i jest, myślała, zaciskając zęby. Jenny miała rację.

W tym domu pracowała od trzech miesięcy. Przychodziła codziennie na ósmą i przez dwie godziny czytała na głos pani Burrows. W tym czasie starsza pani siedziała naprzeciwko niej i wyszywała kolorowe kwiatki.

– Masz wymarzoną pracę – ucieszył się Tom, kiedy był na tyle przytomny, żeby cieszyć się czymkolwiek.

Było to jednak zajęcie jak najdalsze od marzeń Felicji. Czytała głównie psalmy, modlitwy, czasem przepisy z kalendarza. Jedyne książki, które tam się znajdowały, to żywoty świętych. Po dwóch godzinach Felicja kłaniała się pracodawczyni, a potem przechodziła do kuchni, gdzie dostawała śniadanie. I tam też czekało na nią parę centów, za które mogła kupić sobie obiad. Pani Burrows nigdy się do niej nie odzywała. Nie dlatego, że nie mogła mówić. Po prostu tak sobie postanowiła, zdradziła jej któregoś dnia kucharka. W domu panowała tak radosna atmosfera jak na pogrzebie, więc za każdym razem, kiedy Felicja go opuszczała, oddychała z ulgą.

Poza tym zawsze się spieszyła, bo musiała zdążyć na jedenastą do szkoły podstawowej Holland, gdzie zastępowała jedną z nauczycielek. Szła kolejne pół godziny, żeby odbyć jedną lekcję w nadziei, że od nowego roku być może rada szkolna zdecyduje się ją zatrudnić.

O godzinie drugiej brała od krawca ubrania do cerowania i ślęczała nad nimi do czasu, kiedy pojawiała się Jenny. Równie zmęczona jak Felicja, ale zdeterminowana, by nauczyć się pisać. Od kiedy obie odkryły, że panna Richards ma wyjątkową zdolność do liczb, przyspieszyły tempo. Jenny stać na coś lepszego niż praca w fabryce przy sortowaniu śrubek.

Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły, ale nawet Jenny nie wiedziała o kłamstwach, które Felicja wypisywała do bliskich.

– Nie chcesz się rozwieść?

To było tak obcesowe pytanie, że pani Scott niemal podskoczyła. Jenny natychmiast dostrzegła jej reakcję.

– Przepraszam. Mam niewyparzony język.

– Ale ja... ale ja kocham Toma – odpowiedziała po chwili wahania Felicja.

To prawda, że jej mąż koił emocje związane z odkryciem swojej przeszłości za pomocą alkoholu, który teraz nad nim całkowicie zapanował. Ale przecież знаła go o wiele dłużej. Sześć pełnych szczęścia lat, zanim Tom zmienił się w zupełnie inną osobę. Nie mogła przestać go kochać.

Każdy dzień był taki sam. Z wyjątkiem niedzieli. Wtedy, zostawiwszy Toma w łóżku, szła do polskiego kościoła. Robiła dobrą minę do złej gry na wypadek, gdyby podczas mszy spotkała znajomych Derdowskiego lub innych. Nie mogli się przecież dowiedzieć, że jej, Halmanównie, się w życiu nie szczęści. Postępowała tak, mimo iż sama się za to nienawidziła. Nie wiedziała jednak, jak z tym skończyć.

Tego dnia Jenny znów nie przysłała na lekcję. Felicja postanowiła więc skorzystać z czasu wolnego i wymoczyć stopy, z którymi coś się stało po siarczystych mrozach. Nabrały ciemnoróżowego koloru, robiły się na nich pęcherze i coraz większy sprawiały ból podczas chodzenia. Marzyła o kąpeli, ale na to musiała poczekać jeszcze kilka dni. Wówczas wybierze się do miejskiej łaźni. Wyjęła z kieszeni parę centów, żeby zamówić wrzątek u pani Brown, kiedy jednak mijiała komórkę Jenny, coś ją tknęło. Zapukała cicho, a potem weszła do pomieszczenia. Nikogo w nim nie było, ale w powietrzu cuchnęło krwią, że aż zebrało się jej na mdłości. Chciała wyjść, ale właśnie wówczas pojawiła się Jenny. Szła, zataczając się, i trzymała się za brzuch.

– Coś ty zrobiła? – spytała dziewczynę, która nawet się nie zatrzymała, tylko rzuciła się na barłóg.

– Nic nie zrobiłam – zajęczała przez zęby. – Po prostu krwawię.

– Od kiedy?

– Od trzech dni, ale dzisiaj to już chyba wszystko ze mnie wypłynęło.

Nagle pojawiła się pani Brown.

– A co tu za sejmiki na korytarzu? Panie mają ochotę na pogaduszki, to do miasta wyjecha. – Już nawet nie próbowała zachowywać pozorów grzeczności wobec Felicji. Obie traktowała jednakowo.

– Panna Jenny jest chora.

– O nie! To zaraz trzeba ją wywieźć do przytułku. Pani Ravensford pod żadnym pozorem nie pozwala na przebywanie tu osób chorych.

I chciała wcisnąć swe tłuste cielsko pomiędzy drzwi a Felicję. Ta jednak była stanowcza.

– Natychmiast proszę się odsunąć, ty stara rajfurko! – Nawet nie przypuszczała, że takie słowa kiedykolwiek przejdą jej przez gardło. – Jedziemy do lekarza. Z drogi, bo zarówno ty, jak i ta naczelna wiedźma będziecie miały ze mną do czynienia. Koniec tego!

Była zdziwiona, że jej stanowczy głos sprawił, iż Brown się wycofała i tylko obserwowała przebieg wydarzeń. Na korytarzu pojawił się inny z lokatorów.

– Panie Nowacki, niech pan wezwie nam dorożkę! – krzyknęła do niego Felicja. – Nasza Jenny zachorowała.

Mężczyzna narzucił na siebie płaszcz i nie czekając, wybiegł z domu. Brown czyhała w kącie jak kobra, obserwując, co się będzie działo.

– Wyrzucę was obie na bruk! – miotała przekleństwa.

– Nie wiem, czy ty się tam pierwsza nie znajdziesz. – Felicja podparła się pod boki jak prawdziwa przekupa. – I co sędzia powie na to wszystko!

– Jaki sędzia? – mamrotała pod nosem Brown, ale było widać, że słowa trafiły w jej słaby punkt.

– Jeśli tkniesz jakkolwiek naszą rzecz, to zgnijesz w mamrze. – Felicja pogroziła babie i pomogła osłabionej Jenny wstać, bo właśnie pojawił się zdyszany Nowacki, mówiąc, że dorożka czeka.

– Nie chcę nigdzie jechać. Ja już tu umrę – wyszeptwała chora.

– Zaufaj mi. Nic ci się nie stanie.

Patrząc na białą twarz Jenny, Felicja nie była taka pewna. W głębi duszy miała wrażenie, że przyjaciółka umiera. Za każdym razem, kiedy koła dorożki podskakiwały na nierównym bruku, krzywiła się z bólu.

– Musisz wytrzymać! – Felicja ścisnęła jej spoconą dłoń.

– Po co?

Felicja spojrzała w rozszerzone źrenice przyjaciółki i wkładając całą swoją pewność siebie w słowa, oświadczyła:

– Żeby jeszcze coś dobrego przeżyć.

Wreszcie powóz zajechał pod przestronny dom, którego sam widok wskazywał na zamożność rodziny. Czyżby Matthew Rosen był aż tak bogaty? – zdziwiła się Felicja. Może to była pomyłka?

Wyskoczyła z powozu i zastukała kołatką do drzwi.

– Szukam lekarza! – Podała wizytówkę służącej w białym fartusku.

– To proszę od tyłu. Pan Matthew jest akurat w gabinecie – odpowiedziała rumiana dziewczyna.

Na szczęście! Felicja była tak zdyszana i przejęta, że przez dłuższą chwilę nie mogła znaleźć właściwych słów i tylko pokazywała w stronę powozu.

– Panie doktorze, Felicia Scott. Dał mi pan swoją kartę wizytową. Proszę... w powozie.

Rosen natychmiast wybiegł z domu i wraz z woźnicą przeniósł Jenny do gabinetu. Kiedy Felicja zapłaciła za przejazd, pomocnica doktora pokazała jej poczekalnię, w której mogła usiąść, a potem zaproponowała herbatę.

Stopniowo zaczęła się uspokajać, wiedząc, że przyjaciółka znajduje się w dobrych rękach, a ona sama nie może już więcej nic zrobić.

Taki potworny krwotok. Dopiero teraz zobaczyła, że nawet jej dłonie są całe w zakrzepłej krwi, więc spytała służącą, gdzie mogłaby je obmyć, zanim wypije herbatę.

Co się mogło stać? Jenny nie dawała sobie w kaszę dmuchać, była charakterna, co podobało się Felicji, ale jednocześnie dość skryta. Nic nie mówiła o swojej przeszłości. I nigdy o mężczyznach, którzy mogli wpaść jej w oko. To w jaki sposób zaszła w ciążę? Bo przecież tak obfity krwotok to musi być poronienie. A może ktoś jej zrobił krzywdę i wstydziła się przyznać. Jak mogła? Ale przecież ona sama tak wiele się od niej nie różniła. Trzymała tyle spraw w sekrecie i nikomu o nich słowem nie pisnęła.

Matthew Rosen wyszedł z gabinetu niemal po godzinie, od kiedy zniknęła w nim Jenny. Uśmiechnął się na widok Felicji.

– Miałem nadzieję, że pani jeszcze tu będzie. Czy to nie łut szczęścia, że właśnie dziś dałem pani moją wizytówkę? – spytał, ale widząc jej zaniepokojoną twarz, szybko wyjaśnił: – Panna Jenny teraz śpi i czuje się znacznie lepiej.

– Mogę ją zobaczyć?

– Siedzi przy niej siostra Tilly. Najpierw chciałbym z panią porozmawiać. Może tutaj. – Uchylił drzwi. – To jest mieszkanie mojej ciotki. Chwilowo przebywa w Nowym Jorku.

Za drzwiami znajdował się tak elegancki salon, że Felicja z miejsca poczuła, że jest brudna i źle ubrana. Mimo to usiadła w fotelu wskazanym przez Rosena.

– Wystraszyła się pani porządnie! Może kieliszek sherry?

– Nie, dziękuję – odmówiła, patrząc, jak Rosen nalewa sobie złocisty trunek do kryształowego kieliszka. – Proszę mi powiedzieć prawdę. Czy... czy to było dziecko?

Oczy Rosena otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– Nieee. Pacjentka nigdy nie miała dzieci.

Felicja spuściła głowę. Czowała się mocno zażenowana. Policzki jej płonęły. Na szczęście serce biło normalnym rytmem. Przyszło jej nagle do głowy, że ostatnio ani razu nie miała z nim kłopotu. Czyżby w tych strasznych warunkach, w których przyszło jej żyć, nagle ozdrowiała?

– Proszę się nie niepokoić. Panienka wyjdzie z tego. Musi trochę nabrać sił, dobrze się odżywiać, oddychać dobrym powietrzem i nie pracować przez jakiś czas.

– Niestety, ona nie mieszka...

– Rozumiem... – Doktor szybko wypił parę kropel sherry. – W takim razie pozostaje opieka szpitalna.

– Do szpitala?

– Tak. Najlepiej Saint Barnabas. Będzie pod najlepszą opieką. Praktykują tam profesori-  
wie i studenci z mojego dawnego uniwersytetu. Jest również szkoła pielęgnarska. Panna Jenny...  
przepraszam, to pani siostra?

– Nie. Ona nikogo nie ma – odparła Felicja i otarła łzy, które poleciały jej z oczu na tę  
dobrą nowinę.

– Czyli, jak rozumiem, nie mieszka z panią. – Rosen skinął głową. – To w takim razie  
wyślemy ją do innego szpitala. W każdym razie nie chciałbym jej odesłać do domu.

Felicja się wyprostowała, jakby prąd ją przeszył. Doktor przecież wyraźnie sugerował, co  
się stanie z Jenny, kiedy nie będzie pod odpowiednią opieką.

– Panie doktorze. Ja mam trochę funduszy! – Zostało jej trochę pieniędzy od ciotki „na  
czarną godzinę”, a nie mogła przecież dać umrzeć Jenny. Nie miała pojęcia, co dziewczyna zrobi  
ze sobą, kiedy wyzdrowieje, ale musiała dać jej szansę. Sama była zdrowa i w dobrej kondycji.  
Nie znalazła się na dnie. W każdej chwili mogłaby wrócić do Winony, gdyby nie jej fanaberie  
związane z ambicją. – Ile to będzie kosztować?

– Chwileczkę. Nie ma pośpiechu. Sprawdzę, gdzie Jenny uzyska najlepszą opiekę i gdzie  
będzie pani do niej najbliższej, pani Scott. Mieszka pani na Northeast, prawda?

– Tak, zaledwie od pół roku. Od początku taki pech! Już na stacji ukradli mi skrzynkę  
z narzędziami męża.

I nagle w Felicji coś pękło. Zaczęła mówić o sobie zupełnie obcemu człowiekowi. Ten  
słuchał jej z uwagą i nie przerywał. Jego mądre ciemne oczy patrzyły na nią ze współczuciem.  
Nie musiał zadawać żadnych pytań. Rozumiał doskonale, że jej mąż wpadł w nałóg, że nie przy-  
nosi do domu żadnych pieniędzy i że ona ze wstydu nie chce się przyznać rodzinie, co się stało,  
i tkwi w tej beznadziei od miesięcy.

Na koniec Felicji załamał się głos i zapadła nabrzmiała wstydem cisza.

– Mówiła pani, że w Winonie pracowała w bibliotece.

Potaknęła, zastanawiając się, czy zbierze siły, by wstać z fotela.

– Tak się akurat składa, że znam osobę, którą mogłaby pani poznać. To Gratia Country-  
man.

\* \* \*

Dwa tygodnie później Felicja z uwagą przyglądała się siedzącej naprzeciw niej kobiecie.  
Miała jasne, lekko falowane włosy poprządkane dość gęsto siwizną, twarz zaokrągloną  
i łagodną, ale spojrzenie zza druczianych okularów ostre i bystre.

– Wszystkie osoby, które tu spotykam, czytają książki, podobnie jak pani. – Countryman  
westchnęła po wysłuchaniu Felicji. – A nawet je kochają. Ale to chyba nie wystarczy. Myśli pani,  
że mogę jej pomóc? Ja? Nie jestem nawet kierownikiem tutejszej instytucji. Doktor Rosen kocha  
pomagać, ale tym razem chyba przesadził.

Felicja wcale nie liczyła, że spotkanie tej kobiety przesądzi o jej przyszłości. Wprawdzie  
wysłała do niej list, ale niczego nie oczekiwała. Matthew Rosen zachował się po prostu jak dżen-  
telmen. I nic więcej. Nie chciała jednak, by Countryman miała wrażenie, że zarekomendował jej  
byle kogo.

– Mam wiele pomysłów, co można ulepszyć – powiedziała i postanowiła porozmawiać  
z tą ponadczterdziestoletnią kobietą jak równy z równym.

– W naszej bibliotece? – zdumiała się Gratia.

Gmach publicznej biblioteki przy Hennepin Avenue porażał rozmachem. Trzykondygn-  
cyjny budynek w kształcie litery L zbudowany z lokalnego piaskowca mieścił również galerię  
sztuki i historii naturalnej. Od chwili zbudowania stanowił dumę mieszkańców Minneapolis.

Sama uwaga o jakichkolwiek w nim zmianach brzmiała nieco obrazoburczo.

– Nie tylko w waszej. W całym kraju – dodała buńczucznie Felicja.

– A to ciekawe! Bo ja też mam swoje pomysły. To słucham.

Felicja zaczęła wolno i niezdarne, stale potykając się o słowa, ale potem z coraz większym zapalem:

– Uważam, że biblioteki powinny wyjść do ludzi. Elity stać na zakup książek, ale nie biednych. Ile to bezrobotnych nie wie, czym się zająć przez całe dni. W norze, gdzie mieszkała moja przyjaciółka, nie ma nawet krzesła. O świetle nie wspomnę. Ludzie bez zajęcia są skazani wyłącznie na włóczenie się po ulicach i na uleganie złym wpływom: alkoholowi, prostytutce. A mogliby zamiast tego spędzić czas na edukacji. Na studiowaniu książek, które zapewnią im wiedzę i lepszą przyszłość w godnych warunkach.

– Jeśli biblioteka ma wykonywać swoje funkcje, by udoskonalać ludzi, będzie musiała przyjąć inne metody niż kupowanie pięknych kolekcji książek i umieszczanie ich w atrakcyjnym budynku, a następnie nabożne oczekiwanie, by ludzie przyszli – usłyszała jakby echo swych myśli Felicja.

Podniosła wzrok i zobaczyła roześmiane oblicze Gratii.

– Moja droga pani. Pierwszy raz zdarza się ktoś, kto tak dobrze rozumie, co mi chodzi po głowie. A tam aż się roi od koncepcji.

Gratia widziała dziesiątki czytelni na terenie miasta i okolic. Chętnych farmerów, którzy udostępniali miejsca na półki z książkami dla czytelników z sąsiedztwa. Widziała powozy, które zajmowały się wożeniem książek po całym mieście, jak również specjalnie punkty do zwrotów. Szpitale, fabryki, straż pożarna – oni również pragnęli lektury! I mieli prawo swobodnie przemieszczać się między półkami pełnymi książek! Brać je do rąk, oglądać, a nie być zdanymi na łaskę bibliotekarza.

Rozmach jej pomysłów sprawiał, że Felicję przechodziły dreszcze. O, jak bardzo chciałaby brać w tym wszystkim udział! Słuchając starszej koleżanki po fachu, była pewna, że jej się uda. Bo to nie były próżne nadzieje, tylko konkretne plany.

– I mamy przecież Andrew Carnegiego! – Na policzkach Gratii pojawiły się rumieńce. Felicja pomyślała, że wygląda jak Marianna francuskiej rewolucji. – Wiesz chyba, kto to taki?

Jak można było ją o to pytać! Oczywiście, że wiedziała. Ile to razy rozmawiała z Matyldą na jego temat. To był przecież ich zbawca. Milioner i filantrop, który postanowił przeznaczyć część swego wielkiego majątku właśnie na biblioteki. I to nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie. Pod warunkiem, że władze lokalne zapewnią teren i środki na prowadzenie działalności, Carnegie dawał pieniądze na budowę bibliotek i ich wyposażenie.

– O nie! Tak łatwo się w takim razie nie rozstaniemy – entuzjasmowała się Gratia. – Czy myślałaś kiedyś o studiach?

Felicja nie wiedziała, co powiedzieć. Wiedziała, że Gratia jest absolwentką uniwersytetu w Minnesocie, ale dla niej zawsze wydawało się to nieosiągalne. Zwłaszcza teraz.

– Nie musisz, moja droga, odpowiadać, dobrze znam los kobiet. Gdybym była mężczyzną, już dawno udałoby mi się zrealizować moje idee. Poruszę niebo i ziemię, żebyś ze mną pracowała. Nie mogę jednak tego obiecać natychmiast. Potrzebuję trochę więcej czasu! Możesz mi go dać?

Ale z tym właśnie było najgorzej! Od kiedy Felicja pożegnała się z Gratią, jej entuzjazm związany ze spotkaniem wyparowywał z każdym krokiem.

Tom był trzeźwy od dnia choroby Jenny. Kiedy późnym wieczorem wróciła od doktora Rosena, spotkała ją niespodzianka. Tom czekał na nią przed domem.

– Jak się czuje ta dziewczyna? Brown opowiedziała mi, co się stało.  
– Opowiedziała? Ciekawe! Życiu Jenny raczej już nic nie zagraża. – Nie powie mu, co zrobiła z pieniędzmi. Nie chciała, by cokolwiek skłoniło go do ponownego picia. Może wytrzyma kilka dni i zarobi parę groszy?

– Wiem, wiem, sąsiad nie szczędził szczegółów. A ja przeniosłem rzeczy do starego pokoju na piętrze.

– Co takiego?

– Zarobiłem.

– Aż tyle? Czynsz za trzy tygodnie?

– Nie wierzysz mi?

Weszła do pokoju, z którego musiała się niedawno wynieść.

– Brown nawet weszła tu z miotłą.

– Dziwne. Chyba nie miała innych chętnych. – Felicja spojrzała na mały pokój, który w porównaniu z suteroną wydawał się jasny i elegancki. – Powiesiłeś zasłonki? – zdziwiła się.

Tom stał w kącie i wyglądał na mocno zawstydzonego.

– Spotkałem w mieście Indian. Znają mojego wuja. Męża mojej ciotki. Jaki świat mały.

– To od nich pożyczyłeś pieniądze?

Tom nie odpowiedział, tylko wskazał Felicji serwetkę, na której leżał talerzyk z pajdą chleba i pieczoną piersią kurczaka.

– Stoliczku, nakryj się.

Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest głodna. Tom obserwował ją i się do niej uśmiechał. Nagle Felicja zrozumiała, że wcale już jej nie zależy na jego uśmiechu. Tak bardzo ją zawiódł. Nie miało znaczenia nawet to, że pomógł jej zzuć buciki i zdjąć sukienkę.

– Jestem zmęczona – powiedziała, ale czuła, że prędko nie wygasi w sobie wspomnień z tego dnia. Co chwila w jej myślach pojawiała się zakrwawiona Jenny i lekarz o ciepłym spojrzeniu.

Tom też nie mógł zasnąć i przewracał się na łóżku.

– Felicja, śpisz? Wiesz, co słyszałem? Że tu obok w domu trzyma się w zamknięciu dziewczynki i je wyzyskuje. Nie chce mi się w to wierzyć. Słyszałaś coś?

Felicja niemal wstrzymała oddech, udając śpiącą. Tak krótko Tom był trzeźwy i aż tyle się zdążył dowiedzieć?

Pogrążona w myślach Felicja doszła do domu prowadzonego przez zakonnice, w którym zdrowiała Jenny. Siostra Bernadetta otworzyła jej drzwi z uśmiechem na okrągłej twarzy.

– Panienska Richards już pani wygląda od samego rana – powiedziała i poprowadziła ją do skrzydła budynku, w którym wypisani ze szpitala pacjenci przechodzili rekonwalescencję.

Jenny leżała w niewielkim, czteroosobowym pokoju i kiedy tylko głowa Felicji ukazała się w drzwiach, zerwała się z łóżka na równe nogi.

– Jenny! Ostrożnie! Jeszcze coś ci się stanie – napomniała ją Felicja, czując jednocześnie ciepło w sercu, że ktoś tak bardzo cieszy się na jej widok.

– Nic mi nie jest, naprawdę! Doktor Rosen powiedział, że już za parę dni będę mogła stąd wyjść.

Dwutygodniowy pobyt u Sióstr Miłosierdzia uczynił z Jenny cuda. Jej twarz nabrała koloru, a ciemne włosy blasku. Chyba nawet nieco przybrała na wadze. Wprawdzie siostry przygotowywały skromne i dietetyczne dania, jednak z pewnością Jenny jadła tu znacznie więcej.

– Doktor Rosen tu był? – zdziwiła się Felicja.

– Rozminęłaś się z nim. Nawet o ciebie pytał.

– O mnie? – Poczula się nieco zawiedziona.  
– Chodź na werandę. Doktor mówił, że muszę zacząć przyzwyczajając się do powietrza. –  
Jenny narzuciła na siebie ciepły szal.

Na oszklonej werandzie można było porozmawiać bez przeszkód. Stało tam kilka krzeseł i stolików, przy których zbierali się zdrowsi pacjenci i grali w warcaby. Akurat w tej chwili nikogo tam nie było, więc Jenny przysunęła jedno z krzeseł do uchylonego okna i usiadła. Felicja umościła się w niewielkim ratanowym foteliku.

– I co jeszcze doktor mówił? – spytała wbrew sobie.

– Czy mam gdzie mieszkać.

– Naprawdę? – Powinam się cieszyć tym zainteresowaniem Jenny trochę bardziej, skarciła się w myślach Felicja.

– Powiedziałam mu, że najchętniej mieszkałabym tutaj, a on się tylko zaśmiał. To anioł, nie człowiek. I trochę się wstydzę, że musiał mnie oglądać taką...

– Głupstwa, Jenny. On się zajmuje chorymi. Jest przyzwyczajony.

– I chyba cię lubi.

Felicja zaczerwieniła się jak piwonia.

– Ja jestem mężatką – odpowiedziała głosem matrony.

– A co to ma do lubienia? – Jenny spojrzała na nią oczami w kolorze burego nieba.

Felicja przyznała jej rację. Wyjęła z torebki pomarańczę, którą przyniosła dla chorej. Jenny wzięła ją do ręki i zaczęła gładzić chropowatą skórę, a potem przykładając do policzka.

– Skąd wiesz, że tak bardzo marzyłam o pomarańczy? – Nagle z oczu Jenny zaczęły kapać łzy jedna po drugiej. – Felicjo, nie masz pojęcia, ile ty dla mnie znaczysz! Nikt w życiu nie dał mi tyle co ty.

I nagle wzruszona dziewczyna zaczęła mówić o sobie. O harówce na farmie, gdzie mieszkała z matką, ojcem i dwoma młodszymi braćmi. O śmierci matki w połogu i jak obcy przejęli ich gospodarstwo, a oni z dnia na dzień musieli zostawić cały dobytek i przeprowadzić się do miasta. A potem było jeszcze gorzej, bo ojciec zaczął pić i sprzedał braci na parobków.

– Karol miał tylko dwanaście lat. Błagałam, żeby choć jego zostawił. Mój kochany braci-szek. – Z oczu dziewczyny tryskały teraz fontanny łez. Chusteczka od Felicji była już całkiem przemoczona.

Jenny została, bo ktoś przecież musiał zajmować się domem.

– To był szalas, a nie dom!

A potem stało się to, co niewyobrażalne. Dziewczyna ściszyła głos i tylko szeptała:

– Któregoś dnia przyprowadził swojego kumpla z pracy i powiedział, że mam z nim iść, bo on sam ma dość Duluth i wyjeżdża z miasta.

– Jak to: miałaś z nim iść?

Jenny spojrzała na przyjaciółkę wzrokiem starej doświadczonej kobiety.

– Nie za mąż. Chyba sama rozumiesz.

Felicja przełknęła ślinę.

– I poszłaś?

– Powiedziałam, że muszę iść do wygódki. I uciekłam z domu, tak jak stałam. Najpierw pobiegłam do kościoła, ale pastor kazał mi wrócić do ojca. Potem trafiłam na stację kolejową. Wsiadłam na gapę do byle jakiego pociągu. Ten akurat jechał do Minneapolis...

– Jenny... – zaczęła Felicja, gdy wtem drzwi otworzyły się i na werandę wszedł doktor Rosen.

– Wiedziałem, że panie tu znajdziesz. Chyba mam dla was dobre wieści!

– Tego nigdy dość – ucieszyła się Felicja. Przemknęło jej przez myśl, że może Gratia



Countryman mimo wszystko podjęła decyzję, by przyjąć ją do pracy, ale wkrótce się okazało, że sprawa dotyczy czegoś zupełnie innego.

– To propozycja dla panny Jenny. Oczywiście, jeśli się zgodzi.

Dziewczyna spojrzała na doktora z niedowierzaniem. Ktoś o niej myślał i miał dla niej propozycje?

– Rozmawiałem z siostrą przełożoną. Mówiłem o takiej bystrej pacjentce, która marzy o pracy w szpitalu. I...

– I... – powtórzyły za nim mimowolnie.

– I przyjmie pannę Jenny na próbę do pracy. Obiecała również, że jeśli się sprawdzi to, co mówię o panie Richards, to przyjmie ją na szkolenie pielęgniarskie. Mieszkanie też się znajdzie, bo...

To było po prostu jak bajka. Wystarczyła jedna osoba zainteresowana losem drugiej, by całkowicie zmienić jej życie. Wystarczyła jedna rozmowa, żeby oczy Jenny rozjaśniły się jak niebo w Sitnie po burzy i żeby nagle uwierzyła w siebie.

– Panie doktorze, nie ma pan pojęcia, jak jestem panu wdzięczna – mówiła do Rosena Felicja. – Nie mam słów...

Schodzili razem po schodach.

– Wystarczy mi pani uśmiech. Nie ma pani pojęcia, jak lubię, kiedy ludzie się do mnie śmieją. Kiedy zajmuję się cierpiącymi, bardzo rzadko mam z czymś takim do czynienia.

Rosen podszedł do stojącego pod ścianą budynku bicykla.

– Potrafi pan jeździć? – zdumiała się.

– To bardzo proste. Chce pani spróbować?

– Ja?

– A dlaczego nie? Nowoczesne kobiety takimi się posługują. Nie ma w tym nic zdrożnego.

– Ale teraz?

– Oczywiście. *Carpe diem*, pani Scott!

Wahała się tylko chwilę. Potem był dotyk jego ręki na jej ramieniu, komendy wydawane spokojnym, niskim głosem. I po kilkunastu minutach się udało. Jechała! To było tak niezwykle uczucie, kiedy mogła przeć naprzód we własnym tempie. I ten pęd powietrza na policzkach.

– Pani Scott! Felicjo! Hamulce!

W końcu udało jej się zakręcić i dojechała do lekarza, który śmiał się z jej przekrzywionego kapelusza.

– Po raz pierwszy widzę, żeby ktoś tak szybko zaczął jeździć.

– To takie wspaniałe! I znów jestem panu wdzięczna!

– I się pani śmieje!

– Bo jestem szczęśliwa!

Dwa dni później, kiedy wychodziła od Jenny, doktor Rosen już na nią czekał. I dwa bicykle. I znów Felicja nie mogła się oprzeć. Bo cóż złego jest w szybkim pedalowaniu przez park. I w tym, że serce szybko bije. Już je dobrze знаła, wcale nie bije na zemdlenie, tylko na ekscytację, na przygodę, na Missisipi, która wylania się za zakrętem, na piękne rezydencje, do których nigdy jej nie zaproszą. W pędzie powietrza, kiedy zostawia wszystko za sobą, nie jest to ważne.

Po niemal godzinie jazdy Felicja poczuła znużenie i doktor Rosen zawrócił do parku.

– I jak, pani Scott?

– Niebiańsko – odparła i przyjęła od niego szklankę z lemoniadą. W pogoni za przygodą nawet nie zauważyła, że doktor zabrał ze sobą piknikowy koszyk. Usiadła na rozłożonym przez niego kocu i dopiero teraz mogła się rozejrzeć.

- Chyba tego pani potrzebowała, prawda? – Rosen zmrużył oczy.
- Musiałam sobie przypomnieć, kim jestem – odpowiedziała z uśmiechem Felicja.
- To świeże powietrze tak działa.

Chciała dodać, że i dobre towarzystwo, ale się bała, że pomyśli, że z nim flirtuje.

- Myślę, że stać panią na wszystko, pani Scott. – Doktor Rosen podał jej rękę, by wstała.

I nagle Felicji się wydało, że krzak za plecami lekarza się poruszył. Przez chwilę miała wrażenie, że widzi niebieski rękaw. Taką koszulę miał Tom! Felicję zmroziło. Czyżby jej mąż ją śledził?

- Czy coś się stało? – Doktor Rosen musiał zauważyć jej zmieszany wzrok.

– Nie. – Potrząsnęła głową, nie spuszczając oczu z krzaka. Był zupełnie nieruchomy. To musiał być ptak. – Pomyślałam tylko, że może stać mnie na wiele, ale okoliczności mnie przerażają.

– Okoliczności zawsze się zmieniają, pani Scott – odparł Rosen i dopiero teraz cofnął rękę.

Godzinę później Felicja wracała do domu jak w transie. Nagle nie widziała już po drodze rozwalających się bud, nieczystości w rynsztoku, bezzębnych staruchów, uwalanych mąką robotników pracujących w młynach czy bezpieczeństwa psów. Nad miastem wisiała tęcza wszelkich możliwości.

Oprócz odmienionego losu Jenny Felicja myślała również o ciemnych oczach doktora Rosena.

Już kiedy przeszła przez most i minęła zaporę, gdzie jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej znajdował się słynny wodospad Świętego Antoniego, wielka atrakcja dla malarzy, pisarzy i turystów, i jeszcze zanim miasto stało się światową stolicą mąki, poczuła unoszący się w powietrzu swąd spalenizny. Pewnie znów ktoś zaprószył ogień albo nastąpił zapłon mąki w młynie, pomyślała, zbliżając się do swojego kwartału. Panował tam znacznie większy ruch niż zazwyczaj o tej godzinie, kiedy fabryki i browar nie skończyły jeszcze pracy.

– Pali się! – wrzeszczały dzieciaki, dla których pożar stanowił jedynie atrakcję, a nie życiową tragedię.

Nos Felicji zlokalizował źródło spalenizny. Musiało się palić na jej ulicy.

– Jesteś wreszcie!

Wzdrygnęła się, czując, że ktoś łapie ją za ramię. Nawet nie patrzyła na boki, tylko do przodu.

– Tom! Co się stało?

– Pali się obok nas.

– Który dom?

– Pani Ravensford.

Kiedy skręcili za róg, sama mogła go już zobaczyć. Posępne gmaszysko pożerały płomienie. Dokoła biegali ludzie, pomagając strażakom w gaszeniu, ale ogień był ogromny i zaczynał lizać ściany domu, w którym mieszkali. Za chwilę spłonie i on! Stracą wszystko. Czemu jej mąż nie jest wraz z ratownikami?

Felicja obróciła się w stronę Toma. Miał niesłychanie spokojny wyraz twarzy.

– Nie martw się! Przeniosłem nas stamtąd.

– Co ty mówisz?

– Znalazłem lepszy dom, prowadzony przez uczciwych ludzi. A tę babę niech piekło pochłonie.

– Jak możesz! To tragedia! Tam jest pełno dziewcząt. Trzeba je...

– Nie, już nie. Wyprowadziliśmy wszystkie. Nawet psa – przerwał jej Tom, uśmiechnięty

od ucha do ucha.

Felicji nie było do śmiechu. Zaczynała się bać.

## Rozdział XXIV

Winona, maj 1901

– Pani Halmanowa! Zdrowia i pomyślności! – Derdowski pomógł jej wysiąść z powozu i cmoknął ją w rękę.

– A ja jeszcze raz dziękuję – powtórzyła Matylda.

Ależ spędziła wspaniały wieczór! Derdowscy zaprosili ją najpierw na herbatę, a potem razem pojechali do teatru na *Komedię omyłek* Szekspira. Występujący aktorzy przybyli do miasta aż z Chicago i udało im się rozbawić Matyldę do łez.

– I jak było, ciotciu? – Drzwi otworzyła jej Brita.

– A ty jeszcze nie w łóżku?

– Jakbym mogła być, kiedy nie wróciliście do domu. Józek też nie.

– Powinnaś się oszczędzać i wypoczywać. – Spojrzała na żonę bratanka z czułością. – Potem się już tak nie wyśpisz.

Brita poklepała się po wystającym brzuchu.

– Jeszcze miesiąc powinno być spokojnie.

– Z lokatorami wszystko w porządku?

– Żadnego nie ma. Jeszcze w salunie.

Matylda rozejrzała się po kuchni. Po prostu lśniła czystością. Od dawna nie było u nich aż tak czysto. Miała dar do sprzątanía ta dziewczyna. Jej samej nie wychodziło to już tak dobrze jak przedtem ze względu na wzrok, Fela była zawsze zbyt pochłonięta marzeniami, żeby zwracać uwagę na rzeczywistość, a Brita pracowała z sercem i oddaniem.

– Naparzę ciotce ziółek, dobrze?

– Oj, rozpieszczasz mnie starą. – Ale w sumie czy mogła mieć coś przeciwko temu? Położyła na stoliku czekoladę, którą kupiła w kawiarni dla Brity. – To i ja ciebie muszę. – Wdzięczna mina dziewczyny starczyła jej za wszelkie podziękowania. – Bóg nam cię zesłał, kochana.

Bo co by było, gdyby dojechała tu tamta Katarzyna? Z pewnością nic dobrego.

Matylda weszła za parawan, gdzie znajdował się jej kąpielownia: zaślana haftowaną narzutą łóżko, komoda i mały stolik, gdzie mogła pisać listy. Zupełnie jej to wystarczało do szczęścia, przez życie nauczyła się nie przywiązywać wagi do spraw materialnych. Młodzi się pobrali, więc powinni mieć własny pokój. I, jak się wkrótce okazało, nie tylko dla siebie. Józul się zgodził na propozycję ciotki, ale jeszcze tego samego dnia rozpoczął prace nad powiększeniem domu. Już latem miał być ukończony kolejny pokój, tym razem na górze, a Matylda wróciłaby do swojej starej izby. Mieszkanie w kuchni miało jednak swoje uroki. Była jak serce rodziny i tu zbiegały się wszystkie ścieżki domowników.

Dobrze będzie mieć nowe dziecko w rodzinie, myślała, choć z pewną obawą, czy sił starczy, by pomóc Bricie. Jej własne wnuki wychowywały się daleko od niej i miała nikłą nadzieję, czy je kiedykolwiek w życiu zobaczy.

– Mamo Matyldo! – tak mówił do niej Joachim. – Dlaczego taki pesymizm u mamy? Będzie jeszcze mama żyła długie lata. A już za parę lat świat będzie zupełnie inny. Między kontynentami będą latały samoloty, automobile dojadą do celu w kilka godzin, zamiast w kilkadziesiąt.

Wracali właśnie z wystawy techniki, na której Matylda z bliska mogła się przyjrzeć takim cudom. Te automobile były po prostu niesłychane! Taki wóz bez konia? To już nie będą

potrzebne? Wszystkie te pomysły i wynalazki trochę ją przytłaczały. Podobnie jak drapacze chmur, do których prowadził ją zachwycony Joachim. Zobaczyła, do czego zdolna jest ludzka myśl, i poruszyło ją to do głębi. Szkoda, że ona sama nic nie wniosła dla ludzkości. Czy hafty i konfitury wiśniowe mogą zmienić świat?

– A Edward ma taki sam uśmiech jak mama. Dałem do oprawy parę jego zdjęć.

– Dziękuję... synku.

Jak niezwykle było wymawiać te słowa, nawet przez tak krótki czas. Najbardziej zdumiewające, iż miała wrażenie, że się po prostu zaprzyjaźnili. Joachim słuchał z uwagą, kiedy starała się streścić mu życie swoje i rodziny. Sam mówił znacznie mniej, ale za to zajmująco.

– Mamo Matylde, tak wiele chciałbym dla mamy zrobić.

A ona go oddała kiedyś obcej kobiecie! Nie pytała Joachima o Wilhelminę, nie chcąc sprawiać sobie bólu, ale czuła, iż ta kobieta stała się dla niego prawdziwą matką i nic, nawet jej śmierć, tego nie zmieni. Mimo wszystko była jej wdzięczna. Pani von Eistetten nigdy nie dała odczuć Joachimowi, że nie jest jej synem. Kochała go tak jak własne dziecko, a nawet bardziej. A Henryk nie tylko zawiódł ją, Matyldę, ale również własnego syna. No cóż...

Kiedy Józul wrócił z pracy w barze, Matylde po wieczornych modlitwach leżała już w łóżku. Słyszała, jak młodzi między sobą szeptali, a potem poszli do siebie. Miała teraz chwilę, żeby pomyśleć o Felicji. Coś się jej bowiem w tym wszystkim nie zgadzało.

Wiadomości od niej były bardzo skąpe. A ostatnio niemal zdawkowe. Wykręcała się brakiem czasu, spotkaniami z ciekawymi ludźmi. Chwaliła się wszystkim jak jej starsza siostra, a to zupełnie do niej nie pasowało. Mała marzycielka Matyldy była zawsze taka skromna i tak pełna współczucia dla innych. W tych listach tego właśnie brakowało. Na żadne święta też nie przyjechała. Było to poniekąd zrozumiałe, bo przecież dopiero zaczęła nową pracę, ale skoro im się tak dobrze powodziło?

Matylde przewracała się z boku na bok, aż wreszcie sięgnęła po kropelki na sen pozostawione jej przez Wierę. Na ogół nie musiała z nich korzystać, ale przecież od samego rana musi być na chodzie. Trzeba było wydać śniadanie. Brita nie może tak ciężko pracować sama!

Naląła już kilka kropli na odrobinę cukru, kiedy usłyszała kroki na korytarzu. Podniosła się z łóżka, wsunęła stopy w pantofle, zapaliła świecę. Wtem drzwi się uchyliły. Stała w nich Brygida.

– Obudziłam ciocię?

– Nie, dziecko, skądże. Tak sobie o wszystkim rozmyślałam i się rozczuliłam, że życie okazało się dla mnie łaskawe. A co ty tu robisz?

– Coś mi jakoś dziwnie. Wyszłam na korytarz, żeby nie budzić Józka. On tak ciężko pracuje.

– Nerwy pewnie. A może dam ci trochę kropelek nasennych?

Brita pokręciła głową i nagle się skrzywiła.

– Oj, jak mi wstyd! Co ja zrobiłam najlepszego!

W świetle świecy Matylde dostrzegła pod nogami dziewczyny kałużę.

– Już biorę szmatę.

Matylde zareagowała błyskawicznie.

– Niczego nie weźmiesz. Dziecko, ty zaczęłaś rodzić.

– Jak to? Jeszcze za wcześnie!

– Kładź się natychmiast na moje łóżko. Ja budzę Józula. Niech leci po akuszerkę.

Najpierw ułożyła Britę na swoim łóżku, a potem ruszyła po bratanka. Józul wyrwany z pierwszego snu nie bardzo wiedział, co się stało. Dopiero po chwili zerwał się na równe nogi

i w rozpiętej koszuli wybiegł z domu. Matylda wróciła do rodzącej.

– Już wszystko dobrze. Zaraz będzie tu akuszerka. – Chciała uspokoić dziewczynę i wstać wódę na piec, ale zobaczyła, że Brita skręca się w męczarniach.

– Tak boli, okropnie boli!

Matko przenajświętsza! Działo się coś okropnego! Jeśli coś się stanie Bricie, Józul tego nie przeżyje. Trzy miesiące wcześniej umarła przy porodzie żona Huberta Jaszewskiego. Wydała na świat bliźniaki, ale przecież wcześniej urodziła trójkę dzieci.

Brita była cała mokra od potu i rzucała głową z boku na bok.

Matylda rozsunęła nogi dziewczyny.

– Ty już rodzisz! – Jeszcze czegoś takiego w życiu nie widziała. Ona sama cierpiała niemal dwie doby, a tu widać było czubek głowy dziecka. – Przyj, Brita, z całych sił! Dziecko już się pcha na świat.

– Józul, Józul!

– A po co ci on? Pobiegł do akuszerki. Same sobie damy radę! Zobaczysz! – zapewniała dziarsko Matylda, ale jej serce łomotało tak mocno, że się bała, czy da radę pomóc.

– Aaaa!

– Co to spać nie dajecie! – Usłyszała nagle głos jednego z lokatorów.

– Kobieta rodzi! Idźcie stąd. Albo nie! – Matylda wpadła na pomysł. – Napalcie w piecu i zagrzejcie wody. Będzie nam potrzebna.

Zanim woda zdążyła się zagotować, zanim Józul przyjechał z akuszerką, było już po wszystkim. Matylda wyczerpana siedziała przy Bricie i zalewała się łzami.

– Brita! – Następnym płaczącym był Józul, który mimo sprzeciwu akuszerki wpadł za parawan.

– Wy się jeszcze nie widzieliście, prawda? To jest mały August – powiedziała Brita i z czułością pogładziła noworodka po głowie.

Był taki tyci, tyci, że Matylda bała się go dotknąć. Jak większy kurczak, powiedziała akuszerka, kiedy go kąpała. Następnego dnia przyszedł ksiądz, żeby go ochrzcić. Wszyscy żyli w strachu, że ta ukochana drobina może w każdej chwili opuścić ten padół, tym bardziej że nie dawała się karmić piersią. Przy każdej próbie karmienia krzyk dziecka rozrywał bębunki domowników. Piersi Brity spuchły i cierpiała okropnie. Po tygodniu wszyscy byli niewyspani i przerażeni. Snuli się po domu, oczekując nieszczęścia. I wówczas wczesnym popołudniem rozległo się pukanie do drzwi. Widząc gości, Matylda się przeżegnała.

– Dobry Pan Bóg wysłuchał moich modlitw.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – odpowiedziała Wiera i po wycelowaniu ciotki ruszyła do kuchni. Jej bystry wzrok ogarnął panujący w izbie nieład. – A tutaj co? Katakлизм?

Joachimek zawisł u szyi Matyldy na dłużej i nie dawał jej dojść do słowa. Tak bardzo wyrósł i w szkolnym mundurku wyglądał na małego dżentelmena.

– Nasza Brita urodziła! – odpowiedziała starsza kobieta, tak jakby Wiera ogłuchła i nie mogła słyszeć rozpaczliwego wrzasku noworodka. Przytuliła do boku chłopca, któremu jak widać takie pieszczoty wciąż się podobały. – Ale mały August nie chce ssać piersi!

– Nie chce? – Wiera zamyśliła się i zdjęła z głowy ogromny kapelusz ozdobiony całym ogrodem kwiatów. – To ja już go zachęcę. – Podkasła rękawy.

– Bój się Boga, Wiera. Nie w tej sukni! – krzyknęła Matylda, patrząc na elegancki jedwab w bordowym kolorze.

– Mam ich więcej. – Wzruszyła ramionami i weszła do sypialni młodych Halmanów.

Matylda została w kuchni z Joachimkiem, nie chcąc przeszkadzać Wilczewskiej w jej

magicznych obrzędach. Pokładała tak silną wiarę w niej, iż się bała, że nie podola, jeśli ją zawiedzie. Kiedy była w Chicago, Joachim bardzo ją wypytywał o Wierę. Jak się miewa i jak się jej powodzi. Kiedy Matyllda opowiadała mu o uratowaniu Józula, kiwał z zachwytem głową, a gdy relacjonowała sprawę cudownego toniku, zaśmiewał się do łez. Wyznał jej, że dzięki Wierze poradził sobie z koszmarem syberyjskiego zesłania. Matyllda zaczęła nawet podejrzewać, że musieli być sobie bliscy. Wprawdzie tak różni, ale kto to wie. Ale oczywiście nie była tego pewna, bo przecież nie wypadało spytać wprost.

Po kwadransie płacz dziecka umilkł, a w drzwiach znów pojawiła się Wiera.

– Dziecko śpi, a teraz zajmijmy się jego mamusią. Bo mleka w niej dość, tylko nie może się ono wydostać. Kartofle u was są?

– No jakżeby nie było! – oburzyła się Matyllda.

W pół godziny udało się nagotować ziemniaków, a potem je utłuc na miazgę. Taką ciepłą jeszcze masę przyłożono na gazie do piersi Brity. Ulga była natychmiastowa. Wkrótce i ona, uspokojona obecnością Wiery, usnęła.

Kobiety zasiadły przy kuchennym stole, a Matyllda przygotowała kawę.

– Ani okruska drożdżówki nie mam. Sił nie starczyło.

– Oj, Matylldo, wy nas wszystkich przeżyjecie. – Wiera poprawiła fałdę sukni. – Tak bardzo jestem *sorry*. Znów nie pisałam.

– Wszystko to nieważne. – Matyllda sięgnęła po rękę Wiery i ucałowała ją.

– Ależ! Co wy! Wy moja rodzina.

– Ty nasza też, Wierka kochana. – No i oczywiście się popłakała, a kiedy się dowiedziała, w jakiej sprawie Wilczewska do nich przyjechała, to już ryczała ze wzruszenia jak bóbr.

Joachimek nienawidził swojej szkoły dla młodych dżentelmenów. Nie mógł sobie poradzić z nauką, a poza tym dokuczali mu koledzy, że nie wygląda jak biały Amerykanin. Wiera zaś rozpoczęła bardzo zyskowną działalność i sprzedawała kremy wygładzające cerę do składów aptecznych w Kalifornii.

– Nie mogę teraz tego zostawić. Myślę, że potrzebuję co najmniej roku. Czy Joachimek mógłby u was zostać? On się tu najlepiej czuje. Ma normalną rodzinę, a nie tylko szaloną matkę. Obiecał mi, że będzie tutaj chodził do szkoły i się dobrze uczył. Ja bym go brała na wakacje do siebie.

Ale oczywiście Wiera zrozumie, jeśli jej odmówią. Mieli teraz przecież dziedzica, małego Augusta, i to wokół niego będzie się koncentrować rodzinne życie.

– Nie pleć, kobieto, głupstw. On nawet będzie miał własny pokój, bo za chwilę Józul kończy górę. Kocham Joachimka jak własnego wnuka. To najwspanialszy pomysł, na jaki wpadłaś!

Matyllda opowiedziała jej o spotkaniu z Joachimem w Chicago. I o tym, jak bardzo był ciekaw jej losów i że zostawił niewielki podarek dla niej na przechowaniu u Matylldy. Tylko sięgnie do komódki. Boże drogi! Jakaż to piękna kolia. Ze złota, prawda?

– I tak się mną interesował? – Wilczewska z czułością gładziła rubiny, które lśniły na naszyjniku jak krople krwi.

– O, bardzo! Chyba to właśnie ty go najbardziej interesowałaś z naszej rodziny.

Wiera wysłuchała tych słów, miętosząc chusteczkę z koronkową mereżką, po czym również wybuchła płaczem. I oczywiście nie powiedziała Matylldzie, dlaczego aż tak bardzo się wzruszyła z powodu Joachima. Ach, te ludzkie sekrety, pomyślała Halmanowa i zabrała się do przygotowywania obiadu. Bo jeść trzeba było!

I nagle za sprawą czarodziejskiej różdżki Wiery wszystko wróciło do normy. Piersi Brity dawały mleko, a mały August się nimi zainteresował. Krzyki umilkły, a Matyllda z okazji

wyjazdu Wilczewskiej mogła wreszcie zająć się ciastem drożdżowym.

– Nie martw się, skarbie, mama do ciebie niedługo wróci. – Ścisnęła mocno rękę Joachimka na peronie dworcowym, kiedy już za horyzontem zniknęła chusteczka Wiery, którą do nich machała z pociągu.

– Ja o tym wiem. Ale mi trochę smutno. – Spojrzał na nią niebieskimi oczami, a Matyldę przeszedł dziwny dreszcz.

– Żałujesz, że nie pojechałeś z mamą?

– Nie, tylko że jej obiecałem, że się teraz będę uczył!

Matylda westchnęła i pokręciła głową, próbując nie okazać wesołości.

Dom był znów dziwnie pusty i niemrawy bez Wiery, która doładowywała go energią. Kiedy parę godzin później rozległo się pukanie, Matylda była przekonana, że Wilczewska zmieniła zdanie i zdecydowała się na powrót.

Rozradowana niemal pobiegła na starych nogach do drzwi.

– Czy mogłabym zobaczyć mojego bratanka? Wiem, że to jeszcze za wcześnie na odwiedziny, ale nie mogę się doczekać.

Na progu stał ktoś od dawna niewidziany. Helena Bronkowa.

– Ależ wchodź. Podobno goście mu wcale nie przeszkadzają. Tak powiedziała Wiera. – Matylda za późno ugryzła się w język.

Przecież Helena nie cierpiała Wilczewskiej i nigdy nie chciała się z nią spotkać, ale tym razem wcale nie zareagowała na to imię i z bladym uśmiechem na twarzy weszła do środka.

Dopiero teraz Matylda zauważyła, jak jej starsza bratanica mocno zeszczupiała. Może na coś zachorowała, bo przecież na brak żywności w domu Bronków nie można było narzekać. Dorian wyglądał jak rumiany pączek. Podobno jego babka zabroniła mu bawić się z innymi chłopcami o polskim pochodzeniu.

– To mam szczęście – powiedziała Helena i podeszła do siedzącego przy kuchennym stole Joachimka.

Odrabiał właśnie prace domowe. Na widok nieznajomej zeskoczył z krzesła i elegancko się uklonił. Szkoła dla młodych dżentelmenów jednak coś dała, pomyślała Matylda.

– Jak się, chłopcze, nazywasz? – spytała Bronkowa po polsku.

– Joachim Wilczewski, proszę pani.

– Miło mi cię poznać. – Ku zdumieniu Halmanowej Helena wyciągnęła do niego rękę. – Ja jestem Helena Bronk. I jestem w zasadzie... twoją przyszywaną ciotką – oznajmiła, a Matylda z wrażenia niemal padła na ziemię.

– Ja już skończyłem lekcje, babciu Matyldo – powiedział nieprzejmujący się niczym Joachimek i zabrał swoje książki ze stołu.

– To najpierw pójde do Brygidy. Jeśli mi pozwolicie, oczywiście.

Ta kobieta była nie do poznania. Skromna, niepewna, zwracająca uwagę na innych. A kiedy zaczęła żartować z Britą i szczebiotać do małego Augusta, oszołomienie Matyldy jeszcze się zwiększyło.

– Przyniosłam mu srebrną łyżeczkę.

– To przyniesie mu bogactwo. – Brita się uśmiechnęła.

– Lepiej szczęście i dobre zdrowie – wtrąciła się Matylda, a Helena przyznała jej rację.

– Nasza ciocia zna się na życiu – zauważyła, a Brita, która co chwila się teraz czymś wzruszała, uderzyła w bek. I za moment dołączył do niej August.

– Chodź lepiej, Helenko, do pokoju – powiedziała ciotka i poprowadziła Bronkową do niewielkiego pomieszczenia, które było zarówno pokojem stołowym dla lokatorów, jak i miejscem, gdzie siadywano od święta.



– Zostańmy w kuchni, ciociu. Tu jest najprzyjemniej.

Świat może się industrializował i nabierał prędkości, ale Matylda, słysząc te słowa, miała wrażenie, że również się kończy.

– Helciu, czy ty nie jesteś przypadkiem chora? – spytała. Na starość miała już serdecznie dość wszelkich niedomówień. Chciała posadzić Helenę przy stole, poczęstować ją kawą i drożdżówką, ale ta nagle znalazła się przy niej i rzuciła się jej w ramiona.

– Oj, ciociu Matyldo, moja kochana.

– Co się stało, moje dziecko?

– Bo mnie tak strasznie brakuje Feli! Tak bardzo za nią tęsknię! Ona pewnie o mnie nawet nie myśli. Tyle złego jej przecież powiedziałam. Tak mi trudno z tym żyć. – I rozplakała się jak mała dziewczynka.

A potem nic nie chciała więcej powiedzieć, poza tym, że musi się zobaczyć z Felicją, naprędce osuszyła łzy chusteczką i podziękowawszy za gościnę, wyszła.

Matylda przez chwilę siedziała z łokciami opartymi na stole, a następnie poszła do swojego kącika i poszukała papieru listowego.

## Rozdział XXV

Monotonne stukanie kół pociągu mogło usypiać. Ale nie głodnego! Felicja dopiła z butelki ostatnie krople i miała nadzieję, że już za godzinę naje się wreszcie do syta. Za półprzykniętymi powiekami co chwila pojawiały się obrazy apetycznych potraw ciotki Matyldy na zmianę z ciemnymi oczami doktora Rosena. Pewnie ich już nigdy w życiu nie zobaczy. Tych oczu, oczywiście! Ze zdumieniem odkryła, że tego było jej najbardziej żal. Bo ani miasta, z którego wyjeżdżała, ani porzuconych nadziei na lepsze jutro.

Kiedy otrzymała list od ciotki, nie wahała się ani sekundy. Z jednej strony przejęła się siostrą, z drugiej uznała, że nie wytrzyma w Minneapolis chwili dłużej. Nie było zresztą najmniejszego sensu. Tom po dwutygodniowej abstynencji zaczął znowu pić i wyglądało, że lada moment nie zdołają zapłacić kolejnego czynszu. Krótka się więc zastanawiała, a potem pomaszerowała do lombardu, by zastawić pierścionek z rubinem, zaręczynowy podarunek od Toma, nagrodę, którą wygrał za celne strzelanie z łuku.

– To nie jest czyste złoto. – Właściciel lombardu nie miał żadnych wątpliwości.

Pierścionek był tak samo oszukany jak całe małżeństwo Felicji. Nawet nie spróbowała pytać w innym lombardzie. Wzięła tyle, ile ofiarował sklepikarz. Razem z resztką pensji od pani Burrows starczy na bilet, pomyślała.

– Jadę do domu – oznajmiła Tomowi, kiedy się obudził następnego dnia. – Moja siostra mnie potrzebuje.

– To dobrze. Myślę, że tak będzie lepiej – odpowiedział i ku zdumieniu Felicji zabrał się do pakowania.

– Ty chcesz ze mną jechać?

– Oczywiście. A chciałabyś mnie zostawić?

O tak! Właśnie tego chciała. Po prostu zostawić go za sobą jak niewygodny bagaż i wrócić do rodzinnego domu. Ale tak się przecież nie dało!

A teraz siedział naprzeciwko niej z zamkniętymi oczami. Od wyjazdu z Minneapolis odezwał się może ze dwa razy i nawet nie zauważył braku pierścionka zaręczynowego na jej palcu. Nic go nie obchodziła, to było pewne. Jenny natomiast płakała tak, że aż dostała czkawki.

– Opuuszczasz mnie. Już nigdy się nie spotkamy.

– Jenny, zaczęłaś pracować. Masz dach nad głową i perspektywę kształcenia. Za chwilę to ty do mnie przyjedziesz.

Dziewczyna w fartuchu pomocnicy szpitalnej wyglądała bardzo schludnie, choć może jeszcze dość blade.

– Będę za tobą tęsknić. Proszę, pisz do mnie listy.

– Od razu napiszę po przyjeździe. I ty też musisz. Choć kilka słów, żebym się o ciebie nie musiała niepokoić.

– Powiesz doktorowi Rosenowi o wyjeździe?

Niby proste pytanie, ale nagle gorąco nabiegło jej na policzki.

Felicja pokręciła głową.

– Ty sama mu powiesz. I pozdrowisz ode mnie.

Nie było sensu dodawać sobie bólu.

– Wiesz, co powinnaś zrobić? – Jenny spojrzała na nią wymownie.

– Wiem, ale jeszcze nie potrafię. – Poszła potem się pożegnać z Gratią Countryman. Ta akurat uznała, że wyjazd jest dobrym pomysłem.

– Wracaj do siebie, a kiedy pojawi się ta posada, będę o nią walczyć jak lew i nie pozwolę jej sobie wyrwać.

Felicja podziękowała wylewnie, nie chcąc rozczarowywać nowej znajomej i mówić jej, że będzie to całkowicie niemożliwe. Kiedy wróci do Winony, za nic już jej nie opuści. Nie nadawała się do przygód i nowości. W zasadzie powinna zostać w Sitnie, ale Winonę też pokochała i to jej już w życiu wystarczy.

Gdy ujrzała znajomą sylwetkę dworca, od razu poczuła przyływ energii. Przybyła do bezpiecznego domu.

Na peronie przywitały ich podmuchy gorącego powietrza zapierającego dech, ale nikt na nich nie czekał. Byłoby to dziwne, skoro nikogo nie zawiadomili. Nie było przecież pieniędzy na depeszę.

– Zanioś rzeczy do domu – odezwał się Tom. Felicja drgnęła, słysząc jego głos. Od dłuższego czasu miała wrażenie, że towarzyszy jej duch. – Pewnie chcesz iść się przywitać.

Tom pochwycił rączkę kufra i z łatwością podniósł go z ziemi. Było w nim znacznie mniej przedmiotów niż przed wyjazdem z Winony. Tak się właśnie wzbogacili, pomyślała z goryczą.

– Daj, twoje książki też wezmę. – Tom sięgnął po jej torbę. – Przecież to parę kroków.

To prawda, ich dom znajdował się niedaleko torów. Da sobie radę bez niej. W tej chwili chciała jak najszybciej go opuścić i znaleźć się na Maple Street.

– Nie czekaj na mnie. Pewnie przenocuję u ciotki – oznajmiła. Była pewna, co mąż robi podczas jej nieobecności. Nie upilnuję go, pomyślała. Jeśli chce dalej pić, nie ma takiej siły, która by go powstrzymała.

Felicja ruszyła przed siebie, zastanawiając się po raz kolejny, co się przydarzyło Helenie. Matylda wprawdzie napisała, że nie jest chora, ale mogło być zupełnie inaczej. Musiała być jakaś przyczyna, dla której siostra nagle się tak zmieniła. Najczęściej ludzie reagowali w taki sposób na nagłą i śmiertelną chorobę. Chcieli skrócić sobie czas oczekiwania w czyścicu.

– Dzień dobry, pani Scott! Do domu się wróciło? Na długo?

– Jeszcze nie wiem, pani Brudzińska.

– Nie ma jak w domu, prawda?

Taki wyświechtany banał, ale kiedy otworzyły się drzwi przy Maple Street i Felicja wpadła w ramiona Matyldy, tak właśnie sobie pomyślała. Te znajome zapachy, ta kochana, stęskniona twarz. Jak ona mogła kiedykolwiek stąd wyjechać?

Nie były to wyszukane smakołyki: zupa fasolowa z ziemniakami i do tego pajda chleba, ale Felicja nie mogła się najeść do syta. Nawet nie spytała, czy innym nie zabiera, tylko jadła i jadła i dopiero przy trzeciej dokładce zaczęła się interesować życiem Halmanów.

– Jedz, dziecko, toż widzę, co się tam z ciebie zrobiło. Chuda jak szczapa! Coś ty tam jadła?

– Nie smakowało, ciociu. – Mówienie prawdy nadal jej nie wychodziło.

– Chyba jeszcze jesteś chudsza od Helci, a myślałam, że to niemożliwe. Tom został w Minneapolis?

Felicja otarła usta.

– Postanowił rozpakować rzeczy w domu.

– Oj, to głodny będzie.

Wcale jej to nie obchodziło. Miała wrażenie, że największym szczęściem kobiet było futrowanie męża jadłem, tylko wówczas czuły się spełnione. Ona chyba nie należała do tej kategorii. Poza tym odkryła, że mąż w ogóle jej nie obchodzi. Najedzony czy nie.

– Coś sobie znajdzie – uspokoiła Matyldę, która mimo swojej nowoczesności w kategoriach żywieniowych była jednak prawdziwą konserwatystką. – Wie, że chcę się z wami wszystkimi spotkać. Powiedziałam mu, że może nawet tu przenocuję. – Wprawdzie było dopiero wczesne popołudnie, ale Felicja nie mogła znieść myśli o powrocie do domu, gdzie zastanie pijanego Toma.

– To się doskonale składa, bo mąż Helci wyjechał w interesach już wczoraj. Jest sama z dziećmi.

Felicja zerwała się z krzesła.

– To ja do niej idę.

– Już cię niesie? Niczego mi nie powiedziałaś, bratanka nie zobaczyłaś. Spocznij jeszcze trochę.

Felicja usiadła z powrotem. Ciotka miała rację. Jak mogłaby wyjść z domu, nie zobaczywszy małego Augusta? Choć tak naprawdę najchętniej by tego uniknęła. Kiedy Matylda powiedziała, że Brygida i jej syn śpią, ucieszyła się. Odwlekał się moment ujrzenia dziecka spłodzonego przez Józula, ofiarę wypadku, w którym połamało mu ponad siedemdziesiąt kości. Ona sama nie nadawała się do niczego. Jest jak pularda, kura, która nie daje jajek! Widać za coś była przez Boga karana. Miała tylko nadzieję, że nie za zerwanie zaręczyn z Jaszewskim. Ale chyba nie, skoro jego własna żona umarła. Matylda już jej zdążyła o tym powiedzieć, jak i o tym, że zapewne będzie się rozglądał za kolejną kandydatką do rodzenia. A ona, Felicja, nie chce o tym słuchać i nie chce patrzeć na niemowlaka, nie chce słuchać zachwyków i tego idiotycznego gruchania. Czy kiedyś jej to przejdzie?

Po półgodzinie zza kuchennych drzwi wychyliła się rozczochrana głowa Brity.

– Felicja! Ciotko, dlaczego mnie nie obudziliście? Nie wiem, kiedy zasnęłam. Jak jakaś księżniczka w ciągu dnia. Co to się ze mną dzieje?

– Toż niedawno urodziłaś. W połogu jesteś – oburzyła się Matylda i zwróciła do Felicji, która ścisnęła serdecznie bratową: – A już się bierze do ciężkiej roboty i do dźwigania.

– Chodź, zobaczysz Augusta! – Brita złapała szwagierkę za rękę i nim ta zdążyła coś powiedzieć, poprowadziła ją do pokoju, gdzie spało dziecko.

– Gratuluję wam – powiedziała dość sztywno Scottowa, wpatrując się w kołyskę malowaną w kaszubskie wzory. – Ale ja z pustymi rękami! – Nagle się jej przypomniało, że przecież nic nie ma dla bratanka. Dla nikogo nic nie miała. Tak bardzo chciała przyjechać do domu, że zupełnie zapomniała, że będą od niej oczekiwać upominków. Teraz się wszyscy domyślą, że kłamała, pisząc o zamożnym życiu.

– Felu, dla nas ty jesteś największym skarbem. – Brygida wpatrywała się w nią jak w obraz. – Ja tak bym chciała, żeby August był taki mądry jak ty.

W tej samej chwili dziecko przez sen zacmokało i zmarszczyło brwi.

– Jaki on śliczny i taki malusi. – Felicja poczuła, jak łzy lecą jej po twarzy.

August zacmokał i rozdarł się bardzo grubym głosem.

– I znowu jeść chce! – Brita rozłożyła ręce i wyjęła go z kołyski.

Za plecami usłyszały, że ktoś wchodzi do kuchni.

– Joachimek wrócił ze szkoły – ucieszyła się Matylda i wypchnęła bratanicę z izby. Brita musi przecież nakarmić dziecko w spokoju.

Jeszcze przez godzinę Felicja nie mogła wyjść z domu, bo najpierw pojawił się młody Wilczewski, a potem jej brat, który usłyszał od Cierzanowej, że do Winony zjechała młodsza siostra. Z każdym trzeba było porozmawiać i usłyszeć wszelkie nowości. Wyruszyła dopiero po piątej. Na szczęście Matylda wcisnęła jej kruche ciasteczka, nie szła więc z pustymi rękami.

Po drodze naszły ją wspomnienia, kiedy to z nadzieją i radością biegła do Heleny, ale za

każdym razem spotykał ją zawód i upokorzenia. Jak będzie tym razem? Może siostra chciała się z nią spotkać tylko po to, by znów jej powiedzieć przykre rzeczy. A może dopytać o Franka? Czy coś wie o jego prowadzeniu się? Czowała w tym wszystkim jakiś podstęp. Nie mogła jednak jej nie odwiedzić. Przecież wszyscy myśleli, że przyjechała tu wyłącznie z troski o Helenę, tylko że ona już od dawna nie czuła, że ma siostrę. To samo mogę powiedzieć o mężu, pomyślała i zacisnęła usta.

Działo się z nią coś bardzo dziwnego. Tyle czasu marzyła o przyjeździe do Winony, a teraz, kiedy już się z nimi uściskała, chętnie znalazłaby się gdzie indziej. Tylko gdzie?

Nowy dom Heleny i Franka Bronków przy Broadwayu był jeszcze bardziej imponujący niż poprzedni, a poza tym znajdował się w najdroższym i najbardziej eleganckim zakątku miasta. W ogrodzie, odsunięty nieco od ulicy, z licznymi detalami architektonicznymi wyglądał tak, jakby należał do któregoś z baronów handlujących drewnem. Może nic dziwnego, bo ponoć Frankowi powodziło się znakomicie w interesach. Wydawało się, że jej siostra osiągnęła w życiu to, co chciała, a tu nagle się okazało, że coś jej się zaczęło nie podobać. No proszę!

Felicja pchnęła furtkę i ruszyła w stronę domu. Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Helena.

Wprawdzie Matylda uprzedziła ją, że Helena się zmieniła, lecz widok siostry wstrząsnął nią głęboko. Ubrana była w suknię z koronkową stójką i wyszywanym karczkiem, ale wyglądała znacznie gorzej niż Jenny w szpitalu. W jej gęstych ciemnych włosach pojawiły się ślady siwizny. Sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Fela! – krzyknęła i rzuciła się jej w ramiona. – Wiedziałam, że przyjedziesz! – I przytuliła ją tak serdecznie i ciepło jak niegdyś, kiedy obie były dziewczynkami i nie mogły się rozstać nawet na chwilę.

Felicja ścisnęła siostrę i czuła pod palcami jej wystające łopatki. Miała wrażenie, że trzyma w ramionach niedożywnionego kurczaka. Nie było żadnej wątpliwości, że Helena jest śmiertelnie chora.

– Trochę schudłam, prawda? – powiedziała sama, widząc, że siostra milczy. – Miałam zapalenie płuc tej wiosny. Ledwie z tego wyszłam, ale już wszystko dobrze. No, chodź do domu, nie będziemy rozmawiać na ganku.

I to wszystko powiedziała po polsku!

Felicja weszła do przestronnego korytarza, kończącego się schodami na górę, i znów oniemiała. Ściany pokryte były tkaninową tapetą w pastelowym kolorze. Wszędzie wisiały obrazy przedstawiające scenki rodzajowe i pejzaże. A przy oknie ozdobionym welurowymi storami stał podest z rzeźbą tancerki z brązu.

– Chcesz zobaczyć dom?

I nim Felicja zdążyła zareagować, jęła oprowadzać siostrę po wszystkich pomieszczeniach.

To po to mnie tu ściągnęła. Znowu udało jej się mnie nabrać, pomyślała Felicja, z przygnębieniem przyglądając się wannie ze złotymi kurkami w łazience. Dlaczego ja? Czyżby Helena nie miała nikogo innego, komu mogłaby imponować? Kogoś, kto umiałby bardziej niż Felicja docenić rozmiar zgromadzonego w tym domu bogactwa? Chciała o to spytać, ale przygnębiona szła potulnie, dając się oprowadzać. Szklane oko pawia stojącego w kącie salonu wydawało się z niej drwić.

Ja nie chcę tu być, zdążyła pomyśleć, gdy nagle bez żadnego ostrzeżenia jej siostra wybuchła płaczem.

– Helu! – zdołała tylko wykrztusić, gdy tamta rzuciła się jej do kolan i zaczęła całować ją po rękach.

– Ja cię tak bardzo przepraszam. Za wszystko! Chyba jest już za późno, byś mi kiedykolwiek wybaczyła, ale muszę to zrobić. Inaczej nie zaznam spokoju. Błagam cię, nie odtrącaj mnie.

– Helena! – Felicja złapała ją za łokcie i podniosła. – Nie rób tego! – Posadziła siostrę na sofie, nie pozwalając całować sobie rąk. – Nie będziesz musiała mnie przepraszać, jeśli w końcu powiesz, o co ci chodzi. Jeśli oczywiście potrafisz – dorzuciła, nie potrafiąc pozbyć się zgryźliwości, ale Helena tylko pochyliła pokornie głowę.

– Zasłużyłam na najgorsze słowa.

– Powiedz mi najpierw, dlaczego cały dom jest pusty. – Dopiero teraz Felicja uświadomiła sobie, że nie widziała ani służby, ani dzieci.

– Frank wyjechał do Chicago. Ma tam podpisać jakiś duży kontrakt. Dora zabrała dzieci do siebie, a ja dałam służbie wychodne na parę dni. Nie chcę nikogo już widzieć. Oprócz ciebie!

– Znów próbowała pochwytać dłoń Felicji.

– Jesteś chora, Helu, prawda? – Felicja spojrzała na zaczerwienione oczy siostry i siniec, który wyłonił się spod pudru.

– Nie, Felu. Jestem zupełnie zdrowa, ale dobrze, że wszyscy myślą, że choruję.

– Co ty opowiadasz?

– To, że jest całkiem inaczej.

Głos Heleny się łamał, mówiła niemal szeptem, ale z każdym jej słowem narastała groza.

Nie mogła zaprzeczyć, że sama tego chciała: wyjść za mąż za Franka. Zakochała się w nim przecież po uszy. Był przystojny, zabawny, ze świetnymi koneksjami. Oczywiście, że podobało się jej, iż jest zamożny, nigdy temu nie zaprzeczy, ale ona chciała dać mu całą siebie. Wkrótce jednak okazało się, że wcale tak nie jest. Nie potrafiła zaspokoić Franka, którego apetyt na jej ciało przekraczał jej siły. Nie przypuszczała, że tak bardzo nie nadaje się do pożycia małżeńskiego, więc kiedy mąż uderzył ją po raz pierwszy, winiła wyłącznie siebie. Przeprosił ją od razu następnego dnia, wręczając pierścionek z brylantem.

– Ale jesteś moją żoną. Czasem nie mogę się powstrzymać – mówił.

I rzeczywiście już po dwóch miesiącach – była wówczas w ciąży z Dorianem – nie mógł. Na szyi Heleny oprócz siniaków pojawiła się kolia ze szmaragdami.

Kiedy urodziła dziecko, Frank dał jej spokój na parę miesięcy. A potem znów się zaczęło. To nawet dziwne, że po tych wszystkich kopniakach udało jej się urodzić jeszcze Amelkę. Pozostałe dzieci nie miały tego szczęścia.

– Poroniłam cztery razy. – Głos Heleny brzmiał jak z krypty. – Ostatni raz w styczniu. Wówczas obiecałam sobie, że nie wpuszczę go więcej do sypialni, ale rozwalił drzwi. Na szczęście zachorowałam na płuca.

– Helenko! – Felicji zabrakło słów.

Frank bił tak, by nie zostawiać śladów, czasem jednak pojawiały się siniaki i zadrapania na twarzy. Ale od czego są strojne sukienki i odpowiedni makijaż. Na ogół używał własnych pięści, lecz miał też bat, którego smagnięcia zamieniały się w niegojące rany.

– Nikt by w to nie wierzył – ciągnęła z rezygnacją Helena. – Kiedyś próbowałam zwierzyć się Dorze, ale powiedziała mi tylko, że mężczyźni bywają gwałtowni, a ja powinnam zadbać o dobre samopoczucie męża.

Bo przecież dobrze zarabiał i zawsze dawał jej wolną rękę w wydawaniu pieniędzy. Mogła kupować drogie stroje, urządzać domy, zatrudniać służbę. W zamian za to pragnął tylko jej strachu i cierpienia. Tylko...

– Tylko tobie mogłam to powiedzieć, Felu, bo ty jedna się czegoś domyślałaś.

– Ja... nigdy bym nie przypuszczała, że to do tego stopnia. To przecież bestia! Helu! Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej?

– Bo się wstydziłam! To chyba oczywiste. Tak bardzo się szczyliłam tym małżeństwem... Udało mi się złapać najlepszą partię w mieście, prawda? – dodała z goryczą.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że tak cierpisz. Zbyt dobrze się kamuflowałaś. Zachowywałaś się jak szczęśliwa mężatka. – W Felicji rodził się gniew. Może Helena sama cierpiała, ale dokładała też cierpienie innym.

– Gdyby Frank się czegoś dowiedział...

– To co?

– To by mnie zabił – dokończyła spokojnie Helena. – A mnie tak żal dzieci. Nie chcę, żeby on je wychował.

– Jak to: zabił? – Felicja patrzyła z niedowierzaniem na siostrę.

– Przecież to proste, Felu. Jestem od niego słabsza. I wszyscy wiedzą, że choruję, prawda?

– To nie może dziać się naprawdę! – Twarz Felicji oblewały rumieńce. – Musisz go zostawić. Natychmiast.

Helena pochyliła głowę.

– Pragnę tego z całego serca. Od dawna rozmyślam, gdzie się skryć. Jak zabrać stąd dzieci i uciec. Mam przecież zapłatę za cierpienie, moją biżuterię. Felu, słyszałam, że tak dobrze sobie radzicie w Minneapolis. Pomogłabyś mi? Co się dzieje? Dlaczego tak zbladłaś?

I nagle kółko się zakręciło. Felicja spojrzała mętnym wzrokiem na siostrę. Tak, świetnie sobie radziła. I świetnie udawała. Ona i Helena były przecież rodzonymi siostrami.

– Teraz ja ci coś powiem, Helciu – zachrypiała. Czuliła się tak, jakby ktoś wbijał jej nóż w brzuch. To było trudniejsze, niż myślała, ale skoro Helena dała radę, to... Stopniowo zaczęły z niej wypływać słowa. Jedno za drugim. I tym razem nie protestowała, gdy siostra sięgnęła po jej dłoń i zatrzymała w swojej. Ten uścisk powinien trwać wiecznie!

Rozstały się wiele godzin później, kiedy nie miały już więcej łez. Może też wyschły od upału, który nocą nie zelżał ani trochę.

Felicja ułożyła Helenę w łóżku, wyszczotkowała jej piękne włosy i długo je gładziła. Jak kiedyś.

– Damy sobie radę, Felu? – spytała po raz kolejny bardzo już sennym głosem siostra.

– Damy radę. Obiecuję. Razem nam się uda.

A potem pocałowała błądy policzek Heleny i wstała z łóżka. Zobaczyła, zasuwając story, że za oknem już świta. Chciała jak najszybciej wracać do domu. Powie o wszystkim Matyldzie, jak uzgodniły z Heleną. Ciotka zawsze najlepiej potrafiła doradzić. Może razem wymyślą, gdzie najlepiej będzie się skryć. I oczywiście, że sobie poradzą. Helena była świetna w robótkach ręcznych, może więc otworzą wspólnie sklep, a jeśli będzie trzeba, wsiądą na statek do Europy i po raz kolejny zostawią za sobą całą przeszłość.

Kiedy schodziła po schodach, usłyszała nagle zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. W pierwszej chwili chciała się cofnąć, ale było na to za późno. W drzwiach, wyłaniając się z porannej poświaty, stał Frank.

– Czy mnie oczy nie mylą? Szwagierka w naszym domu?

– Helenka źle się czuła. Przyszłam się nią zająć – odpowiedziała pozornie spokojnym tonem, bo jej serce nagle przyspieszyło rytm. Jego nie powinno tu być! Miał wrócić za dwa dni. Tak mówiła Helena.

– To może ja bym się mógł zająć tobą. – Frank zastąpił jej drogę.

– Tylko spróbuj. Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. – Z całej siły odtrąciła go i ruszyła w stronę drzwi.

Odepchnięty Frank zdołał złapać ją za rękaw bluzki, ale parła do przodu z taką siłą, że usłyszała tylko trzask rozrywanego materiału i znalazła się na ganku.

Padalec jeden! Trzeba będzie szybko działać, żeby uratować Helenę, pomyślała i zatrzasnęła furtkę z dziką furią.



## Rozdział XXVI

– Felu, Felicjo! Obudź się!

– Chwilkę, ciociu – odpowiedziała i naciągnęła na głowę koc, ale głęboki sen, w który zapadła po powrocie z rezydencji Bronków, zaczynał się nieubłaganie rozpraszać. Biegła jeszcze z Heleną po oświetlonej słońcem łące w Sitnie, ale odgłosy, które do niej dochodziły, były już zupełnie inne. Jakieś dziwne. Szmery, półszepty, czyjś cichy płacz. To brzmiało zupełnie inaczej niż poranna krzątania przy Maple Street.

Felicja usiadła na dawnym łóżku Matyldy znajdującym się w kuchni. Jej koszula była cała przemoczona od potu. Wyrzała zza parawanu i zobaczyła plecy obcego mężczyzny, z którym szeptem rozmawiała Matylda. Kto to był? Chyba nie lokator, bo mówił z czystym amerykańskim akcentem, ale nie słyszała poszczególnych słów.

Sięgnęła po bluzkę. Po przyjściu od Heleny zdążyła tylko zdjąć ją i zzuć buty, kiedy padła bez przytomności. Szkoda, że się nie umyła, bo teraz nie było nawet szansy, by dokonać ablucji. Cała się kleiła od potu. A może ten człowiek zaraz pójdzie? Ponownie zerknęła w głąb kuchni i to, co ujrzała, aż ją odrzuciło w tył. Mężczyzna obrócił się teraz przodem i Felicja ujrzała przypiętą na jego piersi gwiazdę szeryfa. Przebiegł ją dreszcz. Co on tu robił? Momentalnie przyszedł jej na myśl mąż i się przeraziła. W tej samej chwili mężczyzna się obrócił, pożegnał i wyszedł. Twarz Matyldy zwrócona ku niej była cała zapłakana.

– Ciociu! – Natychmiast znalazła się przy starszej kobiecie. Chciała ją spytać, ale nagle zaschło jej w gardle.

– Brita pobiegła już po Józula. Za chwilę tu będzie – powiedziała Halmanowa nieswoim głosem i przytuliła do siebie Felicję. – Moje biedne kochanie!

– Tom nie żyje, prawda?

Ciotka spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby straciła nagle rozum.

– Jaki Tom?

– Ale co...?

– Nasza Helenka.

– Co? – Osunęłyby się na ziemię, gdyby nie przytrzymujące ją ramiona ciotki.

– To był zastępca szeryfa. Powiedział, że Helenka miała wypadek. Chciał nas zawiadomić, bo Frank jest zbyt roztrzęsiony, żeby zrobić to sam. To on pierwszy ją znalazł.

– Już do niej biegnę. Muszę jej pomóc. Ona nie może z nim zostać sama.

– Dziecko, czy ty słyszysz, co do ciebie mówię? W niczym już jej nie pomożesz. Helena nie żyje.

Aż do pogrzebu Felicja siedziała w domu przy Maple Street jak rażona piorunem, w kompletnej apatii. Nie chciała z nikim rozmawiać, a zwłaszcza z Tomem, który zaniepokojony zbyt długą nieobecnością żony przyszedł do Halmanów. Próbował ją pocieszać, ale siedziała na zydelku za parawanem, kiwając się w przód i w tył, i tylko wzdrygnęła się pod dotykiem ręki męża.

Przez dom przewijało się bardzo dużo ludzi. Wszyscy przychodzili składać wyrazy współczucia i oczywiście się dowiedzieć, co się w zasadzie stało. Oficjalna wersja mówiła, że Frank wrócił do domu nad ranem i poszedł od razu spać. Był zbyt zmęczony, żeby się zorientować, o której godzinie jego żona wstała i poszła się kąpać w wannie. Znalazł ją dopiero około dziesiątej. Leżała w łazience z rozbitą głową. Musiała się poślizgnąć i uderzyć w żeliwną kra-

wędz wanny, tak brzmiała opinia lekarza, którego Frank natychmiast zawezwał.

Helena miała być pochowana jak najszybciej. Tak podobno chcieli jej teściowie, bo z Halmanami nikt się nie kontaktował. Matylda wysłała do nich Józefa, ale kiedy wrócił, tylko cisnął czapkę na stół. Jeszcze nikt nie widział tego miłego mężczyzny w stanie tak wielkiego wzburzenia.

– Powiedzieli, że nie będzie żadnego czuwania, żadnej pustej nocy, że jest zbyt duży upał, a poza tym oni sobie nie życzą takich wiejskich obyczajów.

– Nie będzie czuwania? – zafrasowała się Brita.

– Helenki nawet nie ma w domu. Odesłali ją do kostnicy.

– Felu, pójdiesz ze mną, by pomóc ją ubrać? – spytała Matylda i dotknęła delikatnie ramienia bratanicy.

Pokręciła tylko głową. Nie chce widzieć martwej Helenki, nie chce czesać jej martwych włosów, skoro jeszcze dzień wcześniej dotykała żywych.

Felicja wiedziała, że powinna coś powiedzieć, ale milczała. Postanowiła, że wyjawii rodzinie prawdę o Franku dopiero wtedy, kiedy Helena spocznie w ziemi. Bez ryzyka awantury. Bronkowie mogliby wówczas przeszkodzić w przygotowaniach do pogrzebu, co i tak, jak się wkrótce okazało, zrobili.

– To ja wyprasuję ubrania na stypę – odezwała się Brygida.

– Nie będzie żadnej stypy!

– To i stypy nie chcą urządzać? – oburzyła się Matylda.

– Właśnie, że nie. Tak jakby chcieli się jej jak najszybciej pozbyć. Jacy to ludzie bez serca – unosił się Józek, aż musiał zapalić fajkę, choć Brita goniła go, by dymem nie szkodził dziecku. – Dora ma zamiar zabrać Dorianą i Amelkę do Chicago. Tam się przeprowadzają. Przy najmniej na jakiś czas.

– Frank też? – zainteresowała się ciotka.

– Nie, on nie. Przecież prowadzi tu interesy. Miał kandydować w przyszłym roku na burmistrza. Pewnie ze względu na żalobę tego nie zrobi.

Felicja uważała, że wręcz przeciwnie. Nie tylko będzie kandydował, ale nawet do tej pory zdąży się ożenić. I to tym razem z kimś znacznie bardziej wpływowym. Że też tego padalca nie dosięgnie sprawiedliwość Boża! Felicja z rozpaczy ogryzła wszystkie paznokcie, ale nie ruszyła się z miejsca.

– To ja wobec tego idę do Helenki. – Ciotka sięgnęła po szkaplerz, który towarzyszył jej od wyjazdu z Sitna. – Dam jej coś na drogę, żeby pamiętała, skąd jest.

– Że też takie zabobony! – warknęła Felicja. Nie chciała być niemila, ale nie mogła już zdzierżyć tkwiących w niej emocji.

– Może i zabobony, dziecko, ale dla mnie to jest ważne – powiedziała ze spokojem Matylda i wyszła z domu.

Brita spojrzała ze zdziwieniem na Felicję, więc ta spuściła wzrok.

– Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

W dniu pogrzebu Felicja musiała jednak zareagować. Ruszyła się z miejsca i poszła do swojego domu, by się przebrać. W przywiezionym z Minneapolis kufrze miała przecież czarną sukienkę.

Niewielki domek na skraju miasta, w którym przeżyła tyle szczęśliwych chwil, wydał jej się obcy. I pusty. Toma w nim nie było, ale przecież już od dawna wiedziała, że nie może na niego liczyć. Kufer stał, jak go zostawił. Na stole zobaczyła okruchy chleba. Odruchowo zaczęła je zgarniać, ale po chwili zostawiła i zajęła się garderobą.

Pewnie będą się dziwić, że przyszedłam na pogrzeb sama, pomyślała, ale o Tomie też się

wszyscy dowiedzą. Koniec tego ukrywania. Już czas położyć kres tym wszystkim kłamstwom, które stopniowo zamieniają się w pajęczynę potrafiącą splątać wszystkie czyny.

Z domu wyszli we czwórkę. Mały August został pod opieką córki sąsiadów. Józef zamówił powóz, żeby nie zmęczyć Matyldy. Trumna z Heleną miała wyruszyć od Świętego Stanisława. Wchodząc do ogromnej świątyni, Felicja miała wrażenie odrealnienia. Mimo upału kościół wypełniał tłum żałobników. Nie знаła połowy tych twarzy. Zapewne byli to Amerykanie, z którymi mąż Heleny robił interesy.

Bronkowie weszli chwilę po nich. Dwójka dzieci ubranych na czarno pewnie nie zdawała sobie sprawy, co się naprawdę dzieje, choć Amelka wyglądała na zapłakaną. Frank stał ze spuszczoną głową, robiąc wrażenie nieszczęśliwego wdowca.

Felicja jednak nie miała wątpliwości, że to on zabił jej siostrę. Po prostu ją bez litości zamordował. W myślach stale się obwinała za te ostatnie skierowane do niego słowa. Nie pomogła Helenie, choć jej to obiecała, a poza tym przyczyniła się do jej śmierci. Frank z pewnością się domyślił, że jego żona opowiedziała o wszystkim siostrze i teraz ta wyjawi to całej społeczności. A na to przecież nie mógł sobie pozwolić i pozbył się głównego świadka. Podły padalec, powtarzała sobie w myślach jak mantrę, żeby uspokoić nagromadzone emocje. Wszystko się pomieszało. Najpierw były niedowierzanie, smutek, rozpacz, poczucie winy, stopniowo jednak zaczynały narastać gniew i wściekłość. Dlaczego nie urodziła się mężczyzną? Dlaczego musiała żyć stale skrępowana konwenansami, tym, co wypada kobiecie, a co nie, podczas gdy ludziom w spodniach wszystko wypadało. Nawet szalona Wiera znała ograniczenia i musiała się dzielić zyskiem z doktorem. I po co ona chciała wyjść za mąż?

Tom nie pojawił się w kościele, nie było go również w kondukcji, ale nagle znalazł się przy jej boku na cmentarzu. Ogolony, w świeżej białej koszuli, czarnej marynarce i kapeluszu sprawiał nawet miłe wrażenie. Przez chwilę Felicja się zastanawiała, skąd to wszystko wziął, ale potem skierowała swój gniew z powrotem na Franka.

– Widziała pani? To wszystko przez te nowe wynalazki. Wanny, też sobie, jakby miska nie była lepsza – podsłuchiwała, przechodząc w stronę wykopanego grobu.

– Podobno pawia miała. Pawie pióra, nieszczęście w domu.

Zacisnęła zęby i się nie obróciła. Chyba się wszyscy zmówili, żeby doprowadzić ją do stanu wrzenia.

– A ten Franuś taki śliczny od dziecka. Wszyscy się dziwili, że taką biedę sobie znalazł. A jak się wynosiła!

– Ale młody wdowiec to łakomy kąsek dla panien.

Felicja odwróciła się raptownie.

– Dzień dobry, pani Dombrowska.

– Oj, to Felicja. Nie poznałam cię, aniołku, taka chudzinka się z ciebie zrobiła – ciągnęła niezrażona właścicielka magła. – Wyrazy współczucia.

– Ciociu! – Felicja przyłgnęła do rękawa Matyldy.

– Wytrzymaj, kochana. Nie możemy jej zawieść.

Ksiądz proboszcz opowiadał coś o matce zabranej dzieciom, o nici życia przedwcześnie zerwanej, a Felicja patrzyła tęnym wzrokiem na trumnę, w której znajdowała się jej siostra, ofiara sadysty, który przez długie lata się nad nią znęcał. Na kogo teraz się uweźmie? Miała tylko nadzieję, że nie będą to dzieci.

– Felu, dobrze się czujesz? – szepnął jej Tom do ucha, ale nie odpowiedziała, bo właśnie zaczęto składać kondolencje, a do Matyldy zbliżał się Frank.

– Czcigodna ciotko... – zaczął, ale Felicja dała krok w przód i zasłoniła Matyldę. – Tobie też, Felicjo, najszczęsze...

– Jakie szczere, ty potworze w ludzkiej skórze. – Słowa pojawiły się przed myślami. – Wiem o wszystkim. Helena opowiedziała mi o swoich cierpieniach. – Mówiła coraz głośniejsze, aż wszyscy odwrócili głowy.

Frank pobladł, ale nie tracił rezonu.

– Felicjo, oszalałaś z rozpacz.

– Nie oszalałam. Ona już jest w grobie, ale ja o tym wiem i pamiętam. I co? Mnie się też pozbędziesz, podły tchórze?

Ręka Franka się uniosła, ale ona odruchowo cofnęła się, wpadając na Matyldę. Zanim jednak zdążył uderzyć, Frank zatoczył się i pewnie wpadłby do grobu, gdyby nie któryś z jego kuzynów.

– Jeśli jeszcze raz spróbujesz podnieść rękę na moją żonę, to nie ręczę za siebie – mówił spokojnie Tom do Franka ocierającego krew z ust. A potem wziął Felicję pod ramię i zarządził: – Idziemy stąd.

Nie oglądali się na pozostałych Halmanów. Szli naprzód, a tłum żałobników się rozstępował, dając im przejść.

– Dziękuję ci – wyszeptala do męża, gdy byli już za cmentarzem.

– To za twoją siostrę – odpowiedział krótko, prowadząc ją do domu.

Felicja miała ochotę go objąć i ucałować. Nie musiała mu się z niczego tłumaczyć. Zrozumiał ją bez słów i zrobił to, o czym ona sama tylko marzyła. Jej dzielny Tom. Czy było jeszcze możliwe, żeby stał się taki jak przedtem?

Do domu doszła niemal spokojna, ale to nie był koniec emocji, które na nią tego dnia czekały. Kiedy otworzyli drzwi i weszli do środka, Felicja ujrzała jasnowłosego chłopca. Siedział przy stole i wertował książkę. Od razu pomyślała o swoim przyjacielu Antosiu z Sitna, ale to nie był on. A potem spojrział na nią i uśmiechnął się od ucha do ucha.

## Rozdział XXVII

– Leo! – Chłopiec wyskoczył z krzesła jak sprężyna i rzucił się w objęcia Felicji. – Na Boga, skąd ty się tu wzięłeś? I jak ty... – Nie dokończyła.

Twarz małego O’Brady’ego była wymizerowana. Blady, umorusany i w łachmanach wyglądał na ulicznego żebraka.

Leo spojrział na Toma, który stał obok.

– Pan Scott mnie spotkał przy dworcu i tu przyprowadził. Dostałem też prawdziwy stek! – Potrząsnął jasnowłosą głową.

Felicja przypatrywała się przez chwilę jasnym bruzdom na jego policzkach, pozostawionym zapewne przez łzy, i sama miała ochotę się rozplakać. Tom dawał jej znaki, że później jej o wszystkim opowie. Ale co tu było do powiedzenia? Przecież widziała na własne oczy, w jakim stanie jest Leo. I te zawszone włosy. Powinna wprawdzie wrócić na Maple Street, gdzie Matylda, nie oglądając się na poczynania Bronków, postanowiła podjąć żałobników posiłkiem, ale uznała, że najpierw musi się zająć chłopcem. Ciotka, Brita i Ewa, córka sąsiadów, poradzą sobie przez chwilę same.

– A co byś, skarbie, powiedział na prawdziwą kąpiel?

I już po kilkunastu minutach wlewała wodę do cynowej wanienki i szorowała ośmiolatka. Piszczął wprawdzie, kiedy natarła mu głowę naftą – nie była sprawną matką – ale po chwili zaczęło mu się to podobać, zwłaszcza kiedy Tom wrzucił mu łądkę z kory do wanny.

– Tom! Będę musiała iść do ciotki. Możemy go tak zostawić? – spytała męża, kiedy już położyła wytarte dziecko do łóżka.

– Idź sama! Ja z nim zostanę! – powiedział Tom i próbował dotknąć jej ramienia, ale znów jego dotyk parzył. – Dam mu jakąś moją koszulę do spania. Te ubrania trzeba spalić. Jeszcze jakąś zarazę przyniosą.

Wyszli razem na ganek i zaczęli szeptać.

– Gdzie jest matka Leo? – spytała.

Rozłożył ręce.

– Wyjechali rzeczywiście do Wisconsin do jakichś krewnych, ale ci nie chcieli się zająć Minną z tyłoma dziećmi. Oddała więc bliźniaki do adopcji farmerowi z sąsiedztwa, a Leo do przytułku.

– Co?

– Tacy ludzie nie powinni mieć dzieci – oznajmił z powagą Tom. – Po pewnym czasie chyba znudziła się życiem na wsi albo rodzina i ją wypędziła, bo kiedy Leo uciekł z przytułku i trafił do domu krewniaków, już stamtąd zdążyła wyjechać.

– To jak on się tu znalazł?

– Nauczyłaś go czytać, prawda? To wiedział, w jaki pociąg wsiąść. Na gapę. Potem przyszedł do nas, ale dom był zamknięty. Próbował żebrnąć przy dworcu i tam go spotkałem. Nie znam jeszcze szczegółów, pewnie kiedyś nam o wszystkim dokładnie opowie.

– Kiedyś?

– No tak. Chyba go nie oddamy?

Oczywiście, że nie, ale... Myśli Felicji zawirowały. Teraz Tom był trzeźwy, znów zachowywał się racjonalnie, ale wiedziała, że to tylko ułudą. Wkrótce ponownie się upije, a ona zostanie ze wszystkim sama. A teraz nawet nie sama, tylko z dzieckiem, które przeżyło koszmar. Nie zdoła pomóc Leo.

– Porozmawiamy o tym później, dobrze?

– Felicjo, ja już nie będę...

– Proszę cię, nawet nie kończ! – odpowiedziała i szybkim krokiem ruszyła w drogę.

Nie nabierze się kolejny raz, ale musiała wymyślić, co ma zrobić z Leo. Nie zostawi go przecież na pastwę losu. Może ktoś mądrzejszy jej doradzi. Miała nadzieję, że na stypie spotka się z panem Derdowskim.

Zanim jednak zdążyła przejść przez pół miasta, pierwsi goście już wychodzili, a wśród nich pan Hieronim z żoną.

– Ja tak bardzo przepraszam, ale coś się zdarzyło... – zaczęła, zdyszana szybkim marszem.

– Droga Felicjo, wszystko rozumiemy, zapraszamy cię wkrótce do siebie – powiedziała pani Joanna, uśmiechając się serdecznie. – Zobaczysz, jak wyrosły nasze dziewczynki.

Ciotka Matylda nie wyglądała jednak na zadowoloną. Również pozostali goście obrzucili Felicję nieprzyjaznym wzrokiem. Uważali, że jej zachowanie na cmentarzu było karygodne. Wywołała awanturę w poświęconym miejscu, zamiast uszanować pamięć zmarłej siostry.

– Idź lepiej do kuchni i pomóż Bricie. Ona musi nakarmić dziecko – powiedziała szybko Matylda, bo powitanie ze strony Felicji spotkało się z grobową ciszą zebranych.

Kiedy Felicja weszła do kuchni, bratowa była mokra od potu. W pomieszczeniu panował wściekły upał, a wszystkie garnki znajdowały się na fajerkach.

– Idź do małego.

– Felu, a ty się dobrze czujesz? – Pewnie i ona uważała, że jest obłąkana.

– Potem wam wyjaśnię – odpowiedziała i tylko szerzej odemknęła okno. Niewiele to pomogło, ale przez trzy godziny wytężonej pracy Felicja zaczęła dochodzić do siebie.

Kiedy goście wyszli, w kuchni pojawiła się Matylda.

– Mam nadzieję, że wiedziałaś, co robisz.

– Tak, ciotko – powiedziała. Wprawdzie fizycznie była zmęczona, ale w głowie jej się przejaśniło. – I jeszcze raz zrobiłabym to samo.

– Siadaj i mów – rozkazała Matylda.

Powiedziała jej wszystko na temat Heleny i Franka, jak i o Tomie. Ciotka słuchała zępią, a kiedy Felicja skończyła mówić, nie powiedziała nic, tylko zaprowadziła ją do łóżka. Sen przyszedł natychmiast.

W nocy spadł deszcz i przyniósł ulgę. Nawet August nie zapłakał ani razu. Wszyscy spali snem sprawiedliwego, udręczeni tygodniowymi upałami.

Felicja wyszła z domu bladym świtem, zanim którykolwiek z domowników zerwał się na nogi.

Na zewnątrz unosiła się zasłona z białej mgły. Osiadała na włosach i ubraniu. Felicja czuła ją również w gardle. Na ulicach było jeszcze pusto, dopiero za pół godziny wyleje się fala idących do tartaku, browaru, sklepów i banków. Jak co dzień.

Przez tę unoszącą się gęstą mgłę czuła się bardzo nieswojo. Zaslaniała widok, wygłuszała dźwięki i mimo iż знаła ulice Winony od lat, wydawało się jej, że wyglądają teraz zupełnie inaczej.

W pewnej chwili, skręciwszy w Piątą, usłyszała za sobą czyjeś kroki. Obróciła się, ale nikogo nie dostrzegła. Stała na chwilę. Cisza. Nagle poczuła na karku mrowienie i zdrętwiała ze strachu. Ktoś za nią szedł. Nogi zrobiły jej się ciężkie jak z ołowiu. Nie mogła zrobić nawet kroku. Spojrzała w bok, w witrynę sklepową, i zobaczyła tylko nikłe odbicie własnej twarzy.

W tej samej chwili usłyszała tętent końskich kopyt. Wstrzymała oddech, przekonana, że

nagle wyłoni się przed nią piekielny rydwan. Ale to był tylko samotny jeździec. Kiedy podjechał bliżej, zobaczyła, że jest to szeryf. Mijając ją, obrzucił ją uważnym wzrokiem, a potem skinął głową i pojechał dalej.

Przypomniała sobie tamten dzień sprzed lat, kiedy to wybrały się z Heleną do Levee Parku i funkcjonariusz Agencji Pinkertona zastrzelił czarnoskórego zbiega. To był również dzień, kiedy jej siostra spotkała swój los, swego przyszłego oprawcę. Nagły gniew spowodował, że paraliż minął i Felicja szybkim krokiem ruszyła do przodu. Na ulicy zaczęli pojawiać się pierwsi przechodnie. Nikt już za nią nie szedł.

– Czy mogę do pani mówić „ciociu Felicjo”? – spytał Leo i wlepił w nią czarne jak węgiel oczy.

– Tak, jeśli będziesz potrafił przepisać te wszystkie litery. – Felicja uśmiechnęła się i wstała od stołu, przy którym ćwiczyła z małym O’Bradym pisanie.

Leo był u nich od dwóch dni i wciąż nie mogła podjąć decyzji, co z nim zrobić. Tom wprawdzie nie pił i nawet znalazł jakieś tymczasowe zajęcie, ale przecież lada moment mogło się to wszystko zmienić. Nie mogła już na nim polegać, zwłaszcza w kwestii dziecka, które już raz zostało porzucone. Od pogrzebu Heleny i rozmowy z Matyldą nie mogła już o niczym myśleć. Woliała myć okna, sprzątać i bawić się z Leo. Wprawdzie widziały się z ciotką w kościele na różańcu, ale ze względu na towarzystwo chłopca nie mogły porozmawiać o najistotniejszych sprawach. Bez nich i tak życie toczyło się dalej.

– Wiesz co? – zwróciła się do Leo. – Ja teraz wyjdę z domu i pójdę na zakupy. Na jaką zupę miałbyś ochotę? – Zdjęła fartuch kuchenny i powiesiła go na haku.

– Z kartoflami najlepsza – powiedział z uśmiechem Leo, który z każdym dniem przypominał bardziej beztroskie dziecko, a nie bezdomnego żebraka, zwłaszcza od czasu, kiedy Tom obciął mu zbyt długie włosy.

– Dobrze, będzie kartoflanka, proszę najjaśniejszego pana.

– Ale śmiesznie mówisz, ciociu Felicjo.

„Ciociu Felicjo”, jak to miło zabrzmiało. Słyszała to pierwszy raz w życiu. Dorian i Amelka tak do niej nie mówili. W ogóle nie mówili. Po pogrzebie od razu wyjechali wraz z babką Bronkową do Chicago.

Nachyliła się nad chłopcem i ucałowała go w czubek głowy, a potem wyszła.

Zanim zdążyła zejść z ganku, zobaczyła jadącego na bicyle brata.

– Józul, skąd ty to masz?

– Pożyczyłem od Ebertowskiego! – krzyknął, próbując hamować. Niemal stuknął w ganek, ale w ostatniej chwili udało mu się zeskoczyć. – Co to za zwinne diablę, ale ja cię jeszcze okiełznam! – mruknął do roweru i postawił go przy ścianie. – Fela, czy możesz teraz przyjść do nas?

– Mam w domu Leo. Może go najpierw nakarmię i przybiegnę za dwie godziny, dobrze? – Nagle zobaczyła, że Józul jest czymś mocno przejęty, i to wcale nie przejazdzką rowerem. – Coś się stało?

– Powiem ci, jak przyjdiesz.

To musiało być coś poważnego, skoro zjawił się tak nagle.

– Teraz, Józul.

Józef westchnął i spojrzał na siostrę.

– Mąż Heleny nie żyje.

Czy to możliwe? Jeszcze parę dni temu myślała, że dzięki powrotowi do Winony odzyska

spokój. Wszystko, co się ostatnio działo, przypominało zły sen.

Felicja siedziała przy kuchennym stole, słuchając relacji pobladłej Matyldy, która dopiero co wróciła od szeryfa.

Nie, tym razem nie był to żaden nieszczęśliwy wypadek. Frank Bronk został pchnięty nożem i wykrwawił się na śmierć. Lekarz uważał, że został zabity dzień po pogrzebie Heleny. Po wyjeździe Dory z dziećmi cała służba z domu przy Broadwayu została odesłana. Dom miał zostać zamknięty, gdyż Frank zamierzał przeprowadzić się do matki. W posiadłości został tylko ogrodnik, który miał pielęgnować ogród i podlewać znajdujące się na werandzie rośliny. Rankiem zauważył, że drzwi do domu są lekko uchylone, więc wszedł do środka. Zaniepokoiło go donośne brzęczenie much dochodzące z salonu. Przy cokole, gdzie stał wypchany paw, leżał właściciel domu w kałuży zaschniętej krwi, na której ucztowały muchy.

– Szeryf chciał wiedzieć, czy Frank był u nas na stypie. I czy cokolwiek wiemy. Powiedziałam mu, że nic. Prawda? – Matylda spojrzała na zgromadzoną wokół stołu rodzinę.

Felicja przypomniała sobie odgłos kroków we mgle i się wzdrygnęła.

– Nie wiemy przecież! – Brita zamrugła kilkukrotnie.

– Szeryf powiedział, że to wygląda na czyjąś zemstę. Będą teraz przesłuchiwać wszystkich, którzy mieli z Bronkiem na pieńku.

Felicja pochyliła głowę, nie chcąc zdradzać swych myśli. Życzyła Frankowi jak najgorzej za to, co zrobił Helenie, ale przecież nigdy nie mogłaby zabić drugiego człowieka. Chyba jednak знаła kogoś, kto by mógł.

– Tom! – krzyknęła, ale jak podejrzewała, nie było go jeszcze w domu. Albo był w pracy, albo znów to samo. Ale po Leo nie było również ani śladu. Czy poszli razem?

Kręciło jej się w głowie z duchoty i niewyspania, jednak musiała nakarmić dziecko. Sięgnęła po ziemniaki kupione po drodze od Halmanów. Kiedy rozeszła się wieść o zabójstwie Franka, znów się zrobiło zbiegowisko przy Maple Street. Przychodzili zasięgnąć języka o ostatnich wydarzeniach i każdy, dosłownie każdy, wgapił się w Felicję. Nie mogła tego znieść i ukradkiem czmychnęła do siebie. W skołowanej głowie robił jej się jeden wielki mętlik, bo przecież przyznała się ciotce jedynie do pijaństwa Toma. O podejrzeniach nie pisnęła ani słowa. Nie mogła oceniać męża na podstawie urojeń. Tylko czy to jeszcze były urojenia?

Kiedy obierała ziemniaki, zobaczyła nagle Toma w ogrodzie. Naprawiał właśnie płot od strony dawnego domu O’Bradych. Wychyliła się przez okno.

– Tom!

– Już wróciłaś? – Wypluł trzymane w ustach gwoździe.

– Gdzie Leo?

– Gra z chłopcami w piłkę przy torach.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Tom odłożył młotek, podciągnął spodnie i po chwili pojawił się w kuchni.

– Frank nie żyje.

– Aha! – Tylko kiwnął głową, jakby mówiła o pogodzie.

– Frank Bronk, mąż Heleny, rozumiesz?

– Przecież słyszałem. No i co?

– Został zamordowany.

– Złego diabli wzięli.

– Tom, jak możesz?

– O co ci chodzi, Felicjo? Mam ci złożyć kondolencje z powodu szwagra, którego na pogrzebie oskarżyłaś o zabójstwo żony? – Wzruszył ramionami. – Nagle go polubiłaś czy co?



– Tom, ty go uderzyłeś na pogrzebie!

– Żaden sekret. Pół miasta to przecież widziało.

– Przestań tak ze mną rozmawiać. Powiedz mi prawdę!

– Felu, co cię ostatnio opętało? Rozumiem twój gniew, kiedy byłem pijany, ale dzisiaj?

Po prostu udawał, że nie wie, o co chodzi. Tak jak wówczas, kiedy Felicja znajdowała puste butelki pod łóżkiem. Ktoś je musiał tam podrzucić. Duch Święty chyba!

– Słuchaj, ja tego dłużej nie wytrzymam. – Podeszła do niego i pełna złości pociągnęła go za koszulę na piersiach. – Masz mi się natychmiast przyznać.

– Mogę chuchnąć, ale jadłem rano czosnek.

– Za dużo tych zdarzeń, Tomie – mówiła do niego, szarpiąc materiał koszuli. – Pan Giles, O’Brady, spalenie domu dla dziewczynek, teraz Frank. Zbyt wiele, żeby myśleć o czystym przypadku.

– Przypadku czego? – I nagle zrozumiał. – A niech to piorun trzaśnie. Ty uważasz, że to ja? – Jego twarz nagle się zmieniła, a oczy przybrały tak gniewny wyraz, iż Felicja puściła koszulę męża i cofnęła się o krok. – Boisz się mnie? – Tom wyczuł jej strach. – Boisz się własnego męża i uważasz go za mordercę?

– Ja tylko chcę, żebyś powiedział, że nie masz z tym nic wspólnego.

– Wiem, że kłamałem wiele razy w sprawie alkoholu, ale przecież mogę ci przysiąc. – Nachylił się nad nią, a potem prędko cofnął, ale nie tak szybko, by nie mogła pochwycić tego zapachu. To wcale nie był czosnek! I to była ostatnia kropla, która przelała czarę goryczy.

– Odchodzę od ciebie, Tom.

– Do tego lekarza?

– Jakiego?

– Tego, co lubi jeździć na bicyle.

Felicja spojrzała na męża i poczuła, że purpurowieje. A więc wtedy w parku miała rację, gdy czuła, że ktoś się jej przygląda. To był Tom.

– Do żadnego lekarza. Między nami koniec!

– Ja już przecież nie piję. A Leo? Co z małym Leo?

Nie chciała się nad tym zastanawiać. Wiedziała, że jeśli się zawaha choć przez chwilę, nie zostawi Toma. Sprawiał wrażenie zupełnie zagubionego i bezradnego. Dopiero teraz zaczęło do niego dochodzić, co zamierzała zrobić. A potem to rzeczywiście zrobiła.

– Felicja, co się stało? – pytała Brita, pomagając jej wtaszczyć kufer do sieni.

Czy to nie pech, że akurat w momencie ucieczki od męża zaczął padać rzęsisty deszcz! Jechała wprawdzie powozem, ale brezent dziurawego jak sito dachu przeciekał.

– Tośmy się doczekali! – Woźnica i koń nie posiadali się z radości. Końskie kopyta wprost tańczyły. – Wreszcie można sobie pojeździć! – krzyczał woźnica, podkrecając czarnego wąsa.

Deszcz, początkowo ciepły, stopniowo zmieniał temperaturę, ale dla rozgrzanej do czerwoności emocjami Felicji stanowił wielką ulgę.

– Zostawiłam Toma – odpowiedziała spokojnym tonem Bricie.

– Swojego męża?

– Nie mam cudzych – odpowiedziała bez zastanowienia. Powinna ugryźć się w język i nie wygłaszać podobnych uwag. Przyjechała tu prosić, a nie się wymądrzać. Jeśli się nie zgodzą przyjąc ją pod dach, będzie musiała szukać innego lokum.

– Ale ty jesteś odważna, Felu. – Brita spojrzała na nią z podziwem. – Czy jesteś już sufrażystką?

I pomyśleć, że mówi to takie niewiniątko, które oszukało agenta, zabrało bilet przyjaciółki i dojechało na drugą półkulę ziemską. W ciemnowłosej Brygidzie drzemią prawdziwe demony, pomyślała. Nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo do sieni wyszła Matylda.

– Tak coś czułam, że cię dzisiaj zobaczę – powiedziała ciotka i przytuliła ją do siebie. – Czy Tom znów się upił? – spytała szeptem.

– W zasadzie to nie – musiała przyznać Felicja.

– To co się stało?

– Potem powiem wam o wszystkim, ciociu. Ja już dłużej nie mam siły. Jestem taka zmęczona.

– Brita, Fela pójdzie spać na moje łóżko. Joachimek, zabierz swoje rzeczy stamtąd. – Matylda pogoniła chłopca, który musiał być coraz bardziej zdziwiony ostatnimi wydarzeniami. Wiera przysłała go do Winony, żeby wiódł spokojniejsze życie niż z nią, a okazywało się, że staje się tu świadkiem wielu dramatów.

– Nie, ja do kuchni – upierała się, ale była tak słaba, że nie mogła ustać na nogach. Jak to możliwe, że ja, młoda, nie daję rady, a Matylda daje, pomyślała jeszcze na koniec, nim zasnęła.

Kiedy się obudziła, z kuchni dobiegały odgłosy zwykłej krzątanimy. Joachimek, jeśli w ogóle spał w tej samej izbie co ona, zdążył już ją opuścić. Jego łóżko było starannie posłane, a przy drzwiach pozostawiono jej kufer oraz wiadro z wodą do mycia.

Zostawiłam Toma! Felicja zanurzyła twarz w umywalce, jakby chcąc sprawdzić, czy to wszystko jej się nie śniło. I nagle zimna woda sprawiła, że przypomniało jej się coś, co zupełnie zlekceważyła poprzedniego dnia. Zostawiła również Leo. Bitego przez ojca, porzuconego przez matkę. Ośmioletniego chłopca, który jej zaufał. Bez jedzenia! I to z Tomem, który przecież w każdej chwili mógł zniknąć z domu.

Kiedy udało się rozwiązać jeden problem, pojawiał się kolejny. Nie mogła przecież zostawić dzieciaka samopas.

Felicja westchnęła, ubrała się i poszła do kuchni, gdzie Matylda zmywała właśnie naczynia po śniadaniu dla lokatorów. Przez okno zobaczyła Britę, która wyniosła kołyskę do ogrodu, okryła ją siatką przed muchami i bujała małego Augusta.

– Ciociu, odpocznijcie sobie. Ja się tym zajmę. I ugotuję obiad dla wszystkich.

– Ty się tu nie wtrącaj. Zajmij się swoimi sprawami, zjedz śniadanie, a pomagać będziesz od jutra. O to się nie martw – odpowiedziała Matylda.

– Będę musiała załatwić sprawę Leo – powiedziała Felicja, krojąc chleb.

– A co z nim? Pojawił się? – zainteresowała się Matylda.

– Tak. I ja go zostawiłam z Tomem.

– Nic mu się nie stanie. Twój mąż to dobry człowiek, choć ostatnio poplątały mu się wszystkie ścieżki.

– Chcecie przez to powiedzieć, że mam go nie zostawiać? – Felicja odłożyła nóż.

– Nic takiego nie mówię – zachnęła się Matylda. – Zrobisz, jak będziesz uważała, a ja będę cię wspierać.

– Przecież nie mogę tu z wami zostać!

– Możesz. Możesz też robić inne rzeczy. Poczekaj, zaraz ci coś dam – powiedziała Matylda i nałożywszy okulary, zaczęła szperać w komódce za parawanem. – O, jest!

– Co to takiego? – Felicja odebrała od niej kopertę.

– List. Od Wiery. Jakoś była dziwnie pewna, że niedługo przyjedziesz do Winony.

Felicja wytarła ręce i sięgnęła po kopertę.

*Najdroższa Moja Felicjo,*

*piszę do Ciebie rękami Kochanej Matyldy, bo dzięki niej lepiej zrozumiesz, co mam do powiedzenia.*

*Nikt nie wie, co życie przyniesie. Można czekać na dary losu i nic nie robić, ale można też po nie samej sięgnąć. Czasami warto być upartą i nauczyć się przekuwać smutek w radość. Nie jest to łatwe i nie każdemu pewnie się udaje, ale kiedy próbujesz, masz pewien wybór.*

*Mnie nie było łatwo. Ani na Syberii, ani w polskiej krainie, ani też tutaj. Mój wygląd, mowa, dar leczenia – nie przyciągają do mnie ludzi. Jednak Wam to nie przeszkadzało i staliście się moją prawdziwą rodziną. Wydawało mi się, że kiedy zdobędę pieniądze, pomogę mojemu Synowi w wyborze. Pragnęłam, by było Mu lżej w życiu, i chciałam Go posłać do najlepszych szkół. Okazało się, że ich nie pragnie. Woli iść własną drogą.*

*Wiem, że Ciebie – podobnie jak Twojego kuzyna Joachima – zawsze pociągała wiedza. Nie mogłaś jednak studiować, bo nie było za co. Ale dlaczego nie mogłabyś podjąć studiów teraz? Jesteś jeszcze bardzo młoda i całe życie przed Tobą.*

*Ja ofiarowuję Ci kwotę, którą przeznaczyłam na kształcenie mego Syna. Traktuj to jako podarunek. I nie martw się, jakby Joachimek zmienił zdanie, to zdążę jeszcze zarobić drugie tyle. Moje kremy na młodość sprzedają się świetnie w Los Angeles. Próżnych kobiet jest tutaj pod dostatkiem. Proszę Cię, Felicjo, weź te pieniądze i zrób z nich jak najlepszy użytek. Pewnie nie-  
dlugo się zobaczymy.*

*Jesteście cały czas ze mną w moim sercu.*

*Twoja przyjaciółka*

*Wiera*

– O mój Boże! – Z oczu Felicji płynęły łzy. – I co mam teraz zrobić? To przecież moje marzenie. Studia!

Ciekawe, co by na to powiedział doktor Rosen? Ale chyba mogła się tego domyślić!

– Tak jak Wiera powiedziała, masz wybór – oznajmiła Matylda i pogładziła bratanicę po ręce.

Nagle do domu wbiegła zdyszana Brita z Augustem w ramionach.

– Jezu! Coś się dzieje na końcu ulicy. Nie słyszycie tych krzyków?

Wybiegły w trójkę na ganek. Podobnie jak reszta sąsiadów zwabiona krzykami pod domem Jonesów.

– Co tam się dzieje? – Matylda wytrzymała wzrok, ale słabo widziała.

– Nie mam pojęcia. Pełno ludzi się zebrało.

– Szeryf wyprowadza żonę Jonesa z domu. – Pod ganek przybiegł Peter z najświeższą informacją. – A ona się drze wniebogłosey i nie daje się zabrać.

– Co ma szeryf do niej?

– Zaraz się dowiem – powiedział Peter i pobiegł z powrotem.

Nim zdążył zawrócić, zobaczyły Józula jadącego białym Ebertowskiego.

– Słyszałyście, co się stało? – krzyknął do zgromadzonych kobiet.  
– Szeryf wyprowadza rudą Mary.  
– Ha, to nie wszystko! Okazało się, że to ona zabiła męża Heleny! – wykrzyczał Józul.  
– Niech Bogu będą dzięki! – powiedziała Felicja na głos, aż wszyscy na nią dziwnie spojrzeli, myśląc, że tak bardzo życzyła Frankowi śmierci.

Powinna jak najszybciej porozmawiać z Tomem, przeprosić go za swoje myśli, ale dom przy Maple Street znów wypełnili goście, pragnący się czegoś dowiedzieć na temat ostatnich wydarzeń.

– Ona za nim latała od lat – podsłuchiwała Felicja.  
– Jaka ona? To on jej nie dawał spokoju. Mogę się założyć, że nie Jones jest ojcem tego ostatniego dzieciaka.

Po pogrzebie Heleny Mary przyszła do Franka, domagając się, by się z nią ożenił. A on ją wyśmiał. Zaczęli się szarpać i wtedy ona sięgnęła po nóż.

– Skąd to wiadomo? – dopytywała się Matyllda.  
– Ona o wszystkim powiedziała swojej siostrze. Ta nie chciała tego ujawniać, ale kiedy zaaresztowali Jonesa, nie wytrzymała.

– Boże, co to za czasy przyszły – lamentowała Cierzanowa. – Zawsze mówią, że do trzech razy sztuka.

– Jakich trzech? Nie żyją Helena i Frank.  
– A Mary?  
– Chyba ją za to powieszają.  
– Biedne te dzieci Jonesów.  
– A pan August to nigdy za nim nie był.  
– Ludzie, dajcie spokój. – Matyllda próbowała mitygować towarzystwo, ale języki się rozwiązały.

Każdy o czymś słyszał, coś zauważył, a teraz to wszystko łączyło się z sobą w dość spójną całość.

W pewnej chwili Felicja zauważyła stojącego w drzwiach Leo. Zerwała się z krzesła.  
– Miałam iść do was, ale sam zobacz. Muszę pomóc rodzinie. Jesteś pewnie głodny. Przeproszam, że wczoraj nie dałam ci jeść.

– Wujek Tom rozpałił ognisko i jedliśmy pieczone ziemniaki – powiedział Leo.  
Felicja zauważyła jego uciekający wzrok.  
– A jest teraz w domu?  
– Nie, wyszedł. To postanowiłem znaleźć ciocię. Pamiętałem, jaki to dom – oświadczył z dumą chłopiec.

– Leo! – ucieszyła się Matyllda i natychmiast posadziła go obok Joachimka.  
Kiedy się już wszyscy wynieśli, Leo podszedł do porządkującej kuchnię Felicji.  
– Pójdziemy? – Chłopiec zagryzał usta i przestępował z nogi na nogę.

Felicja spojrzała na Leo i zmarszczyła czoło. Było jej tak wstyd z powodu oskarżeń w stosunku do Toma. Tylko gdzie miała go teraz szukać? Przez chwilę się wahała. W tym czasie Leo wybiegł z domu do ogrodu. Felicja wytarła ręce w fartuch i ruszyła za nim.

Leo stał pod płotem. Trzymał w ręce witkę i smagał się nią po łydkach.  
– Leo! Nie rób tego! – powiedziała spokojnym głosem, wzięła go za rękę i zaprowadziła do ławki pod gruszą.

Chłopiec usiadł wraz z nią.  
– Powiedz, co się stało.  
– Ja wiem, dlaczego mnie nie chcecie.

– Co ty opowiadasz?

– Poszłaś sobie, ciociu, ode mnie. Moja mama też mnie wyrzuciła.

– Leo! Słuchaj mnie uważnie. – Klęknęła przed ławką.

Jej wybór stał się oczywisty. Miała w życiu dwa marzenia. Jedno to studia, a drugie – dziecko. Oba się teraz spełniały i wiedziała już, co robić.

– Ja cię nie zostawiłam na zawsze. – Wzięła jego rączki w dłonie. – Ja cię Kocham. Musiałam tylko tu przyjść, żeby pomóc rodzinie. Dużo tu się wydarzyło.

– My też o tym słyszeliśmy. – Leo kiwnął głową, ale się nie wyrwał. – Żona Jonesa jest mordercą, prawda?

– Można i tak powiedzieć – zgodziła się Felicja.

– Ale ja też jestem mordercą, ciociu.

– Nie opowiadaj głupstw. – Podniosła się z klęczek i usiadła na ławce, obejmując Leo ramieniem. – Nawet nie wiesz, co to znaczy.

– Wiem. Zamordowałem mojego tatę.

– Leo! Uspokój się! – krzyknęła na niego, a jej serce puściło się w dziki taniec, chcąc chyba wyrwać się na wolność.

Z oczu chłopca trysnęły łzy.

– On mnie tak bardzo bił. I tamtego dnia też się upił i wiedziałem, że znów mnie złapie i zło mi skórę. Był zawsze ode mnie szybszy. A ja chciałem do ciebie uciec, więc musiałem mu przeszkodzić.

Leo ustawił na ganku skrzynkę z narzędziami. Obmyślił sobie, że jeśli ojciec na nią wpadnie, straci impet i przez to ucieczka będzie możliwa. I tak się stało! Nie przypuszczał jednak, że będzie to fatalny w skutkach upadek. Potem bał się do tego przyznać i cicho siedział, kiedy zastępca szeryfa rozmawiał z matką. Powiedział jej o wszystkim dopiero, kiedy wyjechali do Wisconsin.

– I ona wówczas powiedziała, że nie chce mnie widzieć na oczy. I nie będzie karmiła mordercy! – załkał w fałdach spódnicy Felicji.

Ona sama również płakała. Nad Leo, nad sobą i nad Tomem.

– Leo! – Uniosła jego głowę i zmusiła go, by patrzył na nią. – Nie jesteś żadnym mordercą. To był nieszczęśliwy wypadek. Miałeś prawo się bronić. To była tylko wina twojego ojca. Proszę cię, zapamiętaj te słowa. To była tylko jego wina.

– Naprawdę? – Łkał teraz jak małe dziecko.

Felicja trzymała go w ramionach i gładziła, aż przestał płakać, a potem wytarła mu policzki chusteczką.

– Ja cię nigdy nie zostawię.

– Naprawdę chcesz mnie? Ty i Tom?

Dobre pytanie.

– To może pójdziemy teraz do niego? – zbyła chłopca, nie wiedząc jeszcze, co może mu w życiu zagwarantować.

– Pewnie na nas czeka – odpowiedział, ale sama Felicja w to mocno wątpiła.

Kiedy wrócili do kuchni, okazało się, że Matylda i Józul pojechali na cmentarz. Nie chcieli jej przeszkadzać, wyjaśniła Brita, zaczynając smażyć placki na kolację dla lokatorów.

– Wrócisz do nas? – spytała.

– Dzisiaj już nie. – Felicja uśmiechnęła się do niej, szczęśliwa, że Brita się o nic nie dopytuje, a potem, cały czas trzymając dłoń Leo w swojej, wyszła z domu.

Temperatura powietrza z każdą godziną spadała i mimo iż nadal świeciło słońce, czuć było chłód. Na ulice wylegli tłumnie ludzie, chcąc po wielu dniach siedzenia w domu wreszcie

zażyć świeżego powietrza. Przede wszystkim były to bogate damy, które włożyły wytwornie zdobione kapelusze i udały się na spacer do Levee Parku. Inne postanowiły wyjść na zakupy i wymienić się najnowszymi plotkami. Po Trzeciej powozy jeździły jak oszalałe.

– Wiesz, Leo, że nie będziemy mogli ci niczego obiecać, dopóki nie porozmawiamy z twoimi krewniakami – tłumaczyła Felicja.

– Ale dlaczego? Oni mnie nie chcą.

– Potem może im się odmienić, a tego przecież nie chcemy. Ja się na tym nie znam, ale pewnie trzeba załatwić jakieś formalności. – Mówiła bardziej do siebie niż do chłopca, ale on słuchał każdego jej słowa.

– A nie można powiedzieć, że jestem znajdą i nie pamiętam rodziców?

– Jaki przebiegły! – Zaśmiała się i nagle przed sobą zobaczyła znajomą postać.

Leo również ją dostrzegł.

– Tom! – krzyknął i puścił się do przodu.

Felicja też szła w jego kierunku, ale cała dygotała w środku, zwłaszcza gdy ujrzała, że jej mąż trzyma w ręku bukiet polnych kwiatów.

– Szedłem po ciebie, Felicjo – powiedział, kiedy się do niego zbliżyła. Zatrzymali się na rogu ulicy, a on patrzył jej prosto w oczy. – Wiem, że trudno ci uwierzyć. Tyle razy obiecywałem, że już... – Przerwał, patrząc na Leo, który zainteresował się małym psem merdającym do niego ogonem. – Postaraj się zaufać mi ten ostatni raz.

Wręczył jej kwiaty i zaczęła je wąchać.

– One są z okolicy naszego domku nad rzeką. Byłem w nim dzisiaj i patrzyłem, czy udałoby się nam spędzić nad rzeką kilka dni. Razem z tobą i Leo.

– Tak?

– Z domem w porządku. Wpadnę tam jeszcze kiedyś i poprzybijam trochę poluzowanych desek, ale nie powinnaś być zawiedziona.

– Tom, przepraszam za moje słowa. Nie wiem, dlaczego cię oskarżyłam.

– Nie, to moja wina. To przez moje zachowanie.

– Co się stało, że nagle mam uwierzyć, że to naprawdę koniec? Pojawienie się Leo? Ja doszłam już do granicy, Tomie. Nie wytrzymam kolejnego razu, zrozum. Zwłaszcza jeśli mamy być odpowiedzialni za dziecko.

I wówczas Tom powiedział jej, że przyśniła mu się matka. Po raz pierwszy widział jej rysy twarzy, włosy, oczy. To musiała być ona, bo przecież nigdy w życiu nie widział takiej kobiety. We śnie nie mówiła nic, tylko kręciła głową. Kiedy się obudził, był cały rozgrzany. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. I nagle go oświeciło.

– Zawiodłeś ją też!

– Choć mnie chroniła, ile mogła, choć mi dała życie. Zostań na próbę, Felicjo. Najpierw na tydzień, potem na miesiąc i dłużej. Jeśli tym razem nie wytrzymam, odejdziesz, ale tak się nie stanie. Chyba że to nie jest powód, dla którego chcesz mnie opuścić.

Felicja się zaczerwieniła. To prawda. Nie wiedziała, czy jeszcze go kocha. A jeśli przestała, to czy jeszcze wskrzesi to uczucie?

– Niczego nie obiecuję – odpowiedziała krótko i ruszyła w stronę domu.

Poszli za nią. Kundelek, z którym próbował się zaprzyjaźnić Leo, również nie chciał się z nim rozstać.

– Dziękuję! – Tom pochylił głowę, by pocałować Felicję w policzek, gdy brzeg kapelusza uderzył go w oko. – Auć!

– Uważaj, wujku, kapelusze są niebezpieczne. – Leo zaśmiał się i chwycił jedną ręką Felicję, a drugą Toma. – Czy możemy wziąć tego pieska?

Tom spojrział na Felicję. Uniosła oczy i westchnęła.  
– Jak się będziesz dobrze uczył!  
– Ja? Ja będę najlepszym uczniem w szkole, ciociu! – odpowiedział Leo z taką stanowczością, że oboje dorośli wybuchli śmiechem.  
Zbliżali się do swojej uliczki. Tam również panował większy ruch niż zazwyczaj.  
– Dzień dobry państwu! – Sąsiad Kowalczyk uniósł kapelusz w geście powitania. – Dawno was tu nie było! Słyszałem, że już znaleźli tę kobietę, która zabiła Franka Bronka.  
Tom spojrział ze zdziwieniem na Felicję, a ona wzruszyła ramionami.  
– To prawda. Szeryf ją dzisiaj zabrał.  
Chciała wyjaśnić mężowi, co się stało, gdy nagle z domu po przeciwnej stronie ulicy wybiegła kobieta.  
– Kate! Moja Kate. Czy ktoś ją widział? – Podbiegła do Kowalczyka.  
– Jaka Kate? – krzyknęła kobieta z ganku.  
– Jasne włosy. Jeszcze przed chwilą bawiła się przy domu.  
– Jakieś dzieciaki pobiegły w stronę kolei.  
– Ja wiem, gdzie to jest! – Leo pociągnął za rękaw Toma. – Taka kryjówka. Kładzie się różne rzeczy na torach.  
– Na torach? – Matka Kate pobladła.  
– Zaraz będzie jechał pociąg do Chicago, to pewnie tam są. – Kowalczyk pociągnął nerwowo za wąsy.  
– Ona ma tylko pięć lat!  
– Leo, pokaż, gdzie to jest.  
I nagle wszyscy rzucili się do biegu. Leo, obaj mężczyźni, matka Kate. Po chwili zaczęli do nich dołączać inni sąsiedzi. Felicja biegła razem z nimi, ale w pewnej chwili zakłuło ją serce i musiała się zatrzymać. Oparła się o płot, próbując złapać oddech. W oddali słyszała już świst nadjeżdżającej lokomotywy. I nagle rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk kobiety:  
– Kaaaate! – A potem tylko stukot kół i przenikliwa cisza.  
Mimo iż Felicja miała wrażenie, że zaraz zemdleje, puściła płot i ruszyła do przodu.  
– Lekarza, ludzie, lekarza! – słyszała czyjeś nawoływania.  
A potem krzyczał Leo:  
– Tooom!  
Felicja dotarła do miejsca, z którego widać było tory, i od razu zobaczyła zbiegowisko. A potem wiatr przywiał jej pod nogi kapelusz męża. Podniosła go i przycisnęła do piersi.  
Kobieta trzymała w objęciach jasnowłosą dziewczynkę i odchodziła od tłumu, pozostali pochylali się nad leżącym.  
– Tom – zaczęła krzyczeć. – Tom!  
Nie miała już żadnych wątpliwości. Ona go przecież tak bardzo kocha!

## Epilog

*Winona, wrzesień 1905*

Matylda zbliżyła się do grobu i włożyła pojedynczą różę do wazonika. Wszystkie inne już uschły w ogrodzie, ale ta biała, kryjąca się pod dachem kurnika, jakoś ocalała. Od razu przyszło jej na myśl, że Augustowi by się spodobała. Potrafił przecież być taki sentymentalny.

– Chyba nam nie dane spocząć razem po śmierci, mój kochany – szepnęła pod nosem, najpierw się upewniwszy, czy nikt jej nie obserwuje. – Ale sam przecież rozumiesz, nie mogę inaczej postąpić. Sam byś zrobił to samo, prawda?

Czy ten ptak, który zaczął skakać po grobie kilka metrów od Augusta, był znakiem od niego? Matylda westchnęła i zaczęła śledzić wzrokiem fruującego posłańca, a on wzbił się w górę i po chwili zrzucił swój nieprzyjemny ładunek o krok od niej.

– A niech cię! – Cofnęła się i uderzyła o nagrobek stojący po przeciwnej stronie. – Kara za zabobony! – Przeżegnała się i po raz kolejny poprawiła w wazoniku białą różę. – Przyjdę tu jeszcze, nie denerwuj się. Kto wie, co się w życiu stanie? – perorowała cały czas do Augusta.

Szesnaście lat wcześniej stała przecież na innym cmentarzu, na drugim końcu świata, i również żegnała się ze zmarłymi, ale nie tylko z nimi – ze swoim dzieciństwem i zmarnowaną młodością także. Nie myślała wówczas o tym, że i w nowym miejscu pojawią się groby jej najbliższych. I że z nimi również przyjdzie się jej pożegnać.

– August, rozumiesz chyba, że muszę wyjechać z rodziną naszego Józula. Wiesz, jaką są dla mnie pociechą na stare lata.

Szczególnie mała Ania, która w poprzednim miesiącu skończyła trzy lata. Była tak bardzo podobna do Matyldy. Nie tylko z jasnych włosów i niebieskich oczu, ale z zamiłowania do wiedzy już od najmłodszych lat. To dziecko umiało czytać! Najbardziej zaskoczona była Brygida. Ona też nigdy by się nie spodziewała, że urodzi geniusza. Mały August również im się udał i podobnie jak jego ojciec kochał zwierzęta. Wszystkie psy przybłądy się do niego łąsiły.

– Oj, rozrasta się nasza rodzina Halmanów, Augustcie. Najmłodszy, Janek, już zaczyna chodzić.

I całe szczęście. Będzie z nim mniej kłopotów, kiedy wyruszą w tak długą drogę. Nad kolejną wodę! Tam już na pewno świat się kończy, zaśmiała się do siebie.

Razem ze starym światem kończyły się wielkie imperia drzewne w Winonie. Zamknięto już dwa tartaki, a mówiono, że niedługo padną ostatnie. I znów ludzie, w tym ich rodacy, wyruszą za pracą. Do Dakoty Południowej, Newady, Montany. Ale rodzina Halmanów jechała jeszcze dalej, a to za sprawą Wiery, która chciała ich mieć wreszcie przy sobie.

„Hollywood to taka spokojna miejscowość wśród gajów oliwnych i farm cytrusowych, będzie się wam podobać”, tłumaczyła Wilczewska, która właśnie tam zainwestowała część swoich pieniędzy.

„Holly wood”, święte drewno, pomyślała wówczas Matylda i uznała to za znak, gdyż przecież przez całe życie Halmanowie podążali za drewnem. Józul nie zważał na nazwy, ale zainteresował się kupnem parceli, na której zamierzali zbudować hotel. Tym razem prawdziwy, niewielki hotel, a nie, jak to mawiał Derdowski, ludowy, z pokojkami wynajmowanymi robotnikom.

– Toż to tyle pieniędzy – martwiła się Brygida, ale Wiera zapewniała ich, że nie muszą się o nic martwić, bo ona za nich wyłoży, a spłaca ją, kiedy się da.

Również Joachim okazał się bardzo szczodry, usłyszawszy o ich nowym przedsięwzięciu.



Józul zdecydował się przyjąć od niego pieniądze tylko pod warunkiem, że będzie odsyłał kuzynowi część zysków. Oczywiście był pewien, że takowe będą. Od kiedy założył rodzinę, mały Józul stał się bardzo stanowczym i odpowiedzialnym mężczyzną. A przecież nikt nie dawał mu szans, kiedy maszyna tartaczna go zmasakrowała.

– Dziękuję, Auguście, że nas tu zabrałeś. To miejsce dało nam nową przyszłość. – Matylda pogłaskała krzyż, otarła łzę i przeszła parę alejek dalej, do mogiły Heleny.

A jej cóż mogła powiedzieć? Niewiele. Dzieci bratanicy nie mieszkały już w Winonie, tylko w Chicago. I tylko dzięki Felicji mogła się cieszyć ich fotografią. Nawet nie będą pamiętać, skąd pochodzą. Podobno nie potrafiły już powiedzieć ani słowa po polsku.

– Moje biedactwo! – powiedziała tylko, spoglądając na zdjęcie bratanicy, na którym wyglądała jak księżniczka. – Opowiem ci dzisiaj o twojej siostrze, bo pewnie była zbyt skromna, by o tym sama wspomnieć...

Nie było nawet co poprawiać przy tym grobie. Fela o wszystko już wcześniej zadbała. Powyrywała chwasty i ponasadzała wszędzie stokrotki, ukochane kwiatki Helci.

Matylda wiedziała, że bratanica stale przeżywa śmierć siostry i dręczy się wyrzutami sumienia, choć nie miało to najmniejszego sensu. Bo przecież jedyną osobą, która przyczyniła się do śmierci Helenki, był jej mąż. Felicja poruszyła niebo i ziemię, by nie pochowano go obok żony. W desperacji poszła nawet do księdza Pacholskiego.

I tak już się nigdy nie spotkają, bo on z piekła nie wyjdzie, pomyślała Matylda gniewnie, aż serce zaczęło jej mocniej bić.

Oj, nie mogła sobie pozwolić na żadne choroby przed podróżą, nie teraz. Odwróciła się od grobu i zaszła do kolejnego.

Ten widać był na bieżąco odwiedzany przez wdowę i stale leżały na nim świeże kwiaty. Dzisiaj chyba też tu była, choć przecież miała na głowie tyle innych zajęć. Sama opiekowała się dwiema córkami, a poza tym nie zrezygnowała z prowadzenia gazety. „Katolik” musi być dalej wydawany, postanowiła ta waleczna kobieta i nie poddawała się. Kiedy dowiedziała się o ich wyjeździe, długo nie mogła się uspokoić.

– Serce mi krwawi, że nasze miasto opuszcza tak duża grupa Polaków, ale kiedy robią to tacy przyjaciele jak wy, Matyldo, to staje się to nie do zniesienia. Nie wiem, jak sobie poradzę.

– Jak zawsze, pani Joanno! – Matylda poklepała młodszą przyjaciółkę po ręku. – Inni tu przecież zostają. Pani krewniacy również. A kiedy się już urządzimy, to zapraszamy do siebie. Chyba podróżę się pani nie boi?

Derdowska uściskała Matyldę z całych sił i podarowała jej jedno z ostatnich zdjęć jej męża.

– Pamiętamy dobrze, jaki był z niego raptus i uparciuch, ale tak bardzo mi go brakuje.

Matylda spojrzała na nagrobną tablicę. To nie był przecież stary człowiek, pomyślała, przyglądając się datom. Tylko pięćdziesiąt lat. Jednak ze względu na tuszę pana Derdowskiego ludziom się wydawało, że jest znacznie starszy.

– *Niech mdze pòchwòlony Jezës Christu*, panie Hieronimie! Już trzy lata nie ma pana z nami, a ciągle mi się przypomina to nieszczęsne lato, kiedy pan się zdecydował nas opuścić.

Tego sierpniowego dnia wybrał się z rodziną i znajomymi na piknik. Trudno było mu chodzić ze względu na chorą nogę, ale tak bardzo lubił patrzeć na wzgórza wokół jeziora Winona, iż tym razem nie odmówił. Okolica przypominała mu przecież rodzinne strony i kaszubski krajobraz i to właśnie ją sobie wybrał na ostatnią scenerię. Następnego ranka poczuł się znacznie gorzej, oko zaszło mu krwią i kiedy wezwana Matylda przybiegła na pomoc, nikt nie miał już wątpliwości, iż dostał kolejnego udaru. Tym razem z niego nie wyszedł.

Matyldzie bardzo brakowało ich wspólnych rozmów, jego żartów i pięknego języka, któ-

rym się posługiwał. Do czasu przyjazdu do Winony nigdy nie przyjaźniła się z żadnym mężczyzną, a nawet za jego życia nigdy nie nazywała tego przyjaźnią, dopiero potem zrozumiała, że tak właśnie było.

Po drodze z cmentarza Matylda zadrżała jeszcze na groby paru starych znajomych i kiedy podniosła się znad mogiły Cierzanowej, poczuła, że przesadziła z tą wędrówką. Oby to nie skończyło się podobnie jak w przypadku pana Hieronima, pomyślała. Kiedy jednak dochodziła do bramy, od razu poczuła ulgę. Stał tam niewielki powóz ciągnięty przez jednego konia, a lejce trzymała jej bratanica.

Felicja uśmiechnęła się do Matyldy i pomyślała, że ciotka się wcale nie postarzała od świąt Bożego Narodzenia, kiedy widziała ją po raz ostatni. Może miała kilka zmarszczek więcej, ale jej postura była nadal wyprostowana i dumna. I włosy jasne, tyle że od siwizny, migoczące jak żywe srebro.

– Pomyślałam, że się ciocia zmęczy! – Zeskoczyła z wozu, by pomóc wsiąść starszej kobiecie.

– Ale się z ciebie woźnica zrobił na schwał! – Matylda kiwnęła głową z aprobatą.

– Toż to nic trudnego. Spróbuje ciocia?

– O nie. Teraz to już twoja kolej trzymać lejce.

– Ten koń jest tak łagodny, że sam znajdzie drogę do domu. Wie ciocia, że Józul nie używa bata.

– I dlatego tak go wszystkie zwierzaki słuchają. Psy chodzą bez łańcucha. Ptaki jedzą mu z ręki. Święty Franciszek się z niego zrobił.

– Ale całe szczęście, że żonaty.

– To prawda. – Matylda zaśmiała się i poklepała bratanicę po ręce. – Wiesz, że nie chcę, byś już wyjeżdżała?

Felicja pochyliła głowę. Cóż mogła na to powiedzieć. Jej też serce ścisnęło się na samą myśl, że widzi swój winoński dom po raz ostatni. Podróż do Kalifornii, by mogła ich ponownie zobaczyć, potrwa wieki. Ale pojedzie tam, teraz była tego pewna.

– Ciociu! – Felicja popuściła lejce i pocałowała pomarszczoną dłoń siedzącej obok kobiety.

– To ja cię powinnam ucałować. Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem z ciebie dumna. Pierwsza kobieta po studiach w naszej rodzinie.

– Patrzą tu na mnie jak na dziwoląga!

– Chyba się już nimi nie przejmujesz?

Nie, dawno minęły czasy, kiedy Felicja przejmowała się każdym krzywym uśmiechem i niemiłym komentarzem. Od kiedy zaczęła studiować, wszystkie jej lęki zniknęły, a ona sama poczuła, że jest coś warta. Ciężko pracowała, aby skończyć studia na Uniwersytecie Chicagowskim jako prymuska. Jej wydział socjologii był młody, założony zaledwie parę lat wcześniej jako pierwszy w Stanach Zjednoczonych. Pewnie sama nie dokonałaby tego wyboru, ale Gratia Countryman, która została jej kolejną przyjaciółką na odległość i pierwszą dyrektorką biblioteki w Stanach Zjednoczonych, miała dobrego nosa nie tylko do organizacji i katalogowania. To ona poleciła jej te dość egzotyczne studia. I tak dostała się pod opiekę profesora Thomasa. Obecnie chciał, by została jego asystentką. Zaprosił ją nawet do współpracy w ramach projektu, który miał się zajmować badaniami socjologicznymi nad grupą polskich chłopów, którzy wyemigrowali do Ameryki. Felicja jeszcze nie podjęła decyzji, co mu odpowiedzieć. W zasadzie to nawet nie powinna wyjeżdżać z Chicago, ale musiała przecież spotkać się z rodziną przed wyjazdem.

Minęły po drodze trzy wozy załadowane po brzegi. Byli to Polacy, których twarze

Matylda kojarzyła z kościoła. Smutno było patrzeć na taki exodus i oglądać popakowane pie-rzyny sąsiadów. Felicja odwróciła wzrok.

– Już myślałem, że zdecydowałaś się zostać z nami! – Józul roześmiał się, kiedy zaje-chały przed dom, i chwycił za lejce.

– Wiem, pociąg już za godzinę. Nie mogę uwierzyć, jak szybko to minęło. Napiszcie koniecznie od razu po przyjeździe – poprosiła Felicja.

– Nie wcześniej niż przed końcem sezonu. Przecież nie możemy wyrzucić naszych loka-torów, nim zamkną tartak na zimę. Poza tym Joachimek zmyłby nam głowę.

Młody Wilczewski był dla Felicji największym zaskoczeniem po przyjeździe. Tak bardzo zmienił się podczas tych paru miesięcy. Miał już zupełnie męski głos, przerósł Józula o głowę i od czerwca pracował jako stażysta w tartaku. Zajmował się tam maszynami, do których miał zawsze dryg. I to właśnie Joachimek najbardziej rozpaczał z powodu wyjazdu, choć przecież w Kalifornii mieszkała jego matka.

– Ciocia Felicja! – Mała Ania wdrapała się jej na kolana i wycisnęła na policzku mokry pocałunek. – Zostań z nami.

– Muszę jechać, ale może mnie odwiedzisz?

– Tak, z babcią – odpowiedziała rezolutna trzylatka i pobiegła przytulić się do fartucha Matyldy.

Felicja nie mogła już dłużej znieść wzruszenia i się rozplakała. Tak jak robiła, kiedy tu mieszkała i ze wszystkimi zmartwieniami i radościami biegła do Matyldy. Po chwili wszyscy płakali, obejmując się z całych sił.

Jeszcze przed samym wyjściem Felicja rozejrzała się po raz ostatni i wciągnęła pełne noz-drza zapachu, który, jak wiedziała, musi wystarczyć jej do końca życia. Do zapachu Sitna doszedł teraz kolejny – ten tartaczno-rzeczny, przenikający się z aromatem przypraw Wiery i wypieków Matyldy. Przez chwilę poczuła również zapach Heleny, tak jakby jej duch przemknął obok niej. Poczuła nawet jej dotyk na włosach.

Zapłakana przyłożyła mokrą chusteczkę do twarzy, ale natychmiast Brita wcisnęła jej do ręki świeżą.

Józul wyniósł jej niewielką torbę do powozu i jeszcze raz się wyściskali. Matylda, Brita, Joachim i starsze dzieci. Patrzyła za nimi, dopóki powóz nie skręcił. Płacz wciąż dławił ją w gar-dle wraz z pyłem ulicy i przez dłuższą chwilę nie mogła mówić. Józul też milczał, choć poprzed-niej nocy wyjątkowo jak na niego rozmawiał z nią aż do północy. Teraz żegnali się w ciszy.

W pewnej chwili Józul się zachnął, widząc nadjeżdżający w ich kierunku powóz.

– Co się dzieje? – Felicja spojrzała na brata.

– Twój niedoszły się żeni.

– Kto?

– Już nie pamiętasz?

Powóz właśnie ich mijał. Na siedzeniu woźnicy siedział ubrany na ciemno mężczyzna, a obok niego młodziutka dziewczyna w białej sukni i welonie. Z czerwonym nosem, pewnie od płaczu, wyglądała na mocno przestraszoną. Z tylnego siedzenia wyglądała gromadka nie do końca domytych dzieci. W ostatniej chwili Hubert Jaszewski uchylił kapelusza i rzucił im ponure spojrzenie.

– Znalazł sobie żonę z Polski. To daleka kuzynka Zaborowskich. Ma osiemnaście lat.

Osiemnaście lat! I już będzie matką pięciorga dzieci. Taka młoda i zahukana. Jakież to życie jej przypadnie, pomyślała Felicja ze współczuciem o zasmarkanej Jaszewskiej. I jakie to szczęście, że jej samej udało się uniknąć podobnego losu!

A potem wszystko się tak szybko potoczyło. Na peronie panował znacznie większy ruch niż zazwyczaj. Wyglądało na to, że miasto opuszcza wyjątkowo dużo ludzi. Felicja, nauczona wcześniejszymi doświadczeniami, przyciskała do siebie bagaż. I jeszcze był mocny uścisk brata, jego zapłakane oczy, świst lokomotywy. I wreszcie miejsce, które tak bardzo pokochała, pozostało w tyle.

Przez kilka godzin Felicja nie mogła przestać myśleć o najbliższych. Przypominała sobie ich przyjazd do Winony, stryja Augusta, Helenę, spotkania z Tomem w domku nad rzeką. Znow biegła do niego przez łąkę, znow pochylali się nad rudym szczeniakiem, a Tom dotykał jej ręki. A potem znow widziała jadący wóz wiozący młodą, zapłakaną dziewczynę, która miała zacząć nowe życie. Czy ona też będzie przyglądała się gwiazdom, zastanawiając się, czy niebo w Winonie jest takie samo jak w domu? Pewnie nie. Przy piątce dzieci człowiek nie ma czasu na nic. Ona sama miała szczęście i coraz częściej udawało jej się obserwować gwiazdy z ogrodu domu. Nawet z myślą o Helenie nauczyła się nazw wielu gwiazdozbiorów. Bo może jej siostra gdzieś tam była? Wreszcie, zmęczona emocjami i znużona rytmicznym stukotem kół, zasnęła.

– Proszę pani, proszę pani, proszę się obudzić. Za chwilę Chicago!

Jak to się mogło stać? Przespała całą noc. Konduktor musiał zaglądać do przedziału i strach pomyśleć, jak wtedy wyglądała. Pospiesznie zaczęła się szykować, poprawiać włosy, przecierać chusteczką twarz. Sprawdziła, ile ma pieniędzy, i z ulgą stwierdziła, że wystarczy jej na przejazd tramwajem. Zostawiła prawie wszystko Bricie, żeby mogła kupić dzieciom prezenty na święta.

Felicja zdążyła się przygotować, zanim pociąg zwolnił i wtoczył się na Wells Street Station, stację przeznaczoną dla Kolei Północno-zachodniej. Wstała i sięgnęła po torbę. Bez trudu mogła ją udźwignąć. Tak zresztą wcześniej zaplanowała.

– Do widzenia pani. Zapraszamy ponownie. – Konduktor uśmiechnął się do niej i zsalutował.

– Dziękuję bardzo! – odpowiedziała i czuła, że żal ponownie zatyka jej gardło.

Pewnie nieprędko wybierze się do Winony. Chyba że zajedzie tam w drodze do Jenny. Odwiedzały się przynajmniej raz na pół roku. Jenny spełniła swoje marzenia i została pielęgniarką. Zarówno lekarze, jak i pacjenci nie mogli się jej nachwalić. Trochę przytyła i jeździła teraz do pracy brykiem. Gratia doniosła jej, że Jenny wpada do biblioteki przynajmniej raz na tydzień.

Konduktor podał jej rękę i pomógł znieść torbę. Stała na peronie lekko zdezorientowana i zdziwiona, że już ma pod stopami stabilny grunt. I nagle zobaczyła, że z drugiej strony peronu zbliża się znajoma postać. O tym niepowtarzalnym kolorze włosów.

– Tom! – Pomachała do męża.

– Jesteś wreszcie! Tak bardzo się za tobą stęskniłem – powiedział i objął ją w pasie.

– Myślałam, że nie wyjdiesz po mnie, bo będziesz w pracy.

– Tim mnie zastąpił na przedpołudnie. Chłopcy wiedzą, co mają do roboty. Nie będzie żadnej wpadki. – Tom się roześmiał.

Był taki sam jak wówczas, gdy go spotkała. Wypadek cztery lata wcześniej, w którym nakrył własnym ciałem małą Kate pod jadącym pociągiem, tylko groźnie wyglądał. Poza niewielkimi obrażeniami i sińcami Tomowi nic się nie stało, a raczej stało się. Od tego czasu nie tknął ani kropli alkoholu. I przysiągł Felicji, że nigdy tego nie zrobi. Nie wierzyła mu wcale. Nie chciała nawet, by jechał z nią do Chicago, gdzie miała zamiar rozpocząć studia, ale on cierpliwie czekał i stopniowo przekonywał ją, że się zmienił. Pewnie nigdy nie przekona jej całkowicie, ale kochała go zbyt mocno, żeby nie dać mu tej ostatniej szansy.

Do tej pory jej nie zawiódł. W Chicago zaczął pracę przy budowie wieżowców, gdzie

doceniono jego brak lęku wysokości. Po roku zebrał ekipę, której trzon stanowili jego indiańscy kuzyni, i założył własną firmę budowlaną. Po dwóch latach Felicja nie potrzebowała już pieniędzy od Wiery na studia. Zaczęło się im bardzo dobrze powodzić.

– A gdzie on się podział? – Tom rozglądało się wkoło. – O, jest!

– Zabrałeś Leo? Nie poszedł dzisiaj do szkoły?

– To przecież wyjątkowy dzień. Nie mogłem mu tego odmówić.

Długonogiemu chłopakowi potrzeba było zaledwie paru sekund, by wpaść jak pocisk w ramiona roześmianej Felicji.

– Synku! – Potargała mu jasne włosy.

– Uważaj, nie tak mocno, bo ją zadusisz – skarcił go Tom i spojrzał żonie w oczy.

– Mam tyle do opowiadania! – Jednym ramieniem przytuliła do siebie męża, drugim Leo.

Znów jej się zebrało na płacz. Te łzy chyba nigdy nie obeschną!

– A jak się czujesz? – Wzrok Toma był tak przenikliwy, że chciała mu natychmiast o wszystkim powiedzieć. Nie mogła tego zrobić wcześniej, boby jej nie pozwolił jechać, ale Matylda i Brita już o tym wiedziały.

Za mniej więcej pół roku urodzi im się dziecko. I była święcie przekonana, że to będzie dziewczynka. Już nawet nadała jej imię, Helen Nancy.

– Czuję się świetnie! – Najpierw ucałowała w policzek męża, a potem Leo.

Idąc wolnym krokiem, opuścili budynek dworca kolejowego i wyszli na ulicę.

Felicja spojrzała w górę. Świeciło słońce, a niebo zachwycalo ciemnogramatową barwą. Zmrużyła oczy i uniosła rękę, jakby chciała go dotknąć. To już nie było nowe niebo, tylko jej własne.

KONIEC

1 września 2017

## Podziękowania

Przede wszystkim największe podziękowania należą się mojej „małej” siostrze, Damarze Karolinie Larsen. Na bieżąco wysłuchiwała moich opowieści, doradzała mi, zabierała mnie na wycieczki do Winony i chodziła ze mną wszędzie śladami bohaterów, czytała także książkę we fragmentach. A poza tym jest dla mnie w życiu największą podporą i bardzo ją Kocham.

Książka pewnie nie powstałaby bez inspirujących wspomnień ojca Paula Brezy, prowadzącego Muzeum Polskie w Winonie, wspaniałego człowieka i entuzjasty wszystkiego, co polskie i kaszubskie. Dziękuję również jego fantastycznym pracownikom-wolontariuszom, obu Luizom i Adamowi. Dzięki Wam *Nowe niebo* po prostu samo się napisało.

Dziękuję Karolinie Serres za zebraną dla mnie dokumentację o życiu w Minneapolis na początku XX wieku. Jesteś, Karolino, nieoceniona.

Dzięki profesorowi Józefowi Borzyszkowskiemu mogłam zapoznać się z życiem i działalnością Hieronima Derdowskiego zarówno w Polsce, jak i w USA.

Jak zwykle jestem wdzięczna moim pierwszym czytelnikom: Robertowi Ostaszewskiemu, Irenie Korcz-Bombale i Ewie Radeckiej-Mundiger za ich cenne uwagi i komentarze. Jesteście wspaniali! Dzięki Wam udaje mi się zawsze przezwyciężyć lęki przed wysłaniem nowej powieści w świat.

Z Domem Wydawniczym REBIS współpracuję już od dziewiętnastu książek i mam nadzieję, że czekają nas wyłącznie tłuste lata. Dziękuję serdecznie całej ekipie, a zwłaszcza Danieli Skowronek, która mnie zmusza do promocji, oraz Małgosi Chwałek, redaktorce prawie wszystkich moich książek.

I jak zawsze wielkie podziękowania należą się Adamowi Wolańskiemu, bo jako mój agent literacki nad wszystkim czuwa. Prawdziwy wydawniczy anioł stróż. I nie tylko.

